Dodatek do „Kurjera Codziennego.“

Trzy miljony posagu.

POWIEŚĆ

Ksawerego Montépina.

WARSZAWA
DRUK S. ORGELBRANDA SYNÓW
Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

1891.

Дозволено Цензурою.

(Варшава, 21 Декабря 1890 года.

I.

Naprzeciw miasteczka La Varenne - Saint - Hilaire, na pagórku górującym nad rzeką Marną, leży wieś Chennevières, która, mimo bliskiego sąsiedztwa Paryża, zachowała jeszcze swój charakter włościański.

Od miasta do wsi prowadzi most i następnie górzysta i malownicza droga, z rozrzuconemi po obu stronach wśród wesołej zieloności małemi domkami. Na dwóch końcach mostu wznoszą się oberże, otoczone drzewami, w cieniu których podróżni znajdują w dni upalne chłód i odpoczynek. Na zachód od pagórka, wzdłuż drogi nadbrzeżnej piętrzy się kilka posiadłości większych, z ogrodami, a raczej parkami, w których między pniami drzew starych można widzieć o szmaragdowych barwach trawniki, całe klomby kwiatów o jaskrawych kolorach i aleje utrzymane w porządku wzorowym.

Do jednej z takich posiadłości mamy zamiar zaprowadzić czytelników.

Nazywała się ona *Willą jaworową*, w rzeczywistości zaś był to pałac z parkiem, rozciągającym się w formie amfiteatru od rzeki Marny do wsi Chennevières, gdzie znajdował się główny wjazd. Od strony wsi wznosił się dość wysoki mur wysadzany kamykami i muszlami, nad który występowały kapitele

pilastrów, zakończone starożytnemi urnami fajansowemi. Szeroka, ażurowa z kutego żelaza brama w bardzo pięknym stylu, dotykająca pawilonu odźwiernego, zbudowanego z cegieł i drzewa, prowadziła do ulicy wysadzonej po obu stronach ogromnemi jaworami, od których nadano nazwisko willi. Po lewej stronie widać było z przepychem urządzone stajnie na dziesięć koni i wozownie na ośm powozów.

W końcu alei rozciągał się obszerny trawnik, a za nim wznosił się pałac w stylu renesansowym, z dwoma po obu bokach pawilonami.

Wspaniała oranżerja, obfitująca w najrzadsze rośliny międzyzwrotnikowe, łączyła salony z wielką, mogącą pomieścić czterdzieści osób salą stołową, z oknami wychodzącemi na park.

Willa ta należała do Filipa Dauray, byłego bankiera, który, dorobiwszy się bardzo wielkiego majątku, wycofał się z interesów. Ożenił się on z kobietą dobrą i piękną i był ojcem jedynej córki.

Była godzina dziewiąta rano d. 14-go lipca r. 1881-go.

Na peronie, ocienionym wielką markizą, siedziały dwie osoby: Filip Dauray i jego żona. Tuż obok nich w grupie włościan i włościanek, ubranych ubogo, po większej części starych i chorych, lecz z wyrazem rozczulenia i uszanowania na twarzach, stała osoba trzecia. Eks-bankier pomimo piećdziesięciu lat wieku, wydawał się jeszcze młodym. Powierzchowności sympatycznej i dystyngowanej, zbudowany silnie, o gęstych siwiejących włosach, wyglądał na człowieka, liczącego czterdzieści pięć lat wieku. Na twarzy jego malowała się dobroć, z oczu tryskała inteligencja. W ręku trzymał kapelusz słomiany i od czasu do czasu uśmiechał się do siedzącej obok żony.

Karolina Dauray, licząca czterdzieści trzy lata życia, na oko zdawała się mieć nie więcej nad trzydzieści. Rysy twarzy miała nadzwyczaj regularne i miłe, postawę wiotką, prawie młodzieńczą.

Osobą trzecią, stojącą w grupie włościan, była jedyna córka bankiera, Henryka Dauray. Miała ona włosy blond, oczy niebieskie, piękność i wdzięk swej matki, a nadto urok siedmnastu lat życia. Ubrana była w skromną białą suknię muślinową, przepasaną wstążką koloru blado-niebieskiego.

Za Henryką postępowały dwie pokojowe z koszykami w rękach, napełnionemi rozmaitemi przedmiotami, starannie ponumerowanemi.

Ile razy młoda dziewczyna zatrzymała się przed którym z zebranych wokoło niej ubogich, wyjmowała z koszyka jakiś przedmiot i wręczała go wraz z serdecznemi słowami pociechy. Jednym dawała bieliznę, drugim ubranie, innym pieniądze.

Zatrzymawszy się przed starcem przeszło ośmdziesięcioletnim, zgarbionym przez wiek i ciężką pracę, wyciągnęła ku niemu obie ręce, które starzec ujął w swe twarde i drżące dłonie.

— Jakto! i wy tutaj, ojcze Hieronimie! Czy zapomnieliście, że zabroniłam wam przychodzić?... Wasze mieszkanie tak daleko, a wy z taką trudnością możecie chodzić... To ja powinnam przyjść do was i miałam zamiar uczynić to dzisiaj. Będę was łajała za to...

— Nie—odrzekł staruszek uśmiechając się—panienka nie zrobi tego.

— Doprawdy?

— Jestem pewny.

— I dla czegoż to, jeśli łaska?

— Najprzód dla tego, że panienka jest dobrą, a następnie, że przebaczy mi, iż chciałem przyjść, jak co roku, złożyć moje życzenia...

— Ach, więc wy Hieronimie pamiętaliście, że to w dniu jutrzejszym...

— Piętnastego lipca, dzień św. Henryka.... Czyż można o takim dniu zapomnieć? Wiem, że przychodzę za wcześnie, gdyż dopiero jutro powinienbym przyjść z powinszowaniem, lecz kto mi zaręczy, że dożyję dnia jutrzejszego? a sprawiłoby mi to wielką przykrość, gdybym przed odejściem do tamtego świata nie powtórzył panience, jak ją kocham i jaką cześć mam dla niej. Niech Bóg błogosławi panienkę i jej dobrych rodziców!

Państwo Dauray powstali i podeszli do grupy. Eks-bankier ujął dłonie starca i uścisnął je serdecznie.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu, z głębi serca, w imieniu mojej córki, żony i mojem za twe błogosławieństwo dla nas. Twego głosu Bóg usłucha... Dziękuję ci, dobry Hieronimie... Wdzięczność, jaką nam okazujesz, wzrusza mnie, ale nie masz za co dziękować... Jesteśmy bogatymi, a oddając jakąś cząstkę naszego majątku biednym, spełniamy tylko obowiązek...

Naturalne, serdeczne i szczere te słowa wzruszyły jeszcze więcej. Wszyscy wyciągnęli ręce, by uścisnąć dłonie pana Dauray, jego żony i Henryki.

Gdy włościanie odeszli, młoda dziewczyna nie mogąc dłużej powstrzymać łez, rzuciła się ojcu na szyję.

— Ojcze mój, jakże ja jestem szczęśliwą i jakże wdzięczną jestem tobie i matce, za to, że nauczyliście mnie dobrych uczynków!

— Dziecię drogie—odrzekł, tuląc ją do serca—ziarno padło na grunt żyzny, a ty skorzystałaś z naszego przykładu. Czynić dobrze, jestto żyć! jestto sprawiać sobie najwyższą roskosz, jakiej można doznać na tym świecie! Za to co czynimy, jesteśmy aż nadto hojnie wynagrodzeni! Kochają nas!... Jakże mało jest ludzi, mogących z całem przeświadczeniem, że się nie mylą, powiedzieć sobie te dwa wyrazy: *Kochają nas.*

— Któżby cię nie kochał—rzekła pani Dauray, opierając swą piękną głowę na ramieniu męża—kto nie kochałby naszej Henryki, twojej córki z krwi, serca i duszy? Tak, masz rację, wartość majątku w tem leży, że daje on możność czynić innych szczęśliwymi!...

Eks-bankier pociągnął ku swej piersi żonę i córkę, uścisnął je serdecznie z uczuciem zupełnego szczęścia, stałego, niewzruszonego, z przekonaniem, że nic w świecie nie może mu zagrażać!

I są ludzie wierzący w przeczucia!

II.

W tej chwili odgłos dzwonka rozległ się od bramy, zawiadamiając o przybyciu gościa.

— Któż to może przybywać tak wcześnie?—zapytał Dauray.

Odpowiedź na to pytanie nie dała czekać na siebie długo. Młody człowiek lat dwudziestu siedmiu lub dwudziestu ośmiu, zjawił się pod wielkiemi jaworami alei i kroczył ku pałacowi.

— To Jerzy Lamarre!—zawołała Henryka uradowana.

— Chodźmy na jego spotkanie — rzekła pani Dauray.

Gość spostrzegłszy ich idących ku niemu, przyśpieszył kroku.

— Szczęśliwi jesteśmy, widząc cię, mój drogi Jerzy—rzekł eks-bankier, podając mu rękę—nie wątpisz zapewne o tem...

— Tembardziej nie wątpię, że wątpliwość w tym względzie uczyniłaby mnie bardzo nieszczęśliwym.

— Mam nadzieję, że zabawisz u nas przez cały dzień...

— Jesteście państwo tak dobremi dla mnie, że pragnę zabawić u was do wieczora, choćbym miał zostać nawet niedyskretnym...

— Niedyskretnym!—zawołała Henryka.—Cóż za brzydki wyraz! A ja miałam nadzieję, że zabawisz pan u nas przynajmniej dwa lub trzy dni.

— Tak wielka niedyskrecja byłaby mi bardzo przyjemną, tembardziej, że jutro w tej willi taki dzień uroczysty; ale niestety, nie jestem wolnym. Mam chorych, potrzebujących mojej opieki. Dzisiaj zastąpi mnie jeden z moich kolegów, lecz jutro muszę już wrócić do obowiązków.

— Więc tylko przez wzgląd na pańskich chorych przebaczamy panu — odrzekła Henryka z minką zagniewaną—ale za to niech jutro wyzdrowieją...

— Jeśli wyzdrowieją, to stracę pacjentów!—odrzekł młody lekarz śmiejąc się.—A to rzecz dla mnie ważna!

— W takim razie następnego dnia mogą zachorować znowu...

— Za godzinę podadzą śniadanie — rzekł eks-bankier i nim panie skończą toaletę, my może przejdziemy się po parku. Czy dobrze?

— Zgadzam się najchętniej.

— Doskonale!—i dodał:

— Będziemy więc dzisiaj w kółku rodzinnem Nie spodziewamy się nikogo. Jutro za to co innego... wielkie przyjęcie na cześć mojej panny córki... przyjazd naszych przyjaciół z powinszowaniami... No, Karolko, idź prędzej i nie spóźnij się... Będę miał dzisiaj dobry apetyt, a zdaje mi się, że i Jerzy to samo... Przyrzeknij mi, że nie spóźnisz się ze śniadaniem.

— Niech ojczulko będzie spokojnym, będzie wszystko na czas—zapewniła Henryka.

Następnie uścisnęła ojca, uśmiechnęła się do młodego lekarza i odeszła z matką do pałacu.

Eks-bankier wziął pod ramię Jerzego i rzekł:

— A więc, mój drogi, jesteś—lecz nagle urwał i zmienił ton. — No, raz mówię *pan*, drugi raz *ty!*... Zapominam, że dawny uczeń kolegjum jest już dziś człowiekiem i do tego uczonym... Doktór medycyny fakultetu paryskiego! *Doctor medicus parisiensis.*

— W jakikolwiek sposób mówisz pan do mnie, słowa pańskie są słowami najlepszego mego przyjaciela. Niech pan się nie krępuje i nazywa dziś doktora Lamarre tak samo, jak niegdyś małego urwisa, którego byłeś opiekunem i któremu zastępowałeś rodzinę; upewniam pana, że będę mu za to wdzięcznym.

— Niech będzie i tak. A więc, moje drogie dziecko, masz wiele zajęcia?

— Wiele.

— I sporo masz pacjentów?

— Mam wielu, ale mówiąc między nami, są to ludzie ubodzy. Dwie trzecie z nich nie płaci wcale, albo płaci bardzo mało.

— Przypomnij sobie, co ci mówiłem niegdyś. Cierpiącym nigdy nie należy odmawiać pomocy i opieki. Daj mi listę twoich biednych pacjentów, a ja ich pokwituję.

— Wiem, jak jesteś pan dobrym, lecz nie chciałbym nadużywać pańskiej dobroci...

— Nadużywać! Sam nie wiesz co mówisz! ,Cóż chcesz bym robił z pieniędzmi? Jestem bardzo bogaty... zanadto bogaty!... Mam czterykroć sto tysięcy franków dochodu i do tego potrzeby stosunkowo skromne i żadnych słabości... Od czasu ożenienia się kochałem tylko moją żonę i nigdy nie miałem pociągu do gry!... Żyjemy bardzo wygodnie, a pomimo to kapitał mój z każdym rokiem wzrasta... Więc nie krępuj się! Gdy Henryka wyjdzie za mąż, dam jej posagu kilka miljonów, z pomocą których mąż jej, mam nadzieję, będzie mógł czynić wiele dobrego. Otóż, znasz moje przekonania co do przyszłego jej męża... Zdaje mi się, że nie raz dałem ci możność zrozumienia moich zamiarów...

— Zrozumiałem, że byłeś pan dla mnie drugim ojcem... Ale nie posiadając majątku...

— To mi wszystko jedno—przerwał Filip Dauray.—Serdecznie kochałem twego biednego ojca i twoją zacną matkę, a ty odziedziczyłeś po nich ich inteligencję i ich prawy charakter. To bardzo bogaty spadek, moje dziecko; spadek, który wart więcej niż miljony, jakie wniesie ci twoja żona.

— Jakże mało jest ludzi myślących równie jak pan!

— Zapewne, że nie wielu i to źle!... Wszak kochasz Henryke?

— Ach. całą duszą! któżby jej nie kochał? Ale czy ona pokocha mnie?

— Ona dziś kocha cię już jak brata, a gdy pokocha cię jako narzeczonego, oddam ci ją i wtedy zostaniesz moim synem. Zostawszy bogatym, będziesz mógł cały poświęcić się niesieniu pomocy cierpiącym i zdobędziesz najszczytniejszy na świecie tytuł: lekarza ubogich!

Lamarre schwycił obie dłonie Dauraya i przycisnął je do serca.

— Czyż zdołam kiedy wyrazić panu moją wdzięczność?

— Moje drogie dziecko, to będzie nietrudno — odrzekł Dauray.—Kochaj nas tylko jak dotąd kochałeś i uczyń Henrykę szczęśliwą!

— Będzie nią, przysięgam!

Tak rozmawiając doszli aż do drogi ciągnącej się wzdłuż rzeki i oparłszy się o kamienną balustradę, podziwiali rozściełający się przed nimi widok.

— Co, prawda, że tu pięknie?—zapytał Dauray.

— I wymarzyć nie można nic piękniejszego.

— Codziennie tu przychodzę i po parę godzin przesiaduję czytając dzienniki. Nic mi, tu nie przeszkadza. Z wyjątkiem niedziel i poniedziałków, w inne dni okolica ta bardzo spokojna.

Jerzy mierzył wzrokiem odległość gruntu od balustrady, o którą się opierał.

— I nigdy nie nachodzili pana złodzieje?

— Kilka razy wdzierali się, ale niewiele pożywili się.

— Zapewne dostali się przez ten mur i balustradę?

— Tak, ale ograniczyli się na zabraniu kilku krzaków kwiatów lub owoców.

Usłyszano dochodzący zdala głos dzwonu.

— Wzywają nas, kochany Jerzy — rzekł eksbankier.—Chodźmy na śniadanie, a ponieważ sami domagaliśmy się punktualności, nie dawajmy złego przykładu opóźnieniem się.

I obaj przyśpieszonym krokiem udali się do willi, gdzie pani Dauray z córką oczekiwała na nich w sali stołowej.

Filip miał rację mówiąc młodemu lekarzowi, że Henryka kochała go jak brata. Niewinne to dziecko nie wiedziało jeszcze co to jest miłość i nie domyślało się istnienia uczucia czulszego nad to, jakie miało dla Jerzego. Ze wszystkich młodych ludzi odwiedzających willę jaworową, jeden Jerzy tylko wzbudzał w niej sympatję i cieplejsze uczucie. Z sympatją tą łączył się nadto pewien odcień uwielbienia. Zawód lekarza, poświęcającego życie swojej dla ulżenia cierpień biednym, wydawał się jej wielkim i piękniejszym od innych. Często też, śmiejąc się, mówiła do matki:

— Jeżeli kiedy wyjdę za mąż, chciałabym, by mąż mój podobny był do naszego przyjaciela Jerzego.

Gdy młody człowiek przybywał do willi, Henryka doświadczała wielkiej radości; gdy wyjeżdżał stawała się smutną, jakby jej czegoś brakowało. Zapewne w instynktownem uczuciu tem istniał zarodek rzeczywistej miłości, bliski wyklucia; lada dzień namiętny kwiat mógł się rozwinąć i zajaśnieć blaskiem promiennym i dziewiczym.

Jerzy, lepiej pojmujący naturę swego uczucia, kochał Henrykę oddawna, kochał ją głęboko, bez pamięci, całą siłą swej natury namiętnej, ale jakkolwiek nie pozbawiano go nadziei, wiedział, że Henryka jest za młodą, by mogła zostać jego żoną i nie czynił nic, nie wymówił słowa, mogącego obudzić w jej umyśle chęci przyśpieszenia małżeństwa. I czekał —

sam Bóg wie tylko, z jaką niecierpliwością—nakładając na swą miłość egzaltowaną maskę przyjaźni braterskiej.

III.

Niejednokrotnie czyniono Filipowi Dauray propozycje bardzo świetnej partji dla jego córki. Finansiści i politycy, olśnieni posagiem i pięknością Henryki, starali się o jej rękę, nawet pewien szlachcic starożytnego rodu, wprawdzie podszarpanej trochę fortuny, ofiarowywał swe historyczne nazwisko wraz z koroną książęcą. Wiele matek, pragnących dla swych synów majątku, nadskakiwało żonie bankiera i usiłowało pochlebstwem i grzecznościami zdobyć sobie jej życzliwość.

Ale pani Dauray zarówno jak jej mąż odpowiadali kategorycznie, że postanowili wydać swą córkę za mąż po dojściu jej do pełnoletności.

Niedziela dla mieszkańców willi jaworowej i dla Jerzego przeszła bardzo szybko, tem bardziej, że czyniono przygotowania do mającej nastąpić nazajutrz uroczystości.

Wieczorem młody lekarz odjechał do Varenne-Saint-Hilaire, przyrzekłszy pannie Dauray, że będzie się starał odwiedzić ich znowu jak najprędzej.

Nazajutrz od samego rana wielki ruch rozpoczął się w willi. Ogrodnicy przygotowywali kosze kwiatów, oczyszczali aleje, ubierali roślinami i kwieciem schody i przedsionek.

Germain, wierny i zaufany lokaj p. Dauray, będący u niego w usługach od lat dwudziestu pięciu,

awansowany na ten dzień na marszałka domu, zdwajał swą ruchliwość i czynność. W dziedzińcu wytoczono powozy i czyszczono konie, któremi miano ze stacji kolei żelaznej przywieść zaproszonych na ten dzień gości. Niektórzy z nich mieli przybyć na obiad, inni, i tych była liczba największa, dopiero wieczorem.

Pani Dauray i Henryka wstały wcześniej niż zazwyczaj. Młoda dziewczyna zaraz rano otrzymała mnóstwo bukietów od domowników, którzy ją ubóstwiali. Pokojowa dostała polecenie umieścić je w żardynierkach i wazonach w pokoju i przygotować miejsce dla tych, które miały napłynąć w ciągu dnia.

O zwykłej godzinie posłaniec wiejski przywiózł pakiet z poczty, zawierający dzienniki, listy i płaskie pudełeczko, zaadresowane do pani Dauray.

— Co w niem może być? — zapytała żona eksbankiera.

— To zapewne moje fotografje od Liéberta — zawołała Henryka. — Przyrzekł je przygotować na dzisiaj.

Otworzyła je i wyjęła dwanaście sztuk formatu albumowego.

— Mateczko, patrzaj-no!—zawołała radośnie. — Czy ja rzeczywiście jestem taka ładna?

— Jesteś sto razy piękniejszą, moja pieszczoszko—odrzekła pani Dauray śmiejąc się.

— Jadę na kolej żelazną — rzekł Filip Dauray, który wszedł w tej chwili — po pierwszą serję naszych przyjaciół. Jak tylko z nimi powrócę, będziemy mogli siąść do stołu. Ta przejażdżka poranna doda im zapewne apetytu.

— Wszystko będzie gotowe.

Eks-bankier odjechał.

W godzinę później przybyły powozy, z których wysiedli z kwiatami w rękach krewni, przyjaciele i przyjaciołki Henryki. Składano jej życzenia i zasypano ją podarkami. Serce młodej dziewczyny przepełnione było radością i szczęściem.

Gdy goście wstali od stołu, jedni udali się do sali bilardowej, drudzy do parku, przyjaciołki zaś solenizantki odeszły z nią do jej apartamentu.

Od tej chwili powozy odjeżdżały co parę godzin z willi do stacji kolei żelaznej i stamtąd do willi, przywożąc drugą serję zaproszonych gości.

Panna Dauray z radością prawie dziecinną pokazywała swym przyjaciółkom otrzymane tego dnia podarki, ale po niejakim czasie ożywienie jej zaczęło słabnąć i oblicze stawało się coraz mniej rozpromienionem. Powodem tego było przypominające się uporczywie pytanie:

— Dla czego *on* nie przysłał bukietu? Czyżby zapomniał?

Wtem do pokoju weszła pokojowa z małem drewnianem pudełkiem w ręku.

— To dla panienki—rzekła.

Henryka uczuła przyśpieszone bicie serca. Pośpiesznie otworzyła pudełko i wyjęła zeń przepyszny bukiet fijołków parmeńskich. Na bukiecie leżał bilet Jerzego Lamarre.

Uśmiech szczęścia zarysował się na ustach Henryki. Wciągała w siebie zapach kwiatów, następnie umieściła je w miejscu widocznem i wyżej nad innemi bukietami.

Godziny popołudniowe przeszły szybko. O siódmej czterdzieści osób zasiadło do stołu we wspaniałej sali stołowej. O jedenastej udano się do parku, gdzie miano zapalić ognie sztuczne. Henryka dała sygnał, zapalając pierwszy fajerwerk, który jak strzała ogni-

sta wzniósł się w górę i rozpękł w snop gwiazd różnokolorowych.

Gdy ostatnie ognie zagasły było już po północy. Goście zaczęli się rozjeżdżać. Eks-bankier wystąpił *honeste*, zamówił bowiem oddzielny pociąg dla odwiezienia ich do Paryża.

Wkrótce w willi pozostali tylko domownicy i najbliżsi przyjaciele i o pierwszej po północy wszyscy rozeszli się na spoczynek.

Henryka czuła się mocno utrudzoną i pobudzoną. Utrudzenie było skutkiem dnia przepędzonego w bezustannym ruchu, pobudzenie pochodziło z powodu, iż młoda dziewczyna, która zwykle pijała tylko wodę zafarbowaną winem czerwonem, musiała dnia tego, odpowiadając na toasty swych przyjaciół, wielokrotnie wychylać po kilka kropel wina szampańskiego. Otóż te kilka kropel powtórzone ze dwadzieścia razy, podziałały na jej nerwy.

Pożegnawszy rodziców, udała się do skrzydła pałacu, w którem mieścił się jej apartament. Znajdował się on na pierwszem piętrze bardzo mało wzniesionem nad poziom gruntu. Pokój sypialny, położony od strony parku i doliny Marny, otrzymywał światło przez drzwi oszklone, wychodzące na kamienny balkon, skąd przedstawiał się oczom przepyszny widok na okolicę. Stary krzak dzikiego wina, o gałęziach grubych prawie jak ręka dziecka, piął się aż do balkonu i okrywał pilastry.

Pokojowa Henryki, przystojna, dwudziesto dwuletnia dziewczyna, oczekiwała na swoją panią w przyległym do sypialnego pokoju saloniku.

— Panienka musi być bardzo zmęczoną—rzekła.

— Rzeczywiście, Anusiu. A jednak pomimo utrudzenia, nie chce mi się spać.

— To zapewne z powodu, że panienka piła wino szampańskie...

— I mnie się tak zdaje. Nie lubię go, ale musiałam.

— Jutro będzie panienkę bolała głowa...

— Napewno... Rozbierz mnie prędko, Anusiu, i idź spać. Późno już.

Pokojowa zdjęła z niej suknię i nałożyła biały peignoir muślinowy ubrany koronkami. Wspaniałe jej włosy podtrzymywane tylko niebieską wstążką przepasującą czoło, spływały swobodnie na ramiona

---

IV.

W pokoju sypialnym silny zapach kwiatów napełniał powietrze.

— Panienka nie pozwoliła mi wynieść stąd kwiatów, więc byłam posłuszną, ale niepodobieństwem iest, by one zostały tu przez noc całą.

— Dla czego?

— Niebezpiecznie...

— Jakież może być niebezpieczeństwo?... Nie chciałabym rozstawać się z niemi... uchyl tylko drzwi oszklone i wpuść świeżego powietrza.

— Niewiele to pomoże, po zamknięciu nie będzie można tu oddychać...

— Więc nie trzeba zamykać.

— Ależ panienka nie może spać przy drzwiach otwartych...

— Dla czego? nie raz już tak spałam. Podczas ych nocy gorących zawsze drzwi otwieram i nie ostałam kataru...

Anusia otworzyła oszklone drzwi i wyszła na balkon.

— Ach, jaka piękna noc!—zawołała, wróciwszy do pokoju.—Ale błagam, niech panienka pozwoli mi wynieść stąd choć niektóre bukiety. Upewniam panienkę, że pomimo drzwi uchylonych, zapach tych kwiatów jest tak silny, iż wywoła migrenę.

— Kiedy tak chcesz koniecznie, to wynieś tamte, ale tych nie ruszaj — odrzekła Henryka, wskazując bukiety otrzymane od rodziny, przyjaciółek i Jerzego.

Anusia skorzystała natychmiast z pozwolenia i wyniosła wielki pęk kwiatów, ale mimo to pozostało ich jeszcze bardzo wiele.

— Dziękuję — rzekła Henryka — nie potrzebuję już nic więcej. Możesz iść na spoczynek.

Pokojowa odeszła i zamknęła drzwi za sobą.

Panna Dauray wyszła na balkon i pełnemi płucami starała się oddychać powietrzem, ale było ono gorące i nie orzeźwiło jej wcale. Spokój panował w około i tylko cichy szmer wód Marny przerywał głęboką ciszę nocy. W całej okolicy zdawało się, iż wszystko pogrążone we śnie.

Henryka zarzuciła w tył włosy, przeciągnęła ręką po wilgotnem czole i powróciła do pokoju, zostawiając drzwi na wpół otwartemi, zbliżyła się do bukietu fijołków parmeńskich i wzięła go do ręki.

— Ten jest najpiękniejszym ze wszystkich — szeptała, wąchając go. — Ten najwięcej sprawił mi przyjemności... najwięcej mi się podoba...

Trzymała go przy twarzy i chciwie wciągała w siebie niebezpieczny zapach. Następnie pomieściwszy go w wazonie japońskim, siadła przy biurku.

— Nic mi się spać nie chce... i głowa zaczyna boleć... Jestem jakaś zdenerwowana... to zapewne

z powodu tego wina szampańskiego... I pocóż mam się kłaść, gdy nie będę mogła zasnąć? Ot, oczekując na sen, porobię napisy na fotografjach przeznaczonych dla mych przyjaciółek.

Wysunęła szufladę biurka, wyjęła fotografje i zaczęła im się przypatrywać.

Tymczasem ból głowy stawał się coraz silniejszym.

— Ta zdaje się jest najlepszą... ofiaruję ją Jerzemu. Prosiłam ojca o pozwolenie i zgodził się...

Wzięła pióro, umoczyła je w atramencie i napisała następujące wyrazy:

„Mojemu przyjacielowi, doktorowi Jerzemu Lamarre. Pamiątka od jego małej przyjaciółki, Henryki D.“

Chciała podpisać drugą fotografję, lecz musiała odłożyć pióro, gdyż oczy jej zaszły mgłą. Nie rozróżniała już przedmiotów i doświadczała wrażenia, jakby żelazna obręcz ściskała jej skronie. Powstała, lecz zachwiała się, jak gdyby z pod nóg jej usuwała się podłoga.

— Położę się—szeptała—wszystko wiruje koło mnie... Co za dziwne uczucie! Czyżbym miała tracić przytomność?

Nie mogła już mówić, ani myśleć i zaledwie doszła do łóżka, padła na nie bez czucia, jak masa bezwładna.

Zegar na wieży wydzwonił godzinę drugą.

*
* *

Prosimy czytelnika, by zechciał cofnąć się o dni kilka, a mianowicie do d. 5-go lipca r. 1881-go przebyć z nami sześć piętr domu położonego przy

ulicy Rodier i przestąpić próg izdebki na poddaszu, mającej rozległości około trzech metrów kwadratowych i otrzymującej światło przez maleńkie okienko w dachu.

W izdebce tej, gdzie wszystko wykazywało największy niedostatek, stało jedno łóżko, cztery krzesełka,| stolik i kilka skromnych sprzętów gospodarskich.

Była godzina piąta po południu i gorąco od rozpalonego dachu stawało się nie do zniesienia. Młoda kobieta, może dwudziestoletnia, siedziała przy oknie i zszywała na maszynie kawałki sukna czerwonego, mające tworzyć pantalony żołnierskie. Twarz jej była smutna, blada i wynędzniała, ale piękna, pomimo chorobliwego i bolesnego wyrazu. Piękne, gęste, ciemne włosy jej spadały w nieładzie na ramiona, oczy zamglone były łzami, w końcach ust malowało się zniechęcenie i gorycz. Dość było spojrzeć na nią, by zrozumieć, iż dręczyło ją jakieś wielkie zmartwienie.

Zatrzymała maszynę i spojrzała na stojący na stole zegar.

— Już kwadrans na szóstą — szepnęła ze zdziwieniem — a ja przed szóstą powinnam być w pracowni.

Wzięła igłę i szybko dokończyła robotę pantalonów, poczem podniosła się powoli i z trudem, znajdowała się bowiem w ostatnich dniach odmiennego stanu, złożyła cztery pary uszytych pantalonów, obwiązała je, wyszła z izdebki, zamknąwszy drzwi na klucz i zeszła na dół. Gdy miała już wyjść z korytarza na ulicę, spotkała się z odźwierną na progu jej loży.

— Ach, to pani Magdalena — rzekła odźwierna.

— Tak, pani Véron — odrzekła młoda kobieta, zadyszana z powodu przejścia przez tyle schodów.— Idę do fabryki ubiorów wojskowych, na ulicę Rochechouart, odnieść robotę.

— Niech pani wejdzie do mnie na chwilę... Mam coś pani powiedzieć...

— Pilno mi wprawdzie—odważyła się nieśmiało zauważyć robotnica.

— Niech pani wejdzie... To, co mam oświadczyć, jest również pilne...

Młoda kobieta, jakkolwiek śpieszyła się do magazynu, weszła jednak do loży.

— Mam tylko parę słów powiedzieć — rzekła odźwierna. — Mamy dzisiaj piątego, a ósmego przed południem musisz się pani wyprowadzić z lokalu.

— Wyprowadzić...—powtórzyła Magdalena blednąc.

— Powinnaś się była pani spodziewać tego.. Winnaś już za dwa kwartały i właściciel nie chce więcej tracić. Zrzeka się należności, a siedmdziesiąt franków to nie bagatela. Pozwala nawet zabrać meble, ale wymaga, by ósmego mieszkanie było opróżnione, wynajął już je bowiem innemu lokatorowi. Pani wiesz, że w przeciągu pół godziny można otrzymać nakaz komornika, lepiej więc ustąpić dobrowolnie.

Na te słowa serce Magdaleny ścisnęło się i z zaczerwienionych jej oczu potoczyły się łzy. Zrozpaczona, złamana, padła na krzesło.

— Wyprowadzić się...—szeptała bezwiednie.

— Nie może być inaczej...

— Dokądże ja pójdę, mój Boże?

— To już rzecz pani... — odrzekła odźwierna tonem nieco łagodniejszym. — Ja wiem tylko tyle, że nie możesz tu pani pozostawać dłużej.

— Ależ ja nie mam pieniędzy, a gdy zobaczą moje nędzne sprzęty, to zażądają zapłaty z góry.

— Bardzo być może... ale i właściciel nie może tracić ciągle... powinnaś to pani zrozumieć.

— Rozumiem bardzo dobrze! I tak był dotąd dla mnie względnym i wdzięczną mu jestem za to... Ale powinienby mnie trochę jeszcze przetrzymać, przynajmniej dopóki nie odbędę słabości...

— Gdybyś pani mogła co dać na rachunek, lub zapłacić za jeden kwartał, to możeby i pozostawił. To dobry człowiek...

— Na rachunek... — odrzekła z boleścią młoda kobieta.—Bóg mi świadkiem, że chciałabym, ale skąd wezmę? Pracuję od rana do nocy i zarabiam zaledwie dwadzieścia pięć sous na dzień. Pani wiesz, że za to zaledwie wyżyć można...

— Wiem, że za pracę kobiecą płacą mało...

— Cóż ja uczynię—mówiła Magdalena łkając.— Nie mogłam oszczędzić nawet dwudziestu sous na pieluszki dla mego dziecięcia.

— Więc pani nie ma wcale krewnych?

— Nikogo... nawet matki. Umarła... ach, czemuż ja umrzeć nie mogę?...

— No, niech pani nie mówi takich rzeczy! Ale jeżeli pani nie masz rodziny, to pozostaje ci przecież mąż...

V.

Magdalenie krew wystąpiła na twarz.

— Mój mąż — mówiła, spuszczając oczy przed badawczym wzrokiem odźwiernej—mój mąż zapomnia o mnie... porzucił mnie nikczemnie już przed pół rokiem

— Czy miał co do zarzucenia pani?

— Nic!... przysięgam, nic! Kochałam tylko jego nikogo więcej!

— Ach!... ci mężczyzni!... Zresztą to mała rzecz... Ale widząc panią w takim stanie, powinien był mieć litość...

— Jego litość! — powtórzyła młoda kobieta z goryczą.

— Wiem, że to rzecz upokarzająca, ale tonący i brzytwy się chwyta... Ja na miejscu pani napisałabym do niego.

— I tego nawet nie mogę uczynić.

— Dla czego?

— Gdyż nie wiem gdzie się znajduje. Gdybym wiedziała, czyż sądzisz pani, że nie uczyniłabym wszystkiego przez wzgląd na moje dziecię? Opuścił mnie nagle i wstydząc się zapewne swej nikczemności, nie pozostawił najmniejszej wskazówki, po której mogłabym go odszukać...

— Łotr!... No, to pozostaje pani szpital...

— Szpital...—powtórzyła młoda kobieta, zadrżawszy nerwowo—boję się go...

— Dla czego?

— Zdaje mi się, że umarłabym tam...

— Uprzedzenie! Ależ tam leczą najlepsi lekarze i doglądają siostry miłosierdzia... W szpitalu lepiej jak u siebie... Daję pani bardzo dobrą radę... Dziś mamy piątego, a ósmego pokój musi być opróżniony. Masz pani więc dość czasu by nająć pomieszczenie na meble i samej udać się do szpitala.— Niech pani pomyśli nad tem i zdecyduje się...

— Dziękuję pani—odrzekła Magdalena powstawszy.—Pokój będzie na termin opróżniony.

A po cichu dodała:

— Albo nie będę żyła...

Poczem otarłszy oczy z łez, wyszła z loży i udała się na ulicę Rochechouart.

— Co ja zrobię? — zapytywała siebie biedna, postępując z trudnością. — Pieniędzy na koszta przeprowadzenia się nie mam i nie dostanę nigdzie... Nie lękałabym się nędzy, gdyby nie myśl o tej biednej, niewinnej istocie, ofierze mego błędu! Umrzeć... jakżebym chętnie pozbawiła się życia, gdyby nie to, że tracąc je, i dziecię moje żyćby przestało... a to byłoby zbrodnią! Macierzyństwo... szpital... tak... to ostatnia ucieczka dla mego dziecięcia... które nie będzie miało nazwiska... nie pozna nigdy swego ojca i rumienić się będzie za swą matkę... Ach jakże mnie niegodziwie oszukał, mnie, com tak mu wierzyła... tak ufała ślepo!... Sądziłam, że jestem już prawie jego żoną... przyrzekł mi to... przysiągł... i zamiast małżeństwa opuszczenie!... Tak go kochałam, a on tak postąpił niegodnie! Dziś pogardzam nim... a jednak kocham go jeszcze... i przez niego jestem tak nieszczęśliwą!... Ach, jakże powinnam go nienawidzieć!

Przybyła do magazynu i złożyła robotę na stole. Zarządzający obejrzał każdą sztukę starannie, odniósł do składu i podpisał wręczoną mu przez Magdalenę książeczkę.

Młoda kobieta zbladła.

— Więc pan mi nie daje dzisiaj nowej roboty? — zapytała głosem drżącym.

— Nie — odrzekł lakonicznie zarządzający.

— Więc pan niezadowolony z mojej roboty?

— Owszem, nie mam nic do zarzucenia.

— A więc dla czego?

— Wstrzymujemy się na teraz z robotą.

— To może tylko z robotą pantalonów... ale ja przecież szyłam już i mundury...

— Niema roboty dla ciebie.

— Niema dla mnie? Więc cóż ja będę robiła?...

— Nic, gdyż pozostałą robotę zostawiamy dla robotnic dawnych, a ty niedawno u nas pracujesz...

— Ależ ja zarówno jak i dawniejsze potrzebuję zapracować na życie... Proszę pana, niech pan ma litość nademną... Niech pan mnie nie pozbawia jedynego środka do życia... pozostanie mi chyba umrzeć z głodu...

— Nie mam żadnej roboty... zresztą przyjdź za miesiąc...

— Za miesiąc — powtórzyła przerażona—cóż ja przez ten czas będę robiła?

— To już nie moja rzecz... bierz swoją książeczkę i idź do kasy.

Magdalena, ogłuszona tym nowym ciosem, wyszła chwiejąc się.

W kasie wypłacono jej 3 fr. 50 centimów.

Nie miała sił iść dalej i przystanęła w progu.

— Trzy franki i pół—szeptała, rzucając łzawym wzrokiem na trzymane w ręku pieniądze—wystarczy zaledwie na chleb na cztery lub pięć dni... a później? Ale ja nie mogę zostać bez pracy... Moje dziecię żyje mojem życiem... Gdy ja jeść nie będę, ono umrze... Dokąd iść, do kogo się zwrócić?

Zamyśliła się i po kilku chwilach znowu rzekła:

— Ach, proponowano mi przed kilkoma dniami robotę w pracowni strojów przy ulicy Temple... Nie przyjęłam, myślałam bowiem, że roboty wojskowej nie zabraknie nigdy... Trzeba tam iść...

Nadzieja otrzymania pracy dodała jej sił. Wyszła z magazynu i pomimo ogromnej przestrzeni zdołała dociągnąć się na ulicę Temple. Była już godzina ósma gdy weszła do pracowni.

— Czego pani potrzebuje? — zapytała zarządzająca zakładem.

— Pracy... Powiedziano mi, że pani potrzebuje robotnic...

Zarządzająca zapytała szydersko:

— Czyś pani już pracowała w tym zakładzie?

— Nie, proszę pani...

— Któż panią przysyła?

— Pani Pierce, która ma zawsze tutaj zajęcie.

— Więc pani Pierce chyba zwarjowała!..

— Dla czego, pani?...

— Bo powinna wiedzieć, że ponieważ specjalnością naszą są wyprawy ślubne, robota pilna i terminowa, potrzebujemy więc robotnic, na których bezwarunkowo możemy polegać. Pani zaś jesteś w stanie, który za kilka dni nie pozwoli ci pracować.

Magdalena uczuła uderzenie krwi do twarzy.

— Ach, pani, ja tak potrzebuję pracy!...

— Przyjdź pani później... gdy będziesz już zdrową...

Młoda kobieta, zrozpaczona, wyszła z pracowni. Krokiem szybkim, nierównym, sama nie wiedząc dokąd idzie, postępowała ku bulwarom. Chód jej był tak dziwnym, iż przechodnie przyglądali się i oglądali za nią. Spostrzegłszy, że zwraca na się uwagę, zaczęła iść wolniej i uspokoiła się cokolwiek. Utrudzoną była niezmiernie, pod czaszką czuła próżnię i szum w uszach.

Ponieważ nic nie jadła od rana, wstąpiła do piekarni, kupiła funt chleba, doszła do placu, siadła na ławce i zaczęła jeść.

Było wtedy wpół do dziewiątej, na bulwarach i ulicach zaczęto zapalać gaz

VI.

Gdy Magdalena po spożyciu swego skromnego posiłku powstała, nogi zachwiały się pod nią.

— Nie zdołam dojść—rzekła do siebie—jestem tak osłabioną i złamaną, iż nie dociągnę się do ulicy Rodier.

Przyszła jej myśl, by wsiąść do omnibusu i zrobiła już kilka kroków, lecz wstrzymała się.

— Musiałabym zapłacić trzydzieści centymów... nie miałabym więc chleba przez cały dzień... Nie, nie można... Dojdę do tramwaju na starych bulwarach... Za trzy sous dojadę do la Vilette, a stamtąd już niedaleko do ulicy Rodier.

Przebyła plac i weszła na ulicę Faubourg-du-Temple. Szła powoli z głową pochyloną, miarkując kroki, by jak najmniej się utrudzić. Gdy przybyła do kanału, którego ciemne wody odbjały szeregi płomieni gazowych, wsparła się o balustradę i utkwiła oczy w błyszczącą powierzchnię wód.

Jakież myśli smutne krążyły w tej młodej dwudziestoletniej głowie, która tyle już wycierpiała!

Ta woda ciemna i połyskująca drżącem światłem, pociągała ją. Zdawało się jej, że z głębi słyszy dochodzący ją głos:

— Chodź... tu spoczynek... tu sen wieczny...

Przez chwilę czuła zawrót głowy i nachyliła się naprzód, jak gdyby nie mogła się oprzeć pociągającej ją sile.

W tej chwili przeszedł koło niej młody, dwunastoletni chłopak, prawdziwy typ ulicznika paryskiego, zuchwały, krzykliwy, jak wróbel ogrodowy. Spostrzegłszy młodą kobietę nachyloną nad balustradą, przystanął i rzekł:

— Oho, w takie gorąco, wierzę, że przychodzi ochota ochłodzić głowę, ale ostrzegam, że w tym kanale ani ludziom, ani psom kąpać się nie wolno, a niedaleko stąd spotkałem stójkowego...

Młoda kobieta nic nie odrzekła i wolnym krokiem udała się w dalszą drogę.

VII.

Gdy Magdalena przestępowała próg pracowni przy ulicy Temple, czterej młodzi ludzie, z których najstarszy mógł mieć lat trzydzieści, siedzieli przy jednym stole i jedli obiad w małej restauracji przy ulicy Ile-Saint-Louis.

— Czy wygrałeś zeszłej nocy, Juljuszu?—zapytał jeden z nich, młodzieniec dwudziestoczteroletni, ubrany elegancko.

— Nie, przegrałem...

— Dużo?

— Jak dla mnie to dużo...

— Opuściło cię szczęście...

— Zupełnie i to już od tygodnia...

— To nic, wróci...—dorzucił inny.

— I ja mam nadzieję... — odrzekł ten, którego nazywano Juljuszem; poczem zwracając się do garsona, rzekł:

— Prosper, przynieś séra Brie i butelkę Moulin-à-Vent, tylko dobrego.

Juljusz Mercier był to młody człowiek o rysach twarzy bardzo regularnych i delikatnych. Oczy jego stanowiły dla wielu zagadkę trudną do rozwiązania.

Wielkie i piękne, wyrażały zwykle łagodność i niejaką pieszczotliwość, ale czasami zapalały się jakimś dziwnym blaskiem, nadającym spojrzeniu wyraz surowy i okrutny. Nosił brodę starannie uczesaną i miał zwyczaj bezustannie ją gładzić, co mu dawało sposobność pokazywania bardzo delikatnej, arystokratycznej ręki, na której palcach połyskiwało kilka pierścionków i sygnet z koroną hrabiowską. Średniego wzrostu, zbudowany składnie, wysmukły i zręczny, posiadał w ruchach dystynkcję naturalną, nadającą całej jego postaci piętno arystokratyczne. Matowa bladość twarzy i lekkie podcieniowanie oczu wskazywały człowieka prowadzącego życie nieregularne i lubiącego czynić dzień z nocy.

Wychyliwszy ostatnią lampkę wina Juljusz kazał podać kawę.

— Już? cóż ci tak pilno?

— Muszę wrócić do siebie.

— Czy grasz dzisiaj?

— A naturalnie! Chcę zmusić los, by uśmiechnął mi się znowu, potrzebuję więc zajść do domu i przygotować pugilares.

— A przytem — zauważył jeden z towarzyszów śmiejąc się—powiedzieć dobranoc swej ukochanej...

— Moją ukochaną — odrzekł Juljusz wzruszając ramionami—jest dama pikowa i kierowa... Dla innych nie warto się trudzić... Kobiety są w życiu tylko przeszkodą i kłopotem. Wszelki związek jest dla mężczyzny niebezpiecznym, nie mówiąc już o tem, że naraża go na niebezpieczeństwo ojcostwa. Sama myśl o podobnej katastrofie mrozi krew moją. Wyobraźcie mnie sobie z dzieckiem na ręku! Coś okropnego! Zielony stolik, to jedyna kochanka dająca wzruszenia i życie!

— Nie zawsze tak mówiłeś, mój drogi.

— Zapewne — trzeba przecież wypłacić dług młodości, ale drugi raz się nie złapię.

— Niepodobna w twym wieku być tak przeżytym...

— Upewniam cię, że jestem takim... Co chcesz, karty zużywają bardzo... Jestem starszy nad moje lata...

— Jakto, nie masz ani jednej miłostki?

— Ani jednej.

— Więc skończyłeś z tą małą?

— Którą?

— Wiesz, o której mówię... ta piękna blondynka z którą spotkałem cię kilka razy zeszłej jesieni.

— Ach, Magdalena...—odrzekł Juljusz, marszcząc brwi.

— Była piękną i zdaje się uczciwą... Czy to ty ją uwiodłeś?

— A ja.

— Kochała cię?

— Bardzo.

— I rozstałeś się z nią?

— Przed pół rokiem jeszcze...

— Czy zagrożony byłeś katastrofą, o której przed chwilą wspominałeś z takim przestrachem?

— A tak. Skoro tylko spostrzegłem to, zdecydowałem się na postanowienie najrozumniejsze w takich razach... czmychnąłem i zmieniłem mieszkanie, by zatrzeć ślad po sobie...

— Postąpiłeś rozsądnie przez wzgląd na samego siebie, ale okrutnie względem niej...

— Tem gorzej dla niej... nie byłem obowiązany do żadnych ustępstw...

— Musiałeś jej przecież przyrzekać, że się ożenisz...

— No, to rzecz wiadoma... ależ one głupie powinny wiedzieć, że takich przyrzeczeń nie dotrzymuje się zwykle... Prosper, podaj rachunek.

Juljusz Mercier zapłacił swą należność, wziął kapelusz, narzucił na ramiona lekkie palto, zapalił cygaro i pożegnawszy towarzyszy, wyszedł z restauracji.

— To miły łotrzyk—odezwał się jeden z trzech gości pozostałych. — Nie jestem lepszym od innych, lecz przyznaję się, że uwieść niewinną dziewczynę i opuścić ją w takim stanie, to najwyższa podłość!... Co on za jeden, z czego żyje?

— Z gry w karty.

— Wiem, ależ gra nie jest zajęciem dziennem. Ja pytam jaki jego fach?

— Niewiadomo... Musi mieć jakąś małą rentę i chce ją powiększyć grą. Zresztą on się z tem kryje...

— Gdzież ty go poznałeś?

— W domu gry. Bywa on tam już od dwóch lat i jest dobrym graczem...

— Tak, zawsze umie zachować spokój, czy wygrywa, czy przegrywa. — Że łotrzyk to prawda, ale dystyngowany... Czy zauważyłeś pierścień na jego palcu?

— Widziałem, nawet hrabiowską koronę wyciętą na kamieniu.

— Skąd on mógł to wziąć?

— Zapewne dostał w podarunku.

— Także gadasz! Nikt nie daje w prezencie sygnetu herbowego... A mnie się zdaje, że ten laluś podaje się za kogo innego... Musi on pochodzić z jakiej rodziny podupadłej i ukrywa swoje nazwisko rzeczywiste, a że jest zbyt leniwym, by pracą zarabiać na życie, więc szuka dochodów przy zielonym stoliku.

— No, to tylko przypuszczenie...

— Przypuszczenie, ale bardzo prawdopodobne... Uważaj tylko na jego manjery, szyk w ubieraniu się, świeże zawsze rękawiczki szwedzkie... Wszystko to jest w nim tak naturalne, jak gdyby do elegancji tej przywykł od dziecka.

— Wierz mi, iż nie należy on do naszego świata.

— Tem lepiej dla nas... Człowiek, ukrywający swe nazwisko, już przez to samo jest podejrzanym. Źle robicie odwiedzając go.

— My do niego nie chodzimy i nie jesteśmy jego przyjaciołmi. Poznaliśmy go w domu gry, a tam towarzystwo różne. Zresztą byle tylko nie był ajentem policyjnym, to nam wszystko jedno; a nie jest nim napewno.

Po tych słowach towarzysze podali sobie dłonie i rozeszli się.

VIII.

Podejrzenie, wypowiedziane przez jednego z uczestników obiadu, że pod nazwiskiem Juljusza Mercier ukrywa się człowiek innej sfery, było zgodne z prawdą. Nazywał się on rzeczywiście Juljusz Armand hrabia de Lucenay. Matka jego zmarła, gdy liczył dziesięć lat życia, ojciec zaś, który odumarł go znacznie później, pozostawił mu majątku dwa miljony franków.

Ojciec ten hr. Gaston-Armand de Lucenay prowadził życie hulaszcze i słynny był z szaleństw różnego rodzaju. Rozpasany libertyn i gracz namiętny, pozostawił po sobie jak najgorsze wspomnienie, spory

szereg nikczemności i rozpaczy w wielu rodzinach. Utraciwszy majątek, postanowił poprawić swe interesa przez ożenienie się, a chociaż był nieprzyjacielem małżeństwa, pojął za żonę, licząc już czterdzieści sześć lat życia, młodą, piękną i bogatą kuzynkę swoją Genowefę de Lucenay. Z małżeństwa tego urodził się syn Juljusz Armand.

Gdy Juljusz miał lat szesnaście, ojciec nie ukrywał przed nim swej hulaszczej przeszłości; z cyniczną dumą mówił mu o swych orgjach i szaleństwach; opowiadał nawet, iż kochał pewną kobietę i że ze związku tego przyszedł na świat syn, ale ponieważ matka i dziecko mogły mu w przyszłości sprawić kłopot, więc odtrącił je od siebie i rad był z tego, gdyby był bowiem okazał nierozsądną czułość, nie mógłby się ożenić bogato.

— Będą cię bardzo kochali — mawiał hrabia do syna — a przynajmniej będą udawali, że cię kochają, bo jesteś przystojnym i będziesz bogatym... Czy za miłość, czy za komedję miłości, płać hojnie, ale skoro tylko spostrzeżesz, że możesz zakochać się na serjo, usuń się natychmiast od takiej kobiety!... Żadnych obowiązków stałych, rozumiesz mię, a przedewszystkiem nigdy dzieci! Związki i dzieci staną się wcześniej lub później przeszkodą... usuwaj więc ją! Na łzy odpowiadaj wybuchem śmiechu! Staraj się serce swe zmienić w granit! Zbawienie leży tylko w egoizmie! Kobiety stworzone są na to by je łamać i po nich deptać! Miej zawsze w pamięci *Pana de Camors!* Oto był człowiek!

Wobec podobnych nauk, powtarzanych często, łatwo zrozumieć co stać się mogło i co rzeczywiście się stało z moralnemi zasadami Juljusza Armanda, pozbawionego serca i wpływu matki.

Gdy stary hrabia umarł, młody człowiek od dwóch lat stosował w życiu jego zasady i miał już pół miljona długu. Objąwszy majątek, zaczął wydawać trzy razy tyle co dotychczas. Krótko mówiąc, w bardzo niedługim czasie przepuścił resztę majątku i pozostał z dość pokaźną cyfrą długów. Ruina była zupełną, potrzeba było likwidować się jak najspieszniej. Sprzedano pałac, obrazy, przedmioty sztuki, konie, powozy. Suma, otrzymana ze sprzedaży, pozwoliła spłacić wierzycieli, ale młodemu hrabiemu pozostało zaledwie 10,000 fr.

Juljusz Armand miał wtedy dwadzieścia dwa lata życia.

— Postąpię później tak samo jak mój ojciec — myślał—poprawię moje interesa przez bogate ożenienie się, ale nie prędko jeszcze, gdyż małżeństwo budzi wstręt we mnie... Tymczasem potrzeba żyć... 10,000 franków jestto nic, ale jestto początek. Trzeba je podwoić!

I wyjechał do Monaco.

Lecz szczęście nie zjawiło się na wezwanie. Na trzeci dzień po przybyciu, pozostało mu tylko tyle, by powrócić do Paryża i żyć przez dni kilka. Przychodziła mu myśl odebrać sobie życie, ale nie mógł się zdecydować. W rezultacie powiedział sobie, że byłoby głupotą palić sobie w łeb w jego wieku, nosząc nazwisko hrabiego de Lucenay i mając przed sobą tak długą przyszłość.

Następnie chciał jechać do Ameryki. Amerykanie lubią grywać i grają grubo — być może, na tej odległej ziemi uśmiechnie mu się szczęście...

Lecz dla uskutecznienia tego śmiałego projektu brakowało mu dwóch rzeczy: pieniędzy na koszta podróży i pieniędzy na początek gry. Zresztą stolica Francji miała dla niego urok pociągający. Powrócił

więc do Paryża, ale przez dumę, a raczej próżność rodową, nie chciał by biedę jego widzieli ci, którzy byli świadkami zbytków.

— Przybiorę inne nazwisko—mówił do siebie—i ukrywać się będę w niższych sferach wielkiego miasta, dopóki nie zdobędę należnej mi sytuacji i znowu nie wypłynę na wierzch.

Nic nie było łatwiejszego jak ukryć się w cieniu na czas jakiś. Więc Juliusz de Lucenay nazwał się Juljuszem Mercier, najął pokój umeblowany, a nie mogąc pod przybranem nazwiskiem przebywać w kółkach, do których należał dawniej, zaczął uczęszczać do domów gry i żyć z dnia na dzień, na łasce losu, to faworyzowany przezeń wygraną, to znowu rujnowany tak, że musiał zastawiać zegarek, by mógł o czem zasiąść do gry. W ten sposób przepędzał prawie wszystkie noce, ocierał się o wszelkie występki i hańbę i z każdym dniem staczał się niżej, będąc jednak najmocniej przekonanym, że prędzej lub później nadejdzie odwet i postawi go na dawnym stopniu świetności.

W chwili gdy zapoznajemy się z nim, pędził on już od dwóch lat to dziwne życie.

Po wyjściu z restauracji przy ulicy Saint-Louis-en-l'ile, wziął fiakra i kazał się zawieść do swego mieszkania przy ulicy Faubourg du Temple nr 104.

*
* *

Magdalena, wyrwana przez ulicznika z swej ponurej zadumy na moście kanału Saint-Martin, puściła się w dalszą drogę.

Im więcej myślała o swej pozycji strasznej, tem bardziej owładały nią rozpacz i zniechęcenie. Z głową

pochyloną i oczyma łez pełnemi postępowała wzdłuż murów; przechodnie potrącali ją, a ona nie zwracała nawet na to uwagi. Tak doszła do ulicy Saint-More, przecinającej przedmieście i zeszła na drugą stronę ulicy. Wtem jakaś dorożka przejechała koło niej i zatrzymała się o kilka kroków dalej. Z dorożki wysiadł młody człowiek i wszedł do domu. Twarz jego na kilka sekund oświeciło światło latarni gazowej.

Magdalena, spostrzegłszy go, wydała okrzyk stłumiony, zaczęła drżeć całem ciałem i by nie upaść musiała oprzeć się o mur.

— To on! — szeptała głosem zdławionym przez wzruszenie.—To on!... nie mylę się... Ach, Opatrzność przychodzi mi z pomocą! Więc odnajduję go — on ulituje się nademną i naprawi złe... wspomni, ilem ja wycierpiała... przecież tak mnie kochał! On będzie mnie jeszcze kochał i nie odmówi swego nazwiska dziecięciu...

Biedna kobieta w powracającej nadziei zaczerpnęła nowych sił.

Skierowała się ku drzwiom, lecz prawie w tejże chwili wstrzymała się.

— A jeśli się omyliłam—mówiła do siebie z boleścią — a jeśli złudziło mię podobieństwo? Nie, nie, to być nie może—dodała żywo.—Gdyby to było złudzenie, moje serce nie uderzyłoby tak gwałtownie... nie zadrżałabym tak... To on! Znalazłam go, muszę więc z nim zobaczyć się, pomówić... musi mnie wysłuchać! Byłby potworem gdyby w tej ostatecznej chwili nie ulitował się nademną... wszak pragnę tylko by dziecię moje odzyskało ojca!

I nie wahając się już dłużej, przebyła próg domu,i zapytała odźwierną:

pochyloną i oczyma łez pełnemi postępowała wzdłuż murów; przechodnie potrącali ją, a ona nie zwracała nawet na to uwagi. Tak doszła do ulicy Saint-More, przecinającej przedmieście i zeszła na drugą stronę ulicy. Wtem jakaś dorożka przejechała koło niej i zatrzymała się o kilka kroków dalej. Z dorożki wysiadł młody człowiek i wszedł do domu. Twarz jego na kilka sekund oświeciło światło latarni gazowej.

Magdalena, spostrzegłszy go, wydała okrzyk stłumiony, zaczęła drżeć całem ciałem i by nie upaść musiała oprzeć się o mur.

— To on! — szeptała głosem zdławionym przez wzruszenie.—To on!... nie mylę się... Ach, Opatrzność przychodzi mi z pomocą! Więc odnajduję go — on ulituje się nademną i naprawi złe... wspomni, ilem ja wycierpiała... przecież tak mnie kochał! On będzie mnie jeszcze kochał i nie odmówi swego nazwiska dziecięciu...

Biedna kobieta w powracającej nadziei zaczerpnęła nowych sił.

Skierowała się ku drzwiom, lecz prawie w tejże chwili wstrzymała się.

— A jeśli się omyliłam—mówiła do siebie z boleścią — a jeśli złudziło mię podobieństwo? Nie, nie, to być nie może—dodała żywo.—Gdyby to było złudzenie, moje serce nie uderzyłoby tak gwałtownie... nie zadrżałabym tak... To on! Znalazłam go, muszę więc z nim zobaczyć się, pomówić... musi mnie wysłuchać! Byłby potworem gdyby w tej ostatecznej chwili nie ulitował się nademną... wszak pragnę tylko by dziecię moje odzyskało ojca!

I nie wahając się już dłużej, przebyła próg domu, i zapytała odźwierną:

pochyloną i oczyma łez pełnemi postępowała wzdłuż murów; przechodnie potrącali ją, a ona nie zwracała nawet na to uwagi. Tak doszła do ulicy Saint-More, przecinającej przedmieście i zeszła na drugą stronę ulicy. Wtem jakaś dorożka przejechała koło niej i zatrzymała się o kilka kroków dalej. Z dorożki wysiadł młody człowiek i wszedł do domu. Twarz jego na kilka sekund oświeciło światło latarni gazowej.

Magdalena, spostrzegłszy go, wydała okrzyk stłumiony, zaczęła drżeć całem ciałem i by nie upaść musiała oprzeć się o mur.

— To on! — szeptała głosem zdławionym przez wzruszenie.—To on!... nie mylę się... Ach, Opatrzność przychodzi mi z pomocą! Więc odnajduję go — on ulituje się nademną i naprawi złe... wspomni, ilem ja wycierpiała... przecież tak mnie kochał! On będzie mnie jeszcze kochał i nie odmówi swego nazwiska dziecięciu...

Biedna kobieta w powracającej nadziei zaczerpnęła nowych sił.

Skierowała się ku drzwiom, lecz prawie w tejże chwili wstrzymała się.

— A jeśli się omyliłam—mówiła do siebie z boleścią — a jeśli złudziło mię podobieństwo? Nie, nie, to być nie może—dodała żywo.—Gdyby to było złudzenie, moje serce nie uderzyłoby tak gwałtownie... nie zadrżałabym tak... To on! Znalazłam go, muszę więc z nim zobaczyć się, pomówić... musi mnie wysłuchać! Byłby potworem gdyby w tej ostatecznej chwili nie ulitował się nademną... wszak pragnę tylko by dziecię moje odzyskało ojca!

I nie wahając się już dłużej, przebyła próg domu i zapytała odźwierną:

Karolina Dauray, licząca czterdzieści trzy lata [illegible], na oko zdawała się mieć nie więcej nad trzydzieści. Rysy twarzy miała nadzwyczaj regularne i miłe, postawę wiotką, prawie młodzieńczą.

Osobą trzecią, stojącą w grupie włościan, była jedyna córka bankiera. Henryka Dauray. Miała ona włosy blond, oczy niebieskie, piękność i wdzięk swej matki, a nadto urok siedmnastu lat życia. Ubrana była w skromną białą suknię muślinową, przepasaną wstążką koloru blado-niebieskiego.

Za Henryką postępowały dwie pokojowe z koszykami w rękach, napełnionemi rozmaitemi przedmiotami, starannie ponumerowanemi.

Ile razy młoda dziewczyna zatrzymała się przed którym z zebranych wokoło niej ubogich, wyjmowała z koszyka jakiś przedmiot i wręczała go wraz z serdecznemi słowami pociechy. Jednym dawała bieliznę, drugim ubranie, innym pieniądze.

Zatrzymawszy się przed starcem przeszło ośmdziesięcioletnim, zgarbionym przez wiek i ciężką pracę, wyciągnęła ku niemu obie ręce, które starzec ujął w swe twarde i drżące dłonie.

— Jakto! i wy tutaj, ojcze Hieronimie! Czy zapomnieliście, że zabroniłam wam przychodzić?... Wasze mieszkanie tak daleko, a wy z taką trudnością możecie chodzić... To ja powinnam przyjść do was i miałam zamiar uczynić to dzisiaj. Będę was łajała za to...

— Nie—odrzekł staruszek uśmiechając się—panienka nie zrobi tego.

— Doprawdy?

— Jestem pewny.

— I dla czegoż to, jeśli łaska?

— Najprzód dla tego, że panienka jest dobrą, a następnie, że przebaczy mi, iż chciałem przyjść, jak co roku, złożyć moje życzenia...

— Ach, więc wy Hieronimie pamiętaliście, że to w dniu jutrzejszym...

— Piętnastego lipca, dzień św. Henryka.... Czyż można o takim dniu zapomnieć? Wiem, że przychodzę za wcześnie, gdyż dopiero jutro powinienbym przyjść z powinszowaniem, lecz kto mi zaręczy, że dożyję dnia jutrzejszego? a sprawiłoby mi to wielką przykrość, gdybym przed odejściem do tamtego świata nie powtórzył panience, jak ją kocham i jaką cześć mam dla niej. Niech Bóg błogosławi panienkę i jej dobrych rodziców!

Państwo Dauray powstali i podeszli do grupy. Eks-bankier ujął dłonie starca i uścisnął je serdecznie.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu, z głębi serca, w imieniu mojej córki, żony i mojem za twe błogosławieństwo dla nas. Twego głosu Bóg usłucha... Dziękuję ci, dobry Hieronimie... Wdzięczność, jaką nam okazujesz, wzrusza mnie, ale nie masz za co dziękować... Jesteśmy bogatymi, a oddając jakąś cząstkę naszego majątku biednym, spełniamy tylko obowiązek...

Naturalne, serdeczne i szczere te słowa wzruszyły jeszcze więcej. Wszyscy wyciągnęli ręce, by uścisnąć dłonie pana Dauray, jego żony i Henryki.

Gdy włościanie odeszli, młoda dziewczyna nie mogąc dłużej powstrzymać łez, rzuciła się ojcu na szyję.

— Ojcze mój, jakże ja jestem szczęśliwą i jakże wdzięczną jestem tobie i matce, za to, że nauczyliście mnie dobrych uczynków!

— Dziecię drogie—odrzekł, tuląc ją do serca—ziarno padło na grunt żyzny, a ty skorzystałaś z naszego przykładu. Czynić dobrze, jestto żyć! jestto sprawiać sobie najwyższą roskosz, jakiej można doznać na tym świecie! Za to co czynimy, jesteśmy aż nadto hojnie wynagrodzeni! Kochają nas!... Jakże mało jest ludzi, mogących z całem przeświadczeniem, że się nie mylą, powiedzieć sobie te dwa wyrazy *Kochają nas.*

— Któżby cię nie kochał—rzekła pani Dauray, opierając swą piękną głowę na ramieniu męża—kto nie kochałby naszej Henryki, twojej córki z krwi, serca i duszy? Tak, masz rację, wartość majątku w tem leży, że daje on możność czynić innych szczęśliwymi!...

Eks-bankier pociągnął ku swej piersi żonę i córkę, uścisnął je serdecznie z uczuciem zupełnego szczęścia, stałego, niewzruszonego, z przekonaniem, że nic w świecie nie może mu zagrażać!

I są ludzie wierzący w przeczucia!

II.

W tej chwili odgłos dzwonka rozległ się od bramy, zawiadamiając o przybyciu gościa.

— Któż to może przybywać tak wcześnie?—zapytał Dauray.

Odpowiedź na to pytanie nie dała czekać na siebie długo. Młody człowiek lat dwudziestu siedmiu lub dwudziestu ośmiu, zjawił się pod wielkiemi jaworami alei i kroczył ku pałacowi.

— To Jerzy Lamarre!—zawołała Henryka uradowana.

— Chodźmy na jego spotkanie — rzekła pani Dauray.

Gość spostrzegłszy ich idących ku niemu, przyśpieszył kroku.

— Szczęśliwi jesteśmy, widząc cię, mój drogi Jerzy—rzekł eks-bankier, podając mu rękę—nie wątpisz zapewne o tem...

— Tembardziej nie wątpię, że wątpliwość w tym względzie uczyniłaby mnie bardzo nieszczęśliwym.

— Mam nadzieję, że zabawisz u nas przez cały dzień..

— Jesteście państwo tak dobremi dla mnie, że ragnę zabawić u was do wieczora, choćbym miał ostać nawet niedyskretnym...

— Niedyskretnym!—zawołała Henryka.—Cóż za rzydki wyraz! A ja miałam nadzieję, że zabawisz an u nas przynajmniej dwa lub trzy dni.

— Tak wielka niedyskrecja byłaby mi bardzo rzyjemną, tembardziej, że jutro w tej willi taki dzień uroczysty; ale niestety, nie jestem wolnym. Mam chorych, potrzebujących mojej opieki. Dzisiaj astąpi mnie jeden z moich kolegów, lecz jutro muzę już wrócić do obowiązków.

— Więc tylko przez wzgląd na pańskich chorych przebaczamy panu — odrzekła Henryka z minką agniewaną—ale za to niech jutro wyzdrowieją...

— Jeśli wyzdrowieją, to stracę pacjentów!—odzekł młody lekarz śmiejąc się.—A to rzecz dla mnie ważna!

— W takim razie następnego dnia mogą zachorować znowu...

— Za godzinę podadzą śniadanie — rzekł bankier i nim panie skończą toaletę, my może dziemy się po parku. Czy dobrze?

— Zgadzam się najchętniej.

— Doskonale!—i dodał:

— Będziemy więc dzisiaj w kółku rodzin Nie spodziewamy się nikogo. Jutro za to co in wielkie przyjęcie na cześć mojej panny córki... jazd naszych przyjaciół z powinszowaniami... Karolko, idź prędzej i nie spóźnij się... Będę dzisiaj dobry apetyt, a zdaje mi się, że i Jerzy samo... Przyrzeknij mi, że nie spóźnisz się z daniem.

— Niech ojczulko będzie spokojny..., będz wszystko na czas—zapewniła Henryka.

Następnie uścisnęła ojca, uśmiechnęła się do mło dego lekarza i odeszła z matką do pałacu.

Eks-bankier wziął pod ramię Jerzego i rzekł:

— A więc, mój drogi, jesteś—lecz nagle urw i zmienił ton. — No, raz mówię *pan*, drugi raz *ty* Zapominam, że dawny uczeń kolegjum jest już dz człowiekiem i do tego uczonym... Doktór medycyn fakultetu paryskiego! *Doctor medicus parisiensis.*

— W jakikolwiek sposób mówisz pan do mnie słowa pańskie są słowami najlepszego mego przyj ciela. Niech pan się nie krępuje i nazywa dziś d ktora Lamarre tak samo, jak niegdyś małego urwis którego byłeś opiekunem i któremu zastępowałeś dzinę; upewniam pana, że będę mu za to wdzięczny

— Niech będzie i tak. A więc, moje drog dziecko, masz wiele zajęcia?

— Wiele.

— I sporo masz pacjentów?

— Mam wielu, ale mówiąc między nami, są to ubodzy. Dwie trzecie z nich nie płaci wcale, płaci bardzo mało.

— Przypomnij sobie, co ci mówiłem niegdyś. piącym nigdy nie należy odmawiać pomocy i opie- Daj mi listę twoich biednych pacjentów, a ja ich tuję.

— Wiem, jak jesteś pan dobrym, lecz nie bym nadużywać pańskiej dobroci...

— Nadużywać! Sam nie wiesz co mówisz! Cóż sz bym robił z pieniędzmi? Jestem bardzo bo-... zanadto bogaty!... Mam czterykroć sto tysięcy ków dochodu i do tego potrzeby stosunkowo skromne i żadnych słabości... Od czasu ożenienia się kochałem tylko moją żonę i nigdy nie miałem pociągu gry!... Żyjemy bardzo wygodnie, a pomimo to kapitał mój z każdym rokiem wzrasta... Więc nie kręj się! Gdy Henryka wyjdzie za mąż, dam jej posagu kilka miljonów, z pomocą których mąż jej, mam dzieję, będzie mógł czynić wiele dobrego. Otóż, asz moje przekonania co do przyszłego jej męża... daje mi się, że nie raz dałem ci możność zrozumienia moich zamiarów...

— Zrozumiałem, że byłeś pan dla mnie drugim jcem... Ale nie posiadając majątku...

— To mi wszystko jedno—przerwał Filip Dauy.—Serdecznie kochałem twego biednego ojca i two- zacną matkę, a ty odziedziczyłeś po nich ich inteligencję i ich prawy charakter. To bardzo bogaty adek, moje dziecko, spadek, który wart więcej niż jony, jakie wniesie ci twoja żona.

— Jakże mało jest ludzi myślących równie pan!

— Zapewne, że nie wielu i to źle!... Wszak chasz Henrykę?

— Ach, całą duszą! któżby jej nie kochał? Ale czy ona pokocha mnie?

— Ona dziś kocha cię już jak brata, a gdy pokocha cię jako narzeczonego, oddam ci ją i wtedy zostaniesz moim synem. Zostawszy bogatym, będziesz mógł cały poświęcić się niesieniu pomocy cierpiącym i zdobędziesz najszczytniejszy na świecie tytuł: lekarza ubogich!

Lamarre schwycił obie dłonie Dauraya i przycisnął je do serca.

— Czyż zdołam kiedy wyrazić panu moją wdzięczność?

— Moje drogie dziecko, to będzie nietrudno — odrzekł Dauray.—Kochaj nas tylko jak dotąd kochałeś i uczyń Henrykę szczęśliwą!

— Będzie nią, przysięgam!

Tak rozmawiając doszli aż do drogi ciągnącej się wzdłuż rzeki i oparłszy się o kamienną balustradę, podziwiali rozściełający się przed nimi widok.

— Co, prawda, że tu pięknie?—zapytał Dauray.

— I wymarzyć nie można nic piękniejszego.

— Codziennie tu przychodzę i po parę godzin przesiaduję czytając dzienniki. Nic mi tu nie przeszkadza. Z wyjątkiem niedziel i poniedziałków, w inne dni okolica ta bardzo spokojna.

Jerzy mierzył wzrokiem odległość gruntu od balustrady, o którą się opierał.

— I nigdy nie nachodzili pana złodzieje?

— Kilka razy wdzierali się, ale niewiele pożywili się.

— Zapewne dostali się przez ten mur i balustradę?

— Tak, ale ograniczyli się na zabraniu kilku krzaków kwiatów lub owoców.

Usłyszano dochodzący zdała głos dzwonu.

— Wzywają nas, kochany Jerzy — rzekł eks-bankier.—Chodźmy na śniadanie, a ponieważ sami domagaliśmy się punktualności, nie dawajmy złego przykładu opóźnieniem się.

I obaj przyśpieszonym krokiem udali się do willi, gdzie pani Dauray z córką oczekiwała na nich w sali stołowej.

Filip miał rację mówiąc młodemu lekarzowi, że Henryka kochała go jak brata. Niewinne to dziecko nie wiedziało jeszcze co to jest miłość i nie domyślało się istnienia uczucia czulszego nad to, jakie miało dla Jerzego. Że wszystkich młodych ludzi odwiedzających willę jaworową, jeden Jerzy tylko wzbudzał w niej sympatję i cieplejsze uczucie. Z sympatją tą łączył się nadto pewien odcień uwielbienia. Zawód lekarza, poświęcającego życie swojej dla ulżenia cierpień biednym, wydawał się jej wielkim i piękniejszym od innych. Często też, śmiejąc się, mówiła do matki:

— Jeżeli kiedy wyjdę za mąż, chciałabym, by mąż mój podobny był do naszego przyjaciela Jerzego.

Gdy młody człowiek przybywał do willi, Henryka doświadczała wielkiej radości; gdy wyjeżdżał stawała się smutną, jakby jej czegoś brakowało. Zapewne w instynktownem uczuciu tem istniał zarodek rzeczywistej miłości, bliski wyklucia; lada dzień namiętny kwiat mógł się rozwinąć i zajaśnieć blaskiem promiennym i dziewiczym.

Jerzy, lepiej pojmujący naturę swego uczucia, kochał Henrykę oddawna, kochał ją głęboko, bez pamięci, całą siłą swej natury namiętnej, ale jakkolwiek nie pozbawiano go nadziei, wiedział, że Henryka jest za młodą, by mogła zostać jego żoną i nie czynił nic, nie wymówił słowa, mogącego obudzić w jej umyśle chęci przyśpieszenia małżeństwa. I czekał —

sam Bóg wie tylko, z jaką niecierpliwością—nakładając na swą miłość egzaltowaną maskę przyjaźni braterskiej.

III.

Niejednokrotnie czyniono Filipowi Dauray propozycje bardzo świetnej partji dla jego córki. Finansiści i politycy, olśnieni posagiem i pięknością Henryki, starali się o jej rękę, nawet pewien szlachcic starożytnego rodu, wprawdzie podszarpanej trochę fortuny, ofiarowywał swe historyczne nazwisko wraz z koroną książęcą. Wiele matek, pragnących dla swych synów majątku, nadskakiwało żonie bankiera i usiłowało pochlebstwem i grzecznościami zdobyć sobie jej życzliwość.

Ale pani Dauray zarówno jak jej mąż odpowiadali kategorycznie, że postanowili wydać swą córkę za mąż po dojściu jej do pełnoletności.

Niedziela dla mieszkańców willi jaworowej i dla Jerzego przeszła bardzo szybko, tem bardziej, że czyniono przygotowania do mającej nastąpić nazajutrz uroczystości.

Wieczorem młody lekarz odjechał do Varenne-Saint-Hilaire, przyrzekłszy pannie Dauray, że będzie się starał odwiedzić ich znowu jak najprędzej.

Nazajutrz od samego rana wielki ruch rozpoczął się w willi. Ogrodnicy przygotowywali kosze kwiatów, oczyszczali aleje, ubierali roślinami i kwieciem schody i przedsionek.

Germain, wierny i zaufany lokaj p. Dauray, będący u niego w usługach od lat dwudziestu pięciu,

awansowany na ten dzień na marszałka domu, zdwajał swą ruchliwość i czynność. W dziedzińcu wytoczono powozy i czyszczono konie, któremi miano ze stacji kolei żelaznej przywieść zaproszonych na ten dzień gości. Niektórzy z nich mieli przybyć na obiad, inni, i tych była liczba największa, dopiero wieczorem.

Pani Dauray i Henryka wstały wcześniej niż zazwyczaj. Młoda dziewczyna zaraz rano otrzymała mnóstwo bukietów od domowników, którzy ją ubóstwiali. Pokojowa dostała polecenie umieścić je w żardynierkach i wazonach w pokoju i przygotować miejsce dla tych, które miały napłynąć w ciągu dnia.

O zwykłej godzinie posłaniec wiejski przywiózł pakiet z poczty, zawierający dzienniki, listy i płaskie pudełeczko, zaadresowane do pani Dauray.

— Co w niem może być? — zapytała żona eksbankiera.

— To zapewne moje fotografje od Liéberta — zawołała Henryka. — Przyrzekł je przygotować na dzisiaj.

Otworzyła je i wyjęła dwanaście sztuk formatu albumowego.

— Mateczko, patrzaj-no!—zawołała radośnie. — Czy ja rzeczywiście jestem taka ładna?

— Jesteś sto razy piękniejszą, moja pieszczoszko—odrzekła pani Dauray śmiejąc się.

— Jadę na kolej żelazną — rzekł Filip Dauray, który wszedł w tej chwili — po pierwszą serję naszych przyjaciół. Jak tylko z nimi powrócę, będziemy mogli siąść do stołu. Ta przejażdżka poranna doda im zapewne apetytu.

— Wszystko będzie gotowe.

Eks-bankier odjechał.

W godzinę później przybyły powozy, z który
wysiedli z kwiatami w rękach krewni, przyjacie
i przyjaciołki Henryki. Składano jej życzenia i z
sypano ją podarkami. Serce młodej dziewczyny prz
pełnione było radością i szczęściem.

Gdy goście wstali od stołu, jedni udali się
sali bilardowej, drudzy do parku, przyjaciołki z
solenizantki odeszły z nią do jej apartamentu.

Od tej chwili powozy odjeżdżały co parę g
dzin z willi do stacji kolei żelaznej i stamtąd
willi, przywożąc drugą serję zaproszonych gości.

Panna Dauray z radością prawie dziecinną p
kazywała swym przyjaciółkom otrzymane tego dn
podarki, ale po niejakim czasie ożywienie jej zacz
ło słabnąć i oblicze stawało się coraz mniej ro
promienionem. Powodem tego było przypominające s
uporczywie pytanie:

— Dla czego *on* nie przysłał bukietu? Czyżb
zapomniał?

Wtem do pokoju weszła pokojowa z małe
drewnianem pudełkiem w ręku.

— To dla panienki—rzekła.

Henryka uczuła przyśpieszone bicie serca. P
śpiesznie otworzyła pudełko i wyjęła zeń przepyszn
bukiet fijołków parmeńskich. Na bukiecie leżał bil
Jerzego Lamarre.

Uśmiech szczęścia zarysował się na ustach H
ryki. Wciągała w siebie zapach kwiatów, następn
umieściła je w miejscu widocznem i wyżej nad inne
mi bukietami.

Godziny popołudniowe przeszły szybko. O sió
mej czterdzieści osób zasiadło do stołu we wspaniał
sali stołowej. O jedenastej udano się do parku, gdz
miano zapalić ognie sztuczne. Henryka dała sygna
zapalając pierwszy fajerwerk, który jak strzała ogn

a wzniósł się w górę i rozpękł w snop gwiazd óżnokolorowych.

Gdy ostatnie ognie zagasły było już po północy. oście zaczęli się rozjeżdżać. Eks-bankier wystąpił oneste, zamówił bowiem oddzielny pociąg dla odwieenia ich do Paryża.

Wkrótce w willi pozostali tylko domownicy i najliżsi przyjaciele i o pierwszej po północy wszyscy ozeszli się na spoczynek.

Henryka czuła się mocno utrudzoną i pobudzoną. trudzenie było skutkiem dnia przepędzonego w beztannym ruchu, pobudzenie pochodziło z powodu, młoda dziewczyna, która zwykle pijała tylko wodę afarbowaną winem czerwonem, musiała dnia tego, powiadając na toasty swych przyjaciół, wielokrotnie ychylać po kilka kropel wina szampańskiego. Otóż kilka kropel powtórzone ze dwadzieścia razy, poziałały na jej nerwy.

Pożegnawszy rodziców, udała się do skrzydła ałacu, w którem mieścił się jej apartament. Znajdoał się on na pierwszem piętrze bardzo mało wznieonem nad poziom gruntu. Pokój sypialny, położony d strony parku i doliny Marny, otrzymywał światło rzez drzwi oszklone, wychodzące na kamienny balu, skąd przedstawiał się oczom przepyszny widok okolicę. Stary krzak dzikiego wina, o gałęziach rubych prawie jak ręka dziecka, piął się aż do balonu i okrywał pilastry.

Pokojowa Henryki, przystojna, dwudziesto dwutnia dziewczyna, oczekiwała na swoją panią w przygłym do sypialnego pokoju saloniku.

— Panienka musi być bardzo zmęczoną—rzekła.

— Rzeczywiście, Anusiu. A jednak pomimo rudzenia, nie chce mi się spać.

— To zapewne z powodu, że panienka piła wino szampańskie...

— I mnie się tak zdaje. Nie lubię go, ale musiałam.

— Jutro będzie panienkę bolała głowa...

— Napewno... Rozbierz mnie prędko, Anusin, i idź spać. Późno już.

Pokojowa zdjęła z niej suknię i nałożyła biały peignoir muślinowy ubrany koronkami. Wspaniałe jej włosy podtrzymywane tylko niebieską wstążką przepasującą czoło, spływały swobodnie na ramiona.

IV.

W pokoju sypialnym silny zapach kwiatów n pełniał powietrze.

— Panienka nie pozwoliła mi wynieść st kwiatów, więc byłam posłuszną, ale niepodobieństw jest, by one zostały tu przez noc całą.

— Dla czego?

— Niebezpiecznie...

— Jakież może być niebezpieczeństwo?... N chciałabym rozstawać się z niemi... uchyl tylko drz oszklone i wpuść świeżego powietrza.

— Niewiele to pomoże, po zamknięciu nie b dzie można tu oddychać...

— Więc nie trzeba zamykać.

— Ależ panienka nie może spać przy drzwia otwartych...

— Dla czego? nie raz już tak spałam. Podc tych nocy gorących zawsze drzwi otwieram i dostałam kataru...

Anusia otworzyła oszklone drzwi i wyszła na balkon.

— Ach, jaka piękna noc! —zawołała, wróciwszy do pokoju.—Ale błagam, niech panienka pozwoli mi wynieść stąd choć niektóre bukiety. Upewniam panienkę, że pomimo drzwi uchylonych, zapach tych kwiatów jest tak silny, iż wywoła migrenę.

— Kiedy tak chcesz koniecznie, to wynieś tamte, ale tych nie ruszaj — odrzekła Henryka, wskazując bukiety otrzymane od rodziny, przyjaciółek i Jerzego.

Anusia skorzystała natychmiast z pozwolenia i wyniosła wielki pęk kwiatów, ale mimo to pozostało ich jeszcze bardzo wiele.

— Dziękuję — rzekła Henryka — nie potrzebuję już nic więcej. Możesz iść na spoczynek.

Pokojowa odeszła i zamknęła drzwi za sobą.

Panna Dauray wyszła na balkon i pełnemi płu.mi starała się oddychać powietrzem, ale było ono gorące i nie orzeźwiło jej wcale. Spokój panował około i tylko cichy szmer wód Marny przerywał głęboką ciszę nocy. W całej okolicy zdawało się, iż wszystko pogrążone we śnie.

Henryka zarzuciła w tył włosy, przeciągnęła ręką po wilgotnem czole i powróciła do pokoju, zostawiając drzwi na wpół otwartemi, zbliżyła się do bukietu fijołków parmeńskich i wzięła go do ręki.

— Ten jest najpiękniejszym ze wszystkich — szeptała, wąchając go. — Ten najwięcej sprawił mi przyjemności... najwięcej mi się podoba...

Trzymała go przy twarzy i chciwie wciągała w siebie niebezpieczny zapach. Następnie pomieściwszy go w wazonie japońskim, siadła przy biurku.

— Nic mi się spać nie chce... i głowa zaczyna boleć... Jestem jakaś zdenerwowana... to zapewne

z powodu tego wina szampańskiego... I pocóż mam się kłaść, gdy nie będę mogła zasnąć? Ot, oczekując na sen, porobię napisy na fotografjach przeznaczonych dla mych przyjaciółek.

Wysunęła szufladę biurka, wyjęła fotografje i zaczęła im się przypatrywać.

Tymczasem ból głowy stawał się coraz silniejszym.

— Ta zdaje się jest najlepszą... ofiaruję ją Jerzemu. Prosiłam ojca o pozwolenie i zgodził się...

Wzięła pióro, umoczyła je w atramencie i napisała następujące wyrazy:

„Mojemu przyjacielowi, doktorowi Jerzemu Lamarre. Pamiątka od jego małej przyjaciółki, Henryki D."

Chciała podpisać drugą fotografję, lecz musiała odłożyć pióro, gdyż oczy jej zaszły mgłą. Nie rozróżniała już przedmiotów i doświadczała wrażenia, jakby żelazna obręcz ściskała jej skronie. Powstała, lecz zachwiała się, jak gdyby z pod nóg jej usuwała się podłoga.

— Położę się—szeptała—wszystko wiruje koło mnie... Co za dziwne uczucie! Czyżbym miała tracić przytomność?

Nie mogła już mówić, ani myśleć i zaledwie doszła do łóżka, padła na nie bez czucia, jak masa bezwładna.

Zegar na wieży wydzwonił godzinę drugą.

*
* *

Prosimy czytelnika, by zechciał cofnąć się o dni kilka, a mianowicie do d. 5-go lipca r. 1881-go, przebyć z nami sześć piętr domu położonego przy

ulicy Rodier i przestąpić próg izdebki na poddaszu, mającej rozległości około trzech metrów kwadratowych i otrzymującej światło przez maleńkie okienko w dachu.

W izdebce tej, gdzie wszystko wykazywało największy niedostatek, stało jedno łóżko, cztery krzesełka, stolik i kilka skromnych sprzętów gospodarskich.

Była godzina piąta po południu i gorąco od rozpalonego dachu stawało się nie do zniesienia. Młoda kobieta, może dwudziestoletnia, siedziała przy oknie i zszywała na maszynie kawałki sukna czerwonego, mające tworzyć pantalony żołnierskie. Twarz jej była smutna, blada i wynędzniała, ale piękna, pomimo chorobliwego i bolesnego wyrazu. Piękne, gęste, ciemne włosy jej spadały w nieładzie na ramiona, oczy zamglone były łzami, w końcach ust malowało się zniechęcenie i gorycz. Dość było spojrzeć na nią, by zrozumieć, iż dręczyło ją jakieś wielkie zmartwienie.

Zatrzymała maszynę i spojrzała na stojący na stole zegar.

— Już kwadrans na szóstą — szepnęła ze zdziwieniem — a ja przed szóstą powinnam być w pracowni.

Wzięła igłę i szybko dokończyła robotę pantalonów, poczem podniosła się powoli i z trudem, znajdowała się bowiem w ostatnich dniach odmiennego stanu, złożyła cztery pary uszytych pantalonów, obwiązała je, wyszła z izdebki, zamknąwszy drzwi na klucz i zeszła na dół. Gdy miała już wyjść z korytarza na ulicę, spotkała się z odźwierną na progu jej loży.

— Ach, to pani Magdalena — rzekła odźwierna.

— Tak, pani Véron — odrzekła młoda kobieta, zadyszana z powodu przejścia przez tyle schodów.— Idę do fabryki ubiorów wojskowych, na ulicę Rochechouart, odnieść robotę.

— Niech pani wejdzie do mnie na chwilę... Mam coś pani powiedzieć...

— Pilno mi wprawdzie—odważyła się nieśmiało zauważyć robotnica.

— Niech pani wejdzie... To, co mam oświadczyć, jest również pilne...

Młoda kobieta, jakkolwiek śpieszyła się do magazynu, weszła jednak do loży.

— Mam tylko parę słów powiedzieć — rzekła odźwierna. — Mamy dzisiaj piątego, a ósmego przed południem musisz się pani wyprowadzić z lokalu.

— Wyprowadzić... — powtórzyła Magdalena blednąc.

— Powinnaś się była pani spodziewać tego... Winnaś już za dwa kwartały i właściciel nie chce więcej tracić. Zrzeka się należności, a siedmdziesiąt franków to nie bagatela. Pozwala nawet zabrać meble, ale wymaga, by ósmego mieszkanie było opróżnione, wynajął już je bowiem innemu lokatorowi. Pani wiesz, że w przeciągu pół godziny można otrzymać nakaz komornika, lepiej więc ustąpić dobrowolnie.

Na te słowa serce Magdaleny ścisnęło się i z zaczerwienionych jej oczu potoczyły się łzy. Zrozpaczona, złamana, padła na krzesło.

— Wyprowadzić się...—szeptała bezwiednie.

— Nie może być inaczej...

— Dokądże ja pójdę, mój Boże?

— To już rzecz pani... — odrzekła odźwierna tonem nieco łagodniejszym. — Ja wiem tylko tyle, że nie możesz tu pani pozostawać dłużej.

— Ależ ja nie mam pieniędzy, a gdy zobaczą moje nędzne sprzęty, to zażądają zapłaty z góry.

— Bardzo być może... ale i właściciel nie może tracić ciągle... powinnaś to pani zrozumieć.

— Rozumiem bardzo dobrze! I tak był dotąd dla mnie względnym i wdzięczną mu jestem za to... Ale powinienby mnie trochę jeszcze przetrzymać, przynajmniej dopóki nie odbędę słabości...

— Gdybyś pani mogła co dać na rachunek, lub zapłacić za jeden kwartał, to możeby i pozostawił. To dobry człowiek...

— Na rachunek... — odrzekła z boleścią młoda kobieta.—Bóg mi świadkiem, że chciałabym, ale skąd wezmę? Pracuję od rana do nocy i zarabiam zaledwie dwadzieścia pięć sous na dzień. Pani wiesz, że za to zaledwie wyżyć można...

— Wiem, że za pracę kobiecą płacą mało...

— Cóż ja uczynię—mówiła Magdalena łkając.— Nie mogłam oszczędzić nawet dwudziestu sous na pieluszki dla mego dziecięcia.

— Więc pani nie ma wcale krewnych?

— Nikogo... nawet matki. Umarła... ach, czemuż ja umrzeć nie mogę?...

— No, niech pani nie mówi takich rzeczy! Ale jeżeli pani nie masz rodziny, to pozostaje ci przecież mąż...

V

Magdalenie krew wystąpiła na twarz.

— Mój mąż — mówiła, spuszczając oczy przed badawczym wzrokiem odźwiernej—mój mąż zapomniał o mnie... porzucił mnie nikczemnie już przed pół rokiem.

— Czy miał co do zarzucenia pani?

— Nic!... przysięgam, nic! Kochałam tylko jego, nikogo więcej!

— Ach!... ci mężczyzni!... Zresztą to mała rzecz... Ale widząc panią w takim stanie, powinien był mieć litość...

— Jego litość! — powtórzyła młoda kobieta z goryczą.

— Wiem, że to rzecz upokarzająca, ale tonący i brzytwy się chwyta... Ja na miejscu pani napisałabym do niego.

— I tego nawet nie mogę uczynić.

— Dla czego?

— Gdyż nie wiem gdzie się znajduje. Gdybym wiedziała, czyż sądzisz pani, że nie uczyniłabym wszystkiego przez wzgląd na moje dziecię? Opuścił mnie nagle i wstydząc się zapewne swej nikczemności, nie pozostawił najmniejszej wskazówki, po której mogłabym go odszukać...

— Łotr!... No, to pozostaje pani szpital...

— Szpital...—powtórzyła młoda kobieta, zadrżawszy nerwowo—boję się go...

— Dla czego?

— Zdaje mi się, że umarłabym tam...

— Uprzedzenie! Ależ tam leczą najlepsi lekarze i doglądają siostry miłosierdzia... W szpitalu lepiej jak u siebie... Daję pani bardzo dobrą radę... Dziś mamy piątego, a ósmego pokój musi być opróżniony. Masz pani więc dość czasu by nająć pomieszczenie na meble i samej udać się do szpitala.— Niech pani pomyśli nad tem i zdecyduje się...

— Dziękuję pani—odrzekła Magdalena powstawszy.—Pokój będzie na termin opróżniony.

A po cichu dodała:

— Albo nie będę żyła...

Poczem otarłszy oczy z łez, wyszła z loży i udała się na ulicę Rochechouart.

— Co ja zrobię? — zapytywała siebie biędna, postępując z trudnością. — Pieniędzy na koszta przeprowadzenia się nie mam i nie dostanę nigdzie... Nie lękałabym się nędzy, gdyby nie myśl o tej biednej, niewinnej istocie, ofierze mego błędu! Umrzeć... jakżebym chętnie pozbawiła się życia, gdyby nie to, że tracąc je, i dziecię moje żyćby przestało... a to byłoby zbrodnią! Macierzyństwo... szpital... tak... to ostatnia ucieczka dla mego dziecięcia... które nie będzie miało nazwiska... nie pozna nigdy swego ojca i rumienić się będzie za swą matkę... Ach jakże mnie niegodziwie oszukał, mnie, com tak mu wierzyła... tak ufała ślepo!... Sądziłam, że jestem już prawie jego żoną... przyrzekł mi to... przysiągł... i zamiast małżeństwa opuszczenie!... Tak go kochałam, a on tak postąpił niegodnie! Dziś pogardzam nim... a jednak kocham go jeszcze... i przez niego jestem tak nieszczęśliwą!... Ach, jakże powinnam go nienawidzieć!

Przybyła do magazynu i złożyła robotę na stole. Zarządzający obejrzał każdą sztukę starannie, odniósł do składu i podpisał wręczoną mu przez Magdalenę książeczkę.

Młoda kobieta zbladła

— Więc pan mi nie daje dzisiaj nowej roboty?— zapytała głosem drżącym.

— Nie—odrzekł lakonicznie zarządzający.

— Więc pan niezadowolony z mojej roboty?

— Owszem, nie mam nic do zarzucenia.

— A więc dla czego?

— Wstrzymujemy się na teraz z robotą.

— To może tylko z robotą pantalonów... ale ja przecież szyłam już i mundury...

...ano mi, że pani pot...

...zapytała szydersko:

...już pracowała w tym zakładzie...
...pani...
... przysyła?
...rce, która ma zawsze tutaj zajęcie.
...pani Pierce chyba zwarjowała!..
...czego, pani?...
... powinna wiedzieć, że ponieważ specjalno-
...są wyprawy ślubne, robota pilna i termi-
...ebujemy więc robotnic, na których bezwa-
...żemy polegać. Pani zaś jesteś w stanie,
...kilka dni nie pozwoli ci pracować.
...gdalena uczuła uderzenie krwi do twarzy.
— Ach, pani, ja tak potrzebuję pracy!...
— Przyjdź pani później... gdy będziesz już zdrową...

Młoda kobieta, zrozpaczona, wyszła z pracowni. Krokiem szybkim, nierównym, sama nie wiedząc dokąd idzie, postępowała ku bulwarom. Chód jej był tak dziwnym, iż przechodnie przyglądali się i oglądali za nią. Spostrzegłszy, że zwraca na się uwagę, zaczęła iść wolniej i uspokoiła się cokolwiek. Utrudzoną była niezmiernie, pod czaszką czuła próżnię i sz... w uszach.

... nic nie jadła od rana, wstąpiła do
... funt chleba, doszła do placu, siadła
...zęła jeść.
...edy wpół do dziewiątej, na bulwara...
...zęto zapalać gaz

— N... dla m...

— Nie, gdyż pozos...
nie dawnych, a ty niedawno ...

— Ależ ja zarówno jak i da...
zapracować na życie... Proszę p...
litość nademną... Niech pan m...
dynego środka do życia... pozostan...
z głodu...

— Nie mam żadnej roboty... zre...
miesiąc...

— Za miesiąc — powtórzyła przeraż...
przez ten czas będę robiła?

— To już nie moja rzecz... bierz sw...
czkę i idź do kasy.

Magdalena, ogłuszona tym nowym cio...
szła chwiejąc się.

W kasie wypłacono jej 2 fr. 50 centim...

Nie miała sił iść dalej i przystanęła w progu.

— Trzy franki i pół—szeptała, rzucając łzawym wzrokiem na trzymane w ręku pieniądze—wystarczy zaledwie na chleb na cztery lub pięć dni... a później? Ale ja nie mogę zostać bez pracy... Moje dziecię żyje mojem życiem... Gdy ja jeść nie będę, ono umrze... Dokąd iść, do kogo się zwrócić?

Zamyśliła się i po kilku chwilach znowu rzekła:

— Ach, proponowano mi przed kilkoma dniami robotę w pracowni strojów przy ulicy Temple... Nie przyjęłam, myślałam bowiem, że robo...
nie zabraknie nigdy... Trzeba tam iś...

Nadzieja otrzymania pracy dodał...
z magazynu i pomimo ogromnej p...
pociągnąć się na ulicę Temple. Był...
...weszła do pracowni.

VI.

Gdy Magdalena po spożyciu swego skromnego posiłku powstała, nogi zachwiały się pod nią.

— Nie zdołam dojść—rzekła do siebie—jestem tak osłabioną i złamaną, iż nie dociągnę się do ulicy Rodier.

Przyszła jej myśl, by wsiąść do omnibusu i zrobiła już kilka kroków, lecz wstrzymała się.

— Musiałabym zapłacić trzydzieści centymów... nie miałabym więc chleba przez cały dzień... Nie, nie można... Dojdę do tramwaju na starych bulwarach... Za trzy sous dojadę do la Vilette, a stamtąd już niedaleko do ulicy Rodier.

Przebyła plac i weszła na ulicę Faubourg-du-Temple. Szła powoli z głową pochyloną, miarkując kroki, by jak najmniej się utrudzić. Gdy przybyła do kanału, którego ciemne wody odbjały szeregi płomieni gazowych, wsparła się o balustradę i utkwiła oczy w błyszczącą powierzchnię wód.

Jakież myśli smutne krążyły w tej młodej dwudziestoletniej głowie, która tyle już wycierpiała!

Ta woda ciemna i połyskująca drżącem swiatłem, pociągała ją. Zdawało się jej, że z głębi słyszy dochodzący ją głos:

— Chodź... tu spoczynek... tu sen wieczny...

Przez chwilę czuła zawrót głowy i nachyliła się naprzód, jak gdyby nie mogła się oprzeć pociągającej ją sile.

W tej chwili przeszedł koło niej młody, dwunastoletni chłopak, prawdziwy typ ulicznika paryskiego, zuchwały, krzykliwy, jak wróbel ogrodowy. Spostrzegłszy młodą kobietę nachyloną nad balustradą, przystanął i rzekł:

— Oho, w takie gorąco, wierzę, że przychodzi ochota ochłodzić głowę, ale ostrzegam, że w tym kanale ani ludziom, ani psom kąpać się nie wolno, a niedaleko stąd spotkałem stójkowego...

Młoda kobieta nic nie odrzekła i wolnym krokiem udała się w dalszą drogę.

VII.

Gdy Magdalena przestępowała próg pracowni przy ulicy Temple, czterej młodzi ludzie, z których najstarszy mógł mieć lat trzydzieści, siedzieli przy jednym stole i jedli obiad w małej restauracji przy ulicy Ile-Saint-Louis.

— Czy wygrałeś zeszłej nocy, Juljuszu?—zapytał jeden z nich, młodzieniec dwudziestoczteroletni, ubrany elegancko.

— Nie, przegrałem...

— Dużo?

— Jak dla mnie to dużo...

— Opuściło cię szczęście...

— Zupełnie i to już od tygodnia...

— To nic, wróci...—dorzucił inny.

— I ja mam nadzieję... — odrzekł ten, którego nazywano Juljuszem; poczem zwracając się do garsona, rzekł:

— Prosper, przynieś séra Brie i butelkę Moulin-à-Vent, tylko dobrego.

Juljusz Mercier był to młody człowiek o rysach twarzy bardzo regularnych i delikatnych. Oczy jego stanowiły dla wielu zagadkę trudną do rozwiązania

Wielkie i piękne, wyrażały zwykle łagodność i niejaką pieszczotliwość, ale czasami zapalały się jakimś dziwnym blaskiem, nadającym spojrzeniu wyraz surowy i okrutny. Nosił brodę starannie uczesaną i miał zwyczaj bezustannie ją gładzić, co mu dawało sposobność pokazywania bardzo delikatnej, arystokratycznej ręki, na której palcach połyskiwało kilka pierścionków i sygnet z koroną hrabiowską. Średniego wzrostu, zbudowany składnie, wysmukły i zręczny, posiadał w ruchach dystynkcję naturalną, nadającą całej jego postaci piętno arystokratyczne. Matowa bladość twarzy i lekkie podcieniowanie oczu wskazywały człowieka prowadzącego życie nieregularne i lubiącego czynić dzień z nocy.

Wychyliwszy ostatnią lampkę wina Juljusz kazał podać kawę.

— Już? cóż ci tak pilno?

— Muszę wrócić do siebie.

— Czy grasz dzisiaj?

— A naturalnie! Chcę zmusić los, by uśmiechnął mi się znowu, potrzebuję więc zajść do domu i przygotować pugilares.

— A przytem — zauważył jeden z towarzyszów śmiejąc się—powiedzieć dobranoc swej ukochanej...

— Moją ukochaną — odrzekł Juljusz wzruszając ramionami—jest dama pikowa i kierowa... Dla innych nie warto się trudzić... Kobiety są w życiu tylko przeszkodą i kłopotem. Wszelki związek jest dla mężczyzny niebezpiecznym, nie mówiąc już o tem, że naraża go na niebezpieczeństwo ojcostwa. Sama myśl o podobnej katastrofie mrozi krew moją. Wyobraźcie mnie sobie z dzieckiem na ręku! Coś okropnego! Zielony stolik, to jedyna kochanka dająca wzruszenia i życie!

— Nie zawsze tak mówiłeś, mój drogi.

— Zapewne — trzeba przecież wypłacić dług młodości, ale drugi raz się nie złapię.

— Niepodobna w twym wieku być tak przeżytym...

— Upewniam cię, że jestem takim... Co chcesz, karty zużywają bardzo... Jestem starszy nad moje lata...

— Jakto, nie masz ani jednej miłostki?

— Ani jednej.

— Więc skończyłeś z tą małą?

— Którą?

— Wiesz, o której mówię... ta piękna blondynka, z którą spotkałem cię kilka razy zeszłej jesieni.

— Ach, Magdalena...—odrzekł Juljusz, marszcząc brwi.

— Była piękną i zdaje się uczciwą... Czy to ty ją uwiodłeś?

— A ja.

— Kochała cię?

— Bardzo.

— I rozstałeś się z nią?

— Przed pół rokiem jeszcze...

— Czy zagrożony byłeś katastrofą, o której przed chwilą wspominałeś z takim przestrachem?

— A tak. Skoro tylko spostrzegłem to, zdecydowałem się na postanowienie najrozumniejsze w takich razach... czmychnąłem i zmieniłem mieszkanie, by zatrzeć ślad po sobie...

— Postąpiłeś rozsądnie przez wzgląd na samego siebie, ale okrutnie względem niej...

— Tem gorzej dla niej... nie byłem obowiązany do żadnych ustępstw...

— Musiałeś jej przecież przyrzekać, że się ożenisz...

— No, to rzecz wiadoma... ależ one głupie powinny wiedzieć, że takich przyrzeczeń nie dotrzymuje się zwykle... Prosper, podaj rachunek.

Juljusz Mercier zapłacił swą należność, wziął kapelusz, narzucił na ramiona lekkie palto, zapalił cygaro i pożegnawszy towarzyszy, wyszedł z restauracji.

— To miły łotrzyk—odezwał się jeden z trzech gości pozostałych. — Nie jestem lepszym od innych, lecz przyznaję się, że uwieść niewinną dziewczynę i opuścić ją w takim stanie, to najwyższa podłość!... Co on za jeden, z czego żyje?

— Z gry w karty.

— Wiem, ależ gra nie jest zajęciem dziennem. Ja pytam jaki jego fach?

— Niewiadomo... Musi mieć jakąś małą rentę i chce ją powiększyć grą. Zresztą on się z tem kryje...

— Gdzież ty go poznałeś?

— W domu gry. Bywa on tam już od dwóch lat i jest dobrym graczem...

— Tak, zawsze umie zachować spokój, czy wygrywa, czy przegrywa. — Że łotrzyk to prawda, ale dystyngowany... Czy zauważyłeś pierścień na jego palcu?

— Widziałem, nawet hrabiowską koronę wyciętą na kamieniu.

— Skąd on mógł to wziąć?

— Zapewne dostał w podarunku.

— Także gadasz! Nikt nie daje w prezencie sygnetu herbowego... A mnie się zdaje, że ten laluś podaje się za kogo innego... Musi on pochodzić z jakiej rodziny podupadłej i ukrywa swoje nazwisko rzeczywiste, a że jest zbyt leniwym, by pracą zarabiać na życie, więc szuka dochodów przy zielonym stoliku.

— No, to tylko przypuszczenie...
— Przypuszczenie, ale bardzo prawdopodobne... Uważaj tylko na jego manjery, szyk w ubieraniu się, świeże zawsze rękawiczki szwedzkie... Wszystko to jest w nim tak naturalne, jak gdyby do elegancji tej przywykł od dziecka.
— Wierz mi, iż nie należy on do naszego świata.
— Tem lepiej dla nas... Człowiek, ukrywający swe nazwisko, już przez to samo jest podejrzanym. Źle robicie odwiedzając go.
— My do niego nie chodzimy i nie jesteśmy jego przyjaciołmi. Poznaliśmy go w domu gry, a tam towarzystwo różne. Zresztą byle tylko nie był ajentem policyjnym, to nam wszystko jedno; a nie jest nim napewno.
Po tych słowach towarzysze podali sobie dłonie i rozeszli się.

VIII.

Podejrzenie, wypowiedziane przez jednego z uczestników obiadu, że pod nazwiskiem Juljusza Mercier ukrywa się człowiek innej sfery, było zgodne z prawdą. Nazywał się on rzeczywiście Juljusz Armand hrabia de Lucenay. Matka jego zmarła, gdy liczył dziesięć lat życia, ojciec zaś, który odumarł go znacznie później, pozostawił mu majątku dwa miljony franków.
Ojciec ten hr. Gaston-Armand de Lucenay prowadził życie hulaszcze i słynny był z szaleństw różnego rodzaju. Rozpasany libertyn i gracz namiętny, pozostawił po sobie jak najgorsze wspomnienie, spory

szereg nikczemności i rozpaczy w wielu rodzinach. Utraciwszy majątek, postanowił poprawić swe interesa przez ożenienie się, a chociaż był nieprzyjacielem małżeństwa, pojął za żonę, licząc już czterdzieści sześć lat życia, młodą, piękną i bogatą kuzynkę swoją Genowefę de Lucenay. Z małżeństwa tego urodził się syn Juljusz Armand.

Gdy Juljusz miał lat szesnaście, ojciec nie ukrywał przed nim swej hulaszczej przeszłości; z cyniczną dumą mówił mu o swych orgjach i szaleństwach; opowiadał nawet, iż kochał pewną kobietę i że ze związku tego przyszedł na świat syn, ale ponieważ matka i dziecko mogły mu w przyszłości sprawić kłopot, więc odtrącił je od siebie i rad był z tego, gdyby był bowiem okazał nierozsądną czułość, nie mógłby się ożenić bogato.

— Będą cię bardzo kochali — mawiał hrabia do syna — a przynajmniej będą udawali, że cię kochają, bo jesteś przystojnym i będziesz bogatym... Czy za miłość, czy za komedję miłości, płać hojnie, ale skoro tylko spostrzeżesz, że możesz zakochać się na serjo, usuń się natychmiast od takiej kobiety!... Żadnych obowiązków stałych, rozumiesz mię, a przedewszystkiem nigdy dzieci! Związki i dzieci staną się wcześniej lub później przeszkodą... usuwaj więc ją! Na łzy odpowiadaj wybuchem śmiechu! Staraj się serce swe zmienić w granit! Zbawienie leży tylko w egoizmie! Kobiety stworzone są na to by je łamać i po nich deptać! Miej zawsze w pamięci *Pana de Camors!* Oto był człowiek!

Wobec podobnych nauk, powtarzanych często, łatwo zrozumieć co stać się mogło i co rzeczywiście się stało z moralnemi zasadami Juljusza Armanda, pozbawionego serca i wpływu matki.

Gdy stary hrabia umarł, młody człowiek od dwóch lat stosował w życiu jego zasady i miał już pół miljona długu. Objąwszy majątek, zaczął wydawać trzy razy tyle co dotychczas. Krótko mówiąc, w bardzo niedługim czasie przepuścił resztę majątku i pozostał z dość pokaźną cyfrą długów. Ruina była zupełną, potrzeba było likwidować się jak najspieszniej. Sprzedano pałac, obrazy, przedmioty sztuki, konie, powozy. Suma, otrzymana ze sprzedaży, pozwoliła spłacić wierzycieli, ale młodemu hrabiemu pozostało zaledwie 10,000 fr.

Juljusz Armand miał wtedy dwadzieścia dwa lata życia.

— Postąpię później tak samo jak mój ojciec — myślał—poprawię moje interesa przez bogate ożenienie się, ale nie prędko jeszcze, gdyż małżeństwo budzi wstręt we mnie... Tymczasem potrzeba żyć... 10,000 franków jestto nic, ale jestto początek. Trzeba je podwoić!

I wyjechał do Monaco.

Lecz szczęście nie zjawiło się na wezwanie. Na trzeci dzień po przybyciu, pozostało mu tylko tyle, by powrócić do Paryża i żyć przez dni kilka. Przychodziła mu myśl odebrać sobie życie, ale nie mógł się zdecydować. W rezultacie powiedział sobie, że byłoby głupotą palić sobie w łeb w jego wieku, nosząc nazwisko hrabiego de Lucenay i mając przed sobą tak długą przyszłość.

Następnie chciał jechać do Ameryki. Amerykanie lubią grywać i grają grubo — być może, na tej odległej ziemi uśmiechnie mu się szczęście...

Lecz dla uskutecznienia tego śmiałego projektu brakowało mu dwóch rzeczy: pieniędzy na koszta podróży i pieniędzy na początek gry. Zresztą stolica Francji miała dla niego urok pociągający. Powrócił

więc do Paryża, ale przez dumę, a raczej próżność rodową, nie chciał by biedę jego widzieli ci, którzy byli świadkami zbytków.

— Przybiorę inne nazwisko—mówił do siebie— i ukrywać się będę w niższych sferach wielkiego miasta, dopóki nie zdobędę należnej mi sytuacji i znowu nie wypłynę na wierzch.

Nic nie było łatwiejszego jak ukryć się w cieniu na czas jakiś. Więc Juljusz de Lucenay nazwał się Juljuszem Mercier, najął pokój umeblowany, a nie mogąc pod przybranem nazwiskiem przebywać w kółkach, do których należał dawniej, zaczął uczęszczać do domów gry i żyć z dnia na dzień, na łasce losu, to faworyzowany przezeń wygraną, to znowu rujnowany tak, że musiał zastawiać zegarek, by mógł o czem zasiąść do gry. W ten sposób przepędzał prawie wszystkie noce, ocierał się o wszelkie występki i hańbę i z każdym dniem staczał się niżej, będąc jednak najmocniej przekonanym, że prędzej lub później nadejdzie odwet i postawi go na dawnym stopniu świetności.

W chwili gdy zapoznajemy się z nim, pędził on już od dwóch lat to dziwne życie.

Po wyjściu z restauracji przy ulicy Saint-Louis-en-l'ile, wziął fiakra i kazał się zawieść do swego mieszkania przy ulicy Faubourg du Temple nr 104.

*
* *

Magdalena, wyrwana przez ulicznika z swej ponurej zadumy na moście kanału Saint-Martin, puściła się w dalszą drogę.

Im więcej myślała o swej pozycji strasznej, tem bardziej owładały nią rozpacz i zniechęcenie. Z głową

pochyloną i oczyma łez pełnemi postępowała wzdłuż murów; przechodnie potrącali ją, a ona nie zwracała nawet na to uwagi. Tak doszła do ulicy Saint-More, przecinającej przedmieście i zeszła na drugą stronę ulicy. Wtem jakaś dorożka przejechała koło niej i zatrzymała się o kilka kroków dalej. Z dorożki wysiadł młody człowiek i wszedł do domu. Twarz jego na kilka sekund oświeciło światło latarni gazowej.

Magdalena, spostrzegłszy go, wydała okrzyk stłumiony, zaczęła drżeć całem ciałem i by nie upaść musiała oprzeć się o mur.

— To on! — szeptała głosem zdławionym przez wzruszenie.—To on!... nie mylę się... Ach, Opatrzność przychodzi mi z pomocą! Więc odnajduję go — on ulituje się nademną i naprawi złe... wspomni, ilem ja wycierpiała... przecież tak mnie kochał! On będzie mnie jeszcze kochał i nie odmówi swego nazwiska dziecięciu...

Biedna kobieta w powracającej nadziei zaczerpnęła nowych sił.

Skierowała się ku drzwiom, lecz prawie w tejże chwili wstrzymała się.

— A jeśli się omyliłam—mówiła do siebie z boleścią — a jeśli złudziło mię podobieństwo? Nie, nie, to być nie może—dodała żywo.—Gdyby to było złudzenie, moje serce nie uderzyłoby tak gwałtownie... nie zadrżałabym tak... To on! Znalazłam go, muszę więc z nim zobaczyć się, pomówić... musi mnie wysłuchać! Byłby potworem gdyby w tej ostatecznej chwili nie ulitował się nademną... wszak pragnę tylko by dziecię moje odzyskało ojca!

I nie wahając się już dłużej, przebyła próg domu i zapytała odźwierną:

— Niech pani będzie łaskawa powiedzieć mi, czy mieszka w tym domu lokator nazwiskiem Juljusz Mercier?

— Mieszka.

— A nie wie pani, czy jest obecnie u siebie?

— Tylko co przybył, właśnie przed chwilą wręczyłam mu klucz.

— Na którem piętrze mieszka?

— Na trzeciem, drzwi naprzeciw schodów.

— Dziękuję pani.

Magdalena zadrżała znowu, lecz na ten raz z uczucia radości. Weszła na schody, lecz pomimo chęci przebycia ich jak najprędzej, szła powoli. Na drugiem piętrze musiała zatrzymać się, serce jej biło jak młotem, brakowało jej w płucach powietrza. Odetchnąwszy, szła dalej. Nareszcie dostała się na piętro trzecie, lecz zamiast zapukać w drzwi, stanęła przed niemi. Oddychała z trudnością, zdawało się jej, że piersi jej są za ciasne dla jej serca nabrzmiałego i zbolałego.

Nagle przyszła jej myśl straszna:—A jeśli mnie odtrąci? jeżeli nie zechce mię przyjąć?

— Nie, to być nie może!...—odrzekła sobie, wznosząc głowę z odwagą — to byłoby nikczemnością!... Zresztą wkrótce będę wiedziała...—i nacisnęła guzik dzwonka.

IX

Wytężyła słuch i oczekiwała z niepokojem.

W kilka chwil usłyszała kroki, następnie drzwi otworzyły się i Juljusz Mercier zjawił się ze świecą

w ręku. Spostrzegłszy ją, zbladł, twarz jego wykrzywiła się kurczowo i jakby ogłuszony tem niespodziewanem zjawiskiem, cofnął się o jeden krok, by zamknąć drzwi przed nią. Ale nie miał już na to czasu, Magdalena bowiem z wyciągniętemi błagalnie rękami, weszła do przedpokoju.

— Juljuszu... Juljuszu...—szeptała.

Dzikie światło błysnęło w jego oczach.

— Po co tu przychodzisz?—zawołał brutalnie.— Kto ci dał mój adres?

Okrutne te słowa i, surowy, pełen nienawiści ton, z jakim były wypowiedziane, jak nożem przeszyły serce biednej kobiety. Podniosła na niego wzrok pełen anielskiej dobroci i czułości i rzekła:

— Nikt mi nie dawał twego adresu... widziałam cię przed chwilą wysiadającego z fiakra i dziękowałam Bogu, że odnalazłam cię w chwili, w której utraciłam już wszelką nadzieję...

— Czego chcesz odemnie?

— Chcę pomówić z tobą...

— A ja nie mam ci nic do powiedzenia i nie chcę cię słuchać...

— Powtarzam ci, że potrzebuję z tobą rozmówić się—odrzekła Magdalena podnosząc głos, zraniona do głębi duszy brutalną jego odpowiedzią.

Juljusz przeklinał swój los — scena była nieunikniona. Wiedział, że nastąpić musi, lecz nie chciał by słyszeli inni.

— Wejdź do pokoju—rzekł, zamykając drzwi od korytarza i zaciskając pięść ze złości.

Gdy młoda kobieta znalazła się w pokoju, padła na krzesło i zawołała głosem złamanym:

— Więc mnie nie kochasz już!...

Juljusz nic nie odpowiedział. Postawił świecę na stole i wzburzony chodził po pokoju.

— Cóż ja ci złego uczyniłam? — Dla czego nie powiedziawszy ani słowa opuściłeś mnie, jak się opuszcza pierwszą lepszą kobietę upadłą? Oddałam się tobie, gdyż kochałam cię, bo przysięgałeś mi, że mię kochasz, bo wierzyłam ci... Czyż masz mi co do zarzucenia?... Czyż nie byłam zawsze jednakowo serdeczną, dumną i szczęśliwą z twej miłości?... Wychodziłam tylko z tobą... Największem mojem szczęściem było towarzystwo twoje... Oddałam ci moje serce i moją duszę... Nie zmieniłam się... nie zmienię się nigdy. Zabrałeś je na zawsze... na zawsze... a dziś więcej niż kiedykolwiek, gdyż dziecię, które ma przyjść na świat, wiąże nas węzłem nierozerwalnym... Czemże cię obraziłam? O co obwiniasz mię... czem zasłużyłam na opuszczenie mnie?...

— Uprzedziłem cię, że miałem odbyć podróż, wiesz przecież—odrzekł Mercier.

— Tak, ale nie powiedziałeś mi, że odjeżdżasz... Zresztą musiałeś zapewne powrócić już oddawna i ukrywałeś przedemną swój przyjazd... a być może, że i skłamałeś... Znudzony mną, zmieniłeś tylko mieszkanie... Powiedziałeś sobie:—Z Magdaleną niech co chce się stanie! Nie dbam o nią!...—i od pół roku żyję samotnie, karmiąc się cierpieniem i łzami!...

Wzruszająca ta scena nie tylko że nie poruszyła Merciera, ale rozdrażniała go coraz więcej.

— Dość tego!—zawołał, uderzając nogą o posadzkę. — Czy obowiązany jestem zdawać ci z moich czynności rachunek? Opuściłem cię, bo tak mi się podobało i ciekawy jestem, dla czego miałem się krępować? Nie braliśmy z sobą ślubu!...

— Przysięgałeś mi, że ożenisz się ze mną!...

— Przyrzekając to, nie przypuszczałem, że natrafię na opór mej rodziny...

— Twoja rodzina! Ja opuściłam swoją i poszłam za tobą! Wiesz przecież... Czy mam ci to przypominać? Miałam lat ośmnaście... Od rana do nocy pracowałam w magazynie strojów... wieczorami wracałam do mojej matki która otaczała mnie troskliwością i sercem... Spostrzegłam ciebie... szedłeś za mną gdy wychodziłam z magazynu. Pewnego wieczoru przemówiłeś do mnie, powiedziałeś mi, że mnie kochasz... Głos twój był łagodny... tak umiałeś przemawiać... Słuchałam cię... uwierzyłam... pokochałam cię... i pewnego dnia, w chwili szaleństwa i zaślepienia dopuściłam się zbrodni i opuściłam moją matkę... Przez kilka pierwszych miesięcy byłam szczęśliwą, tak szczęśliwą, że zapomniałam o swej hańbie, nie myślałam nawet o mojej matce!... Ale kara zbliżała się... Gdy spostrzegłeś, że zostanę matką, przestałeś mię kochać i porzuciłeś mię... Oto powód twego postąpienia ze mną...

— Mylisz się — odrzekł Mercier zakłopotany — powód był inny...

— Ten jeden tylko!—odparła Magdalena.—Wskaż więc jaki... Opuściłeś mię zostawiając mi zaledwie kilka franków... Odtrącona, zrozpaczona, chciałam powrócić do mojej matki, paść przed nią na kolana i błagać o przebaczenie mej winy. Niestety, matka moja umarła z boleści, jaką jej sprawiłam... Mogłam uklęknąć tylko na jej mogile i wylewać łzy żalu! Bóg mi świadkiem, że chciałam umrzeć, ale musiałam żyć dla dziecięcia... Zaczęłam szukać pracy... i znalazłam... Na kredyt kupiłam maszynę do szycia i wzięłam się do roboty z odwagą... z zaciętością... Ale zanadto liczyłam na moje siły... Mogłam zarobić dziennie zaledwie na pół funta chleba... a tu trzeba było opłacić komorne i spłacać maszynę... Nie wydołałam... i dzisiaj, gdy wkrótce mam wydać na świat dziecię nasze,

wyrzucają mnie z mieszkania... Za kilka dni nie będę miała gdzie złożyć głowy, chyba na piaszczystem dnie Sekwany... Ale ja nie chcę umierać... chcę żyć dla mojego dziecięcia...

Mercier odrzekł cynicznie:

— Przecież szpitali nie brak!... Jest przytułek dla położnic...

Tego było już za wiele.

Magdalena zerwała się, jakby ukąszona przez żmiję.

— Przytułek! — powtórzyła z gestem zgrozy.— Więc tylko tyle masz mi do powiedzenia! I to jest wszystko, co ci serce doradza! Okłamałeś mię, oszukałeś, zgubiłeś mię, kazałeś mi zabić matkę moją, bo ona zmarła przezemnie, i po tem wszystkiem mówisz mi:—„Idź do przytułku! dość dla ciebie szpitala!...“— Ach, nie znałam cię!... ufałam ci... a teraz widzę, żeś ty potworem!... Nie, nie chcę, nie pójdę do przytułku!...

Mercier dotychczas blady, po tych słowach Magdaleny zzieleniał ze wściekłości. Scena przeciągała się za długo, trzeba ją było skończyć. Ze zmarszczonemi brwiami, ze złością tryskającą z oczu, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, podstąpił ku młodej kobiecie.

— Czy skończyłaś już? — zapytał głosem syczącym.

Ale groźna postawa jego zamiast przerazić, pobudziła ją jeszcze więcej.

— Nie! — odrzekła, utkwiwszy wzrok w jego oczy.—Nie skończyłam jeszcze!

— Czegoż więc chcesz?

— Tego, co mi się należy! Coś mi przyrzekł! Nazwiska dla mego dziecięcia!

Juljusz Mercier przypomniał sobie w tej chwili opowiadanie swego ojca. Niespodziewana energja Magdaleny zmieszała go i zaniepokoiła. Widział w niej ciemny punkt swej przyszłości. Domyślając się, że instynkt macierzyński może posunąć ją do ostateczności i uczynić rzeczywiście niebezpieczną, w jednej chwili ułożył twarz i biorąc rozpalone ręce młodej kobiety, rzekł głosem łagodnym:

— Uspokój się... nie rozdrażniaj się... Szkodzisz sobie i swemu dziecięciu...

— Jest ono i twojem...

— Wiem o tem i nie wątpiłem nigdy...

— I jakiem prawem mogłeś wątpić? Wiesz przecież, że kochałam tylko ciebie... mówiłeś mi to tyle razy i nawet pisałeś mi w początkach naszego związku...

Juljusz Mercier zadrżał. Teraz dopiero przypomniał sobie, że popełnił to szaleństwo nie do przebaczenia! Młoda kobieta z pewnością ten list zachowała.

— Magdaleno — rzekł nikczemnik głosem pieszczotliwym — gdybym powiedział ci, że cię kocham jeszcze... że cię kocham jak dawniej... czy uwierzyłabyś mi?

Utkwił wzrok w jej oczy, a ona pod siłą tego magnetycznego spojrzenia zaczęła słabnąć.

— Czy uwierzyłabyś mi?—powtórzył.

— Uwierzyłabym ci, gdybyś dał mi dowód—odrzekła zmieszana.

— Dam ci dowód... Siadaj i pomówmy spokojnie.

Usiadł obok niej i zatrzymał w swej dłoni jej rękę. Pod wpływem ciepła tego uścisku ogarnęło ją jakieś nieokreślone ukojenie.

— To prawda, droga Magdaleno, zawiniłem względem ciebie, bardzo zawiniłem — mówił głosem łagodnym i pieszczotliwym. — Byłem okrutnym... powinienem był cię uprzedzić, ale lękałem się sprawić ci boleść.

— Tak, byłeś okrutnym—szepnęła—wiele sprawiłeś mi cierpienia...

— Ale mylisz się sądząc, że pozostawałem w Paryżu. Jeździłem w moje rodzinne strony, dokąd pośpiesznie wezwała mnie moja matka... Chciała, bym się ożenił...

— Byś się ożenił? — powtórzyła Magdalena blednąc.

— Projekt ten nie przyszedł do skutku... nie podobał mi się... zresztą ja postanowiłem nie żenić się nigdy...

— A jednak ty mi przysięgłeś, że zostanę twą żoną—zawołała Magdalena, cofając swą rękę.

— Przyrzekając ci to, kłamałem i właśnie kłamstwo to było przyczyną nagłego zerwania z tobą...

— Dla czego?

— Lękałem się, abyś nie żądała spełnienia obietnicy, której wykonać nie mogłem.

— Cóż ci stało na przeszkodzie?

— Moje przekonania o małżeństwie... Sądzę, że dwie istoty stworzone dla siebie, związane miłością i szacunkiem, mogą żyć z sobą tak dobrze, jak gdyby je łączył akt ślubu. Czyż nie byliśmy szczęśliwymi?

— Zapewne, byliśmy szczęśliwymi, ale szczęściem występnem, zmieszanem, dla mnie przynajmniej, z cierpieniem i wyrzutami sumienia!...

— Dzieciństwo, moja droga!... Śmieszne uprzedzenia! Małżeństwo jest instytucją przestarzałą i wychodzącą już z mody!...

— Ale jest konieczną chociaż przez wzgląd na dzieci! Czyż prawo nie powinno opiekować się niemi?

— Prawo opiekuje się jednakowo i dziećmi nieprawemi, skoro są uznane. Dziecko uznane ma prawo żądać od swego ojca pomocy i opieki a nawet części ojcowskiego majątku.

— Niech i tak będzie!—odrzekła Magdalena po kilku chwilach milczenia—ale w oczach świata dziecko takie jest zawsze nieprawem...

— W epoce, w której żyjemy, ludzi obchodzi czem jesteśmy, cośmy warci, ale nie pochodzenie nasze... Dziecko nieprawe używa tych samych praw cywilnych i politycznych co i prawe... jest wyborcą i wybieranym... może zostać deputowanym, senatorem, ministrem... może ubiegać się o wszelkie stanowiska i godności... Otóż dziecię nasze będzie uznane i możemy jeszcze być kiedyś z niego dumnymi.

— Gdybyś mi to był powiedział przed pół rokiem, zamiast opuszczać mnie, nie wycierpiałabym tyle... nie wylałabym tyle łez...

— Nie będziesz już cierpiała więcej... nie będziesz płakała...

— Czy mówisz prawdę?—zapytała z wybuchem radości.

— Przysięgam ci!

— Więc dasz nazwisko naszemu dziecięciu?

— Nie powątpiewaj o tem!

— Dla czegoż przed chwilą przyjąłeś mnie tak okropnie?

— Bałem się wyrzutów twoich... Lękałem się zwłaszcza walki z twojemi przekonaniami o małżeństwie, gdyż na tym punkcie nie ustąpię nigdy.

— Niech będzie jak chcesz, byś tylko uznał nasze dziecię... Nie mogłabym rozstać się z niem, chciałabym je wychować, widzieć je uśmiechającem

się do mnie... chciałabym nauczyć je wymawiać imię jego ojca... Szczęście to nie będzie zupełnem, gdyż brakować mi będzie szacunku dla samej siebie, ale będzie to zawsze odrobina szczęścia...—i biedna rozpłakała się z rozczulenia.

Biedna, łatwowierna kobieta! jakże daleką była od zrozumienia strasznych zamiarów hrabiego Juljusza Armanda de Lucenay!

— Zapominam o wszystkiem—dodała—o mych łzach i cierpieniach, o mojej rozpaczy i nawet pragnieniu śmierci, gdyż niedawno, przechodząc przez most, niewiele brakowało, bym nie rzuciła się w wodę, dla skrócenia mych cierpień...

— Nie myślmy o tem, wszystko już skończone... Zapewne winna jesteś komorne?...

— Winna jestem za dwa kwartały siedmdziesiąt franków i za trzy dni wyrzucają mię... Już ktoś inny najął mój pokój...

— Wszystko ci jedno... najmiesz gdzieindziej. Jutro zajmę się wyszukaniem go...

— Dla czegoż nie mogę mieszkać z tobą? — zapytała nieśmiało.

— Jeszczeby czego brakowało! — pomyślał Juljusz, głośno zaś dodał:

— W tej chwili jest to rzecz niemożliwa...

— Dla czego?

— Dla tego, że pojutrze przybywa moja matka i przez cały miesiąc będzie mieszkała w tej samej kamienicy.

— Więc nie będę cię widziała przez cały miesiąc?—zapytała Magdalena z przestrachem.

— Będziesz mię widywała, ale mniej często niż pragnąłbym... wynagrodzimy to sobie później.

— Ale pamiętaj, że za kilka dni zostanę matką...

— Wtedy będę przy tobie... ale resztę czasu muszę poświęcić mej matce... przedewszystkiem obowiązek synowski! Każdego rana jednak, gdy nie będę mógł przyjść, zasięgnę o tobie wiadomości.

— Więc to prawie separacja — szepnęła młoda kobieta.—Gdybym cię miała utracić znowu...

— Bądź spokojną... Odszukałaś mnie i nie opuszczę cię więcej, a po odjeździe mojej matki oddam się cały tobie...

— Czy mówisz prawdę?

— Nigdy nie mówiłem szczerzej, droga moja... Gdzie mieszkasz?

— Przy ulicy Rodier nr 4-ty. Czy przyjdziesz jutro do mnie?

— Nie będę miał czasu, gdyż muszę znaleść dla ciebie pokój, ale chciałbym zobaczyć się z tobą, by wręczyć ci pieniądze na opłacenie komornego i na koszta przeprowadzenia się.

— Więc jakże zobaczysz się ze mną, skoro nie możesz przyjść?

— Mam być jutro w dzielnicy Montmartre, a że to niedaleko od ulicy Rodier, więc może znajdę parę chwil wolnych. Bądź o dziewiątej wieczorem na placu św. Piotra.

— Dobrze, będę.

— Teraz dam ci trochę pieniędzy, byś mogła kupić sobie co z ubrania... Biedna moja Magdaleno, sprawiłem ci tyle cierpienia!

— Zapomniałam już o wszystkiem!... Odnajduję cię i znowu takim samym dobrym.

Juljusz wyjął z szufladki pieniądze i wręczając je Magdalenie, rzekł:

— Masz, moja droga, ośmdziesiąt franków.

Rumieniec oblał twarz Magdaleny.

— Czy to nie za wiele?—szepnęła—skoro masz mi dać jeszcze jutro?

— Jutro dam ci także, nie tylko dla ciebie, lecz i na dziecko... Ale teraz, droga moja, muszę iść... Miałem się widzieć z jednym z moich przyjaciół i boję się, czym się już nawet nie spóźnił... Pamiętaj więc, jutro o dziewiątej wieczorem zobaczymy się na placu św. Piotra.

— Boże drogi! czyż mogę zapomnieć?

Juljusz objął ramionami jej szyję i złożył na czole pocałunek judaszowski.

— Jakże ja ciebie kocham! drogi mój! — zawołała zachwycona.

— I ja ciebie... ale idź już, idź...

Magdalena skierowała się ku drzwiom.

— Ale, ale, nie pisz do mnie—dodał.

— Dla czego?

— List twój może wpaść w ręce mojej matki, a nie chciałbym tłómaczyć się przed nią...

— Bądź spokojnym... nie będę pisała... Więc do jutra...

— Do jutra...

Zaledwie młoda kobieta wyszła, twarz Juljusza zmieniła się w jednej chwili. Podniósł zaciśniętą pięść ku drzwiom, za któremi znikła i z wściekłością zawołał:

— Przeklęta djablica!... Odszukała mnie... Napróżno opuściłbym to mieszkanie, ona mnie znowu wynajdzie... a wtedy nie będzie sposobu ułagodzić jej... Jakież ja głupstwo zrobiłem pisząc do niej i przyznając się w liście do ojcostwa! A nuż ona zechce skorzystać z tego i podać mnie jako ojca? Zostałbym skompromitowany, bo mogliby dowiedzieć się, że nie jestem Juljuszem Mercier... Muszę dostac

ten list... i będę go miał!... Jestem młodym, przyszłość przedemną otwarta... Bogate ożenienie się może mnie znowu wprowadzić do mojej sfery, a gdyby narzeczona, mająca za mój tytuł hrabiowski wnieść mi miljony, dowiedziała się, wtedy wszystko przepadło!... Ach, Magdaleno, odnajdując mnie, zaszkodziłaś samej sobie... pożałujesz ty tego!

Utkwił oczy w posadzkę i przez kilka chwil stał zamyślony. Nagle, widocznie jakaś myśl mu przyszła, gdyż podniósł głowę i rzekł:

— Po co ja sobie krew psuję? Czyż to takie jeszcze rzeczy robią się w życiu! Dla czegoż ja mam się wahać?... Potrzeba mi tylko pieniędzy, lecz będę je miał...

Podszedł do biurka i wyjął z szuflady bilet pięćset frankowy.

— Trzecia część całego mego majątku — rzekł z goryczą. — Zaryzykuję i muszę ją dziesięćkroć powiększyć! Tak mi wczoraj nie szło, że dziś powinien mi się los uśmiechnąć...

Nałożył na siebie palto, wziął kapelusz i wyszedł. Zawołał fiakra i kazał się zawieść na ulicę Saint-Louis-en-l'ile, do sekretnego domu gry.

X.

Gdy Juljusz wszedł do sali, gra była już w całym rozwoju.

W liczbie graczów znajdowali się i trzej nasi znajomi z restauracji. Skoro tylko jeden z przegranych powstał, Juljusz zajął jego miejsce. Nie będziemy trudzić czytelnika opowiadaniem wahania się

i zmian losu; dość gdy powiemy, że wiara Merciera w szczęśliwą gwiazdę na ten raz nie zawiodła go i że przeczucie jego sprawdziło się.

O godzinie czwartej rano miał już wygranych cztery tysiące kilkaset franków i bojąc się je utracić, wycofał się z gry. Powróciwszy do domu, odłożył jeden bilet tysiąc frankowy na bok i rzekł:

— To część Magdaleny... wszystko się zrobi... musi się zrobić!...

Następnie położył się i zasnął, marząc o strasznym dramacie, którego scenarjusz obmyślił przed kilkoma godzinami.

XI

Magdalena wyszła od Juljusza z sercem przepełnionem radością i nadzieją. Odnalazła tego, którego tak kochała, słyszała głos jego i przyznanie się do winy. Następnego dnia miała otrzymać pieniądze na bieliznę dla dziecka, a teraz już posiadała cztery luidory złotem! złotem, którego od tak dawna nie widziała. To niespodziewane powodzenie i szczęście upoiło ją.

Ponieważ była głodną, tego dnia bowiem zjadła zaledwie kawałek chleba na placu, wstąpiła więc do napotkanej po drodze skromnej restauracji, posiliła się cokolwiek i następnie wsiadła do tramwaju. W pół godziny była już na ulicy Rodier.

Odźwierna już spała.

Magdalena chciała jej powiedzieć, że zapłaci zaległe komorne. Czuła się dumną, że będzie mogła opuścić ten dom i nie patrzeć na ironiczne uśmiechy.

Weszła do swojej izdebki na poddaszu, uklękła i zaczęła się modlić, dziękując Bogu za zesłaną pomoc i prosząc, by miłość jej uczynił prawną i natchnął Juljusza postanowieniem udzielenia jej swego nazwiska.

W kilka minut później spała już snem spokojnym, snem, jakiego nie znała już od wielu tygodni.

Juljusz Mercier, a raczej hrabia Juljusz Armand de Lucenay, powróciwszy do siebie o czwartej rano, położył się natychmiast spać i wstał nazajutrz o godzinie siódmej.

Najmował on mały apartament i płacił miesięcznie, przeprowadzenie się więc było dla niego niczem, pozostawało tylko ułożyć w walizkę ubranie, bieliznę i kilka drobiazgów toaletowych. W projekcie, jaki obmyślił, najgłówniejszą rzeczą była zmiana mieszkania. Ułożył rzeczy w walizkę, włożył pieniądze do kieszeni i zeszedł na dół do odźwiernej.

— Proszę klucz... Może pani wywiesić ogłoszenie, że mieszkanie moje jest do najęcia, gdyż jutro przeprowadzam się...

— Tak?—zawołała odźwierna zdziwiona — i dla czegoż to?

— W zarządzie pocztowym, gdzie pracuję, awansowałem na wyższe stanowisko i nie będę miał już pracy nocnej. Wysyłają mię na prowincję...

— Tem lepiej dla pana, lecz tem gorzej dla nas... Tracę w panu perłę lokatorów...

Mercier podawał się za urzędnika pocztowego w celu usprawiedliwienia swych wycieczek nocnych.

Wyszedł, wziął fiakra i kazał się zawieść na plac de la Chapelle.

— Chciałbym wyszukać dla Magdaleny mieszkanie w dzielnicy pustej, gdzie mało domów i są oddalone od siebie—myślał.—Tu powinienem znaleść dom taki.

Gdy przybył na miejsce, odprawił woźnicę i zaczął przebiegać ulice, poszukując lokalu do najęcia. Wkrótce na ulicy Ernestyny, na drzwiach jednego z domów spostrzegł napis: *Pokój z gabinetem do najęcia*, na murze zaś napis drugi: *Odźwierna na pierwszem piętrze.*

Mercier przebył schody i zapukał do loży. Dziewięcioletnia dziewczynka pokazała się w drzwiach.

— Jest tu podobno pokój z gabinetem do najęcia?

— Jest.

— Na którem piętrze?

— Na trzeciem.

— Czy można obejrzeć?

— Mamy niema w domu, wyszła do prania i wróci dopiero w południe.

— A czy nie mogłabyś pokazać mi sama?

— I owszem... niech pan idzie naprzód...

Dziewczynka wzięła klucz i weszła z Mercierem na trzecie piętro.

— A teraz niech pan idzie korytarzem aż do końca... Ciemno tu trochę, ale spokojnie... Całe to piętro jest niezamieszkane...

— Tak? Dla czego?

— Bo to jakiś kupiec najął wszystkie pokoje na skład mebli i zostawił tylko pokój z gabinetem.

Dziewczynka otworzyła drzwi i wprowadziła Juljusza do pokoju.

Pokój był obszerny i posiadał jedno wielkie okno, gabinet służył za kuchnię.

Mercier podszedł do okna.

— A tam co takiego?—zapytał, wyjrzawszy na zewnątrz.—Więc ten dom stoi na cmentarzu?

— Tak, proszę pana. Jestto cmentarz Marcadet, ale na nim już teraz nie chowają.

Juljusz odszedł od okna z namarszczonemi brwiami.

— Jaka cena tego lokalu?

— Sto dwadzieścia pięć franków. Czy pan obejrzał dostatecznie?

— Dostatecznie. Zejdźmy.

Gdy zeszli na dół, dziewczynka zapytała:

— Czy najmie pan?

— Nie, za drogo...—odrzekł i wyszedł.

Gdy znalazł się na ulicy, wyjął z kieszeni notatnik, zapisał nazwę ulicy i numer domu, następnie udał się na ulicę Marcadet, zwiedził ją całą krokiem wolnym, zatrzymując się co chwila i badając okolicę.

— Dobrze! — rzekł do siebie, przyglądając się tylnej ścianie budynku, którego wszystkie okna, z wyjątkiem jednego na trzeciem piętrze były zamknięte.— To ten sam dom, w którym byłem przed chwilą.. wejście do cmentarza powinno być blisko...

Rzeczywiście o kilka kroków dalej wznosił się mur z drzwiami o dwóch połowach, zepsutemi przez czas. Przez liczne szpary można było obrzucić okiem obszar opuszczonego cmentarza. Był to kawał gruntu pokryty gruzami i rosnącem swobodnie wysokiem zielskiem. Stare sztachety i krzyże nadgniłe nachylały się ku ziemi, pomniki pokryte były gęstą siecią pnących się roślin. Na lewo jakiś wielki, monumentalny grobowiec stał jeszcze cały, na prawo sterczał mały budydynek bez dachu, zrujnowany, chylący się ku ziemi, zasłonięty w połowie zielskiem, widocznie służył niegdyś za mieszkanie dozorcy. Na jednym z rogów tego budynku przybite było ogłoszenie: *Pragnący zwiedzić cmentarz znajdą klucz u p. Frébault, dozorcy ulica Luc-Lambin nr 4-ty.*

Mercier z uwagą przeczytał powyższe wyrazy.

— Ogląda pan stary cmentarz — odezwał się nagle jakiś głos koło niego.

Juljusz zadrżał, odwrócił głowę i spostrzegł starca z białemi włosami, opierającego się na lasce.

— Zamknięty on już oddawna — ciągnął dalej starzec. — Podczas smutnej pamięci komuny pogrzebano tu kilka osób i kilku zabitych z baterji Montmartre... Pochowano tu także i mojego trzydziestoletniego syna, który wyszedłszy od piekarza, dokąd chodził po chleb dla żony i dzieci, ukrytych od tygodnia w piwnicy, został zabity... Mogiła jego znajduje się tam, w rogu na prawo, za temi krzakami... ale nie mogę nawet tam wejść, gdyż to zabronione. Zabronione! Ja i moja żona musimy zadawalniać się przyglądaniem się z okna domu, dotykającego muru cmentarnego i dla tego tylko tam zamieszkaliśmy.

I mówiąc to głosem smutnym, starzec ocierał łzy płynące z oczu

— Można jednak wejść na cmentarz — odrzekł Mercier—potrzeba tylko otrzymać klucz od dozorcy, którego adres wskazany jest na tem ogłoszeniu, co widnieje na murze.

— Tak, można — rzekł starzec — ale niewolno niczego dotykać się, niewolno nawet złożyć kwiatów na mogile...

Mercier kiwnął głową starcowi i odszedł, kierując się w stronę ulicy Luc-Lambin, na której znalazł się za kilka minut. Gdy doszedł do domu opatrzonego numerem 4-ym, którego odźwiernym był ów Frébault, dozorca cmentarza Marcadet, zadrżał z radości, spostrzegł bowiem kartę z napisem: *Pokój i gabinet do najęcia.*

— Masz pani pokój z gabinetem do najęcia? — zapytał odźwiernej.

— Mam.

— Chciałbym obejrzeć...

Odźwierna zdjęła z tablicy klucz i skierowała się ku drzwiom loży.

— Mama się omyliła—rzekła córka p. Frébault, piętnastoletnia dziewczyna—to klucz od cmentarza...

Juljusz usłyszawszy te słowa, utkwił wzrok w klucz trzymany przez odźwierną.

— A rzeczywiście—odrzekła ta ostatnia—wczoraj ktoś go brał i umieścił nie na właściwem miejscu—i zawiesiła go obok tablicy, blisko kominka.

Juljusz z uwagą śledził każdy jej ruch.

Odźwierna wzięła klucz inny i wprowadziła Juljusza do umeblowanego pokoju na drugiem piętrze.

— Jaka cena tego mieszkania?

— Pięćdziesiąt franków bez usługi, którą ja spełniam... To warunek konieczny. Płaci się z góry najmniej za miesiąc.

— Dobrze, najmuję, ale uprzedzam, że ponieważ jestem korektorem w drukarni, powracam więc zwykle w nocy bardzo późno.

— To dla mnie rzecz obojętna.

— Jestem kawalerem i nie przyjmuję nikogo.

— Może pan przyjmować kogo pan chce.

— Oto należność za miesiąc.

— Na dole dam panu kwit. Kiedy pan się wprowadzą?

— Jutro rano.

— Pokój będzie gotów.

— Pańskie nazwisko?

— Nazywam się Karol Brisson.

W pięć minut później hr. Lucenay opuścił lożę odźwiernej, a nie mając co robić w oczekiwaniu godziny naznaczonej Magdalenie, zwrócił się ku Saint-Ouen, gdzie postanowił zjeść obiad. Przebył bramę fortu i pogrążony w myślach, wszedł na ścieżkę, przecinającą kolej żelazną obwodową. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, gdy spostrzegł jakiegoś człowieka w bluzie robotniczej, który chwiejnym krokiem, widocznie pijany, szedł naprzeciw niemu.

Pijak chwilami zatrzymywał się, gestykulował, mówił do siebie głośno i następnie zataczając się, szedł znowu naprzód. P. de Lucenay doszedłszy do niego, chciał go minąć, gdy pijak zachwiał się i potrącił go. Juljusz odepchnął go.

— Oho.—zawołał pijak, wziąwszy się pod boki—cóż ty popychasz obywatela, czy nie możesz iść prosto? przecież droga dość szeroka... ja cię tu potrącę...

Juljusz zatrzymał się i patrzał nań śmiejąc się.

Pijak przypatrywał mu się parę chwil i nagle ze zdziwieniem zawołał:

— Ależ tak... nie mylę się... nie mylę...—i podstąpił ku Juljuszowi, który odepchnął go znowu.

— Idź w swoją drogę i zostaw mnie w spokoju —rzekł Mercier ostro.

— Jakto... pan hrabia mnie nie poznaje?—rzekł pijak uśmiechając się i zdejmując kapelusz z głowy.—A jednak ja się nie mylę... Wszak z panem hrabią de Lucenay mam zaszczyt mówić... Oho, jakżebym nie miał poznać...

— Mylisz się—odrzekł z gniewem Juljusz i postąpił, by minąć go. — Wcale nie jestem tym za kogo mnie bierzesz.

— Pan hrabia może ma jakie powody zachowania incognito — odrzekł pijak z uporem, zagradzając mu drogę—ale ja się nigdy nie mylę. Miałem zaszczyt

służyć za lokaja u pana hrabiego jeszcze za czasów świetnych, gdy pan hrabia sypał pieniędzmi jak plewami, bankietował nocami, trzymał dom otwarty i zadziwiał Paryż szykiem, końmi, kochankami... O, to było życie!

Juljusz widział, że był poznanym. Człowiek ten rzeczywiście służył dawniej u niego. Zrozumiał, że zaprzeczając, nie prędko uwolni się od niego. Jaki przechodzień mógł usłyszeć ich rozmowę, trzeba więc było skończyć ją jak najprędzej.

— Nie przypominam sobie ciebie, mój przyjacielu.

— To mnie nie dziwi... Ubranie zmienia człowieka, a pan hrabia zawsze mnie widywał ubranego porządnie, we fraku i białym krawacie. Jestem Dufour... Jan Dufour... wierny sługa pana hrabiego...

— Ach, to ty Janie... Zdaje mi się, że odprawiłem cię...

— Niestety, w skutek nieporozumienia...

— Okradłeś mnie...

— To właśnie tylko nieporozumienie!... To dobre!... Pan hrabia zapomniał portmonetki w kieszeni... ja czyszcząc ubranie, znalazłem ją i przez nieuwagę schowałem do kieszeni mojej... Zwykła pomyłka, nic więcej!...

— I wtedy poprosiłem cię, żebyś sobie odszedł...

— A tak — i ja zastosowałem się do życzenia pana hrabiego, choć z bólem w sercu i ze łzami w oczach... A tak byłem dumny z tej służby! Nie poznany przez tak dobrego pana, nie mogłem już myśleć o otrzymaniu służby w porządnym domu, powróciłem do zajęcia, jakiemu oddawałem się w młodości... i zostałem znowu malarzem dekoratorem.

— I podoba ci się to zajęcie?

— Jaki pan hrabia dobry, że tak się mną interesuje! Otóż strasznie mi się niepodobał... Myśli o białym krawacie i czarnym fraku nawiedzają mnie ciągle... Ach, gdyby pan hrabia przyjął mnie znowu... Pan hrabia może mi ufać... może włożyć do swej kieszeni cały bank francuski ze wszystkiemi filjami... nie omylę się już...

— Tem gorzej!—rzekł Juljusz.

— Jakto, tem gorzej?—zapytał Dufour.

— A tak... Gdybym potrzebował teraz służącego, nie dbałbym o to, by był uczciwym... Wymagałbym twego dawnego charakteru... niezależności w kwestjach moralnych...

Pijak nadął się dumnie i rzekł:

— Panie hrabio, prawdziwe charaktery są niezłomne; jakim byłem dawniej, takim jestem i dzisiaj.

— Więc byłbyś wiernym, gdyby ci dobrze zapłacono?

— Wiernym jak pies ślepy.

— I gotówbyś zrobić za pieniądze wszystko, czegoby od ciebie zażądano?

— Wszystko i więcej niż wszystko... Lata płyną... chciałbym sobie zapewnić jaką małą rentę, a malarstwo jej nie da...

— Bardzo słuszne pragnienie... tylko że od czasu jak opuściłeś u mnie służbę, nabyłeś jednej wady, która może stać się przeszkodą do spełnienia tych zamiarów.

— Wady, której pan hrabia dawniej we mnie nie spostrzegał?

— Tak i w obec której zawahałbym się, gdybym chciał ci powierzyć jakie zlecenie natury delikatnej.

— Pan hrabia chce zapewne powiedzieć, że lubię podchmielić sobie cokolwiek?

— Tak.

— Ośmielam się upewnić pana hrabiego, że dziś stało się to przypadkiem tylko. Byłem na pogrzebie jednego z moich kolegów. Po wyjściu z cmentarza poszliśmy na kawałek séra i butelczynę wina... A że dziś gorąco, więc to mi zaszkodziło... To tylko dowodzi, że nie przywykłem... Zresztą za godzinę będę już zdrowym zupełnie. Niema nic takiego, co mogłoby mi przeszkodzić przyjąć służbę u pana hrabiego, jeżeli tylko mogę się przydać...

— Potrzebuję kogoś tylko *tymczasowo.*

— *Tymczasowo* — powtórzył Dufour—a później?

XII.

Juljusz de Lucenay namyślał się przez parę chwil, poczem odrzekł:

— Później... być może... jeszcze nie wiem... to zależy...

— Niech więc pan hrabia weźmie mój adres — odrzekł pośpiesznie Dufour. — Dwa lata już upłynęło od czasu jak opuściłem służbę u pana hrabiego i przetarłem się już na świecie... Nauczyłem się wielu rzeczy, które będę mógł zużytkować na korzyść pana hrabiego...

— Zobaczymy...

Juljusz wyjął z kieszeni notatnik i zapytał:

— Gdzież więc mieszkasz?

— Ulica des Envierges, nr 20-ty.

— Gdzież to ta ulica?

— W Belleville.

Juljusz zapisując adres, myślał:

— Kto wie, czy w danej chwili nie będę potrzebował kogoś śmiałego, inteligentnego, bez skrupułów, niecofającego się przed niczem, byle tylko dobrze zarobił—głośno zaś rzekł:

— Dokądże idziesz teraz?

— Idę do Saint-Ouen do moich towarzyszów, pracujących przy pewnym domu wiejskim... Jakby mi się przydał taki dom na stare lata...

— No, to idź, ja zaś się wrócę. Przechadzałem się oczekując na pewną osobę, z którą miałem się zejść pod cmentarzem Saint-Ouen. Nie potrzebujesz mówić nikomu o naszem spotkaniu...

— Pan hrabia nigdy chyba nie miał powodu uskarżać się na moją niedyskrecję.

Juljusz wyjął z kieszeni luidora i dał Dufourowi.

— Więc to na zadatek? — zapytał ten ostatni śmiejąc się.

— Nie mówię ani tak, ani nie... to zależy od okoliczności... Do widzenia—i rzekłszy to, zwrócił się w stronę bulwaru Ornano.

— Dziękuję panu hrabiemu... Do widzenia z panem hrabią—wołał Dufour za odchodzącym.—Niech pan hrabia pamięta o mnie...

Młody człowiek oddalał się pośpiesznie.

— Śliczny pieniążek — mówił do siebie eks-lokaj. — Zawsze hojny, choć zdaje mi się, że klepie biedę chwilowo... Ale on jeszcze wypłynie... oho, znam ja go...

I rzekłszy to, Dufour krokiem już nieco pewniejszym skierował się ku Saint-Ouen.

Pójdziemy za nim, gdyż znajdziem tam pewną osobę, która odegra bardzo ważną rolę w naszem opowiadaniu.

Dufour przybywszy do wsi Saint-Ouen, podszedł do położonego wśród obszernego ogrodu domu, przyłożył do ust obie dłonie złożone w trąbkę i wydał sygnał. Jeszcze nie przebrzmiało echo, gdy z domu odpowiedziano podobnym okrzykiem, a z okien wychyliło się kilka głów malarzy z płaskiemi pędzlami w rękach.

— To Dufour—zawołał jeden z malarzy.—Cóż ty świętujesz dzisiaj?

— Powracam z pogrzebu i tylko na chwilę wstąpiłem tutaj, by was zaprosić na butelczynę...

— Doskonale... to idź do oberży, a my za pięć minut przyjdziemy.

Dufour odszedł.

Trzech malarzy pracowało w jednym z pokojów pierwszego piętra, dwóch nad malowaniem ornamentów snycerskich i trzeci, człowiek młody, dwudziestopięcioletni, zajęty freskami na suficie. Różnił się on powierzchownością i pewną dumą od swych towarzyszy i rzeczywiście posiadał talent malarski. Nazywał się Juljusz Claude.

— Powiedz mi, panie Constant, co to za jeden jest ten Dufour?—zapytał Claude jednego z dekoratorów.

— Jakto, nie znasz go pan?

— Widzę go pierwszy raz...

— Prawda... pracujesz pan tu od dzisiejszego rana. Jan Dufour, przezwany *Polnym makiem* z powodu cery twarzy, jest malarzem ściennym, który, by nic nie robić, rzucił na jakiś czas pracę i został lokajem. Obecnie wrócił znowu do malarstwa.

— Zdaje się, że trochę za wiele wypił...

— To u niego rzecz zwyczajna—odrzekł drugi dekorator, zwany Pistacją. Cztery razy na tydzień zwykle grzebie kogoś, to krewnego, to którego z przyjaciół. Mówiąc między nami, wielki to nicpoń...

— Więc dla czego przyjęliście jego zaproszenie?

— Bo takich rzeczy nie odrzuca się nigdy, a przytem jest on towarzyszem w jednym fachu.

Juljusz Claude, przezwany w świecie malarzy dekoratorów *Artystą*, z powodu rzeczywistego talentu, był bardzo przystojnym młodym człowiekiem o ciemnych włosach i eleganckich manjerach. W Montmartre, gdzie mieszkał, gdy przechodził ulicą, młode dziewczęta oglądały się za nim i niejedna mówiła sobie w duszy, iż chętnie przybrałaby nazwisko pani Juljuszowej Claude. Czuł on od dzieciństwa prawie pociąg do malarstwa i pragnął zostać artystą, wielkim artystą; marzył o zdobyciu na tej drodze majątku i zaszczytów, ale ponieważ miał umysł praktyczny i rozumiał dobrze, iż musi pracować wiele, że malarstwo nie przyniesie mu nic albo bardzo mało i że przedewszystkiem potrzeba żyć, poświęcił więc połowę swego czasu *sztuce stosowanej*, mogącej mu zapewnić chleb codzienny, a drugą połowę pracy poważnej, usilnej, mającej go doprowadzić do celu.

Przedsiębiorcy znali go jako doskonałego dekoratora i wiedzieli, że na sumienność jego zawsze liczyć mogą; szanowali go, płacili mu dobrze i dawali roboty więcej niż mógł wykonać.

Była to natura gorąca, wrażliwa i namiętna. Lubił kobiety, ale w kwestji małżeństwa wyznawał zasady wspólne Juljuszowi de Lucenay. Niezależność absolutna wydawała mu się najwyższem dobrem. Cenił tak dalece swobodę życia kawalerskiego, że nie chciał mieszkać razem nawet z swą matką, którą kochał bardzo.

Zajmował on przy ulicy des Abbesses na najwyższem piętrze domu mieszkanie, złożone z jednego pokoju i małej pracowni.

Zaledwie na wieży kościoła w Saint-Ouen wybiła godzina czwarta, gdy dekoratorzy opuścili robotę i udali się do wskazanej przez Dufoura oberży. Eks-lokaj siedział już przy stole zastawionym butelkami, szklankami, serem i chlebem.

— Aha, więc to dalszy ciąg pogrzebu — rzekł śmiejąc się dekorator, zwany Pistacją.

— Tak — odrzekł Dufour, witając się z przybyłymi.

— A więc krewny, którego pochowałeś, zostawił ci majątek, a notarjusz zaraz na miejscu uregulował sukcesję?

— Nie, moje dzieci, nic nie odziedziczyłem, ale wypadek zdarzył, że spotkałem mego protektora... dawnego mego pana, który ma i worek spory i rękę hojną... on to napełnił trochę moją kieszeń...

— Więc piję za jego zdrowie! — zawołał Pistacja.

Wszyscy trącili się szklankami z Dufourem, z wyjątkiem Juljusza, który jakkolwiek siedział przy tym samym stole, odsunął od siebie szklankę.

Eks-lokaj zauważył to odosobnienie.

— Cóż to, kolego, nie pijesz?—zapytał Dufour, zwracając się do młodego człowieka.—Może dla tego, że się nie znamy? Pij, poznamy się później, a tymczasem przyrzekam ci, jakem Jan Dufour, że nie będę upominał się o zapłatę...

XIII.

Claude zdziwiony wybrykiem Dufoura, spojrzał najprzód na niego, następnie na dekoratorów. Spojrzenie jego wyrażało:

— Czy chcecie, bym uspokoił to bydlę?

— *Artysta* pije bardzo mało—rzekł Constant—wino szkodzi mu...

— Więc to baba — odezwał się Dufour, wychylając szklankę. — Zresztą to jego rzecz... Ale niech przynajmniej zje kawałek sera...

— Jadam tylko wtedy gdym głodny — rzekł Juljusz—a teraz nie chce mi się jeść.

Eks-lokaj zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy i zawołał:

— Oho! fanaberje!... Nie lubię tych co pozują...

— A ja nie lubię zuchwalców—odrzekł rozdrażniony Juljusz.—Upiłeś się i wszczynasz kłótnie...

— Dobrze! i cóż dalej?

— Co dalej? Fizjonomja twoja nie podoba mi się... Nie chce mi się ani jeść, ani pić, a gdyby mi się chciało, kazałbym podać sobie butelkę i zapłaciłbym za nią, byle tylko nie trącać się z tobą szklanką... Czy powiedziałem wyraźnie?

— Dajcie pokój... nie kłóćcie się—odezwało się kilka głosów.

Dufour powstał, oparł się obu rękami o stół i zawołał:

— A ja chcę, żeby się stuknął ze mną! Musisz się stuknąć, młokosie, albo powiedz, dla czego nie chcesz?

Claude usłyszawszy te słowa, blady, zerwał się z krzesła. Constant i inni, znając go i wiedząc jak jest gwałtownym, podbiegli i zaczęli uspakajać.

— Dajcież pokój!... Czyż warto kłócić się o takie głupstwo! *Artysta* ma swoje przekonania, więc po co go zmuszać?

— Czas już iść do roboty... — rzekł Constant — wypróżnijmy szklanki i pomówmy o wycieczce, którą proponuję na przyszły poniedziałek.

— Wycieczka...—jąkał Dufour, padając ociężale na krzesło.—Dobry projekt.

— Przyjmiemy cię, jeżeli będziesz grzecznym... Kuzyn mój, dzierżawiący prześliczną oberżę przy moście Chenneviere, pisał do mnie, że ma doskonałe karpie i węgorze, oczekujące tylko by je włożono do rądla; króliki tłuste jak słonina i pyszne wino Maconnais! Otóż, jeżeli gustujecie w tem wszystkiem, to możemy sprobować w przyszły poniedziałek.

— Zgoda!—zawołali malarze.

— O godzinie ósmej rano zbierzemy się na dworcu kolejowym, wysiądziemy na stacji Plant de Champigny, a stamtąd wdłuż rzeki pójdziemy piechotą do mego kuzyna. Czy dobrze?

— Dobrze — odrzekli wszyscy z wyjątkiem Juljusza Claude.

— A pan nie odpowiadasz? — zapytał Constant.

— Nie odpowiadam, gdyż nie będę mógł wziąć udziału.

— Czy to może dla tego, że ja będę? — zapytał Dufour.

— Ach, dajżeż mi pan pokój—zawołał Juljusz z gniewem, uderzając pięścią w stół. — Wszystko mi się w panu niepodoba, i twarz i zachowanie się, ale ponieważ potrafiłbym nauczyć cię rozumu, więc odmawiam z innego powodu.

Zmuszono pijaka umilknąć, który jednak mruczał przez zęby.

— Więc chyba miałeś pan już przedtem naznaczoną jaką schadzkę? — zapytał jeden z dekoratorów.

— Nie, lecz matka moja chora i poniedziałki zwykle spędzam przy niej.

— Na jeden raz można zrobić wyjątek. Matka pańska nie jest chora niebezpiecznie... Nie zechcesz pan wyrządzić takiego afrontu towarzyszom, którzy pana szanują i kochają. Gdybyś pan to uczynił, uwierzylibyśmy, że pogardzasz nami.

— Ja miałbym wami pogardzać? I z jakiego powodu?

— Ponieważ posiadasz pan talent i jesteś rzeczywistym artystą, gdy my jesteśmy tylko dekoratorami... Czyż nie mamy racji?

— Nie macie najmniejszej, a dowodem tego...

— Co?

— Że pojadę z wami.

Dekoratorzy przyjęli obietnicę okrzykiem entuzjastycznym.

— Więc pan raczył się zgodzić — mruczał Dufour coraz więcej pijany — raczył przyłączyć się do naszego towarzystwa...

Na ten raz Claude nie zwracał uwagi na słowa pijaka.

Dekoratorzy wypróżnili szklanki i odeszli do roboty, w oberży pozostał tylko Dufour.

— Obraziłeś mnie, paniczu. Odpokutujesz ty za to—mruczał, grożąc pięścią za odchodzącym, poczem oparł głowę na dłoniach i zasnął.

*
* *

Hr. Juljusz Armand de Lucenay po rozstaniu się z Dufourem udał się na Montmartre, wszedł do kawiarni i oczekując na godzinę obiadową, przeglądał dzienniki.

O godzinie szóstej kazał podać sobie obiad.

W tej chwili Magdalena wchodziła do swego mieszkania.

Po dobrym śnie nocnym, czuła się silniejszą i spokojniejszą. Skoro tylko wstała, z tryumfującą twarzą udała się natychmiast do odźwiernej oświadczyć jej, że odszukała swego męża, żałującego za swój postępek, że powraca do niego i że przed wyprowadzeniem się przyszła zapłacić zaległe komorne. Odźwierna, zachwycona odzyskaniem dla właściciela domu należności, którą uważała już za straconą, szczerze winszowała polepszenia losu.

Młoda kobieta udała się następnie do jednego z tańszych magazynów, gdzie kupiła sobie nową sukienkę i okrycie i stosownie do przyrzeczenia, już przed godziną dziewiątą wieczorem, siedząc na ławce placu Saint-Pierre, oczekiwała na Juljusza. Mercier rzeczywiście przybył na czas oznaczony, podstąpił ku niej uśmiechnięty i podał rękę. Magdalena pochwyciła ją i uścisnęła serdecznie.

— Ach, gdybyś wiedział, jak niecierpliwie oczekiwałam na ciebie!

— Czyż przypuszczałaś, że nie przyjdę?

— Nie, nie wątpiłam... Bóg mi świadkiem... wierzę ci, tylko pragnęłam zobaczyć cię prędzej. Czy myślałeś o mnie?

— Przez cały czas, droga moja!—odrzekł śmiejąc się.—Szukałem dla ciebie mieszkania.

— I znalazłeś?

— Znalazłem, lecz nie nająłem.

— Dla czego?

— Gdyż nie zastałem odźwiernej, a tylko małą dziewczynkę. Zresztą, ponieważ nie chcę aby mówiono o nas, lepiej więc będzie, gdy porozumiesz się sama i to dzisiaj.

— Dzisiaj?

— Zaraz nawet. Zobaczysz się z odźwierną i powiesz jej, że pokój, który oglądałaś podczas jej nieobecności podoba ci się i że najmujesz go.

— A ta mała dziewczynka?

— Będzie już spała i nie zaprzeczy ci. Nie zwlekajmy i jedźmy.

— Czy to daleko?

— Ulica Ernestyny. Idąc powoli, moglibyśmy zajść w dziesięć minut, ale jeżeli jesteś strudzoną, to możemy wziąć fiakra.

— Nie opłaci się—tak blisko. Lepiej zaoszczędzić te pieniądze.

— Oprzyj się mocno na mem ramieniu.

XIV.

Młodzi ludzie opuścili plac i zwrócili się ku bulwarowi Ornano.

Juljusz z obawy, by kto ze znajomych nie spostrzegł go razem z Magdaleną, wybierał miejsca najmniej uczęszczane.

— Nawet nie spojrzałeś na mnie—rzekła młoda kobieta idąc—usłuchałam cię i kupiłam sobie suknię.

— Bardzo ci w niej do twarzy, ale to tylko suknia na teraz. Po odbyciu słabości musisz sprawić sobie wiele rzeczy. Oto masz — dodał — wyjmując z kieszeni portmonetkę.

— Jaka ona ciężka — rzekła Magdalena, ważąc ją w ręku.

— Jest w niej pięćdziesiąt luidorów.

— Pięćdziesiąt luidorów!—powtórzyła, jakby nie wierząc swoim uszom.—Tysiąc franków! Ależ to zadużo!

— Przydadzą ci się...

— Juljuszu drogi, jaki ty jesteś dobry, jak ja ci wdzięczna jestem za to co czynisz dla mnie—mówiła Magdalena przyciskając do siebie ramię jego.— Ach, jak ja ciebie kocham!

W tej chwili przechodzili wzdłuż muru dawnego cmentarza la Chapelle. Juljusz nie mógł zapanować nad sobą i zadrżał, zobaczywszy to miejsce spoczynku.

— Co ci jest? — zapytała Magdalena, uczuwszy drgnięcie jego ramienia.

— Nic — odrzekł. — Otóż jesteśmy już na ulicy Ernestyny. Idź do domu pod nrem 6-ym, a ja tu zatrzymam się.

Gdy młoda kobieta weszła do loży odźwiernej, zastała ją, jej męża, czytającego dziennik i małą dziewczynkę śpiącą już w łóżku.

— Podczas nieobecności pani—rzekła Magdalena—zwiedzałam mieszkanie na trzeciem piętrze.

— Tak, chodziłam do prania. Ale córka mówiła mi, że to był jakiś pan. Zresztą, to mi wszystko jedno. Czy pani przychodzi, by nająć je?

— Tak, jeżeli jest jeszcze wolne.

— Wolne. Czy pani ma swoje meble?

— Mam i warte więcej, niż wynosi komorne. Zresztą mogę zapłacić z góry za cały kwartał...

— Nie potrzeba, właściciel nie wymaga tego. Wiktorze — rzekła zwracając się do męża — zapisz nazwisko pani.

— Magdalena Gallier, szwaczka. Oto zadatek —rzekła wręczając pięć franków.

— Ale pani wkrótce będzie chorą, radzę więc nie zwlekać i przeprowadzić się prędko.

— Przeprowadzę się jutro—odrzekła Magdalena i pożegnawszy się, wróciła do czekającego na ulicy Juljusza.

— I cóż?

— Skończyłam i przenoszę się jutro.

— Doskonale! Odwiozę cię na ulicę Rodier. Otrzymałem dziś telegram, zapowiadający na jutro przyjazd mej matki. Będę więc bardzo zajęty i nie będę mógł prędzej widzieć się z tobą jak za dwa lub trzy dni; ale ponieważ pragnąłbym pierwszy uścisnąć nasze dziecię, skoro więc uczujesz zbliżającą się stanowczą chwilę, napisz mi parę wyrazów i wypraw przez posłańca pod adresem mego kuzyna Karola Brissona, korektora z drukarni, ulica Luc-Lambin nr 4-ty. Zresztą oto masz adres na bilecie. Codziennie będę wraz z matką jadał u niego obiady, będę więc miał od ciebie wiadomości; uprzedziłem odźwiernego, by mi wręczał listy osobiście. Matka moja mieszkała zawsze na prowincji, jest kobietą już w wieku podeszłym i nie pojmuje młodości, a ja nie chciałbym sprawić jej najmniejszego nawet zmartwienia. Gdy spotka mnie to nieszczęście, że ją utracę, wiele rzeczy zmieni się dla ciebie, pieszczotko moja... rozumiesz mnie...

— Ach, rozumiem. Kocham cię... Cieszy mnie to, że jesteś tak dobrym synem. Ale ciężko mi będzie nie widzieć cię tak długo.

— Jeżeli znajdę jaką godzinkę wolną, przybiegnę do ciebie; nie wychodź więc.

— Nie będę wychodziła... bądź pewnym, że zastaniesz mnie.

— Jeszcze jedna kwestja. Czy mam zamówić mamkę?

— Nie potrzeba... Sama będę karmiła nasze dziecię. Nie chcę pozbawiać się pierwszych jego spojrzeń i uśmiechów.

— Wydajesz mi się bardzo osłabioną.

— Będę silniejszą, zobaczysz... te zgryzoty tak mnie sił pozbawiły.

— Nie doświadczysz ich już nigdy... Więc zajmę się odszukaniem kobiety do pomocy podczas twej słabości.

— Niema nic pilnego, mamy jeszcze tydzień czasu.

— Dobrze, uczynię to wtedy, gdy mnie zawiadomisz. Tylko nie męcz się bardzo przy przeprowadzaniu się. Kup potrzebne ci meble, gdyż wielu rzeczy musi ci brakować, a jeżeli będziesz potrzebowała pieniędzy, zawi lom mię.

— Dobrze. Nie potrafiłabym wypowiedzieć c., jak czynisz mnie szczęśliwą... Stałeś się znowu takim, jakim byłeś w pierwszych dniach naszej znajomości. Zdaje mi się, że kocham cię jeszcze więcej niż wtedy...

Gdy przybyli na ulicę Rodier, Juljusz pożegnał Magdalenę, która rozstała się z nim ze łzami w oczach i z zupełną wiarą w jego miłość dla siebie. On wziął fiakra i kazał się zawieść do domu gry.

Gdy wszedł do sali i po niejakim czasie wziął bank, los, jak i nocy poprzedniej, był mu przyjaznym. O godzinie drugiej po północy miał już wygranych trzy tysiące franków.

— Panowie—rzekł Juljusz, powstając od stolika —nie rachujcie na odegraną i przyjmijcie życzenia spokojnej nocy. Jutro rano wyruszam w kilkomiesięczną podróż i wdzięczny wam jestem za opłacenie jej kosztów.

I po tem szyderskiem podziękowaniu opuścił salę pozostawiając swych partnerów.

Przybywszy do siebie, przespał się przez kilka godzin, następnie uregulował rachunek z odźwierną, kazał znieść walizę do dorożki i głośno, by odźwierna mogła usłyszeć, rzekł do woźnicy:

— Na dworzec lyoński.

Po przybyciu na miejsce oddał walizę posługaczowi, zjadł śniadanie w bufecie, następnie wziął fiakra innego, zabrał rzeczy i kazał się zawieść na ulicę Luc-Lambin pod nr 4-ty.

Od tej chwili Juljusz Mercier istniał już tylko dla Magdaleny, a hr. de Lucenay przeobraził się w Karola Brisson korektora drukarni.

— Moja droga pani Frébault — rzekł młody człowiek wchodząc do jej loży—przybywam już z rzeczami, które posłaniec zaraz tu zniesie. Dałem już adres kilku moim przyjaciołom, bardzo więc być może, że będą do mnie listy; gdyby przeniesiono jakie, to niech pani nie trudzi się aż do mego mieszkania, ale niech powie posłańcowi, że mnie w domu niema, a list weźmie do siebie i wręczy mi go później.

— Dobrze, niech pan rachuje na mnie.

Juljusz zapłacił woźnicy i posłańcowi i odszedł do swego pokoju, rzuciwszy wprzód okiem na wiszący na ścianie loży klucz od drzwi cmentarza Marcadet.

— Muszę siedzieć cały dzień—mówił do siebie—gdyż list od Magdaleny może nadejść lada chwila. Mogła się omylić co do terminu swej słabości, może on nastąpić wcześniej, a w takim razie, skoro mnie zawiadomi, nie mogę stracić ani minuty.

I Magdalena z swej strony nie tracąc czasu, tego samego wieczoru zainstalowała się przy ulicy Ernestyny, gdzie pełna ufności w miłość Juljusza, usnęła szczęśliwa.

XV

Nadszedł d. 15-ty lipca, ów poniedziałek naznaczony na zamiejską wycieczkę przez dekoratorów, których poznaliśmy w Saint-Ouen.

O godzinie ósmej rano wszyscy zebrani już byli na bulwarze Strasburskim i oczekiwali tylko na Juljusza Claude.

— Więc ten ptaszek znowu chce nam imponować! —zawołał Dufour gniewnie.—Pewnie jak i w Saint-Ouen nie chce mu się ani jeść, ani pić!

— A ty jeszcze nie możesz tego strawić!—zauważył Constant.

— Nigdy mu tego nie zapomnę!

— Nie masz racji. Claude chętnie piłby wtedy z tobą, ale nie mógł.

— Dla czego?

— On boi się pić!

— Co za blaga!

— Tak jest rzeczywiście. Boi się, bo zna siebie. Gdy zacznie pić, nie może się już wtedy powstrzymać. Z początku wesoły, później ponury i zły, dostaje nareszcie jakby obłędu, w którym, sam nie wiedząc co robi, gotów popełnić największą zbrodnię!... Dla tego to nie dowierza sobie i powstrzymuje się od picia.

— Dobrze o tem wiedzieć—mruknął przez zęby Dufour—posłuży mi to do zemsty.

— Cóż, czy nie ma racji?—zapytał Constant.

— Jeśli tak, to co innego. I ja na jego miejscu czyniłbym to samo, ale na szczęście, wino na mnie nie działa w ten sposób.

— Otóż i on idzie! — zawołał towarzysz zwany Pistacją.

— Jestem więc — rzekł młody człowiek zbliżywszy się, poczem przywitał się ze wszystkimi i podał rękę Dufourowi.

— Aha, więc nie imponujesz nam pan dzisiaj, jak niedawno w Saint-Ouen?

— Nie rozpoczynaj pan znowu zemną sprzeczki —odrzekł Juljusz.—Zebraliśmy się na wycieczkę, odbądźmy więc ją wesoło i bez kłótni.

W kilkanaście minut później całe towarzystwo siedziało już w wagonie kolei obwodowej.

— Czy pisałeś pan do swego kuzyna o naszym przyjeździe?—zapytał Claude.

— Pisałem i otrzymałem odpowiedź, że zastaniemy już stół nakryty.

O godzinie dziesiątej wysiedli w Plant de Champigny, gdzie dla pokrzepienia się wstąpili do oberży i wypili po parę kieliszków absyntu. Claude pił wraz ze wszystkimi, ale Dufour, nie spuszczający zeń oka, zauważył, że *artysta* korzystając z ogólnego rozgardjaszu, wylewał absynt nieznacznie i przytykał do ust kieliszek próżny.

Wyszedłszy z oberży udali się nad rzekę i jak uczniowie wypuszczeni na wolność, rozsypali się na murawie, śpiewając, skacząc i ścigając się. Tak przebyli kilometr drogi brzegiem Marny, wywołując w mieszkańcach domów rozrzuconych nad rzeką, najprzód zdziwienie, a następnie wesołość.

Kuzyn Constanta utrzymujący oberżę, wyszedł naprzeciw nim z otwartemi ramionami i oświadczył, iż wszystko gotowe i że mogą chociażby natychmiast siadać do stołu. Wiadomość tę wesołe towarzystwo przyjęło głośnemi okrzykami.

Stół zastawiony został w ogrodzie.

Nie będziemy opowiadali szczegółów uczty obficie oblewanej winem, nadmienimy tylko, że Claude, nie chcąc się wyróżniać, pił, ale bardzo mało i prawie tylko wodę zafarbowaną winem. Dufour, siedzący obok niego, obserwował go uważnie.

— Dobrze, mój chłopcze — mówił eks-lokaj do siebie—nie uda ci się to przez cały dzień... zobaczymy wieczorem...

O godzinie drugiej siedzieli jeszcze przy stole, pijąc kawę i wychylając liczne kieliszki koniaku i wiśniaku. Żaden z nich nie był jeszcze zupełnie pijanym, ale wszyscy zaczynali już mówić podniesionym głosem, krzyczeć i śpiewać różnemi tonami.

— No, co będziemy robili dalej?—zapytał jeden z uczestników.

-- Proponuję wycieczkę na łodziach aż do młyna—odrzekł Constant.

Propozycja przyjęta została jednozgodnie i w kilka minut całe towarzystwo na dwóch płaskich ciężkich łodziach, po pięć osób na każdej, puściło się z biegiem wód Marny, zataczając zygzaki, żaden z nich bowiem nie umiał wiosłować. Dopłynęli jednak do młyna bez wypadku.

Tu wysiedli na brzeg, a że zmęczeni byli wiosłowaniem, a dzień był gorący, dla pokrzepienia się więc wychylili znowu pół tuzina butelek wina białego. Claude pił tylko piwo.

O godzinie szóstej powrócili nareszcie do oberży przy moście Chennevières i zasiedli do stołu. Na ten

raz jednak apetyt, pomimo przejażdżki wodnej, nie służył im. Za to kieliszki znowu zaczęły krążyć często. Dufour zanim zajął miejsce obok Juljusza, cichaczem ukrył w swej kieszeni butelkę mocnej wódki nalanej na pestki wiśniowe.

Claude, dręczony pragnieniem, pił wiele podczas obiadu, ale tylko wodę z winem czerwonem, lecz i ten napój, jakkolwiek słaby, ożywił go bardzo.

— Doskonale!—mówił do siebie eks-lokaj—jest już nieźle, a gdy ja pomogę, pójdzie jeszcze lepiej.

W chwili gdy podano deser, składający się z sera i owoców, i gdy każdy sięgnął do kieszeni po fajkę lub papierosa, Dufour nalał do swej szklanki trochę wina czerwonego, dopełnił ją przygotowaną przedtem wódką, tak, że płyn stał się podobnym do wody zafarbowanej, jaką pił Claude i następnie skorzystawszy z chwili, w której ten ostatni zapalał papierosa, zręcznie zamienił się z nim na szklanki. Poczem, powstawszy z miną człowieka mającego wypowiedzieć mowę, rzekł:

— Panowie, wznoszę toast za zdrowie naszego towarzysza Constanta, który przez cały dzień dzisiejszy okazał się nieporównanym aranżerem zabawy i uczty!

— Zgoda! — zawołali wszyscy. — Zdrowie Constanta!

— Więc czekajcie na komendę. Podnieść szklanki!... zbliżyć do ust! Wychylić!

Po trzeciej komendzie każdy swą szklankę postawił próżną. Jeden Claude cisnął ją z taką siłą, że rozprysła się na kawałki, co wywołało śmiech powszechny.

Skutek oczekiwany przez Dufoura objawił się natychmiast. Mieszanina wódki z winem upoiła Juljusza, który, dotychczas milczący, stał się nagle

rozmownym, żartował i sypał dowcipami. Nikt nie domyślał się zdrady popełnionej przez Dufoura i nie mógł zrozumieć zmiany. Claude od tej chwili stracił wszelką miarę i wychylał kieliszek po kieliszku.

XVI.

Po kawie języki rozwiązały się jeszcze więcej, każdy śpiewał lub krzyczał, jeden tylko Constant zachował cokolwiek przytomności.

— Koledzy!—zawołał—jest już późno i jeżeli nie chcemy spóźnić się na pociąg, to powinniśmy uregulować rachunek i puścić się w drogę.

Wezwano gospodarza i zapłacono należność. Gdy powstali, każdy chwiał się na nogach. Ponieważ Claude był najwięcej pijany, wzięli go więc pod ręce, następnie całe towarzystwo oddaliło się drogą, ciągnącą się wzdłuż rzeki Marny.

Zaledwie uszli sto kroków, wstrzymali się nagle zdziwieni widokiem niespodziewanym. Huk puszczanych fajerwerków, zmieszany z radosnemi okrzykami, rozlegał się niedaleko od nich; jasne linje krzyżowały się w ciemnym lazurze atmosfery, snopy światła rozpryskujące się w górze, spadały różnokolorowym deszczem gwiazdzistym.

Były to, jak wiemy, fajerwerki puszczane w parku willi jaworowej w dniu imienin Henryki Dauray.

— W drogę, panowie — zawołał Constant — nie mamy czasu przypatrywać się. W drogę, bo się spóźnimy na pociąg.

Ruszono, lecz po kilku minutach wstrzymano się znowu. Claude po przejściu fazy wesołości popadł w stan zupełnego obezwładnienia i nie mógł już iść dalej.

— No więc cóż! to trzeba go zanieść — rzekł drwiąco Dufour.

— A będziesz go nieść?

— Ani myślę! Dość zemnie, że dźwigam samego siebie.

— A jednak niepodobna go tu zostawić!

— Dla czegoż nie? Noc tak ciepła i spokojna.. Złóżcie go na trawie pod tym murem, a będzie spał jak w puchu.

Zgodzono się, gdyż nie było innego wyboru· zresztą nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo Wzięli go na ręce, złożyli jak bezwładną masę na wskazanem miejscu i odeszli. Czas upływał. Gdy Juljusz nareszcie poruszył się i otworzył oczy, na wieży kościelnej w Chennevières wybiła godzina druga

Głowa ciążyła mu ołowiem, w skroniach czuł ból dojmujący. Ciemność większa w tem miejscu niż gdzieindziej, a jeszcze bardziej zamroczenie umysłu zasłaniały mu wzrok i nie dozwalały poznać miejsca.

— Trawa i rosa—szepnął, dotknąwszy się rękami ziemi.—Gdzież ja jestem?

Wytężył słuch.

Niskie w tej porze roku wody Marny płynęły między zielonemi brzegami spokojnie, wydając szmer cichy.

— Słyszę szmer wody... Więc jestem nad brzegiem rzeki, lecz niech mnie djabli wezmą, jeśli wiem jakiej...

Skupił myśli i zaczął zbierać niejasne wspomnienia. Wzrok jego, przywykły już do ciemności,

mógł rozróżnić grupy jaworów, których wierzchołki rysowały się na niebie i sylwetkę mostu de Chennevières.

— Cóż ja robiłem dzisiaj, a raczej wczoraj, gdyż napewno musi już być po północy?

Po kilku chwilach natężenia myśli, ciągnął dalej:

— Zaczynam sobie przypominać... dworzec kolei żelaznej... Constant, Pistacja... wstrętna twarz Dufoura... młyn... ale co dalej? nie pamiętam. Byłem pijany! Więc piłem? A jednak przysiągłem sobie nie pić nigdy! Jakim sposobem nie dotrzymałem słowa? Upiwszy się, nie mogłem z nimi powrócić do Paryża, położyli mnie więc na trawie i pozostawili...

Powstał, ale zaledwie mógł utrzymać się na nogach.

— Co za hańba!—szeptał, opierając się o mur.— Wstyd mi przed samym sobą! Nie wytrzeźwiałem jeszcze zupełnie... powinienbym jeszcze spać... w tym czasie niema żadnego pociągu... Nie dojdę do Paryża, a nie chcę spać gdzieś na polu, bo jaki stróż mógłby mnie wziąć za włóczęgę i zaaresztować... Co robić? Gdzie tu się położyć, by przespać się bezpiecznie?

Mówiąc to odszedł o kilka kroków dalej i zaczął rozglądać się wokoło. Wtem spostrzegł taras parku Dauray i wielką aleję jaworową.

— Mur ten nie jest bardzo wysoki... gdybym mógł się nań wdrapać, możebym znalazł w ogrodzie jakąś altanę lub budę służącą na skład narzędzi i dospał do rana, nie obawiając się reumatyzmu lub stróża polowego. Nie wiele się narażam, a zresztą kto nie ryzykuje nic nie ma!

Podszedł do muru, podskoczył, uchwycił rękami balustradę, siłą kolan i stóp wdrapał się na nią i znalazł się w parku.

— Oho, to jakaś wielka willa, powinienem tu znaleść miejsce na odpoczynek — myślał rozglądając się na około siebie.

Poszedł aleją prowadzącą do pałacu i kończącą się u skrzydła, w którem znajdował się apartament Henryki. Zbliżywszy się na kilkanaście kroków, spostrzegł żelazny balkon, wielkie, na pół otwarte drzwi oszklone i oświetlony pokój.

— Któś tam jest — szepnął — i chyba nie śpi, gdyż drzwi otwarte...

Chciał się oddalić, ale dziwna ciekawość, nieprzezwyciężona, będąca skutkiem stanu jego mózgu pociągała go ku oświetlonemu oknu.

— Kto tam może mieszkać? a gdybym zobaczył?...

Zbliżył się do muru i zaczął badać miejscowość. Nad głową miał balkon, przed sobą mur, pokryty staremi krzakami dzikiego wina, tworzącemi jakby drabinę.

Claude stanął na jednej z niższych gałęzi, rękami uchwycił się wyższej i zaczął piąć się do góry

Wiemy już, że piętro to nie było wysokie.

Po chwili głowa Juljusza znalazła się na równi z balkonem. Z początku dojrzał tylko pełen kwiatów pokój, oświetlony lampą, pokrytą abażurem koronkowym. Wspinał się wyżej, stanął na balkonie i nagle wstrzymał się osłupiały, spostrzegł bowiem młodą dziewczynę nadzwyczajnej piękności, leżącą na łóżku w ubraniu w stanie podobnym do zemdlenia.

Uczynił ruch, jak gdyby chciał się cofnąć, lecz czar widoku tego silniejszy był nad jego wolę.

Pozostał.

XVII.

Pierwsze promienie słońca oświeciły horyzont. a pod ich wpływem wesoła i pełna życia przyroda zaczynała się budzić z uśpienia.

Kwiaty roztwierały swe kielichy, owady brzęczały w trawie, na drzewach świergotało ptactwo.

Od strony pałacu w parku p. Dauray biegł szybkim krokiem młody człowiek, zeskoczył z tarasu na drogę ciągnącą się wzdłuż rzeki i pędem, jak szalony lub złodziej ścigany przez policję, pobiegł w kierunku mostu Champigny.

Człowiekiem tym o twarzy trupio bladej i błędnym wzroku, był Juljusz Claude. Biegnąc, mówił do siebie głośno, nie słysząc wcale własnych dźwięków.

— Jestem nikczemnym!... jestem ostatnim z nikczemników...

Zadyszany, z włosami rozwianemi i przylgniętemi do spoconego czoła, przybył do stacji kolejowej przed samem odejściem pociągu. Kupił bilet i ponury, z namarszczonemi brwiami, rzucił się w kąt wagonu, zamykając oczy, jak gdyby chciał usnąć. Przez cały czas przejazdu do Paryża nie uczynił najmniejszego ruchu.

Po wyjściu z pociągu wziął fiakra i kazał się zawieść na ulicę des Abbesses w dzielnicy Montmartre, gdzie, jak wiemy, znajdowało się jego mieszkanie. Jak był w ubraniu, rzucił się na łóżko i ukrył w poduszkę twarz, która teraz z bladej stała się purpurową. W paroksyzmie trawiącej go gorączki bełkotał wyrazy bez związku, powtarzając od czasu do czasu:

— Ach, jakiż ze mnie nikczemnik!... jakiż ja podły!.

Po godzinie takiego paroksyzmu ogarnęła go bezwładność, jakby stan !etargiczny, który trwał do południa.

Gdy odzyskał przytomność, był tak złamanym i zbitym, iż prawie nie miał w sobie cząstki, w którejby nie czuł bólu. Oparł głowę na dłoniach i długi czas tak siedział, patrząc w jeden punkt i nic nie widząc przed sobą. Spazmatyczne drgania poruszały jego piersiami, aż znowu nastąpił wybuch, z oczu popłynęły łzy i z piersi wydobyły się łkania.

— Co ja uczyniłem!—zawołał płacząc—ach, jakiż ja jestem nikczemny!

Zacisnął pięść na piersiach i odjął dłoń skrwawioną.

— Jestem gorszym od złodzieja, od zbójcy, gdyż korzystając z ciemności nocy, zakradłem się do domu i popełniłem najwstrętniejszą zbrodnię!

Wbił palce we włosy jakby je chciał wyrwać i mówił dalej:

— Dopuściłem się występku potwornego! Byłem pijanym... byłem nieprzytomnym... ale to mnie nie usprawiedliwia... jestem nikczemnym!... Uczyniłem ofiarę z tego pięknego i czystego dziecka! Ciężkie roboty byłyby dla mnie karą za łagodną. Zasłużyłem na szubienicę! Ach, gdybym nie miał matki, która umarłaby wraz z moją śmiercią, wymierzyłbym sam sobie sprawiedliwość i odebrałbym sobie życie! Jakiż ja jestem nikczemny!..

Po chwili milczenia uspokoił się, powstał z łóżka i sięgnąwszy ręką do kieszeni, wyjął z niej fotografję i przyglądał się jej długo.

— Piękna jak anioł—szeptał głosem rozrzewnionym—a musi mieć i duszę anielską... Ma na imię Henryka... To ona sama napisała te kilka wierszy... Jego mała przyjaciółka... tak, musi mieć nie więcej

jak lat szesnaście... a ja się ośmieliłem... Co za nikczemność!...

Nagle brwi jego ściągnęły się, a wzrok i tak już ponury, stał się prawie dzikim.

— Któż to jest ten doktór Jerzy Lamarre?— mówił głosem stłumionym.—Może jaki krewny... może stary przyjaciel rodziny... Ale gdyby on był człowiekiem młodym...

Urwał i wzruszył ramionami.

— Gdy był młodym? — powtórzył — więc cóż mi do tego? Czyż mogę być zazdrosnym? Czyż zobaczę ją kiedy? Czyż mogę pójść do jej ojca, zapewne miljonera i powiedzieć: „Kocham pańską córkę... Oddaj mi pan ją... Jestem biedakiem, w połowie artystą, w połowie wyrobnikiem, nie mam ani grosza, nie będę miał może nawet przyszłości... Oddaj mi pan ją, ponieważ po zbrodni, jakiej się dopuściłem, ona być może tylko moją!“—Zabiłby mnie, a ponieważ miałby za sobą wszelką słuszność, więc i sąd uniewinniłby go!... A z tem wszystkiem nie potrafię wyrzec się jej widoku. Byłem nikczemnym... więcej niż nikczemnym... a teraz kocham ją całą duszą!... Kocham ją!... i oto początek mojej kary!... Odszukać ją?—gdzie i jak? Było to w nocy... upojenie i sen zamroczyły mój umysł i pomieszały pamięć. Zaledwie przypominam sobie miejsce... Po spełnieniu zbrodni uciekłem pędzony strachem... Tak, to było w Chennevières, w środku parku, lecz w ciemności wszystkie parki podobne są do siebie, a czyż potrafię poznać dom? Gdybym choć wiedział ich nazwisko, mógłbym zasięgnąć wiadomości... Mówią, że silna wola łamie wszelkie przeszkody! Kto wie, czy z czasem dziecko to nie zgodziłoby się zostać żoną wielkiego artysty?... Lecz jak dowiedzieć się o nazwisku, jak odszukać ten dom?

Tak rozmawiając z sobą Claude, po kilka razy

zanurzał głowę w napełnioną zimną wodą miednicę, by zmniejszyć gorączkę i ochłodzić rozpalone skronie. Następnie ubrał się bardzo starannie, i gdy wyszedł na ulicę, pomimo bladości i zmiętych nieco w skutek wypadków nocy rysów twarzy, podobniejszy był do gentlemana artysty, aniżeli do towarzysza Constanta i Dufoura. Zjadłszy pośpiesznie w pierwszej napotkanej restauracji śniadanie, udał się do dworca kolei żelaznej, wziął bilet do Plant de Champigny, wysiadł na stacji i skierował się ku drodze, ciągnącej się wzdłuż rzeki Marny. Znalazłszy się na niej, starał się zebrać poplątane wspomnienia.

— Zdaje mi się—myślał—że musiałem być z drugiej strony rzeki... Tak, ten park, do którego się wdarłem, to chyba tamten...—i przeszedł przez most na stronę przeciwną.

Teraz po prawej stronie płynęła Marna, po lewej wznosiły się liczne wille wśród parków. Przyglądając się i pożerając wzrokiem każdy szczegół, wytężał pamięć, jak gdyby chciał ją zmusić do ożywienia się. Wiele willi miały, zarówno jak i willa p. Dauray, wznoszące się nad brzegiem rzeki tarasy, ocienione staremi drzewami. Okoliczność ta utrudniała mu odszukanie miejscowości.

— Nie przypominam sobie—szeptał zniechęcony—nie przypominam sobie... był jakiś mur, na który wdrapałem się, drzewa tak gęste, jak gdyby to był las, ale tutaj wszędzie są mury i wiele drzew.

Nagle zatrzymał się pod wpływem jakiejś myśli.

— Gdy przebudziłem się, leżałem na trawie pokrytej rosą i widziałem przed sobą grupę drzew... Rozróżniałem również most Chennevières... Więc to powinno być blisko mostu...

Poszedł dalej drogą, przypatrując się trawie, czy

nie spostrzeże jakiegoś śladu lub odcisku własnego ciała.

— Ach!—zawołał nagle i zatrzymał się, znalazł bowiem więcej, niż to czego szukał.

Wśród zmiętej trawy spostrzegł jakiś biały przedmiot. Była to chustka do nosa.

— Tak, niema wątpliwości, musi to być to samo miejsce... To moja chustka...

Podniósł głowę i przez jakiś czas badał taras willi należącej do p. Dauraya.

— Tak, to przez ten mur dostałem się do parku, by popełnić najnikczemniejszą zbrodnię!... Ach, po cóż przebudziłem się ze snu! Czemuż nie padłem odrazu trupem!

W tej chwili ogrodnik z grabiami w ręku ukazał się na tarasie, oparł się na balustradzie i zaczął uważnie przypatrywać się trawie pod murem.

— Wygląda, jakby szukał czegoś—myślał Claude.—A gdybym zawiązał z nim rozmowę? przecież nie ściągnę na siebie podejrzenia...

Po chwili namysłu zapytał głośno:

— Czy zgubiłeś pan co?

Ogrodnik usłyszawszy głos, odwrócił głowę w stronę Juljusza i odrzekł:

— Nie... nic nie zgubiłem... Przypatruję się tylko tym śladom na trawie, bo są podobne do śladów, jakie znalazłem na rabatach. Widocznie mieliśmy w nocy wizytę złodziejów, przychodzących czasami zaopatrywać się w kwiaty.

— Więc musieli zapewne wdrapać się przez ten mur?—zapytał Claude.

— A tak...

— Często kradną wam kwiaty?

— Kradziono nam je już kilka razy i zawsze

dobierano się przez ten mur... Zwracałem na to uwagę mojego pana, ale on nie dba...

— A właściciel mieszka teraz tutaj?

— On tu mieszka stale. Od czasu jak zwinął interesa bankowe, wyjeżdża do Paryża tylko na parę miesięcy zimowych.

— Więc były bankier—myślał Claude—musi mieć wielki majątek... a to zapewne jego córka...

Chcąc się napewno przekonać, zapytał wymieniając pierwsze lepsze nazwisko:

— Czy to nie jest czasem własność p. Pasquier?

— Nie, ta willa należy do p. Dauray.

— P. Dauray musi być bardzo bogaty?

— Ach, panie, on sam nawet nie wie, ile ma...

— A czy ma dzieci?

— Ma tylko jedyną córkę, pannę Henrykę, której imieniny obchodzono wczoraj. Jakaż to piękna i dobra panna! Bóg obdarzył ją zarówno pięknem sercem, jak i twarzą! Jest ona Opatrznością dla biednych, którzy ją ubóstwiają i nazywają *dobrym aniołem*. Ten, który ją zaślubi, posiądzie w niej skarb większy, niż miljony jej ojca.

Juljuszowi zimny pot wystąpił na czoło. Wszystko, co słyszał o Henryce, swej ofierze, przejmowało go jeszcze większym wstrętem do samego siebie; każdy wyraz, każda pochwała, wypowiadana tak szczerze i naiwnie, przeszywała mu serce, jakby ostrzem stali.

— Ach, to właśnie panienka idzie z panią — rzekł ogrodnik.—Do widzenia z panem!—i odszedł.

Claude nie odpowiedział nawet na pożegnanie i jak gdyby przykuty do miejsca, drżący, zmieszany, spoglądał na Henrykę, postępującą pod ramię z matką. Obie kobiety idące aleją zbliżały się ku miejscu, gdzie Claude, nieruchomy jak posąg, stał na

drodze. Gdy podeszły do balustrady, spostrzegły go, on zaś machinalnie, nie zdając sobie sprawy, sięgnął ręką do kapelusza i uchylił go. Matka i córka odkłoniły mu się i poszły dalej.

Artysta uczuł ściśnienie w gardle, odszedł na trawnik, padł i zaczął płakać...

XVIII.

Juljusz Claude, gdy zobaczył pannę Dauray, jeszcze jaśniej zrozumiał ogrom swej zbrodni i jeszcze większy wstręt uczuł do samego siebie.

Zgnębiony rozpaczą i wstydem, leżał tak całą godzinę na trawie. Gdy otrząsnął się nareszcie z tego stanu, powstał, ostatni raz rzucił wzrokiem na taras i ponury, przybity, jeszcze więcej niż rano, odszedł drogą, wiodącą do Paryża.

Henryka z matką przechadzały się dalej po parku.

— Jakże się czujesz? czy nie lepiej? — zapytała pani Dauray.

— Trochę lepiej, mateczko.

— Drżę cała na wspomnienie nieroztropności, jaką popełniłaś, moje drogie dziecko! Czy wiesz, że zasypiając wśród tych kwiatów, narażałaś życie.

— Zostawiłam drzwi otwarte i nie przypuszczałam, że może mi grozić niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż mogłaś nie obudzić się więcej! Na szczęście, że Anusia zaszła do ciebie dość wcześnie... Przyrzeknij mi, że nigdy, ale to nigdy nie popełnisz podobnej nieostrożności.

— Przyrzekam ci, mateczko, najchętniej! Nigdy już tego nie uczynię!

Jak dowiedzieliśmy się z powyższej rozmowy pokojowa, niespokojna o swoją młodą panią, wcześnie weszła do pokoju sypialnego. Zastała ją leżącą na łóżku, ubraną i bledszą od poduszki, na której spoczywała jej głowa. Przemówiła do niej, ale Henryka nie przebudziła się. Wtedy wzięła jej rękę i lekko ścisnęła, lecz mimo to Henryka nie dała znaku życia.

Pokojowa domyśliła się wtedy, że nastąpiło to czego się obawiała. Przestraszyła się, ale nie straciła przytomności. Przedewszystkiem więc wyniosła wszystkie kwiaty, następnie okna i drzwi otworzyła na rozcież i zimną wodą skropiła skronie Henryki.

Nic to jednak nie pomogło; Henryka nie uczyniła najmniejszego ruchu. Znajdowała się w stanie kataleptycznym, który mógł zakończyć się śmiercią.

Pokojowa, niezmiernie przywiązana do swojej pani, była dziewczyną inteligentną. Nie chcąc niepokoić państwa Dauray, pobiegła do aptekarza w Chennevières i opowiedziała mu co zaszło.

— Czy jesteś panna pewną, że drzwi przez całą noc były na pół otwarte?—zapytał.

— Jestem najzupełniej pewną.

— W takim razie to jedno tylko ocaliło pannę Dauray. W razie przeciwnym, nie żyłaby już. Czy ręka była miękka, niezesztywniała?

— Nie, proszę pana. Podniosłam ją łatwo... Możnaby przysiądz, że panna śpi, tylko niepodobna jej obudzić...

— Zaraz dam pannie środek, który pomoże na pewno.

Aptekarz przyrządził dwa płyny, jeden do zwilżenia skroni, warg i nozdrzy, drugi do zażycia wewnątrz, po przyjściu do przytomności.

Gdy Anusia powróciła do willi, znalazła swoją młodą panią w tym samym stanie. Zastosowała środek pierwszy, czekała kilka minut i ogarnęło ją przerażenie. Lekarstwo nie skutkowało, Henryka leżała bez czucia.

Nakoniec, po kilku chwilach, które Anusi wydały się całym wiekiem, Henryka poruszyła się i otworzyła oczy. Pokojowa aż krzyknęła z radości.

— Niech panienka prędzej wypije to... ale prędzej, prędzej!—wołała, podając jej łyżkę płynu.

Ale Henryka nie rozumiała jej. Wtedy Anusia podniosła jej głowę i wlała w usta lekarstwo. Wpływ jego okazał się natychmiast.

— Co się stało?...—zapytała Henryka.

— Ach, panienko! — zawołała pokojowa, szczęśliwa, usłyszawszy jej głos i widząc, że niebezpieczeństwo minęło — ależ panienka o mało co nie umarła!...

— Dlaczego?

— Ponieważ aromat tych przeklętych kwiatów, których panienka nie pozwoliła mi wynieść, omal że nie zadusił panienkę.

Henryka zaczęła zbierać wspomnienia.

— Tak— rzekła cichym głosem — przypominam sobie: siedziałam przy biurku i podpisywałam fotografje... uczułam jakiś ciężar w głowie i ból w skroniach... wyszłam więc, zdaje mi się, na balkon, by odetchnąć świeżem powietrzem, później chciałam się rozebrać, lecz zabrakło mi już sił... zachwiałam się i padłam na łóżko... Więcej nie pamiętam.

— Jakże panienka czuje się teraz?

— Czuję się bardzo osłabioną. Głowa mi ciąży i boli jak w nocy.

— I oczy ma panienka podsiniałe... Ach, te przeklęte kwiaty! Może panienka jeszcze zaśnie?

— Która godzina teraz?

— Ósma.

— Wszyscy późno poszli spać, pewno nikt jeszcze nie wstał?

— Nikt jeszcze; ja tylko obudziłam się, bo byłam niespokojną o panienkę.

— Nie, nie będę mogła już zasnąć — odrzekła Henryka—wolę wyjść do parku i odetchnąć świeżem powietrzem.

— A jednak parę godzin odpoczynku pomogłoby bardzo panience.

— Więcej mię orzeźwi chłód ranny... Czuję jeszcze brak powietrza... zdaje mi się, że się duszę...

— Jak panienka chce...

— Powiedz mi, Anusiu, więc byłam zemdloną?

— Panienka wyglądała jak nieżywa i ogromnego nabawiła mnie strachu! Ale na szczęście, nie straciłam głowy. Żeby nikt się nie dowiedział, cichaczem pobiegłam do aptekarza, a on przyrządził mi dwa lekarstwa, no, i chwała Bogu, pomogły.

— Więc wyniosłaś i wszystkie kwiaty...—rzekła Henryka rozglądając się po pokoju.

— Wszystkie... a jeśli panienka zechce kiedy zostawić kwiaty na noc w pokoju sypialnym, to wprost powiadam, że nie posłucham się...

— To się nie zdarzy już — odrzekła Henryka z uśmiechem.—Nie chcę jeszcze umierać. Ale powiedz mi, czy lampa paliła się jeszcze gdy weszłaś do pokoju?

— Nie.

— A jednak ja jej nie gasiłam...

Anusia zbliżyła się do lampy i przypatrzyła się jej.

— Nie, ona nie zagasła sama... panienka musiała ją przytłumić, tylko nie pamięta...

— Być może... a jednak zdaje mi się, że gdy traciłam przytomność, w pokoju było zupełnie jasno... Ale trzeba wyjść, przygotuj mi toaletę ranną.

Henryka powstała z łóżka, lecz z trudnością mogła utrzymać się na nogach. Doznawała wrażenia, jak gdyby posadzka chwiała się pod jej stopami i wszystkie przedmioty wirowały. Anusia podbiegła i podtrzymała ją.

— Niech panienka lepiej się położy...

— Nie, to nic... to chwilowy zawrót głowy...

— To niech panienka weźmie przynajmniej jeszcze jedną łyżkę lekarstwa.

— To mogę uczynić.

Wypiła i rzeczywiście uczuła się wzmocnioną, przynajmniej o tyle, że mogła się ubrać bez wielkiego zmęczenia.

Chciała .wyjść do parku, lecz wstrzymała się i rzekła:

— Trzeba pierwej schować fotografje...—i podszedłszy do biurka, zaczęła je zbierać i rachować.

— Brak jednej—zawołała zdziwiona. — Anusiu, czy nic nie ruszałaś na tym biurku?

— Nic, proszę panienki.

— Jesteś pewną?

— Najpewniejszą...

XIX.

— Dziwna rzecz... było ich dwanaście, a jest tylko jedenaście... Nadto podpisałam trzy, a teraz jest tylko dwie...

Panna Dauray przeliczyła powtórnie.

— Nie omyliłam się... jest tylko jedenaście!
Anusia przeszukała cały pokój, lecz napróżno.
Henryka zamyśliła się.
— Brakuje właśnie przeznaczonej dla doktora Lamarre—szepnęła.
— A to dziwne—rzekła pokojowa—ale czy panienka jest pewną?
— Napewno nie mylę się... podpisałam ją najprzód.
Anusia szukała dalej. Zbliżyła się do drzwi i spojrzała na balkon. Nagle zadrżała i krzyknęła ze zdziwienia.
— Co tam takiego?—zapytała Henryka.
— Możnaby przypuszczać, że tu ktoś był...
Henryka wzruszyła ramionami.
— Niech panienka mi wierzy... Są ślady ziemi na balkonie...
— Ależ chyba zwarjowałaś, moja Anusiu. Ta odrobina ziemi niczego nie dowodzi.
— Niezupełnie... Zdaje mi się...
— Czyż nie pamiętasz, że ja sama wczoraj wieczorem wychodziłam na balkon, a przedtem podczas puszczania fajerwerków chodziłam po rabatach i mogłam na trzewikach przynieść ziemię...
Anusia nie odpowiedziała, lecz nie była przekonaną. Przechyliwszy się za balkon, przyglądała się krzewom dzikiego wina.
— Teraz już nie przypuszczam, lecz jestem pewną—rzekła po chwili—ktoś tu wchodził...
— Co z tobą się dzieje?
— Niech panienka będzie łaskawa przekona[...] sama.
Henryka podeszła do pokojowej, która ws[...]jąc jej trawnik pod balkonem i pnące się ros[...] mówiła:

— Widzi panienka ziemię potratowaną i połamane gałęzie?

— Może to podeptano i połamano podczas puszczania fajerwerków—odrzekła panna Dauray—może ktoś chcąc lepiej widzieć, wdrapał się na balkon...

— Ale ponieważ popełnioną została kradzież.. Henryka weszła do pokoju i podstąpiła do stołu, na który w wigilję położyła różne kosztowności ofiarowane jej na wiązanie, jak zegarek, bransolety i inne przedmioty.

— Złodziej przedewszystkiem zabrałby te rzeczy, a tymczasem nie brakuje niczego. Przypuszczenie twoje jest więc nieprawdopodobne. Jednej tylko rzeczy nie mogę zrozumieć, to zniknięcia fotografji...

— To bagatela, podpisze panienka drugą... Jest ich dosyć!

Tymczasem w willi rozpoczął się już ruch. Henryka zeszła na dół do matki i opowiedziała jej, iż w nocy przez własną nierozwagę omal że nie została uduszoną aromatem kwiatów.

Pani Dauray blada z przerażenia, objęła ją rękami i uścisnąwszy serdecznie, rzekła:

— Dla czegoż po takiem osłabieniu wstałaś z łóżka? Jesteś blada i zmieniona....

— Czuję się już lepiej i zdaje mi się, że świeże powietrze i ruch wzmocni mię. Przejdę się po parku.

— Dobrze, będę ci towarzyszyła.

Anusia nie śmiała wyrazić swego zdania prze-
nego przekonaniu swej młodej pani, ale rozumo-
e jej nie przekonało ją wcale.

— Panienka napróżno mówi—myślała—lecz ja
ym sobie uciąć rękę, że ktoś wchodził a przy-
niej usiłował wejść... Gałęzie te nie połamałyby
same!

Ale ponieważ z pozostawionych na stole kosztowności nie brakowało niczego, zgadzała się więc na to, że to nie złodziej a ktoś inny wdzierał się na balkon. Myśl, że zuchwalcem tym mógł być ktoś zakochany, nawet nie przyszła jej do głowy i dla tego też wkrótce przestała o tem myśleć.

Henryka jakkolwiek nie chciała się przyznać matce, czuła się jednak bardzo osłabioną. Skróciła więc czas przechadzki tembardziej, że potrzebowała się przebrać, gdyż kilka osób, które nocowały w willi, miały odjechać do Paryża dopiero po śniadaniu.

O drugiej po południu państwo Dauray już pozostali sami.

Henryka wzmocniona cokolwiek po przejściu chwilowego osłabienia, udała się z matką do parku, skąd obie, doszedłszy do tarasu, zobaczyły stojącego na drodze nadbrzeżnej Juljusza Claude.

Czytelnicy byli świadkami tego spotkania, małoznacznego dla matki i córki, lecz doniosłego w swych skutkach dla młodego artysty.

Z kolei zajmijmy się nim teraz.

Po opuszczeniu Chennevières wsiadł on do pociągu i wrócił do Paryża. Blada twarz jego i zmienione rysy wyrażały głęboki smutek. Kilka godzin wystarczyło, by człowiek ten, jeszcze wczoraj tak swobodny, nie troszczący się o nic i wesoły, zmienił się nie do poznania. Powodem tej zmiany była miłość, jaka owładnęła jego sercem i dręczące go wyrzuty sumienia.

— Miłość bez nadziei i zbrodnia, nie mogąca być niczem naprawioną! — powtarzał bezustannie. — Jestem szaleńcem i nikczemnikiem!

Czując się niezdolnym zająć się tego dnia pracą, udał się do swego mieszkania i wchodził już na schody, gdy odźwierna wyszedłszy śpiesznie z loży,

oświadczyła mu, że ktoś przed godziną przychodził doń z wezwaniem od matki. Juljusz dopiero teraz przypomniał sobie, że od dnia wczorajszego nie widział jej i nawet o niej nie myślał.

— Czyżby była chorą?—zapytał zaniepokojony.

— Podobno chora, jak mówił posłaniec.

— Dziękuję—szepnął Juljusz i wybiegł na ulicę.

Pani Marja Claude mieszkała przy ulicy Marcadet na trzeciem piętrze domu, położonego w dziedzińcu i zwróconego jedną ścianą do dawnego cmentarza de la Chapelle, o którym już wspominaliśmy. Mały lokal, złożony z dwóch ciasnych i niskich pokojów, otrzymywał światło przez dwa okna wychodzące na opuszczony cmentarz. Pierwszy pokój był pustym, w drugim stało trochę mebli, mianowicie: szafa, stół, cztery krzesełka, komoda i łóżko.

Na tem to łóżku kobieta, mająca czterdzieści pięć lat wieku, ale wyglądająca znacznie starzej, wycieńczona, prawie konająca, leżała w gorączce. Na jednem z krzeseł, tuż obok łóżka, siedziała dozorczyni chorej, spoglądająca na nią wzrokiem suchym i obojętnym, jak osoba przyzwyczajona do widoku śmierci.

Marja Claude, jak rzekliśmy, mieszkała sama, gdyż Juljusz, pragnący niezależności i swobody, nie chciał z nią dzielić lokalu. Mimo to, powtarzamy, młody człowiek prawie ją ubóstwiał. Juljusz był bardzo dobrym synem. Z dochodu z rzemieślniczej pracy swojej, dozwalającego mu znaczną część poświęcać na studja czysto artystyczne, wydzielał przedewszystkiem matce swej stałą pensję, zapewniającą jej byt wprawdzie skromny lecz wolny od niedostatku. Do pensji tej Marja Claude, dawniej, gdy zdrowie jej pozwalało, dołączała jeszcze zarobek z szycia, nienawidziła bowiem próżniactwa.

By wychować syna swego odmawiała sobie zaspokajania koniecznych potrzeb i cierpiała nędzę, a dziś gdy syn ten doszedł do stanu, w którym mógł jej zapewnić wygody, zabrakło jej sił do korzystania z nich. Wyczerpanie, będące skutkiem niedostatku i nadmiernej pracy, spychało ją przedwcześnie do grobu.

Już od dwóch lat Marja Claude nie opuszczała łóżka.

Twarz jej, która niegdyś musiała być bardzo piękną, dziś wynędzniała i pomarszczona, nosiła na sobie pieczęć długich i głębokich cierpień.

Zwróciła wzrok na dozorczynię i słabym, ledwie dosłyszalnym głosem rzekła:

— Czas uchodzi—a Juljusz nie przybywa...

— Niech pani będzie spokojną, gdy powróci do siebie, to mu powiedzą...

— A jeżeli przyjdzie zapóźno...

— Niech pani odpędzi od siebie te smutne myśli... Będzie pani żyła jeszcze długo...

Chora nic nie odrzekła, poruszyła głową, przymknęła oczy i dwie wielkie łzy spłynęły z pod jej powiek na wybladłe i wklęśnięte policzki.

Zaczynało się ściemniać.

Dozorczyni zapaliła lampkę i postawiła ją na stoliku przy łóżku, następnie podała jej lekarstwo.

Nagle chora zadrżała, usłyszała bowiem lekki szmer na schodach. Otworzyła oczy i wzrok pełen radości zwróciła ku drzwiom.

— To Juljusz—szeptała—to on, jestem pewną... poznaję jego kroki...

XXX.

Instynkt macierzyński nie omylił biednej kobiety.

Drzwi otworzyły się i Juljusz zadyszany wpadł do pokoju i podbiegł do łóżka. Widok zmienionej twarzy umierającej wstrząsnął nim do głębi duszy. Wziął ręce matki i ucałował je.

— Jak się mama czuje?—zapytał.

— Bardzo źle, moje dziecko...

— Ależ wczoraj było mamie lepiej...

— Zdawało ci się... i ja tak myślałam, lecz myliliśmy się oboje... Wkrótce nadejdzie śmierć... czuję ją... jest ona tak blisko, iż przed chwilą myślałam, że cię już nie zobaczę więcej.

Młody człowiek czyniąc nadludzki wysiłek, by stłumić dławiące go łkanie, siadł przy łóżku chorej.

— Przybyłeś nakoniec—rzekła—więc mogę już umrzeć spokojna.

— Matko droga, ja nie straciłem ani chwili... gdy przychodzono do mnie nie byłem w domu.

— Ależ ja nie obwiniam cię... tylko, widzisz, chwile moje są policzone, a mam tyle rzeczy ważnych do powiedzenia ci przed śmiercią...

— Niech mama nie myśli o tem...

— Przeciwnie, potrzeba myśleć... Później byłoby już po niewczasie.

Poczem głosem cichszym dodała:

— Tobie jednemu tylko mogę się zwierzyć... Odeszlij dozorczynię.

Juljusz zbliżył się do tej ostatniej, która, jakkolwiek udawała obojętną, starała się jednak nie stracić ani słowa z ich rozmowy.

— Pani Gervaise — rzekł zakłopotany. — Niech pani będzie łaskawa zostawić nas samych na kilka chwil... Zdaje mi się, że matka moja chce mi uczynić pewne zwierzenia... Pani rozumie, że nie mogę sprzeciwić się jej...

— Ależ to rzecz naturalna—odrzekła dozorczyni urażona.—Właśnie miałam interes w pewnym domu, ale zostałam tu by nie opuścić pani... Skorzystam teraz z tego i wrócę za godzinę...

Po odejściu p. Gervaise Juljusz usiadł przy łóżku umierającej.

Wtedy ona nachyliła się ku niemu, ujęła obie jego dłonie i patrząc mu w oczy z niewysłowioną czułością, mówiła:

— Odchodzę w daleką podróż... mam cię opuścić na zawsze, moje dziecko... Może to za wcześnie w czterdziestym szóstym roku życia, ale ja wycierpiałam wiele... Nadmiar pracy i niedostatek wszelkiego rodzaju skróciły mi życie... Zresztą to wszystko jedno!... Umrę szczęśliwą, ponieważ zostawiam cię dojrzałym i silnym... Umrę błogosławiąc Boga, gdyż byłeś dobrym synem i jesteś człowiekiem uczciwym, niezdolnym do popełnienia złego czynu.

Juljusz, usłyszawszy ostatnie te słowa, zadrżał. Dwie grube łzy potoczyły się po jego policzkach.

— Nie płacz, moje dziecko—po chwili milczenia rzekła chora. — Łzy są oznaką słabości, a ty potrzebujesz wszystkich sił swoich dla wysłuchania tego, co mam ci powiedzieć... Niejednokrotnie zapytywałeś mię o nazwisko twego ojca, a ja odpowiadałam, że powiem ci później, gdy nadejdzie chwila właściwa... Dziś usłyszysz je, usłyszysz po to, by je przeklinać... Zwlekałam z tem wyznaniem aż do dnia dzisiejszego, gdyż pragnęłam, aby dojrzały twój umysł pozwolił ci zrozumieć, jak wiele twój ojciec względem mnie

zawinił, jak był nikczemnym i okrutnym dla nas obojga... Boli mnie to, że w chwili gdy opuszczam tę ziemię, mówię o nienawiści i rzucam przekleństwo; ale czyje życie jak moje było jednem pasmem męczeństwa, ten ma prawo pamiętać i nie przebaczyć, ma prawo wypowiedzieć swemu synowi wszystko co wycierpiał, aby i on nie zapomniał i nie przebaczył człowiekowi, który obowiązany był mu dać swe nazwisko, a którego odmówił z podeptaniem wszelkiej sprawiedliwości!

Chora na chwilę zamilkła. Juljusz słuchał z natężoną uwagą.

— Miałam lat dwadzieścia... pędziłam życie spokojne i niewinne wśród uczciwej rodziny mojej... Pewnego dnia spotkałam mężczyznę, który znalazł mnie piękną... Nie będę ci opowiadała wszystkiego co czynił, by zbliżyć się do mnie... to zwykła historja... Zresztą byłam wspólniczką jego usiłowań, gdyż kochałam go, a ślepa miłość, która zawładła całem sercem mojem, uczyniła ze mnie córkę niewdzięczną i bez serca... Upadłam... Popełniłam błąd, a raczej zbrodnię, gdyż opuściłam dom rodzicielski, by pójść za obcym, który oplątał mnie swym czarem i przez kilka miesięcy wyobrażałam sobie, że byłam szczęśliwą, nazywając szczęściem gorączkę młodości, to źródło tylu szaleństw i wyrzutów sumienia. Tego dnia, w którym uczułam cię w łonie mojem, zdawało mi się, że szczęście owo przechodzi granice możliwości. Cóż innego jeśli nie dziecię mogło nierozerwalnym węzłem złączyć teraźniejszość z przyszłością?... Upojona szczęściem, pośpieszyłam podzielić się niem z twoim ojcem. Powiedziałam mu wszystko. Lecz co za rozczarowanie, co za straszny spotkał mię zawód! Nie wiem, jak to się stało, żem nie padła wtedy pod tym

ciosem. Ojciec twój zimno i pogardliwie odpowiedział, że ma wstręt do dzieci nieprawych... i opuścił mnie...

— Ach, nikczemnik! — zawołał Juljusz z oburzeniem.—Jak się nazywał ten podły?

— Nazywał się hrabia Juljusz Gontran de Lucenay-Charente!

— Więc był szlachcicem?

— Należał do jednego z słynniejszych rodów Francji i, rzecz prosta, w okrutnym egoizmie swoim myślał, że hańbiąc biedną dziewczynę, jaką ja byłam, czynił jej zaszczyt, lecz, że nie mógł dać jej swego nazwiska historycznego i uprawnić swego dziecięcia!

— Cóż dalej? cóż dalej?—pytał Juljusz.

— W pierwszej chwili straciłam odwagę i upadłam na duchu... Zostawszy samą, opuszczoną, bez środków, z początku płakałam, lecz wkrótce otrząsnęłam się z tego stanu ducha i w miarę zbliżania się nędzy, zdobywałam się na odwagę. Postanowiłam nie cofać się przed niczem i choćby z narażeniem życia walczyć o moje prawa. Odszukałam mego uwodziciela w jego pałacu, gdzie żył wśród przepychu, gdy mnie brakowało wszystkiego! Udało mi się omylić czujność odźwiernych i dostać się do niego; nie prosiłam go o litość, lecz o sprawiedliwość; domagałam się nazwiska dla mego dziecięcia, a ponieważ był dość nikczemnym, by mnie zgubić, mnie, którą znał uczciwą, więc i zadośćuczynienia dla siebie... On w odpowiedzi kazał mnie wypędzić.

— I ten nikczemnik był moim ojcem!—zawołał ze zgrozą młody człowiek.

— Wtedy gniew mną ogarnął i zaczęłam prześladować hrabiego de Lucenay, chciałam zostać zmorą jego życia, znaleść się wszędzie na jego drodze i wszędzie domagać się sprawiedliwości... Pewnego dnia, powodowany zapewne obawą nowej sceny, po-

stanowił odegrać zemną komedję. Udał litość nademną... Zamiast odtrącić, przyszedł mi z pomocą — wyobraź sobie moje szczęście! przyrzekł uznać mające się narodzić dziecię! Dziecięciem tem byłeś ty, Juljuszu. W tydzień po tej obietnicy przyszedłeś na świat... Ojciec twój ze świadkami udał się do merostwa, by zapisać cię do akt stanu cywilnego, lecz nikczemny i chytry zawsze, zamiast cię podać jako syna Juljusza Gontrana de Lucenay i Marji Claude, zapisał cię jako dziecko Marji Claude z ojca nieznanego i ze świadkami podpisał się na akcie!

Juljusz po raz wtóry wyrzekł zdławionym głosem:

— I ten nikczemnik był moim ojcem!

— Wkrótce potem opuścił Paryż i nie widziałam go już więcej, zresztą i nie starałam się go odszukać, będąc przekonaną, że to człowiek bez serca i że napróżno oczekiwałabym od niego litości. Po niejakim czasie dowiedziałam się, że straciwszy wszystko na grę w karty i zbytki, zaślubił młodą dziewczynę, za którą wziął wielki majątek i z którą miał syna... twego brata.

— Więc mam brata!—zawołał Juljusz.

— Tak, miał syna prawego, który, jeślibyś ośmielił się przed nim stanąć, kazałby cię wypędzić, jak niegdyś jego ojciec wypędził twą matkę!

— Ja odszukam tego ojca, sprawcę tych wszystkich niegodziwości i policzkując go, pomszczę nas oboje!

— Twój ojciec już nie żyje.

— Nie żyje!—zawołał Juljusz zgnębiony.

— Umarł przed kilkoma laty, pozostawiwszy swemu synowi prawemu kilka miljonów majątku, gdy tymczasem ty żyjesz z pracy wyrobnika. Ach, niema sprawiedliwości na tym świecie! Jeżeli opowiadam

o tem wszystkiem, mój synu, w godzinę śmierci, jeżeli ci wypowiadam to nazwisko de Lucenay, którego nienawidzę i które przeklinam, to czynię to dla tego, byś pamiętał o niem i równie jak ja nienawidził go i przeklinał. Przypadek lub wola twoja może cię kiedy postawią wobec tego młodego człowieka, twego brata z krwi, lecz dla ciebie obcego... Patrz mu śmiało w oczy i rzeknji mu: „Nazwisko jakie nosisz, powinno być mojem, lecz nie zazdroszczę ci go, bo nosił je nikczemnik, który je zhańbił.“ Temi słowami, mój Juljuszu, napiętnujesz go choć w grobie pomścisz twoją matkę. Czy uczynisz to, mój synu?

— Uczynię!

— Czy przysięgasz mi na twoją miłość dla mnie?

— Przysięgam ci, moja matko!

— Dobrze... teraz mogę umrzeć spokojna...

XXI.

W tem uniesieniu gniewem Marja Claude zużyła resztę sił, jakie ją jeszcze utrzymywały przy życiu.

Opadła na poduszkę i przymknęła oczy.

— Matko moja!...—wołał Juljusz.—Matko moja!

Biedna kobieta podniosła wychudłe, drżące ręce, objęła ramiona syna, nachyliła głowę jego do samych ust i złożyła na niej pocałunek.

Był to pocałunek pożegnania na zawsze!

Poczem ramiona jej opadły, z gardła zaczął się wydobywać chrapliwy głos konania, a palce rąk strasznemi, rozpaczliwemi ruchami ściągały kołdrę pokrywającą piersi.

Juljusz padł na krzesło i spoglądając na konającą matkę, mówił do siebie:

— I ja również popełniłem nikczemuość i ja zostałem zbrodniarzem i proszę o przebaczenie Boga i niewinną ofiarę, która dzięki niebu, nie wie o mej zbrodni! Śpij w spokoju, biedna matko moja! Postaram się odpłacić synowi, który mię okradł ze wszystkiego, z nazwiska i majątku, za wszystkie krzywdy i cierpienia, jakie ojciec wyrządził tobie!

W tej chwili weszła pani Gervaise.

Usta Marji Claude wydały słabe westchnienie i pozostały na pół otwarte.

— Skończyło się już wszystko, pani Gervaise—jęknął Juljusz, płacząc—nie mam już matki...

Osunął powieki zmarłej i ucałował blade i prawie chłodne już czoło.

— Ja będę czuwała dzisiaj—rzekła dozorczyni—a jutro kolej na pana.

Juljusz upadał z utrudzenia i równie fizycznie jak i moralnie był zgnębionym zupełnie.

— Nie mam już sił więcej—odrzekł—pójdę spocząć. Jutro rano podam deklarację o śmierci i powrócę tutaj. Proszę panią, niech pani czuwa nad moją biedną matką.

— Może pan być spokojnym...

Młody człowiek zdjął ze ściany mały krzyżyk drewniany, złożył go na piersiach zmarłej, ostatni raz ucałował jej czoło i odszedł łkając.

Wzruszenia poprzedniej nocy i dnia całego zamroczyły jego myśli, gorączka paliła mu krew w żyłach. Wrócił do swego mieszkania przy ulicy des Abbesses, rzucił się na łóżko i w kilka minut później spał już snem głębokim.

*
* *

Po południu dnia tego, w którym zaszły opowiedziane przez nas wypadki, Juljusz Mercier, albo raczej hr. Juljusz Armand de Lucenay otrzymał list od Magdaleny z prośbą, by bez zwłoki przysłał kobietę do pomocy, gdyż chwila stanowcza zbliżała się.

Juljusz nie mógł odmówić tej prośbie, lecz chciał pierwej rozmówić się z Magdaleną. Udał się więc do domu przy ulicy Ernestyny i wszedł na pierwsze piętro. Na piętrze tem znajdowała się loża z drzwiami wychodzącemi na korytarz, niewidzialnemi dla osób idących na piętro wyższe, tak, że tylko małe okienko w ścianie korytarza dozwalało odźwiernemu obserwować osoby, wychodzące i wchodzące do domu. Rozkład ten, znany Juljuszowi Mercier, dozwalał mu, z zachowaniem pewnych ostrożności, wchodzić niepostrzeżenie do Magdaleny, czego właśnie pragnął on bardzo.

Po cichu, na palcach, przebył schody, nachylił się przechodząc pod okienkiem i za chwilę, nie dostrzeżony przez nikogo, zapukał w drzwi młodej kobiety.

Drzwi otworzyły się i Magalena stanęła na progu.

Biedna kobieta zaledwie mogła utrzymać się na nogach; na bladej zmienionej jej twarzy malowało się cierpienie.

Gdy spostrzegła go, radosny uśmiech zarysował się na jej obliczu.

Podała obie ręce Juljuszowi, który pociągnął ją ku sobie i z udaną czułością uścisnął, następnie zamknąwszy drzwi, podprowadził ją do krzesła, posadził i rzekł:

— Ty cierpisz, droga moja?

— Bardzo—odrzekła—nie mogę już ustać na nogach. Wczoraj wychodziłam na miasto i zaopatrzyłam się w żywność na dwa dni i dobrze uczyniłam, bo dziś nie mogłabym już zejść ze schodów. Właśnie dla tego prosiłam cię, byś przysłał mi tę kobietę...

— Gdy list twój otrzymałem byłem z matką u mego kuzyna, ale wynalazłem pretekst i przybiegłem do ciebie...

— Jaki ty dobry, Juljuszu! Czy uprzedziłeś tę kobietę?...

— Jeszcze nie; chciałem pierwej zobaczyć się z tobą.

— Ale pójdziesz do niej?

— A naturalnie, tylko dziś jeszcze ona niepotrzebna. Mogę cię upewnić, że dopiero jutro.

— Czy jesteś tego pewnym?—zapytała patrząc mu w oczy.

— Najpewniejszym... Studjowałem dawniej medycynę... bądź spokojną, nie mylę się... Jutro ją sprowadzę.

— A ty?

— Naturalnie, że nie opuszczę cię i będę już tutaj od samego rana. Bądź więc spokojną i oczekuj mię cierpliwie. Natychmiast po twojem rozwiązaniu pójdę do merostwa i podam do akt nasze dziecię.

— I uznasz je?

— Uznam, przecież ci przyrzekłem...

— Wracasz mi odwagę — szeptała Magdalena, opierając swą zbolałą głowę na jego ramieniu.

— Nie trać jej! Czyżbyś się lękała, że ci jej zbraknie?

— Nie dziw się... jakieś smutne przeczucia nachodzą mię od dwóch dni...

— Przeczucia? jakie?

— Zdaje mi się, że umrę...

— Ależ to szaleństwo!

— Umrzeć—ciągnęła Magdalena—nie zobaczywszy mego dziecięcia... nie uścisnąwszy go...—i nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchła płaczem.

— Uspokój się — rzekł żywo Juljusz — nie poddawaj się tak urojeniom. Jesteś młodą i silną, jesteś kochaną, dlaczego miałabyś umierać? Przyszłość zachowuje dla ciebie szczęście, większe niż może myślałaś! Miej ufność i wierz, że życie twoje jest dla mnie drogiem i że czuwam nad tobą...

Te serdeczne słowa pociechy uspokoiły Magdalenę.

— Więc przyjdziesz jutro rano?—zapytała już z uśmiechem.

— Wszak przyrzekłem ci i dotrzymam słowa—odrzekł Juljusz i powstał.

— Już odchodzisz? Dla czegoż tak prędko?

— Muszę iść do mojej matki i uprzedzić ją, że jutro nie będę mógł być z nią razem. Bądź spokojną, będę cię odwiedzać. Znajdę do tego pretekst... Ale dzisiaj mam być z matką w kilku miejscach i nie chcę by na mnie czekała... Więc do jutra, cierpliwości i nadziei... Przyjdę wcześnie i przyniosę ci niektóre rzeczy.

Magdalena zarzuciła ręce na jego szyję i uścisnęła serdecznie, jak gdyby nie miała go już więcej zobaczyć.

On odjął łagodnie jej ręce i wyszedł, powtarzając:—Do jutra:

Schodząc na dół Juljusz zachował te same ostrożności, jakie przedsiębrał idąc na górę i przeszedł niepostrzeżony przez nikogo. Następnie skierował się ku ulicy Marcadet i przechodząc około opuszczonego cmentarza, zagłębił wzrok w szpary bramy, rozpatrywał się przez kilka minut, poczem udał się wprost do swego mieszkania.

Na zegarach wybiła godzina piąta.

Lucenay wszedł do swego pokoju, przesiedział w nim godzinę i wyszedł znowu. Wsiadł do omnibusu, dojechał do jednej z dalszych dzielnic miasta, wszedł do magazynu narzędzi gospodarskich i ogrodniczych i kupił mocny szpadel.

— Niech pan obwinie mi go dobrze w gruby papier i obwiąże, bo to pójdzie na wieś — rzekł do subjekta.—O której godzinie zamykacie panowie magazyn?

— Cokolwiek przed dziesiątą...

— W takim razie, ponieważ mam jeszcze porobić niektóre sprawunki, to niech ten szpadel tu zostanie, a ja najpóźniej za dwie godziny przyjdę i zabiorę go.

— Bardzo dobrze.

Lucenay zapłacił należność i wyszedł.

XXII.

Po wyjściu z magazynu młody człowiek zjadł obiad i przesiedział w restauracji do godziny dziewiątej.

Następnie wziął fiakra, pojechał po szpadel i kazał się zawieść na bulwar Ornano. Bulwar ten wie-

czorami bywa zupełnie pusty. Lucenay wysiadł i ukrywając o ile mógł szpadel, wkroczył w ulicę Marcadet, podszedł do cmentarza, następnie przekonawszy się, że nikogo niema na ulicy, przerzucił szpadel na cmentarz. Poczem udał się wprost na ulicę Luc-Lambin.

Pani Frebault jeszcze nie spała.

— Więc pan nie idzie dziś na noc do drukarni?—zapytała.

— Nie, kochana pani. Czasami uwalniają mnie, bym odpoczął, za to jutro czeka mnie praca podwójna... pół dnia i całą noc będę musiał przesiedzieć.

Mniemany korektor wziął klucz od swego mieszkania, rzucił wzrokiem na obok zawieszony na gwoździu klucz cmentarny, złożył odźwiernej życzenie spokojnej nocy i odszedł do siebie.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy zapomniał o grze w karty, nad którą przepędzał dotychczas wszystkie noce. Położył się spać i zasnął natychmiast.

Następnego dnia, gdy około godziny dziesiątej rano schodził na dół, odźwierna zamiatała schody.

— Już pan idzie do pracy?—zapytała.

— A już kochana pani. Przechodząc zawieszę klucz w loży.

— Dobrze. Loża otwarta; jest tam moja córka.

Juljusz zeszedł na dół, zamienił kilka słów z dziewczynką, zawiesił swój klucz na zwykłem miejscu i zręcznie zdjął z gwoździa klucz od cmentarza.

— Żeby tylko do djabła—myślał—nie przyszła komu ochota zwiedzić w tym czasie cmentarz!

Następnie udał się do sklepu, kupił koszyk z przykrywką, oraz chleba, dwie butelki wina Bor-

deaux, pulardę, owoców, ciastek, umieścił to w koszyku i poszedł na ulicę Ernestyny.

— Widzisz, pieszczotko moja—rzekł wszedłszy do pokoju Magdaleny i postawiwszy koszyk — przyrzekłem i przyszedłem.

— Ach, jesteś nakoniec—zawołała młoda kobieta uszczęśliwiona.—Obecność twoja doda mi odwagi. A cóż ta kobieta?...

— Byłem dzisiaj u dwóch, ale nie zastałem, zostawiłem więc twój adres. Bądź spokojną, przyjdą obie, a która będzie pierwszą, to ją zostawimy.

— Oby się choć tylko nie spóźniła!... Bardzo cierpię...

— Odwagi, droga moja!

— Cóż to przyniosłeś w tym koszyku?

— Śniadanie, które chciałem zjeść z tobą razem.

— Nie chce mi się jeść i nie mogłabym zresztą przełknąć i jednego kąska. Jedz sam, a ja będę miała przyjemność patrzeć na ciebie.

Juljusz zabrał się do śniadania, po skończeniu którego podszedł do okna wychodzącego na cmentarz, rozejrzał się po nim i dostrzegł szpadel rzucony przez mur dnia poprzedniego. Dziki uśmiech zarysował się na jego ustach, spojrzał na znajdujące się po drugiej stronie cmentarza domy i zobaczył, że wszystkie okna były pozasłaniane, z wyjątkiem jednego, w którym jakiś młody człowiek z głową opartą na dłoniach, siedział i zdawał się płakać.

Nie miał czasu przypatrzeć mu się, gdyż Magdalena wezwała go do siebie.

— Czego chcesz, moja droga?

— Ta kobieta nie przychodzi—szepnęła.

— Nie rozumiem dla czego opóźnia się... pójdę i dowiem sie..

— I zostawisz mnie samą?—zawołała Magdalena z przestrachem.

— Wszak sama widzisz, że potrzeba...

— Więc idź! lecz wracaj prędko i weź klucz z sobą.

Juljusz wyszedł zamknąwszy drzwi na dwa spusty. Pochodził z pół godziny po ulicach i cichaczem, by nie być spostrzeżonym przez odźwierną, wrócił do Magdaleny.

— I cóż?—zapytała ta ostatnia żywo.

— Kazała w domu u siebie powiedzieć, że wróci dopiero o godzinie szóstej wieczorem i że natychmiast tu przyjdzie. Nie chodziłem do drugiej, bo mieszka za daleko, a bałem się zostawiać cię na tak długo samą.

Magdalena uwierzyła jego słowom i do głowy jej nawet nie przyszło, że przed nią kłamie.

— Więc trzeba czekać cierpliwie...

Biedna kobieta cierpiała niezmiernie. Prosiła go pić, on podał jej napar kwiatu lipowego i usługiwał z całą troskliwością.

Nikczemnik umiał udawać dobrze!

Magdalena patrząc na niego, widziała przyszłość swego dziecka zabezpieczoną.

XXIII.

Juljusz znowu podszedł do okna i po raz wtóry rzucił okiem na dom przeciwległy.

Młody człowiek z zakrytą dłońmi twarzą siedział ciągle przy oknie. Nagle zbliżyła się ku niemu w starszym wieku kobieta i położyła rękę na jego

ramieniu. Za nią stał mężczyzna ubrany czarno. Gdy młody człowiek powstał, kobieta zamknęła okno.

Był to Juljusz Claude nieprawy brat Juljusza Armanda de Lucenay, kobietą dozorczyni zmarłej jego matki, mężczyzną zaś ubranym czarno lekarz przysłany przez merostwo dla sporządzenia protokółu zgonu.

Formalności zajęły niewiele czasu i Claude bez trudności otrzymał pozwolenie na pochowanie zwłok. Eksportacja ich do kościoła miała się odbyć następnego dnia rano.

Śmierć matki usunęła na chwilę z umysłu Juljusza wspomnienie Henryki Dauray, ale tylko na chwilę, wkrótce bowiem myśl o niej do jego boleści synowskiej dodała nową boleść, jeszcze bardziej męczącą, gdyż połączoną z wyrzutami sumienia.

— Czy mam pozostać?—zapytała pani Gervaise.

— Nie, dziękuję pani — odrzekł — będę czuwał sam, proszę tylko, niech pani powróci około godziny dziesiątej, dla załatwienia niektórych formalności.

Po odejściu dozorczyni Juljusz zajął się ułożeniem spisu osób, jakie pragnął widzieć na pogrzebie matki, następnie przygotował do nich listy i gdy o godzinie dziesiątej dozorczyni nadeszła, wręczył jej sporą ich paczkę z prośbą o wrzucenie do skrzynki pocztowej.

P. Gervaise zabrała listy i odeszła, Juljusz zaś siadł przy zwłokach matki i oddał się swym smutnym myślom.

Tymczasem z drugiej strony cmentarza, w domu przeciwległym, Magdalena jęczała i wiła się w boleściach.

Lucenay blady, z twarzą oblaną potem, chodził wszerz i wzdłuż po pokoju i wyczekiwał strasznej chwili.

— Dlaczego tej kobiety tak długo nioma?—zawołał nagle.—A gdybym ja poszedł po nią?

— Ach, nie, nie opuszczaj mię — zawołała Magdalena.—Zdaje mi się, że umrę, a nie chcę umierać samotnie.

Lucenay wcale nie miał ochoty wychodzić, zwłaszcza na poszukiwanie akuszerki, ale chodziło mu o to, by w oczach Magdaleny nie okazać się obojętnym. Przesilenie zbliżało się, a współcześnie i cierpienia stawały się tak strasznemi, że biedna kobieta nie zdołała zapanować nad sobą i zaczęła wydawać głośne jęki.

— Te krzyki w ciszy nocnej obudzą w domu wszystkich—myślał Lucenay z wściekłością.—Pomyślą, że tu kogo mordują i mogą przyjść...

Magdalena krzyczała ciągle.

— Cicho! cicho!—zawołał Lucenay chwytając ją za ramię i ściskając z całej siły.—Milcz! czy słyszysz? rozkazuję ci!

Głos jego był tak groźnym i giest tak strasznym, iż młoda kobieta, przerażona, umilkła na chwilę, lecz wkrótce boleści, silniejsze nad jej wolę, wywołały z jej piersi krzyk ostry.

Wtedy hrabia, blady, rozwścieczony, wyrwał z pod jej głowy jedną z poduszek, narzucił ją na twarz i z całej siły przytrzymywał obu rękami.

— Duszę się... ty mię zabijasz... Umieram... zdławionym głosem wołała nieszczęśliwa, ale głos ten już nie mógł wydobyć się z pod poduszki.

W ostatnich ruchach konwulsyjnych przybyło na świat dziecię, a w chwilę potem ciało matki leżało już sztywne i nieruchome.

— Nie żyje! Zadusiłem ją! — szeptał Lucenay z przestrachem i nagle nerwowy dreszcz wstrząsnął nim od stóp do głowy.

Z ust dziecięcia wydobył się słaby krzyk.

Juljusz pochwycił niewinną istotę, obwinął ją w leżący przy łóżku szal, otworzył okno i cisnął na cmentarz.

Zawiniątko opisało w powietrzu łuk, na parę sekund zatrzymało się na giętkich liściach krzaka i padło na gęstą i wysoką trawę.

Hrabia wychylił się za okno, popatrzał, następnie zamknął je i wrócił na środek pokoju.

— A teraz moje listy — szepnął potwór, odzyskawszy już zimną krew. Zaczął przetrząsać sprzęty, zabrał resztę pieniędzy pozostałych z sumy, jaką dał przed dwoma dniami i pochwycił nareszcie paczkę listów, obwiązaną wstążką błękitną.

Z całym spokojem rozwiązał wstążkę i przebiegł wzrokiem listy dla upewnienia się, czy rzeczywiście znajduje się w nich ten, w którym tak nierozważnie pisał o mającem przyjść na świat dziecku.

— Ach! — zawołał z radością — ten sam!... To rzecz najważniejsza!

Schował go do kieszeni bocznej, resztę zawiązał znowu i włożył do kieszeni tylnej i rzuciwszy ostatni raz wzrokiem na leżącą bez czucia Magdalenę, wyszedł z pokoju.

Wybiła godzina pierwsza po północy.

Teraz chodziło mu o to, by wymknąć się z domu niepostrzeżenie.

Na schodach było ciemno.

Lucenay zaczął zstępować powoli, trzymając się poręczy i probując nogą każdy stopień, by nie stąpić fałszywie.

Zeszedłszy na dół, podszedł do drzwi wychodzących na ulicę, omackiem odszukał drut od dzwonka i poruszył nim. W loży rozległ się dźwięk.

Odźwierna przebudziła się i sądząc, że który z lokatorów wraca do siebie, pociągnęła za sznurek.

Otworzyły się drzwi i Lucenay wybiegł na ulicę, rozglądając się na wszystkie strony dla przekonania się, czy go kto nie widzi.

Noc była jasna i niebo pokryte gwiazdami, kilka chmur jednak płynęło po horyzoncie.

Hrabia postępując wzdłuż muru, skierował się na ulicę Marcadet, doszedł do drzwi cmentarza, otworzył je i wszedł do środka.

Wróćmy teraz do Juljusza Claude, którego zostawiliśmy siedzącego przy zwłokach matki.

By odpędzić owładający nim sen, wyszedł do drugiego ciemnego pokoju, usiadł przy oknie i pogrążył się w zadumie, wodząc roztargnionym wzrokiem po cmentarzu. Tak siedząc marzył o Henryce Dauray i przywodził na pamięć uczynione mu przed śmiercią zwierzenia swej matki.

— Hrabia de Lucenay—szeptał.—Mógłbym nosić to nazwisko, a wtedy miałbym prawo kochać Henrykę... mógłbym wynagrodzić moją zbrodnię... Posiadałbym szlachectwo i majątek... Henryka mogłaby zostać moją żoną...

XXIV.

Gdy Juljusz tak rozmyślał, wzrok jego, jak mówiliśmy, błąkał się po nagrobkach, przeglądających z poza wysokiej trawy i krzaków pokrywających cmentarz.

Juljusz Armand de Lucenay, znalazłszy się na cmentarzu podszedł prosto do miejsca, na które rzu-

cił szpadel. Podniósł go, rozwinął z papieru i zaczął się orjentować, szukając miejsca, na które upadło zawiniątko z dzieckiem. By łatwiej je znaleść, zwrócił wzrok na oświetlone okno pokoju, w którym zostawił trupa Magdeleny. Światło to ułatwiło mu poszukiwanie.

Brnąc w trawie, przeszedł ze trzydzieści kroków, podniósł zawiniątko, następnie odszedł w róg cmentarza i zniknął pod gęstemi gałęziami brzozy płaczącej. Z szala, którego jeden koniec rozwinął się, wyglądała mała główka i ramiona dziecięcia. Złożył je na leżącym obok kamieniu grobowym, następnie rydlem wykroił kawał darniny i z wprawą prawdziwego grabarza wykopał jamę na metr głęboką. Pracował szybko i ostrożnie, probując naprzód ziemię, z obawy, by szpadel, natrafiwszy na kamień nie wydał dźwięku, co mogłoby zwrócić czyją uwagę.

Ale ostrożności te były zbyteczne, uwagę bowiem, której się obawiał wywołała sama jego obecność na cmentarzu.

Juljusz Claude, jak wiemy, siedział w oknie wychodzącem na cmentarz. Wzrok jego po niejakim czasie przywykłszy do ciemności, zaczął coraz wyraźniej rozróżniać pojedyncze przedmioty.

Nagle Claude spostrzegł człowieka idącego przez cmentarz. Człowiek ten niósł na ramieniu narzędzie z długą rękojeścią, widocznie szpadel. Uszedłszy niewielką przestrzeń, zatrzymał się, nachylił, podniósł z ziemi jakiś przedmiot, poszedł znowu i zniknął pod gałęziami brzozy płaczącej.

— Ten człowiek kopie dół — mówił do siebie Claude—czyżby to był złodziej, zakopujący jakie rzeczy skradzione?... a może zbrodniarz, ukrywający zwłoki dziecka? W każdym razie jest w tem coś podejrzanego—i zaczął przypatrywać się jeszcze uważniej.

Pod wpływem tych myśli i zaciekawiony w najwyższym stopniu odbywającą się przed jego oczyma tajemniczą czynnością. zapomniał na czas jakiś i o zmarłej swej matce i o Henryce Dauray.

— Ten łotr przecież wyjdzie z cmentarza—myślał Claude—i zapewne uda się do domu... Gdybym poszedł za nim, mógłbym się dowiedzieć, kto on taki i co tutaj robił...

Opuścił mieszkanie, wyszedł na ulicę i ukrył się we framudze domu, przyległego do muru cmentarnego.

W tej chwili podniósł się wicher i pędząc przed sobą chmury po horyzoncie, zaciemnił jasne dotychczas niebo.

— To mi posłuży — myślał artysta.—Ten człowiek wychodząc nie spostrzeże mię tak łatwo, będę więc mógł iść za nim. nie budząc podejrzenia. Przecież ulica jest dla wszystkich!—i ukryty we framudze, oczekiwał dalej.

Upłynęło kilka minut.

Nagle drzwi cmentarza uchyliły się, hrabia wyjrzał najprzód dla przekonania się, czy nikt go nie widzi i nie spostrzegłszy nic podejrzanego. wyszedł, zamknął drzwi na klucz i szybko udał się na ulicę Marcadet.

Juljusz przeczekał jeszcze chwilę, poczem poszedł za nim.

— Zostawił więc szpadel na cmentarzu—pomyślał.—Czyżby tu przychodził często?...

Lucenay usłyszawszy za sobą kroki, odwrócił się i spostrzegłszy kogoś idącego, zaczął postępować śpieszniej.

Claude nie chcąc stracić go z oczu, uczynił to samo.

— Nie potrzebnie obawiam się—myślał hrabia—widocznie jakiś robotnik, który się spóźnił i śpieszy do domu...—i uspokojony tem rozumowaniem, zwolnił kroku.

Na skręcie w ulicę Luc-Lambin Juljusz nagle podszedł prędzej i zbliżył się tak, iż przestrzeń dzieląca ich obu wynosiła zaledwie kilka metrów.

Hrabia podszedłszy do domu, w którym mieszkał, zatrzymał się i zadzwonił. Płomień gazowej latarni, stojącej przed samym domem, na kilka sekund oświetlił twarz jego.

— Nie zapomnę go nigdy—rzekł do siebie Claude — rysy jego wyryły mi się w pamięci... Kto on może być taki? Nie wygląda wcale na zwykłego złoczyńcę.

— I nie oglądając się poszedł dalej; dopiero gdy usłyszał zamykające się drzwi, zawrócił, podszedł ku ścianie i przeczytał numer domu.

— Więc tutaj mieszka, a w każdym razie tu taj go znają... Chciałbym wiedzieć, co on mógł robić w nocy na cmentarzu?... Muszę się dowiedzieć..

Poszedł na ulicę Marcadet i zatrzymał się przed cmentarzem. Chęć rozwiązania zagadki nie dawała mu spokoju. Zbliżył się do drzwi i pchnął je.

— Zamknięte!—rzekł ze zdziwieniem—a więc miał klucz? Tak, on musi być tym, za jakiego uważałem go z początku—złodziejem ukrywającym tu skradzione rzeczy przed sprzedaniem ich... Muszę się przekonać... zaraz nawet, ale wejdę nie tędy... przełazić przez mur niebezpiecznie...

Wrócił do domu, w którym spoczywały zwłoki matki, a że wychodząc zeń drzwi tylko przymknął łatwo więc wszedł niepostrzeżony. Bywając często u matki, miał sposobność poznać ten dom doskonale

Budynek mieszczący w sobie mieszkanie Marji Claude, oddzielony był od głównego korpusu małym dziedzińcem, z prawej strony którego wznosił się dom sąsiedni, z lewej zaś mur cmentarny. O mur ten opierało się poddasze, należące do kupca, mającego sklepik w tym samym domu i służące za skład różnych rupieci. Pod ścianą poddasza znajdowało się kilka beczek i skrzyń po towarach.

Juljusz wszedł na skrzynię, następnie na beczkę, wlazł na dach poddasza i z muru zeskoczył na cmentarz. W parę minut był już pod wierzbą, pod którą widział nieznajomego człowieka, zajętego kopaniem.

— To tutaj— szepnął.

Nachylił się i zaczął badać rękami ziemię, ale nie znalazł żadnego dołu. Zapalił więc zapałkę i wtedy dopiero spostrzegł świeżo poruszoną ziemię.

— Jama nie powinna być głęboką, gdyż nie długo kopał... zobaczmy co też on tu ukrył...

Nie chcąc tracić czasu na szukanie pozostawionego szpadla, Juljusz podniósł wykrojoną darninę i rękami zaczął odgrzebywać ziemię. Pot spływał mu po twarzy, z palców ciekła krew, czuł zmęczenie, ale pracował dalej.

Nagle zadrżał. Jedna z jego dłoni dotknęła się jakiejś materji wełnianej.

— Ach, więc mam rozwiązanie zagadki—szepnął.

Wyrzucał dalej ziemię rękami, by odgrzebać przedmiot zupełnie, nareszcie wyjął go i zaczął macać palcami.

— Co to jest? — szepnął, czując cóś lekkiego a miękkiego jak ciało ludzkie—i lekki dreszcz przeszedł po jego ciele.

XXV.

Rozwinął szal i krzyknął z przestrachu.

Trzymał w rękach jeszcze ciepłego trupa nowonarodzonego dziecka, z rozbitą czaszką i skrwawioną twarzą.

— Więc zbrodnia!—szepnął.—Ach, nikczemnik! Zapewne uwiódł jaką biedną dziewczynę i zamordował dziecko, które mu mogło przeszkadzać!... Biedna dziecino, może szczęśliwsza jesteś, niż gdyby cię zachowano przy życiu... Zostawię cię tu w tej ziemi poświęcanej, ale dowiem się kto cię tu pochował! Zbadam tajemnicę twego urodzenia i nie pozwolę, by zbrodnia ta pozostała nieukaraną!... Zbrodnia! — powtórzył, pochylając głowę. — Czyż mam prawo być tak surowym i mówić o ukaraniu zbrodniarza?... Czyż sam nie popełniłem jeszcze wstrętniejszej, jeszcze straszniejszej niż morderstwo?... Powinienem sam siebie ukarać i wymierzyć sobie sprawiedliwość pozbawiając się życia!

Po kilku chwilach milczenia Juljusz obwinął napowrót drobne ciało dziecięcia, złożył w jamę, zasypał je ziemią i nakrył darniną.

Ukończywszy tę robotę, powstał i rzekł:

— Widziałem tego człowieka i rozpoznam go! Dowiem się kim on jest...

Wrócił do muru, przebył go, po pakach zeszedł na dziedziniec i za kilka chwil znowu znalazł się w mieszkaniu swej zmarłej matki. Oczyściwszy ubranie z kurzu i ziemi i umywszy zakrwawione ręce, wszedł do pokoju, w którym spoczywały zwłoki. Widok ich oprzytomnił go. Ukląkł i długo się modlił, prosząc Boga o miłosierdzie nad jej duszą, dla siebie zaś o możność odpokutowania za zbrodnię.

*
* *

Juljusz Lucenay po wejściu do domu, zapukał w okienko loży odźwiernej.

— To pan, panie Brisson?—zapytała odźwierna.

— Tak, pani Frébault—odrzekł młody człowiek—przychodzę po klucz.

— Nie wiem tylko, czy znajdzie go pan, bo lampka mi zgasła i ciemno choć oczy wykol...

— To ja ją zapalę—a gdzież ona stoi?

— Jak zwykle, na komodzie, w rogu.

Hrabia wszedł do loży, stanął tyłem do łóżka mieszczącego się w alkowie i trzymając w prawej ręce zapałkę, lewą zawiesił na ścianie klucz cmentarny. Następnie wziął klucz od swego mieszkania i poszedł do siebie, ale zamiast udać się na spoczynek, pomimo utrudzenia, zajął się upakowaniem swych rzeczy. Ukończywszy tę czynność przeliczył pozostałe mu pieniądze.

— Mam jeszcze przeszło trzy tysiące franków... Muszę nająć mieszkanie lepsze i mieć własne meble... Sytuacja stała się poważną... Usunąłem wszystkie przeszkody tamujące mi drogę, teraz powinienem zmylić trop za sobą i na serjo pomyśleć o zdobyciu majątku przez ożenienie się bogate... Policja może odkryć powód śmierci Magdaleny i zajmie się poszukiwaniem jej dziecka... Ale Magdalena nie żyje, więc nic nie powie, a nikt w tym domu mnie nie widział... Z tej strony mogę być spokojnym, ale z tem wszystkiem ostrożność nie zawadzi... Trzeba tylko wyprowadzić się z tej dzielnicy.

Położył się, przespał kilka godzin, następnie ubrał się i wyszedł, zabrawszy z sobą klucz od mieszkania. Wziął fiakra i kazał się zawieść na ulicę Saints-Péres. Stamtąd udał się w okolicę Odeonu i zaczął szukać lokalu. Wkrótce na ulicy Ancienne-Comédie znalazł wygodny i obszerny pokój, położony na trzeciem piętrze. Najął go i oświadczył, że meble nadeśle w ciągu dnia.

— Pańskie nazwisko?—zapytał odźwierny.

— Juljusz Lucenay.

Jak widzimy, hrabia na ten raz podał swe rzeczywiste nazwisko, ukrywając tylko tytuł.

— Komorne zapłacę z góry—dodał.

— To niepotrzebne—odrzekł odźwierny.

— Wolę płacić z góry.

— Jak pan sobie życzy.

Lucenay postępując w ten sposób, miał swoje powody.

— Jeżeli szczęście mi nie posłuży — myślał — jeżeli chwilowo pozostanę bez grosza, będę miał przynajmniej opłacone mieszkanie...

Udał się do magazynu, kupił za sześćset franków meble, wprawdzie wyszłe już z mody, lecz eleganckie i jak na kawalera dostateczne.

Z magazynu odjechał na ulicę Luc-Lambin.

— Jakto, pan już wychodził? — zawołała pani Frébault—a ja myślałam, że pan śpi jeszcze...

— Oddawna już wyszedłem. Mam pani powiedzieć nowinę: przenoszą mnie do Lyonu, gdzie dają mi korzystniejsze zajęcie...

— A więc pan nas opuszczal—zawołała odźwierna ze szczerym żalem.

— Cóż robić, muszę.

— I kiedy?

— Natychmiast, gdyż muszę odjechać pociągiem południowym.

— Jaka szkoda! Ale pan powróci?

— Nie wcześniej jak za kilka miesięcy i wtedy znowu będę prosił panią o mieszkanie, jeżeli będzie wolne.

— Dla pana znajdzie się zawsze.

Lucenay poszedł do swego pokoju, zabawił w nim pół godziny, poczem odjechał z rzeczami na dworzec lyoński.

Tam zdał je posługaczowi, zjadł śniadanie, zabrał rzeczy napowrót i powozem innym odjechał na ulicę Ancienne-Comédie. W pokoju zastał już meble i porządek zrobiony.

Opuśćmy go teraz na chwilę i wróćmy najprzód do Juljusza Claude a następnie na ulicę Ernestyny do mieszkania biednej Magdaleny.

Eksportacja zwłok Marji Claude miała się odbyć o godzinie jedenastej.

Między osobami, które na tę ceremonję przybyły, znajdowali się Constant, Pistacja i inni dekoratorzy i znajomi Juljusza. Brakowało tylko Dufoura, Claude bowiem znał go bardzo mało, a że go i nie lubił, więc nie prosił wcale.

Przewiezienie zwłok do kościoła odbyło się o oznaczonej godzinie.

Zostawmy żałobny kondukt wstępujący do kościoła a stamtąd na cmentarz Saint-Ouen i udajmy się na ulicę Ernestyny.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że całe trzecie piętro domu, w którym Magdalena mieszkała, zajęte było na skład mebli, ubrania, bielizny i innych towarów. Właściciel składu tego nazywał się Wawrzyniec Salcedo. Był to człowiek młody, lat trzy-

dziestu, inteligentny, o wesołem, szerokiem i rumianem obliczu.

— Już godzina jedenasta!—rzekł do subjekta.—Śpiesz się pan. W składzie przy ulicy Ernestyny mamy łóżko z kompletnem posłaniem, lustro i toaletę. Siadaj pan i jedźmy.

Siedli na oczekujący przed sklepem wóz transportowy i odjechali.

Gdy przybyli na miejsce, Salcedo wszedł do składu, postępujący zaś za nim subjekt zatrzymał się nagle na korytarzu i zaczął się czemuś przysłuchiwać.

— Prędzej, czegoż pan tam czekasz? Wiesz przecież, że musimy się śpieszyć!

Ale subjekt nie ruszając się z miejsca, dał mu znak ręką, by się zbliżył.

Kupiec, domyślając się z postawy jego, że musiało stać się coś nadzwyczajnego, zbliżył się na palcach i zapytał:

— O co chodzi? Co się stało?

— Niech-no pan słucha—odrzekł subjekt i wyciągnął rękę w stronę pokoju Magdaleny.

Stłumione jęki dały się słyszeć w korytarzu.

— Ktoś jęczy—szepnał.—Musi być jakiś chory w tamtym pokoju...

— Możemy się przekonać łatwo.

Kupiec i subjekt zbliżyli się ku drzwiom.

Jęki i jakieś urywane słowa stawały się coraz wyraźniejszemi.

— Do mnie... do mnie... na pomoc...—jęczał jakiś głos jakby człowieka konającego.

— Czy pan słyszy? — zapytał subjekt — ktoś wzywa pomocy.

— Powinniśmy jej udzielić — odrzekł Salcedo i podstąpił ku drzwiom, ale w tejże chwili zatrzymał się.

— Do licha!—rzekł—a jeśli popełnioną tam została zbrodnia, to wchodzić pierwszym niebardzo rozsądnie.

— To prawda... Zresztą w zamku niema klucza

— Biegnij pan do odźwiernej.

Subjekt zbiegł na dół i wkrótce wrócił z odźwierną i jej córeczką.

— Ktoś tam jęczy w pokoju i wzywa pomocy—rzekł kupiec do odźwiernej.

— Ach, to nowa lokatorka, kobietą młoda.. Wejdźmy tam.

— Kiedy niema klucza.

Odźwierna zapukała w drzwi, lecz nikt nie odpowiedział. Zapukała po raz drugi, lecz znowu milczenie.

— Musiała stracić przytomność—rzekł kupiec—bo przed chwilą jeszcze jęczała.

— Co tu robić?

— Trzeba zawołać ślusarza.

— A ja myślę, że lepiej sprowadzić komisarza policji—zauważyła odźwierna—bo jeżeli zmarła...

— Masz pani rację—ale my mamy pilną robotę więc idź pani sama.

Odźwierna udała się do biura policji i opowiedziała o wypadku.

Gdy w godzinę później komisarz z sekretarzem i dwoma ajentami przybył na miejsce, tłum ludzi przeważnie kobiet, stał już przed drzwiami i komentował szczegóły wypadku. Posłano po ślusarza.

Komisarz przyłożył ucho do drzwi i czas jakiś przysłuchiwał się, poczem zapukał trzy razy i zawołał:

— W imię prawa, proszę otwo...

Wezwanie pozostało bez odpowiedzi.

Wtedy komisarz przywołał ślusarza i kazał odjąć zamek.

Po kilku uderzeniach młotkiem zamek odpadł, drzwi się otwarły i komisarz w towarzystwie wyżej wspomnianych osób wszedł do pokoju.

Straszny widok przedstawił się oczom wszystkich.

Magdalena blada jak trup, z twarzą konwulsyjnie skrzywioną, nieprzytomna leżała w łóżku, na którem pościel znajdowała się w największym nieładzie.

Dreszcz zgrozy przeszedł po świadkach tej sceny.

— Biedna kobieta, zmarła—zauważyła odźwierna.

Komisarz podstąpił do łóżka i przyłożył rękę do serca Magdaleny.

— Nie—nie umarła jeszcze... serce bije—rzekł po kilku chwilach i jednego z ajentów wysłał po lekarza.

— Więc pani mówisz — rzekł komisarz policji, zwracając się do odźwiernej—że spodziewała się rozwiązania?

— Tak, proszę pana komisarza; sama mi to oświadczyła najmując mieszkanie.

— Widocznie słabość odbyła, lecz nie widzę dziecka... Jeszcze jedna nieszczęśliwa, którą wstyd lub nędza doprowadziła do dzieciobójstwa! — a zwracając się do sekretarza, dodał: — Jestem prawie pewnym, że stoimy wobec zbrodni... Siadaj pan do spisania protokółu.

— Nazwisko tej młodej kobiety? — zapytał komisarz odźwiernej.

— Magdalena Gallier... przynajmniej tak się nazwała, najmując lokal.

— Od jak dawna tu mieszka?

— Od kilku dni.

— Skąd przybyła?

— Nie pytałam jej o to. Miała tyle rzeczy, że wydawała mi się odpowiedzialną...

— Kto u niej bywał?

— Nikt.

— Jakto, od czasu jak tu zamieszkała nie widziałaś pani nikogo przychodzącego do niej?

— Nikogo; żywego ducha nie widziałam.

— Czy ma rodzinę?

— Nie wiem.

— Czy wychodziła wczoraj na ulicę?

— Nie, już od trzech dni nie widziałam jej wychodzącej.

— Czy akuszerka była uprzedzoną?

— Nie wiem, lecz wątpię...

— Zbrodnia staje się coraz więcej prawdopodobną.

Komisarz przepatrzył różne rzeczy leżące na stoliku i rzekł:

— Żadnego lekarstwa...

Następnie, wskazując na przyniesioną przez hrabiego i niewiele naruszoną żywność, dodał:

— Chleb, pularda, wino, ciastka... nieszczęśliwa o wszystkiem pamiętała, zapomniała tylko o obowiązku utrzymania przy życiu swego dziecka.

W tej chwili Magdalena lekko się poruszyła.

Komisarz podstąpił do łóżka i ujął jej rękę.

Ręka ta była rozpaloną. Chora otworzyła oczy i machinalnie utkwiła je w komisarza, nie widząc go. Była nieprzytomną i nie zdawała sobie sprawy z tego co ją otaczało.

XXVI.

— Czy pani mię rozumiesz? Czy możesz mi pani udzielić odpowiedzi? — zapytał komisarz Magdalenę.

Młoda kobieta nic nie odrzekła i zamknęła oczy.

Milczenie to mogło być udanem.

— Coś pani uczyniła ze swem dzieckiem?—zapytał komisarz policji.

Magdalena zadrżała całem ciałem, ale oczy jej zostały przymknięte i ani jeden dźwięk nie wyszedł z jej ust.

Wtem nadszedł wezwany lekarz. Był to znajomy już naszym czytelnikom Jerzy Lamarre.

Komisarz podszedł ku niemu i w krótkości opowiedział mu wszystko co zaszło. Lekarz wysłuchał go, zbliżył się do chorej i długi czas ją egzaminował.

— Ta młoda kobieta jest bardzo chorą—rzekł nareszcie — i stan jej wydaje mi się niebezpiecznym. Rzeczywiście odbyła słabość i jak wiele z tych biednych istot uwiedzionych i opuszczonych, popełniła zapewne zbrodnię... przynajmniej jak dotąd wszystko zdaje się to wskazywać. Dla dokonania tej zbrodni zużyła resztę swych sił... Jestem prawie pewien że przypłaci to życiem...

— Ona należy do sądu...

— Ale zdaje mi się, że stanie prędzej przed sądem bożym aniżeli ludzkim. Jakkolwiekbądź, muszę panu oświadczyć, iż należy przewieść ją natychmiast do szpitala.

— Nie mam nic przeciwko temu, doktorze— odrzekł komisarz i wysłał ajenta po nosze.—Ale tymczasem, czy nie mógłbyś doktorze, dać jej jaki środek wzmacniający, by nam nie zmarła w drodze?

Doktór wydarł kartkę z notatnika, napisał receptę i wysłał z nią ajenta do apteki, zalecając pośpiech.

Komisarz przystąpił do szczegółowej rewizji.

— Czy pan komisarz już mnie nie potrzebuje?— zapytał kupiec mebli, który przez cały ten czas stał milczący.

— Nie, panie Salcedo, proszę tylko, byś pan dziś wieczorem wraz z swym subjektem zaszedł do mojej kancelarji dla podpisania protokółu.

Kupiec i jego subjekt wyszli.

Rewizja, dokonana przez komisarza, nie dała najmniejszej wskazówki do przypuszczenia, że Magdalena sama zabiła swe dziecko. Przepatrzono korytarz i inne części domu, lecz nie znaleziono również najmniejszego śladu.

Tymczasem ajent powrócił z lekarstwem. Jerzy Lamarre wziął ze stołu łyżkę i z pomocą odźwiernej wlał w usta chorej dwie dozy jakiejś mikstury.

— Czy mogę teraz badać chorą? — zapytał komisarz doktora.

— Do niczego by to nie doprowadziło, gdyż ma gorączkę. Może za kilka dni powróci do przytomności...

— Za kilka dni to będzie ją badał sędzia śledczy, któremu odeszlę protokół.

— Może pan zechce spisać teraz protokół lekarski?

Jerzy Lamarre siadł przy stoliku i zajął się pisaniem.

Protokół jego równie jak i sporządzony przez komisarza policji opiewał, że Magdalena Gallier powiła bez pomocy akuszerki dziecię i ukryła je tak, iż nie znaleziono najmniejszego śladu.

Tymczasem przyniesiono nosze, złożono na nich Magdalenę, okryto ją starannie kołdrą, zapuszczono zasłonę i wyniesiono z pokoju.

Tragarze ujęli nosze, ostrożnie zeszli po schodach i skierowali się do szpitala Lariboisière.

*

* *

Gdy trumna ze zwłokami Marji Claude spoczęła w grobie, Juljusz długi czas jeszcze klęczał na mogile swej matki, jedynej istoty na świecie, która go kochała, następnie ze łzami w oczach i smutkiem w duszy skierował się ku ulicy Marcadet.

Chciał widzieć jeszcze raz mieszkanie, w którem biedna kobieta zgasła i potrzebował samotności. W tym celu zamiast udać się przez bulwar Ornano, prowadzący wprost do cmentarza Saint-Ouen, poszedł dróżką wychodzącą do rogatek la Chapelle. Tym sposobem był pewnym, że nie spotka żadnej z osób uczestniczących w pogrzebie swej matki i uniknie banalnych słów pociechy, zwykle jeszcze więcej powiększających boleść.

Szedł z głową spuszczoną, myśląc o próżni, jaką śmierć matki sprawiła wokoło niego. Nie mieszkał z nią wprawdzie razem, ale widywał ją codziennie i był szczęśliwym, mogąc przepędzić z nią kilka

godzin. Teraz pozostał sam i nie miał ani jednego serca, któremu z zaufaniem mógłby zwierzyć uczucia swej duszy, przygniecionej ciężarem strasznych wyrzutów sumienia.

Gdy przybył na róg ulicy Ernestyny, wyrwany został z swej ponurej zadumy przez jakieś głosy niezwykłe w tej prawie zawsze pustej dzielnicy i spostrzegł gromadę mężczyzn, kobiet i dzieci, zgrupowanych przed domem nr 6-ty. Juljusz, jak każdy prawdziwy paryżanin, był ciekawym. Na widok gromadki rozprawiających ludzi, zapomniał o swem cierpieniu, zbliżył się do nich i zaczął przysłuchiwać się.

— Zdaje się, kochana pani — rzekła jakaś kumoszka do drugiej, stojącej z dzieckiem na ręku—że to jakiś mężczyzna zamordował tę biedną kobietę...

— Ależ było zupełnie inaczej—odrzekła inna.— Byłam właśnie w aptece, dokąd chodziłam po lekarstwo dla mojej małej, gdy przyszedł policjant wysłany przez doktora, wezwanego przez komisarza policji. Rozmawiałam z nim i wiem doskonale jak to było...

— Więc jak?

— Wprost było to dzieciobójstwo.

Juljusz usłyszawszy te słowa, przypomniał sobie dramat nocy ubiegłej.

— Czy to stało się w tym domu?—zapytał.

— Tak, na trzeciem piętrze, tuż obok składu mebli.

— Na trzeciem piętrze — rzekł do siebie — to właśnie tam, gdzie jedno okno było oświetlone. Więc to tam musiało się urodzić dziecię, które ten człowiek zakopał na cmentarzu. Jakiś straszny dramat musi być w tem wszystkiem.

XXVII.

Teraz już nie zwykła ciekawość zatrzymywała Juljusza przed domem przy ulicy Ernestyny.

Została popełniona wstrętna zbrodnia, w której on, jakkolwiek nie bezpośrednio, ale w rzeczywistości wziął udział.

Wtem między tłumem zrobił się ruch, dwóch tragarzy bowiem nadeszło z noszami, za któremi postępowali komisarz, lekarz i ajenci.

— Dokąd ją niosą?—zapytał ktoś z tłumu.

— Zapewne do prefektury...

— Patrzaj-no idzie i doktór Jerzy Lamarre, który ją opatrywał.

Juljusz, usłyszawszy to nazwisko, doznał gwałtownego wzruszenia i podniósł głowę.

— Pokaż mi pan tego doktora—rzekł do jakiegoś człowieka, stojącego przy nim.

— To ten młody, przystojny, słusznego wzrostu, idący obok komisarza. On mieszka w tej dzielnicy i jest powszechnie lubiany, bo darmo leczy ubogich i wiele dobrego robi wszystkim.

Juljusz przypomniał sobie nazwisko doktora, wypisane na odwrotnej stronie fotografji Henryki Dauray.

Więc ten Jerzy Lamarre nie był wcale starym przyjacielem rodziny, ale mężczyzną przystojnym i młodym.

Syn Marji Claude utkwił w niego wzrok pełen nienawiści.

— Radbym też wiedzieć, dokąd niosą tę nieszczęśliwą—myślał Juljusz.—Zdaje mi się, że tylko przez nią będę mógł posiąść rozwiązanie tej zagadki...—i w pewnem oddaleniu poszedł za noszami.

Tragarze wkroczyli na bulwar la Chapelle i wkrótce weszli do szpitala Lariboisière.

— Więc ją do szpitala odnieśli — rzekł do siebie Juljusz. — Będę mógł nawet widzieć się z nią... trzeba tylko dowiedzieć się o jej nazwisku.

Wrócił na ulicę Ernestyny. Tłum już się rozszedł, ale kilka kobiet, stojąc przed domem, snuło na temat wypadku rozmaite domysły.

Młody człowiek skierował się wprost do domu nr 8-my.

— Dokąd pan idzie? — zapytała kobieta stojąca w progu.

— Chcę się widzieć z odźwierną—odrzekł.

— Ja nią jestem. Czego pan sobie życzy?

— Chciałem panią prosić o powiedzenie mi nazwiska osoby, o której w tej chwili wszyscy mówią i którą przed chwilą odniesiono do szpitala.

— Ho, ho! a cóż to pan ją znasz?

— Gdybym znał, to nie pytałbym panią o nazwisko.

— To prawda. Cóż panu zależy na tem?

— Skoro szukam objaśnienia u pani, to nie przez prostą ciekawość, ale z obowiązku, gdyż jestem dziennikarzem.

— Dziennikarzem!...—powtórzyła odźwierna głosem, w którym przebijał się podziw i uszanowanie.

— Tak, pani...

— Więc pan chce napisać artykuł do dziennika?...

— Tak i bardzo sensacyjny.

— W takim razie chętnie udzielę panu wszelkich objaśnień... To straszna sprawa, gdybym mogła przeczuć, nie nastąpiłoby to...

I opowiedziała mu wszystko, co wiedziała.

Juljusz słuchał ze skupioną uwagą.

— Więc ona mieszkała sama?—zapytał.

— Sama.

— I żaden mężczyzna nie przychodził do niej?

— Żaden.

— Czy jesteś pani pewną tego?

— Jak samej siebie. Czy w dzień, czy w nocy, nikt nie mógł wejść do domu bez mojej wiedzy... Odpowiadam za to...

— A podczas nocy ostatniej czy nikt nie wychodził?

— Nikt. Po godzinie jedenastej wszedł tylko jeden lokator.

— I powiedział pani swe nazwisko?

— Musiał powiedzieć, ale nie przypominam sobie. Tylko co zasnęłam, a że byłam bardzo zmęczoną, gdyż prałam cały dzień, więc natychmiast zasnęłam znowu.

— A jak nazywa się ta kobieta? — zapytał Juljusz.

— Magdalena Gallier.

— Dziękuję pani.—Wiem już wszystko, co było mi potrzebne do napisania artykułu.

— Ach, jakbym ja chciała przeczytać go! Jeżeli pan zechce powiedzieć co o mnie, odźwiernej, niech się pan nie krępuje... Nazywam się Irma Trébuchet.

— Bardzo dobrze. Żegnam panią.

Ukłonił się i odszedł na ulicę Marcadet.

— Tajemnica wikła się coraz bardziej — mówił do siebie. — Nieszczęśliwa nie widziała nikogo, przynajmniej tak utrzymuje odźwierna... Więc może to nie od niej wyszedł ten człowiek... Z tem wszystkiem dziecko zniknęło... Muszę wyjaśnić to wszystko!...

Sam nie wiem dla czego interesuję się tą kobietą, której nie znam wcale... Obwiniają ją o dzieciobójstwo... Jeżeli jest niewinną, mógłbym jej przyjść z pomocą...

Juljusz wszedł do mieszkania matki, uregulował rachunek z p. Gervaise, zabrał z sobą klucz i następnie udał się na ulicę Luc-Lambin.

— To do tego domu on wszedł—mówił do siebie.—Ale jak dowiedzieć się o jego nazwisku?—Rzecz trudna, bo jeśli wprost zapytam odźwierną, to mi nie odpowie... Żeby znaleść jaki pretekst...

Tak monologując, spostrzegł na drzwiach ogłoszenie: *Pokój z meblami do najęcia.*

Przyszła mu szczęśliwa myśl i nie wahając się dłużej, wszedł do domu.

— Czego pan sobie życzy? — zapytała p. Frébault, spostrzegłszy młodego człowieka, któremu żałobny kostjum dodawał powagi.

— Chciałem panią prosić o pewne objaśnienia.

— W jakiej kwestji?

— O jednym z lokatorów pani.

— Ależ, proszę pana...

— Przepraszam panią—przerwał Juljusz—skoro zapytuję panią, to mam do tego prawo. Pani najmuje pokoje meblowane, ja zaś jestem inspektorem takich zakładów. Jeżeli pani sobie życzy, mogę przedstawić legitymację...

— Niepotrzeba—odrzekła.—W tej chwili pokażę panu moją księgę.—Wszystko jest w porządku.

— Zobaczymy, lecz niech pani odpowie mi pierwej na parę pytań...

— Słucham pana.

— Czy lokatorzy pani wracają do siebie późno?

— Z wyjątkiem tylko jednego korektora z drukarni, który wraca późno, wszyscy inni lokatorzy o pół nocy już śpią zwykle.

— Czy nocy ostatniej wracał kto po godzinie dwunastej?

— Wracał korektor, o którym wspominałam.

— Która godzina była wtedy?

— Było mniej więcej wpół do trzeciej.

— Jak on się nazywa?

— Karol Brisson... Oto moja księga... niech pan inspektor zobaczy, wszystko jest w porządku...—rzekła odźwierna, podając księgę i wskazując palcem kilka wierszy.

Juljusz przeczytał:

„Karol Brisson, lat dwadzieścia pięć, urodzony w Roanne, korektor.“

U dołu zaś wzmianka:

„Wyjechał d. 18-go lipca rano do Lyonu.“

— Wyjechał!—zawołał Juljusz zawiedziony.

— Tak, dziś rano; dostał tam pracę w redakcji jakiegoś dziennika.

— Czy nie wie pani przy jakiej drukarni czy redakcji pracował tutaj?

— Nie wiem.

— Dobrze... księga pani jest w porządku. Żegnam panią—i odszedł.

Idąc na ulicę des Abbesses, myślał:

— Jedna tylko Magdalena Gallier mogłaby mi udzielić pewnych wiadomości... Nie ulega wątpliwości, że zbrodnia była spełnioną i że człowiekiem, którego widziałem na cmentarzu, jest ten Karol Brisson... Nagły wyjazd z domu mówi wiele przeciw niemu... Nie, on nie pojechał do Lyonu. Założyłbym się, że ukrywa się w Paryżu i stara się zmylić trop za sobą... Cała ta tajemnica jest dziwną!

Nagle zatrzymał się i mówił dalej:

— Jakiż ja głupi jestem, zajmując się tą sprawą! Cóż mnie ona obchodzi? Czyż nie mam dość własnych kłopotów? Co za szaleństwo popycha mię do tej sprawy, która może mnie doprowadzić do stawania w sądzie i składania zeznań? Trzeba być warjatem, żeby dobrowolnie ściągać sobie na głowę tyle przykrości!... Lepiej dam temu wszystkiemu spokój... A jednak chciałbym wiedzieć... Pójdę zobaczyć się z Magdaleną Gallier... przecież to nie naraża mnie na nic...

XXVIII.

Następnego dnia Juljusz powrócił do Saint-Ouen i wziął się do pracy.

Constant i inni towarzysze, którzy kochali go rzeczywiście, ucieszyli się z jego powrotu, lecz spostrzegli w nim wielką zmianę. Juljusz stał się ponurym, zamyślonym, pogrążał się w sobie, pracował w milczeniu, a gdy kto przemówił do niego, wydawał się jak człowiek nagle przebudzony ze snu.

Nadszedł piątek.

— Ułożyliśmy pewien projekt na niedzielę—rzekł Constant, zwracając się do Juljusza.

— Jaki?

— Przepędzimy cały dzień u mego kuzyna przy moście Chennevières.

Nazwa ta przypomniała Juljuszowi tę, którą ubóstwiał i zbrodnię, która wywoływała w nim zgrozę.

— Czy pójdziesz z nami?—zapytał Constant.

— Nie—odrzekł Juljusz stanowczo.

— Źle robisz, odmawiając; byłoby nas tylko trzech...

— Nie—odrzekł powtórnie, z pewną niecierpliwością w głosie.

— Szkodzisz sobie, oddając się ciągle swym smutnym myślom. Wycieczka taka rozerwałaby cię... Między dobrymi przyjaciołmi butelka wina daje pociechę.

— Napróżno nalegacie — odrzekł Juljusz tonem stanowczym.—Czas rozrywek już dla mnie skończony. Nigdy już pić nie będę i z góry zapowiadam, że napróżno staralibyście się mię przekonać...

W niedzielę około południa Juljusz wybrał się do szpitala Lariboisière dla widzenia się z Magdaleną Gallier. Napróżno rozumował i postanawiał nie mieszać się do tej sprawy; tajemnica pokrywająca zbrodnię na cmentarzu Chapelle, pociągała go coraz więcej. Chciał ją zbadać koniecznie.

Udał się do szpitala i po poddaniu się rewizji, którą dozorca odbył przy nim dla przekonania się, czy nie ma przy sobie żywności, napojów lub jakich rzeczy zabronionych, wszedł do biura szpitalnego i zapytał obecnego urzędnika:

— Proszę pana o wskazanie mi sali, w której pomieszczoną została chora Magdalena Gallier.

Urzędnik otworzył księgę, odszukał nazwisko i zapytał:

— A czy ma pan pozwolenie od sędziego?

— Nie—odrzekł Juljusz.—A na cóż pozwolenie?

— Dla tego, że Magdalena Gallier nie jest chorą zwyczajną. Na mocy rozkazu prokuratora znajduje się ona pod nadzorem...

— Więc obwiniona jest o jaką zbrodnię? — zapytał Juljusz udając, że nie wie o niczem.

— Oskarżona jest o dzieciobójstwo.

— Ach, nieszczęśliwa! Do kogoż ja mam się zgłosić po pozwolenie widzenia się z nią?

— Do sędziego śledczego.

— Czy może mi pan powiedzieć jego nazwisko

— Nie wiem. Niech pan idzie do sądu, tam panu powiedzą.

Juljusz wyszedł ze szpitala.

— Ponieważ na samym już wstępie—myślał—doznaję przeszkody, szaleństwem by więc było dalsze upieranie się. Po co ja się mieszam do tej sprawy? Nie znam tej kobiety, a mogę tylko ściągnąć na swą głowę dużo kłopotu. Co mnie kusi kłaść palce między drzwi?... A jednak chciałbym wiedzieć szczegóły tej sprawy... Dowiem się o nich z dzienników.

XXIX.

p o po trzech tygodniach od wejścia Magdaleny do szpitala, stan jej poprawił się o tyle, iż lekarze mogli być spokojnymi o jej życie.

Pomimo podejrzenia o zbrodnię otaczano ją życzliwością i sympatją; z niecierpliwością wyczekiwano powrotu do przytomności. wierzono bowiem w jej niewinność.

Nareszcie pewnego wieczoru dozorująca ją kobieta spostrzegła lekkie poruszenie. Po kilku minutach Magdalena otworzyła oczy i uniosła się cokolwiek na posłaniu. Wynędzniała, blada jak płótno, podobna była do trupa powstającego z grobu. Potoczyła wzrokiem naokoło siebie i patrzała zdziwiona, jak gdyby chciała zdać sobie sprawę z otaczających

ją przedmiotów. Widocznem było, iż pamięć jej pracuje z wysiłkiem. Po kilku chwilach przeciągnęła dłonią po czole i oczach i głosem słabym zapytała:

— Gdzie ja jestem?

Dozorczyni powstała, nachyliła się nad nią i rzekła:

— Jesteś w szpitalu, moje dziecko.

— W szpitalu?...—powtórzyła Magdalena z przestrachem.

— Tak...

— I dla czegoż to?

— Bo byłaś bardzo chora...

— Od jak dawna?

— Prawie przez cały miesiąc, moje dziecko, byłaś między życiem i śmiercią.

— W jakimże ja szpitalu jestem?

— W szpitalu Lariboissière.

— Nie, to nie może być... ja powinnam być w przytułku dla...

Poczem nagle głosem silnym zapytała:

— Moje dziecko!... gdzie jest moje dziecko? Dla czego niema go przy mnie?

— Twoje dziecko — odrzekła dozorczyni zdziwiona—przecież wiesz, że zmarło.

— Zmarło!—zawołała przerażona.—Moje dziecko zmarło?

— Przecież to nie ty je zabiłaś? czyż nieprawda?

Młoda kobieta rzuciła się na łóżku i spojrzała wzrokiem obłąkanym.

— Zabiłam! zabiłam moje dziecko! Ja! ja!... Ach, czemuż nie umarłam!...

— Więc cóż się z niem stało? Nie znaleziono go.

— Nie znaleziono...

— I pomimo wszelkich poszukiwań, nie można go było odszukać ani żywego ani martwego.

Magdalena ujęła w dłonie głowę, ściskając skronie, jak gdyby chciała wycisnąć z nich myśl jaką, poczem nagle rzekła:

— Ach, rozumiem... przypominam sobie... on był wtedy... chciał mię zadusić... Jeżeli żyję jeszcze to tylko dla tego, iż myślał, że mu się udało... Ten potwór potrzebował śmierci mojej... śmierci mojej i dziecka, które ukradł, by je zamordować!... Ach, zbrodniarz!... zabójca kobiet!... morderca dzieci!...

Poruszona strasznym gniewem i oburzeniem, Magdalena na chwilę prawie powstała na łóżku, lecz nagle jak bezwładna masa padła na poduszki, z trudnością oddychając.

Nadzorczyni skropiła jej skronie octem i w usta wlała łyżkę lekarstwa, które lekarz w przewidywaniu przesilenia zaordynował zawczasu. Oczy chorej powoli się otworzyły i nerwowe kurcze szczęk ustały. Współcześnie i pamięć zaczęła powracać. Przypomniała sobie wszystkie szczegóły wypadku w pokoju przy ulicy Ernestyny od czasu przybycia Juljusza aż do chwili, w której chciał ją udusić poduszką. Nieszczęśliwa kobieta, przywodząc na pamięć straszny dramat, którego stała się ofiarą, drżała z przerażenia. Słowa nadzorczyni: „Przecież wiesz, że twoje dziecko zmarło,“ wywoływały zimny pot na jej czoło. Nie pojmowała jednak jeszcze sytuacji, w jakiej postawioną została przez zniknięcie dziecka. Chciała dowiedzieć się o czem jeszcze nie wiedziała, a mianowicie, co stało się gdy utraciła przytomność.

— Powiedziała pani — rzekła zwracając się do dozorczyni — że znajduję się w szpitalu Lariboisière, wszak tak?

— Tak, moje dziecko.

— I podobno już od kilku tygodni?
— Tak.
— Więc któż mię umieścił?
— Przynieśli cię tu na noszach tragarze w towarzystwie policjantów, a przyjęto cię na rozkaz komisarza policji.
— A skądże ten rozkaz?
— Byłaś opuszczoną, umierającą i potrzebowałaś pomocy natychmiastowej.
— Chyba oprócz tej musiała być i inna przyczyna...
— Jeżeli była jaka inna, to nie wiem o niej
— A raczej nie chce mi pani powiedzieć...
— Upewniam cię, że się mylisz...
— Przed chwilą powiedziałaś pani, że moje dziecko zmarło...
— Chciałam tylko powiedzieć, że tak przypuszczano...
— A więc to pewne, że znikło?
Słowa te wypowiadała Magdalena szybko i gorączkowo, jakby w obłędzie.
— Nie wiem, nic nie wiem... — odrzekła dozorczyni. — I tak powiedziałam więcej niż powinnam była i wyrzucam to sobie... Nie nadużywaj chwilowego wzmocnienia sił swoich... jutro będziesz mogła poinformować się u doktora, a dziś leż spokojnie i staraj się usnąć, lecz naprzód wypij łyżkę lekarstwa.
Magdalena usłuchała i wkrótce owładła nią senność, trwająca aż do chwili, gdy ordynator szpitala, otoczony studentami i pomocnikami, wszedł do sali. Szmer i ruch osób przebudziły chorą. Dozorczyni podeszła do doktora i zdała mu raport z rozmowy swojej z Magdaleną.

— Czy dawała pani jakie pytania? — zapytał doktór.

— Bardzo wiele.

— Czy mówi z łatwością?

— Z łatwością i rozsądnie. Zdaje mi się, że przytomność wróciła zupełnie.

— W takim razie proszę pójść do dyrektora i oświadczyć mu, by zawiadomił prokuratora. Niech pani nadto doda, że proszę, by uprzedzono mię o dniu i godzinie przybycia jego.

Dozorczyni wyszła, doktór zaś podszedł do łóżka Magdaleny.

— Cóż, moje dziecko — rzekł biorąc jej rękę— niebezpieczeństwo już minęło i gorączka przeszła; odtąd będziesz już szybko wracała do zdrowia. Powiedziano mi, że i pamięć wróciła ci...

— Tak, panie doktorze.

— Jakże się pani czujesz?

— Jestem bardzo osłabioną.

— Nie może być inaczej... Przez cały prawie miesiąc, jak jesteś tutaj, znajdowałaś się w bezustannej gorączce i utrzymywaną byłaś przy życiu tylko lekarstwami, osłabienie więc było rzeczą nieuniknioną i nie powinno cię dziwić... Byłaś pani bardzo chorą...

— Panie doktorze — zapytała Magdalena — dla czego sprowadzono mię do szpitala?... przecież byłam we własnem mieszkaniu...

— Czy zapomniałaś więc, moje dziecko, co wówczas się stało?

— Właśnie dla tego, że pamiętam, to zapytuję pana... Wielu rzeczy nie rozumiem... Że ukradziono mi dziecko, to mi wiadomo... Złodziej zapewne je zamordował i obwiniają mnie podobno o dzieciobójstwo?...

Ostatnie słowa chora wymówiła z egzaltacją.

— Uspokój się... uspokój...—odrzekł doktór—ja nie jestem sędzią i o nic cię nie obwiniam. Jestem lekarzem i obowiązkiem moim jest wrócić ci zdrowie, co staram się uczynić o ile mogę.

— Ale—odrzekła Magdalena, która przejęta jedną myślą, z roztargnieniem słuchała go—ale ten komisarz policji, po co on sprowadził mię tutaj, gdy mógł pozostawić w mem mieszkaniu?... Przecież ja miałam pieniądze, więcej nawet niż wymagała ich moja kuracja... Jeżeli po tem co zaszło, umieszczono mię w szpitalu, więc obwiniają mię... więc przekonani są, że jestem winną zbrodni dzieciobójstwa... zbrodni najnikczemniejszej... Och, ja jestem przytomną... rozumiem wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy: jakim sposobem to się stało, żem nie zwarjowała dotychczas!... Gdyby pan doktór wiedział...

— Ja nic nie chcę wiedzieć... — przerwał doktór. — Żądam od pani tylko spokoju... gdyż potrzebujesz go, by prędzej wrócić do zdrowia i bronić się...

— Bronić się! — zawołała Magdalena — a więc widzi pan doktór, że obwiniają mię! — i dwie grube łzy potoczyły się po jej policzkach.

— Nie płacz, moje dziecko, może dla wyjaśnienia tej sprawy i uwolnienia cię od podejrzeń wystarczą twoje odpowiedzi, jakie złożysz prokuratorowi.

— Prokuratorowi!... — powtórzyła chora z przestrachem—a więc on przyjdzie?

— Napewno przyjdzie.

— Kiedy?

— Zapewne dziś lub jutro.

— Czegoż on będzie żądał odemnie?

— Powiedzenia prawdy, tylko prawdy. Zechce dowiedzieć się, co zaszło owej nocy, w której nastąpiło twe rozwiązanie... i co stało się z dzieckiem

— Ach, więc niech przybywa!... niech przybywa jak najspieszniej... Pragnę widzieć go i domagać się sprawiedliwości...

— Jeszcze raz proszę cię, uspokój się... Rozkazuję ci być spokojną... Jeżeli chcesz powrócić do zdrowia i żyć, nie dręcz umysłu swego temi myślami! Nie myśl o przeszłości, nie dociekaj przyszłości i spełniaj to, co ci zalecam...

— Tak, pan doktór ma słuszność... chcę żyć... choćby dla tego, by się zemścić!... A więc pan prokurator przybędzie dzisiaj?

— Nie wiem napewno, lecz to prawdopodobne.

— Dobrze... będę posłuszną panu doktorowi... nie będę się dręczyła... zmuszę się by nie myśleć ani o przeszłości ani o przyszłości... niech tylko pan doktór pozwoli mi zapytać siebie o rzecz jedną... jedną tylko...

— Jaką?

— Czy moje dziecko żyje?

XXX.

Usłyszawszy te słowa doktór zadrżał, namarszczył czoło i utkwił w Magdalenę wzrok badawczy, sięgający aż do duszy Współcześnie zaś zapytywał siebie:

— Czy kobieta ta jest ofiarą czy potworem?

Poczem po chwili milczenia rzekł głośno:

— Nie mam prawa odpowiedzieć ci. Powinnaś zapytać o to prokuratora.

Magdalena, zniechęcona, opuściła głowę na poduszki.

Doktor zaordynował lekarstwo i opuścił salę.

Umysł biednej opuszczonej, jak widzieliśmy, odzyskał zupełną jasność.

— Rozumiem wszystko — mówiła do siebie. — Nikczemnik chciał mię zamordować, zabił moje dziecko, a dziś mnie obwiniają o to! Sądził, że nie żyję! Ach, jakże ja się zemszczę!... Ależ to szatan, a ja go tak kochałam! Cóż to za podłość grać komedję w oczekiwaniu chwili, w której mógłby pozbyć się przeszkadzających mu i matki i dziecięcia!

Chora drżąc ze zgrozy, ukryła twarz w poduszkach. Wzruszenia te, tak zabronione przez lekarza, sprowadziły gorączkę. Dozorczyni dała jej łyżkę lekarstwa, które wkrótce uspokoiło ją i sprowadziło sen.

*
* *

Cóż porabiał przez cały ten czas hr. Juljusz Armand de Lucenay?

Postanowiwszy zdobyć majątek przez bogate ożenienie się i posiadając przystojne oblicze, elegancką powierzchowność, a zwłaszcza pięknie brzmiące nazwisko i autentyczny tytuł, młody człowiek potrzebował przed przybraniem tego nazwiska i tytułu i przed wejściem do swej sfery jakoby po powrocie z długiej podróży, pewnych środków, mogących go utrzymać przynajmniej choć przez kilka tygodni na wymaganem stanowisku. Otóż, ponieważ środki te mógł zdobyć tylko przez karty, wszystkie więc noce poświęcał grze. Z mieszkania swego przy ulicy Ancienne-Comédie wcale nie wychodził w dzień i tylko jak ptak nocny ulatywał ze zmrokiem

Więcej niż przez tydzień kupował i czytał każdego wieczora dzienniki w nadziei, że znajdzie w nich wiadomość o znalezieniu trupa młodej kobiety w pokoju przy ulicy Ernestyny. Ale dzienniki milczały.

— Widocznie, nie ogłaszają wszystkich zbrodni i wypadków — myślał. — Śmierć Magdaleny była tak drobnem zdarzeniem, że nawet nie mówiono o niej.

Przeszłość dla niego już nie istniała.

Pewny, że zbrodnia uszła mu bezkarnie, snuł obrazy przyszłości, wyobrażając ją sobie w najświetniejszych kolorach. Szczęście w kartach służyło mu tak dalece, iż w końcu miesiąca posiadał przeszło dwanaście tysięcy franków. Gdyby udało mu się podwoić tę sumę, nic by mu wtedy nie stało na przeszkodzie wystąpić w świecie jako hrabia de Lucenay i w sferze zbogaconych kupców wyszukać dziedziczki, pragnącej za gruby posag kupić tytuł hrabiny.

Miesiąc ten dla Juljusza Claude upłynął z rozpaczliwą powolnością.

Młody człowiek z każdym dniem stawał się coraz więcej ponurym. Miłość jego wzrastała i pożerała mu serce. Każdego wieczora zapytywał siebie, czy nie lepiej byłoby umrzeć, niż żyć wśród podobnych cierpień. W innych znowu, lecz o wiele krótszych chwilach, jakaś nieokreślona nadzieja, którą nazywał szaloną, ożywiała go nagle. Wtedy mówił do siebie:

— Trzeba żyć! żyć dla niej! któż może zbadać tajemnice przyszłości?

Ale te chwile nadziei były krótkie jak błyskawica i Juljusz wnosił z sobą wszędzie swą boleść niewyleczalną, zarówno w chwilach pracy jak i w godzinach odpoczynku.

Każdej niedzieli udawał się do Chennevières i długie godziny spędzał na przechadzce nad rzeką przed zacienionym tarasem willi jaworowej. Niekiedy udawało mu się spostrzedz Henrykę postępującą z ojcem, matką lub którą z przyjaciołek. W takie dni wracał do Paryża jeszcze smutniejszy i bardziej zgnębiony wyrzutami sumienia.

I on także przez pewien czas starannie przeglądał dzienniki, szukając szczegółów dramatu przy ulicy Ernestyny. Ale ponieważ w dziennikach o tej sprawie było głucho, przestał je więc czytać i rzadko już tylko wspominał o Magdalenie i człowieku z cmentarza la Chapelle.

Powróćmy do Magdaleny.

Wszystkie wspomnienia odżyły w niej z całą żywością a wraz z niemi zbudziła się boleść i pragnienie zemsty.

Chociaż wiedziała, iż pomieszczono ją w szpitalu z polecenia komisarza policji, usiłowała jednak wytłómaczyć sobie, że nie może być podejrzaną o zbrodnię. Jedna myśl szczególnie ją trapiła: co stało się z dziecięciem? Czy Juljusz zabił je własnemi rękami, jak usiłował zamordować ją samą, czy też tylko ukrył, lecz pozostawił przy życiu?

Jak wyjaśnić tę straszną wątpliwość?

Z niecierpliwością też łatwą do odgadnienia oczekiwała zapowiedzianej na wyznaczony dzień wizyty prokuratora. Myślała i nie bez słuszności, że od niego dowie się wielu szczegółów i dla tego usiłowała wyrobić w sobie zimną krew i odwagę, by się nie zmieszać przy badaniu.

Godzina trzecia wybiła, gdy drzwi sali, w której leżała Magdalena, otwarły się i wszedł prokurator w towarzystwie ordynatora szpitala i kilku urzędników sądowych.

Spostrzegłszy te poważne, uroczyście postępujące postacie, chora pomimo postanowienia, że będzie odważną, zaczęła drżeć całem ciałem.

— Moje dziecko—rzekł ordynator szpitala, podstąpiwszy ku niej—oto wizyta, którą ci zapowiedziałem. Pan prokurator ma ci postawić kilka pytań. Będzie on starał się jak najmniej cię utrudzić, ale musi, gdy dla wyjaśnienia sprawy potrzebuje twych zeznań. Odpowiadaj mu z całą ufnością i mów szczerą prawdę.

— Panie—wyjąkała Magdalena głosem osłabionym—chciałabym przedewszystkiem wiedzieć, dla czego ja tutaj znajduję się?

— Jeżeli pani rzeczywiście nie wiesz, to dowiesz się o tem wkrótce — odrzekł prokurator — ale pamiętaj pani, że to ja tylko mam prawo zapytywać, pani zaś obowiązkiem jest odpowiadać...

Słowa te, wyrzeczone sucho i tonem prawie surowym, wywarły na nią bardzo bolesne wrażenie. Instynktownie zrozumiała, że człowiek, który do niej przemówił, nie okaże jej litości.

— Jestem gotową panu odpowiadać — odrzekła wylękniona.

Prokurator dał znak pisarzowi, by zasiadł do pisania.

— Nazwisko pani?

— Magdalena Gallier.

— Wiek?

— Lat dziewiętnaście.

— Czy zamężna?

— Nie.

— Miejsce urodzenia?

— Paryż, ulica de Lancry, nr 10-ty.

— Zajęcie pani?

— Zajmowałam się szyciem dla magazynów ubrania.

— Czyś pani mieszkała sama przy ulicy Ernestyny?

— Sama.

— Gdzie przebywają rodzice pani?

— Nie mam rodziców. Najprzód straciłam ojca, już bardzo dawno temu, a matka zmarła przed rokiem...

— Czy dochód z pracy wystarczał pani na życie?

— Niezupełnie, tembardziej, że nie zawsze miałam pracę... Często cierpiałam niedostatek...

— Czy chcesz pani przez to powiedzieć, że nikt nie przychodził ci z pomocą?

Magdalena uczuła krew występującą na twarz, opuściła głowę i nic nie odrzekła.

— Miałaś pani kochanka—ciągnął dalej prokurator tonem surowym.

— Tak, panie—odrzekła, podnosząc nagle głowę—miałam na moje nieszczęście! Kochałam nikczemnika, który mnie uwiódł, oszukał i zgubił!...

— Uspokój się pani! Uwodzą tylko takie, które tego pragną! Później pomówimy o nim... Od jak dawna mieszkałaś pani przy ulicy Ernestyny?

— Od dwóch tygodni.

— A przedtem gdzie?

— Przy ulicy Rodier.

— Czy to w przewidywaniu słabości przeniosłaś się pani na ulicę Ernestyny?

— Tak, panie... zresztą wymówiono mi lokal.

XXXXI.

— O której godzinie rozchorowałaś się pani... przypuszczam bowiem, że pamiętasz, iż wydałaś na świat dziecię?...

Zamiast odpowiedzi Magdalena nagle uniosła się na łóżku i rzekła:

— Moje dziecko... Pan mówi o mojem dziecku... Ależ, panie, mojem jedynem pragnieniem, jedyną myślą, jedynem marzeniem jest dowiedzieć się, co stało się z tem dziecięciem, którego nawet nie ucałowałam, nie przycisnęłam do serca po przebudzeniu się z tego długiego snu, czy też choroby, podczas której, jak mi powiedziano, byłam zawieszona między życiem i śmiercią! Gdzie ono jest, to dziecię moje? Czy to chłopczyk, czy dziewczynka? Dla czego mi je zabrano? Dla czego, skoro nie znaleziono go przy mnie, gdy uprowadzano mnie z mego ubogiego mieszkania, by umieścić tutaj, nie szukano go? To obchodzi mię więcej niż wszystko inne na świecie... bo jestem matką... O tem chcę wiedzieć...

— Uspokój się, moje dziecko—rzekł doktór podstąpiwszy ku niej—nie unoś się. Ci panowie potrzebują, byś odpowiadała z krwią zimną... Egzaltacja zaszkodzi ci tylko...

Doktór kazał jej dać łyżkę lekarstwa, pod wpływem którego chora uspokoiła się o tyle, że badanie znowu rozpoczęte zostało, tylko na ten raz przemówił do niej sędzia śledczy.

— Doktór ci dobrze radzi, moje dziecko—rzekł głosem łagodnym, pozostającym w sprzeczności z surowym tonem prokuratora—mów spokojnie.

— Dobrze... panie...—wyłkała Magdalena, przez łzy tryskające z oczu.

— Gdy wydałaś na świat dziecię, czy nie przyszła ci, może pod wpływem gorączki, myśl ukrycia go dla usunięcia dowodu swego błędu?

— Ja!... ja!... mogłam mieć taką myśl! — zawołała z wyrazem najwyższej zgrozy na twarzy.—Więc jeżeli dobrze zrozumiałam, jestem obwinioną o dzieciobójstwo! Ależ to straszne! to potworne! Więc dla tego, że zdarzają się matki zabijające swe dzieci, to pan sądzisz, że i ja jestem taką?

— Gwałtowne zaprzeczenia nie dowodzą niczego... Zastanów się... Gdybyś nie ukryła dziecka, znalezionoby je przecież żywe lub zmarłe... Wszystko cię obwinia i wina twoja jest widoczną...

— Boże mój!... Boże mój!... Ależ ja nie jestem winną—łkała biedna—to *on* zabił moje dziecię, tak jak chciał mnie zamordować!...

— *On*—powtórzył sędzia śledczy.—O kim mówisz?

Prokurator wzruszył ramionami.

Twarz Magdaleny wyrażała teraz gniew, usta jej drżały i ręce zaciskały się kurczowo.

— Mówię o tym, którego kochałam — odrzekła głosem syczącym—o nikczemniku, któremu, wierząc jego słowu, oddałam się, w przekonaniu, że oddaję się mężowi, o tym zabójcy mego dziecka... Od niego żądajcie panowie dowodu mojej niewinności!...

— Ładną obmyśliłaś bajkę dla usprawiedliwienia się...

— Bajkę! Nie, panie, to nie bajka, ale prawda straszna... Opowiem ją...

Zabrakło jej głosu i osłabiona padła na poduszki.

Gdy po kilku minutach nieco wzmocniona, mogła już mówić, rozpoczęła głosem cichym i złamanym historję swego życia od chwili pierwszego spotkania się z tym, którego znała pod nazwą Juljusza Merciera. Nie zapomniała o niczem i nie ukrywała niczego, ani swej słabości, ani cierpień fizycznych i moralnych, ani niedostatku doznanego po opuszczeniu jej przez Merciera.

Opowiadając koleją wypadków, doszła nareszcie do owej nocy strasznej, podczas której spełnioną została zbrodnia.

— Tak — mówiła, blada ze zgrozy na to wspomnienie — słysząc moje krzyki, mogące zaalarmować mieszkańców domu, wyrwał z pod głowy mojej poduszkę i nacisnął nią twarz moją, by mię udusić... Chciałam się bronić i wzywać pomocy, ale on był silniejszy odemnie i wkrótce pokonana, omdlałam... Co nastąpiło od tej chwili aż do odzyskania przytomności w szpitalu, nie wiem.

Wybuchła łkaniem i twarz ukryła w dłonie.

Urzędnicy odeszli od łóżka i naradzali się po cichu.

— Co pan myślisz o tem wszystkiem?—zapytał prokurator sędziego śledczego.

— Nic dotychczas. Dla sformułowania sobie opinji potrzebuję jeszcze wielu szczegółów... a przedewszystkiem sprawdzić jej opowiadanie.

Po upływie kwadransa, Magdalena, dzięki nowej łyżce lekarstwa wzmacniającego, uspokoiła się znowu.

Urzędnicy podeszli do łóżka i sędzia śledczy zapytał:

— Czy żądałaś pani od niego, by sprowadził akuszerkę?

— Żądałam wielokrotnie i na długi czas przed tym dniem...

— Cóż on odpowiedział?

— Że zajmie się tem.

— A w dzień rozwiązania?

— Powiedział, że był u dwóch i że jedna z nich przyjdzie napewno.

— Dla czegoż pani sama nie zamówiłaś?

— On mi zabronił... byłam posłuszną.

— Czy to nie było posłuszeństwo posunięte za daleko?

— Wierzyłam mu... nie podejrzewałam... Niech pan pomyśli tylko!... Przyrzekł dać nazwisko memu dziecięciu, nie chciałam go więc gniewać.

— Co pani myślałaś uczynić z tem dzieckiem?

— Chować je przy sobie i karmić samej... Czyż mogłam się zgodzić na rozstanie się z niem?

— Czy przygotowałaś pani potrzebną bieliznę?

— Tak, panie, miałam całą wyprawę...

Sędzia śledczy zapytał wzrokiem prokuratora, który odpowiedział mu potwierdzająco.

— Miałam jeszcze jedną rzecz—dodała Magdalena — mianowicie kilka listów jego, a między niemi jeden, w którym mówił mi o *naszem dziecku*, słyszy pan, *naszem*, mającem przyjść na świat...

— Nie znaleziono żadnego listu.

— Żadnego!—powtórzyła osłupiała. — Ależ było ich siedm, cała paczka, obwiązana błękitną wstążką, a obok niej sześćset franków...

— Skąd pani miałaś te pieniądze?

— On mi je dał na koszta mej słabości.

— Nie znaleziono ani pieniędzy, ani listów...

— Ach—odrzekła drżąc całem ciałem—ach, potwór!... potwór!...

— Więc pani utrzymujesz, że byłaś ofiarą tego człowieka i oskarżasz go o usiłowanie zamordowania ciebie, o ukrycie twego dziecka, o zabranie listów i pieniędzy, które ci dał?

— Obwiniam go o to wszystko, panie sędzio, i proszę o sprawiedliwość i zemstę!

— Strzeż się pani!

— Dla czego?

— Nierozważne oskarżenie to broń obosieczna, mogąca się zwrócić przeciw oskarżycielowi?

— Powiedziałam prawdę!

— Ale nie przedstawiasz pani dowodów. Ile razy człowiek, o którym mówimy, przychodził do pani na ulicę Ernestyny?

— Pięć lub sześć razy.

— Czem pani wytłómaczysz, że nikt go nie widział ani wchodzącego ani wychodzącego.

— Nie umiem wytłómaczyć sobie tego, nie wiem w jaki sposób urządzał się, by zostać niewidzianym.

— To zdaje się rzeczą niemożliwą.

— A jednak tak było, przysięgam na to!

— Odźwierna utrzymuje, że już na dwa dni przed rozwiązaniem nie wychodziłaś pani z mieszkania. A ponieważ zaopatrzyłaś się w prowizje, jak chleb, wino, ciastka, można więc przypuszczać, że pragnęłaś odbyć słabość samotnie, bez świadków.

— Przypuszczenie takie byłoby mylne. Zresztą większą część tej prowizji przyniósł on w ów dzień, rano.

— Jakim sposobem zawiadomiłaś go pani?

— Wysłałam list.

— Przez pocztę?

— Nie, przez posłańca.

— Do niego?

— Nie, na ulicę Luc-Lambin, do jakiegoś kuzyna jego, do którego chodził codziennie dla widzenia się z matką.

— Jak się nazywa ten kuzyn?

— Karol Brisson.

— Czy znasz go pani?

— Nie znam.

— Ale nie powiedziałaś nam pani jeszcze nazwiska człowieka, na którego zwalasz zbrodnię, o jaką cię obwiniają.

— Nazywa się Juljusz Mercier.

— Gdzie mieszka?

— Ulica Faubourg-du-Temple, nr 104-ty.

— Zastanów się pani, zanim nam każesz szukać tego Merciera. Nie staraj się wprowadzić w błąd sprawiedliwości! Jeżeli to, co nam opowiedziałaś, jest tylko z góry obmyślaną bajką, to spotka cię za to odpowiedzialność.

— Rozumiem dobrze, że kłamstwo zgubiłoby mnie.

— Czem się zajmuje ten Mercier? Z czego się utrzymuje?

— Nie wiem...

— Ależ to być nie może!

— Dla czego, proszę pana? Nigdy nie opowiadał mi historji swego życia, a ja nie pytałam go. Przypuszczałam, że grał na giełdzie...

— A jednak mówił pani o swej matce.

— Mówił mi, że mieszkała na prowincji, że była zamożną i że wypłacała mu pensję.

— Ile lat ma ten Mercier?

— Najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Magdalena z osłabienia mówiła głosem już tak cichym, że z trudnością można było słyszeć jej odpowiedzi

— Dalsze badanie byłoby okrucieństwem — szepnął doktór do ucha sędziemu śledczemu.—Jeżeli pan ma jeszcze uczynić jej jakie pytania, prosiłbym odłożyć je do jutra.

— Jak na teraz badanie już skończone—odrzekł sędzia i wraz z urzędnikami przeszedł do pokoju sąsiedniego.

XXXII.

— Jakie jest zdanie pana prokuratora? — zapytał sędzie śledczy.

— Jestem przekonany, że kobieta ta stara się nas w błąd wprowadzić i że opowiedziała nam powiastkę naprzód obmyślaną. A pan co myślisz?

— Dotychczas nic jeszcze... Potrzebujemy niektórych wyjaśnień i zdaje mi się, że łatwo je otrzymamy. Czy pan prokurator raczy przyjść jutro rano do mojej kancelarji dla porozumienia się?

— Dobrze, przyjdę.

W tej chwili przystąpił do nich ordynator szpitala.

— A co pan myśli o historyjce, opowiedzianej przez tę dziewczynę?—zapytał go prokurator.

— Myślę, że może być prawdziwą.

— Na serjo?

— Nie twierdzę stanowczo, lecz uderzył mię w słowach tej nieszczęśliwej kobiety ton zupełnej szczerości.

— Czy nie uważa pan za właściwe przenieść ją do infirmerji św. Łazarza?

— Groziłoby to jej niebezpieczeństwem. Jej stan jest bardzo niepokojący a długie dzisiejsze badanie o wiele dni opóźniło jej wyleczenie... Jest osłabioną do najwyższego stopnia. Niech pan pozostawi ją pod moją opieką jeszcze na czas jakiś, a tymczasem prowadzi śledztwo bez jej udziału, jeżeli to rzecz możliwa.

Urzędnicy opuścili szpital. Od tej chwili prowadzenie sprawy należało do sędziego śledczego.

Zbrodnia dzieciobójstwa nie ulegała zaprzeczeniu, chodziło tylko o zbadanie, jaki w niej udział mogła mieć sama matka. Że jakiś Juljusz Mercier istniał, było rzeczą prawie pewną, ale czy rzeczywiście odegrał rolę, jaką przypisywała mu Magdalena Gallier, czy chciał ją zamordować, czy zabrał dziecię dla zabicia go, czy też w celu ukrycia? Wszystkie te punkta należało wyjaśnić.

Następnego dnia rano prokurator przybył do kancelarji sędziego śledczego i po naradzie oświadczył, iż sam będzie kierował poszukiwaniami. Ponieważ chodziło przedewszystkiem o odszukanie Juljusza Merciera, bez zwłoki więc wprost z posiedzenia wraz z inspektorem policji udał się na ulicę Foubourg-du-Temple do domu, wskazanego przez Magdalenę

— Czy p. Juljusz Mercier u siebie? — zapytał odźwierną.

— P. Mercier nie mieszka już tutaj.

— Od jak dawna?

— W tej chwili powiem.

Odźwierna, która równie jak jej towarzyszka z ulicy Luc-Lambin wynajmowała pokoje umeblowane, posiadała książkę policyjną. Przedstawiła ją prokuratorowi, który z zapisanej daty przekonał się, iż zgadzała się ona z datą wyprowadzenia się Magdaleny na ulicę Ernestyny.

— Groziłoby to jej niebezpieczeństwem. Jej stan jest bardzo niepokojący a długie dzisiejsze badanie o wiele dni opóźniło jej wyleczenie... Jest osłabioną do najwyższego stopnia. Niech pan pozostawi ją pod moją opieką jeszcze na czas jakiś, a tymczasem prowadzi śledztwo bez jej udziału, jeżeli to rzecz możliwa.

Urzędnicy opuścili szpital. Od tej chwili prowadzenie sprawy należało do sędziego śledczego.

Zbrodnia dzieciobójstwa nie ulegała zaprzeczeniu, chodziło tylko o zbadanie, jaki w niej udział mogła mieć sama matka. Że jakiś Juljusz Mercier istniał, było rzeczą prawie pewną, ale czy rzeczywiście odegrał rolę, jaką przypisywała mu Magdalena Gallier, czy chciał ją zamordować, czy zabrał dziecię dla zabicia go, czy też w celu ukrycia? Wszystkie te punkta należało wyjaśnić.

Następnego dnia rano prokurator przybył do kancelarji sędziego śledczego i po naradzie oświadczył, iż sam będzie kierował poszukiwaniami. Ponieważ chodziło przedewszystkiem o odszukanie Juljusza Merciera, bez zwłoki więc wprost z posiedzenia wraz z inspektorem policji udał się na ulicę Foubourg-du-Temple do domu, wskazanego przez Magdalenę

— Czy p. Juljusz Mercier u siebie? — zapytał odźwierną.

— P. Mercier nie mieszka już tutaj.

— Od jak dawna?

— W tej chwili powiem.

Odźwierna, która równie jak jej towarzyszka z ulicy Luc-Lambin wynajmowała pokoje umeblowane, posiadała książkę policyjną. Przedstawiła ją prokuratorowi, który z zapisanej daty przekonał się, iż zgadzała się ona z datą wyprowadzenia się Magdaleny na ulicę Ernestyny.

XXXIII.

— Jaki interes mógł mieć ten Mercier w usunięciu swojego dziecka?

— Ja nie wiem — odrzekła chora — mogę tylko przypuszczać. Domagałam się, by dotrzymał obietnicy i dał nazwisko swemu dziecku, więc zapewne w celu uchylenia się od tego obowiązku zabił dziecię w mniemaniu, że zamordował już jego matkę.

— To mylne przypuszczenie. Zamiast popełniać dwie zbrodnie, mogące go zaprowadzić na galery, a nawet na gilotynę, mógł tylko odmówić spełnienia swej obietnicy i opuścić cię zupełnie.

— Nie śmiał... on był tchórzem... lękał się mnie.

— Lękał się? Czy groziłaś mu więc?

— Powiedziałam, że będę go prześladowała wszędzie, że odszukam go gdziekolwiek by się ukrył, że będę się go czepiała na każdym kroku i nie cofnę się przed żadnym skandalem, byle tylko uzyskać sprawiedliwość.

— Moje dziecko, zapominasz, że dość mu było tylko o groźbach tych zawiadomić prefekta policji, który wezwałby ciebie do swej kancelarji i nakazał milczenie, gdyż praw nie miałaś żadnych.

— Jakto, żadnych? Czy nie oszukał mnie haniebnie kłamliwemi obietnicami?

— Czy przyrzekał ożenić się z tobą?

— Nie tylko przyrzekał, ale przysięgał; dodawał tylko, że ożenić się natychmiast nie może z powodu przeszkód stawianych mu przez rodzinę.

— Czy znałaś pani jego rodzinę?

— Nie, gdyż mieszkała na prowincji.

— Czy jesteś pani pewną, że nie był on żonatym?

— Żonatym! nie panie! nie mógł być żonatym. Prawie przez cały rok mieszkaliśmy jakby razem i zdaje mi się, że mnie kochał—odrzekła Magdalena z westchnieniem.

— Czem on się zajmował?

— Zdaje mi się, że niczem...

— Z czego pani żyłaś?

— Z początku trochę pracowałam, a później on zawsze miewał pieniędze.

— Skąd je miał?

— Mówił, że od rodziny.

— Czy często wydalał się z domu?

— W dzień bardzo rzadko, ale każdego wieczoru wychodził do jakiejś starej krewnej, po której spodziewał się sukcesji i przesiadywał tam bardzo długo.

— Czy masz pani jakikolwiek dowód, że nazywał się on rzeczywiście Juljusz Mercier?

— Nie mam żadnego i nie starałam się nawet o to. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że on mnie oszukuje.

— Czy masz pani jego fotografję?

— Nie, gdyż ile razy prosiłam go o nią, odpowiadał mi zawsze śmiejąc się:—„Ponieważ posiadasz oryginał, więc po cóż ci portret?“

— Więc ostatecznie nie możesz pani udzielić mi żadnych dokładniejszych szczegółów?

— Nie mogę, panie, nic nie wiem więcej. Kochałam go... wierzyłam mu, reszta była mi obojętną...

— A jednak to jest niepodobieństwem, aby coś szczególnego nie uderzyło pani... przecież żyłaś z nim tak długo... Niech pani pomyśli... lada okoliczność, nie mająca w oczach pani żadnej wagi, może nas naprowadzić na ślad...

Magdalena pochyliła głowę, namarszczyła brwi i wytężyła pamięć.

— Niech-no pan poczeka... niech-no pan poczeka...—rzekła nagle.

Prokurator nie spuszczał z niej oczu; jego wzrok badawczy chciał sięgnąć aż do głębi jej duszy.

— Cóż?—zapytał po chwili—czy przypomina co pani sobie?

— Nosił on na palcu pierścień z drogim kamieniem... Pytania pańskie budzą we mnie pewne podejrzenie...

— Jakie?

— Że może on ukrywał swe rzeczywiste nazwisko i że nie nazywał się zapewne Juljusz Mercier.

— Czy to ten pierścień naprowadza panią na tę myśl?

— Tak.

— Wytłómacz się pani jaśniej.

— W kamieniu tym wyryta była korona hrabiowska, jak mi sam mówił.

— Jakim sposobem mógł przyjść do posiadania tego pierścienia?

— Mówił, że dostał go w prezencie.

— Czy kłamał, czy mówił prawdę, nie daje nam to żadnej wskazówki.

— Nic nie wiem więcej—szepnęła Magdalena.

— Niech pani jeszcze przypomina sobie... niech pani szuka w pamięci. Dla odnalezienia tego człowieka musimy mieć jakąś wskazówkę—bez niej nie znajdziemy go.

Usłyszawszy te słowa Magdalena podniosła się z oczyma iskrzącemi.

— Ach! — zawołała — panowie nic nie możecie uczynić! Więc mu to ujdzie bezkarnie, a ja zostanę obwinioną, ja, i to o zbrodnię, która przejmuje mnie zgrozą! Posiadacie panowie policję, której zadaniem odkrywać zbrodniarzy i pan mi mówi, że nic nie możecie uczynić! Więc po cóż panowie istniejecie? Ach, niech Bóg tylko przedłuży mi życie i wróci mi wolność, a ja potrafię go wyśledzić, znajdę go i oddam go w ręce wasze! Ten człowiek myślał, że zamordował mię i zabił moje dziecię. Domagam się sprawiedliwości i zemsty!

Na to nie było co odpowiedzieć.

Prokurator opuścił Magdalenę i udał się do sędziego śledczego, któremu opowiedział rezultat badań.

— Z tego wszystkiego wypływa dowód—dodał— a przynajmniej domniemanie, że oboje byli wspólnikami. On czuje się bezpiecznym, bo wie, że Magdalena go nie wyda, ona zaś rachuje, że wyjdzie cało z tej sprawy dobrze odgrywając komedję. Każ pan szukać tego Merciera, ja zaś zajmę się przesłuchaniem świadków.

Sprawa ciągnęła się wolno, usiłowania policji nie przyniosły żadnego światła.

Po upływie miesiąca stan zdrowia Magdaleny poprawił się tak dalece, iż przewieziono ją do infirmerji więzienia św. Łazarza.

Dwa razy jeszcze sędzia śledczy przychodził ją badać, ale otrzymał tylko powtórzenie dawnych odpowiedzi.

Juljusz Mercier przepadł bez śladu. Zresztą oprócz niejasnego podejrzenia, rzuconego nań przez Magdalenę, żadnego nie było dowodu jego wspólnictwa w zbrodni. Tym sposobem tylko na niej jednej zaciężył zarzut dzieciobójstwa.

Już od trzech miesięcy nieszczęśliwa kobieta siedziała w więzieniu, z każdym dniem spostrzegając wyraźniej trudność przekonania sądu o swej niewinności.

— Oni mnie potępią — mówiła do siebie z rozpaczą—a potępiając, posłuszni będą głosowi sumienia. Ach, dla czegoż mnie nie zabił, ten nikczemnik! Wołałabym nie żyć... gdybym zmarła, nie cierpiałabym tyle!...

Choroba i długie cierpienia fizyczne i moralne wycieńczyły ją i pokryły jej twarz przezroczystą bladością, nie pozbawiły jednak piękności, a smutek, rozlewający się na jej obliczu, nadawał jej urok poetyczny. Jej wielkie oczy zwłaszcza, prawie zawsze przysłonięte łzami, posiadały jakiś wyraz rzewny młodej męczenniczki.

Tymczasem akta sprawy zostały przesłane do sądu i za kilka dni Magdalena miała już stanąć przed przysięgłymi.

Na tę wiadomość ogarnęła ją znowu rozpacz straszna. Nie mogła uspokoić się na myśl, że pod strażą, jak zbrodniarka przechodzić będzie przez ciekawy i nieprzyjazny tłum ludzi, wskazujących ją palcami i przeklinających.

Towarzyszki więzienia radziły jej zamówić adwokata.

— Trzeba mu zapłacić, a ja nie mam pieniędzy...

— Więc zażądaj pani, by wyznaczono ci obrońcę z urzędu.

— A jeśli mi odmówią?

— Nie mogą odmówić, gdyż prawo nakazuje.

Magdalena wiedząc, jak dalece była zaplątaną w sieć dowodów kłamliwych, uważała się z góry za potępioną i nie chciała się już nawet bronić.

— I do czegoż to posłuży? Adwokat będzie napróżno mówił, nie uwierzą mu, nie mogą mu uwierzyć...

W końcu jednak ustąpiła i zażądała obrońcy.

Następnego dnia zawiadomiono ją, że ktoś chce się z nią widzieć.

Był to adwokat, człowiek młody, najwyżej dwudziestopięcioletni, zdolny i mający przed sobą przyszłość.

Magdalena ze łzami w oczach opowiedziała mu opłakaną swoją historję.

— Przekonałaś mię pani—odrzekł wysłuchawszy ją uważnie.—Przekonałaś mnie pani, jakkolwiek w jej opowiadaniu wiele jest punktów ciemnych zarówno dla mnie jak i dla pani. Cała rzecz w tem, bym przekonanie moje zdołał przelać w przysięgłych, a o to będę się starał wszystkiemi siłami. Niech pani nie traci nadziei i rachuje na mnie...

— Dziękuję panu — odrzekła młoda kobieta. — Serdecznie jestem panu wdzięczną za okazaną mi litość; ale by mnie ocalić, potrzeba chyba cudu, bo czuję, że wszystko przeciw mnie się sprzysięgło i sam Bóg mię opuścił...

Rzeczywiście Magdalena nie mogła mieć nadziei!...

XXXIV.

Czas upływał nie przynosząc najmniejszej ulgi w smutku Juljuszowi Claude.

Młody człowiek unikał wszelkich rozrywek i pracował z zawziętością gorączkową. Praca tylko i idące za nią utrudzenie były w stanie chwilowo przy-

tłumić pożerające jego duszę wyrzuty, ale jakże krótkie były te chwile ukojenia! Zaledwie odłożył pędzel na stronę, głos sumienia odzywał się na nowo.

Szalona miłość jego, miłość beznadziejna, wzrastała ciągle, zawładając wszystkiemi myślami jego, płynąc w żyłach wraz z krwią.

Wiemy, że każdej niedzieli odbywał wycieczki do Chennevières, by ujrzeć choć zdaleka młodą dziewczynę i niekiedy, gdy pogoda była piękną, udawało mu się dostrzedz ją przez drzewa. Wtedy serce jego uderzało gwałtownie, doświadczał jakiejś roskoszy bolesnej. Lecz skoro czarodziejska jej postać znikała, współcześnie rozwiewało się i jego szczęście, ustępując miejsca jeszcze gwałtowniejszej, niż doznawał przedtem, boleści. Ze złamaną duszą i ciałem wracał wtedy do Paryża, przyrzekając sobie:

— Nie wrócę już nigdy... I po co mam się tam udawać?

Ale w następną niedzielę powracał znowu i dla usprawiedliwienia swej słabości przed samym sobą, szeptał:

— To co uczyniłem jest szaleństwem i tylko zwiększa me cierpienia... wiem o tem, lecz naprożno walczę... nie mam już sił...

Nadszedł listopad, lecz koniec jesieni tak zwykle piękny i pogodny, w roku tym był smutnym bardzo. Dni były pochmurne i dżdżyste, poranki i wieczory chłodne. Trawniki nie nęciły oka kwieciem drzewa przedwcześnie utraciły liście.

Henryka prawie nie wychodziła z pokoju. Juljusz przestał ją widywać, mimo to jednak każdej niedzieli błąkał się pod tarasem i karmił się wspomnieniami. Od czasu do czasu przypominał sobie nocny dramat na cmentarzu la Chapelle, a wtedy przychodziła mu na myśl Magdalena Gallier.

Pewnego dnia udał się do szpitala Lariboisière dowiedzieć się, czy teraz przypadkiem nie uda mu się widzieć jej bez pozwolenia sądu.

Odpowiedziano mu, że Magdalenę oddawna przeniesiono do więzienia św. Łazarza.

Juljusz nie mógł pójść do więzienia i bez ważnego powodu żądać rozmowy z Magdaleną. Zresztą powód można było znaleść, lecz młody człowiek zanadto zajęty był swą miłością, by miał czas na szukanie środków usunięcia jakiejkolwiek trudności.

Pewna okoliczność jednak miała go wkrótce zbliżyć do niej.

Dyrektor więzienia św. Łazarza został powołany na posadę inną, następca zaś jego, człowiek, posiadający oprócz pensji dość znaczny majątek osobisty, postanowił odnowić swoim kosztem apartament dyrektorski. Ułożył się więc z przedsiębiorcą, a że przypadkiem był to ten sam, który roboty powierzał Juljuszowi Claude, znane więc nam kółko dekoratorów otrzymało pracę w więzieniu św. Łazarza.

Juljusz przypomniał sobie wtedy Magdalenę i postanowił korzystać z tej sposobności, by zobaczyć się z nią.

Pewnego dnia przyszedłszy wcześniej niż zwykle, udał się do dozorcy więzienia i zapytał o Magdalenę Gallier.

— Magdalena Gallier?—powtórzył dozorca przypominając sobie—czy nie obwiniona o dzieciobójstwo?

— Ta sama.

— Jest jeszcze.

— Czy skazana już?

— Jeszcze nie, lecz dzisiaj ma się stawić przed sądem dla wysłuchania wyroku.

— Czy jesteś pan pewnym, że dzisiaj?

— Najpewniejszym.

Claude pożegnał go i oddalił się do pracy.

— Biedna kobieta!—myślał—więc stanie przed sądem, zapewne wraz z tym łotrem z cmentarza, którego musiano odszukać. Wątpię, czy uda mu się wywinąć z tej sprawy, gdyż spodziewam się, że przysięgli, choć często pobłażliwi aż do głupoty, na ten raz okażą się surowymi!... Trzeba tam pójść...

XXXV.

Gdy Claude przybył do sali sądowej, publiczność zapełniała już ją po brzegi, ale młody człowiek docisnął się jednak do pierwszych szeregów.

Po kilku minutach woźny ogłosił wejście sędziów. Wszyscy powstali i odkryli głowy. Sędziowie i przysięgli zajęli swe miejsca.

Po osądzeniu pierwszej sprawy o nadużycie zaufania, nie przedstawiającej żadnego interesu, nastąpiła chwilowa pauza, po której weszli znowu sędziowie i rozpoczęli przerwane posiedzenie.

Wprowadzono Magdalenę Gallier i posadzono na ławie oskarżonych. Zachowanie się młodej kobiety było pełne godności, cała jej postawa wyrażała skupienie i rezygnację.

Wśród publiczności szeptano:

— Co ona zrobiła?

— Zabiła swoje dziecko.

— Przystojna...

— Rzeczywiście, tylko za szczupła i zanadto blada.

Juljusz nie mógł oderwać oczu od twarzy Magdaleny.

Rozległ się głos dzwonka, nastąpiło milczenie i rozpoczęło się czytanie aktu oskarżenia.

Akt ten napisany bardzo zręcznie i logicznie, w konkluzji swojej był bez litości. Zdawał się on dowodzić w sposób nie ulegający zaprzeczeniu, że Magdalena Gallier winną jest zbrodni dzieciobójstwa we współce z niejakim Juljuszem Mercier, którego miejsca pobytu nie chce wydać umyślnie i paraliżuje a przynajmniej stara się w błąd wprowadzić sprawiedliwość przez niedorzeczne zeznanie i romantyczne zmyślenia. Akt ten opowiadał wszystkie szczegóły, znane czytelnikom od chwili wejścia komisarza policji do domu przy ulicy Ernestyny, gdzie znalazł młodą kobietę leżącą bez przytomności.

Słuchając tego strasznego oskarżenia, Magdalena zwróciła pełne łez oczy na krzyż stojący na stole i ukrywszy twarz w dłonie, łkała boleśnie.

Widziała się zgubioną bezpowrotnie; napróżno mówiła sobie, że jest niewinną, zbrodnia jej wydawała się jasną jak dzień. W obec faktów podanych przez akt oskarżenia, niepodobieństwem było, by sędziowie mogli się zawahać choć na chwilę.

Młody adwokat, broniący ją z urzędu, nachylił się ku niej i szepnął:

— Odwagi, a przedewszystkiem nadziei! Nic niema jeszcze straconego... Niech panią nie przestraszają i nie mieszają ani pytania, jakie ci dawać będą, ani publiczność. Odpowiadaj pani swobodnie i śmiało.

Rozpoczęło się badanie.

Po kilku wstępnych formalnościach, prezes sądu zapytał:

— Magdalena Galler, czy zaprzeczasz, żeś zamordowała swe dziecko?

Młoda kobieta zadrżała całem ciałem, lecz przypomniawszy sobie radę obrońcy, podniosła głowę i głosem łagodnym lecz stanowczym, odrzekła:

— Tak, panie, zaprzeczam!... Zaprzeczam ze wszystkich sił moich!... Jak powiedziałam już tym panom, którzy mnie badali, powtarzam i w tej chwili, że nie popełniłam zbrodni, o jaką mnie obwiniają. Samo jej wspomnienie budzi we mnie zgrozę!... Byłam nieszczęśliwą, opuszczoną, pozostawiona byłam samej sobie, prawie umierałam z głodu, ale jeśli walczyłam z opuszczeniem, nędzą i głodem, to dla tego, iż podtrzymywała mnie nadzieja, że uścisnę drogą istotę, jaką nosiłam w mem łonie... Ileż to razy w tych strasznych, długich chwilach zwątpienia przychodziła mi myśl pozbawić się życia!... lecz jeśli nie uczyniłam tego, to tylko przez wzgląd, że wtedy okazałabym się złą matką i, że zabierając wraz z sobą do grobu dziecię, popełniłabym czyn, o jaki jestem oskarżaną w tej chwili... Byłam ofiarą nikczemnika, a mnie podejrzewają, że z uporem ukrywam miejsce jego pobytu i chcę wprowadzić w błąd sprawiedliwość!... Ależ ja powiedziałam prawdę, nie zmyśliłam ani jednego słowa! Dla czegóż miałabym bronić zbrodniarza, który mnie zgubił? To nie człowiek, lecz potwór! Usiłował mnie zamordować, zabił moje dziecię... i jabym go oszczędzała? Gdybym tak postąpiła, należałoby mnie stawić nie przed sądem przysięgłych, ale odesłać do domu obłąkanych!... Gdzie dzisiaj znajduje się ten nikczemnik, gdzie się ukrył? nie wiem, ale bez wahania oddałabym życie moje, gdybym mogła tutaj, w tej chwili powtórzyć mu to samo i wykazać moją niewinność! To, co mówię, jest

prawdą, jest świętą prawdą! Przysięgam na nią wobec Boga!

Nie mogła mówić dalej, gdyż zabrakło jej tchu. Głos jej z początku dość silny, stał się w końcu cichym, stłumionym przez łkanie.

Na sali wśród publiczności kobiety płakały, wielu mężczyzn nie mogło ukryć wzruszenia.

Juljusz Claude był wzburzony. Na chwilę otworzył usta i chciał się podnieść, by zawołać:

— Wszystko, co ona powiedziała, jest prawdą, gdyż widziałem sam zbrodniarza, zakopującego ciało dziecka na cmentarzu!

Ale nie powstał i nie powiedział tego.

— Poczekam jeszcze — pomyślał — będzie czas na to.

Badanie rozpoczęło się znowu.

Prezes pragnąc jak najspieszniej odzyskać wrażenie, utracone przez oskarżenie w skutek odpowiedzi Magdaleny, zarzucił ją pytaniami, usiłując ją zmieszać i pochwycić na sprzeczności. Ale młoda kobieta odpowiadała jasno, przytomnie, nie okazując najmniejszego zmieszania. Powtórzyła wszystko, co zeznała przed sędzią śledczym i prokuratorem, opowiedziała swój stosunek do Merciera i chwile rozwiązania, podczas którego zbrodniarz chciał uwolnić się od niej przez uduszenie.

Opowiadanie to wywołało wśród publiczności tak głośne okrzyki zgrozy, iż prezes zagroził opróżnieniem sali.

Po zeznaniach Magdaleny przystąpiono do badania świadków, z którego okazało się tylko tyle, że Juljusz Mercier i Karol Brisson byli jedną i tą samą osobą i że starania, z jakiemi usiłował zatrzeć za sobą ślady, czyniły prawie pewną jego winę.

Poczem nastąpiło czytanie wniosków prokuratora.

Jak wszystkie tego rodzaju akty i ten był piorunujący. Po napiętnowaniu ogólnem matek bezwstydnych i pozbawionych serca, rozpoczynających od sprzedania swej czci, a kończących na zabijaniu owoców swego wstydu, w końcu prokurator zwracając się do Magdaleny, mówił:

— Tak, sędziowie, ona jest winną! Pomimo braku środków do życia, nie chciała, jak wiemy z zeznania świadka wiarogodnego, udać się do przytułku dla odbycia słabości, a niechęć ta dowodzi z góry obmyślanej zbrodni!... Gdyby w duszy jej istniały choć ślady instynktu dobrej matki, nie odrzuciłaby udzielanych jej rad dobrych i nie siedziałaby dzisiaj na ławie hańby!... Magdalena Gallier popełniła dzieciobójstwo wspólnie z Juljuszem Mercier, którego prawo powinno również ukarać i który prędzej lub później wpadnie w ręce sprawiedliwości. Żądam od sędziów przysięgłych, by nie poddali się uczuciu litości... Wyrodne matki tworzą dziś cały legjon! Pobłażliwość, nawet względna, zwiększyłaby ich liczbę! Surowością kary powstrzymajmy od zbrodni inne. Panowie sędziowie, proszę was o zastosowanie najwyższego stopnia kary!

Magdalena, pochyliwszy głowę, płakała.

W sali kilka osób przypuszczało jej niewinność, ale wszyscy wierzyli, że zostanie potępioną.

— Biedna kobieta...—mówił do siebie Juljusz.— Co czynić? czy wystąpić teraz?

Chciał zwrócić się do prezesa z oświadczeniem, że pragnie uczynić ważne zeznanie, ale zabrakło już czasu, gdyż adwokat Magdaleny powstał i rozpoczął obronę.

Był to, jak powiedzieliśmy, człowiek młody, zdolny i rzecz najważniejsza, wierzył w niewinność Magdaleny, co nadawało obronie jego cechę szczerości.

Krytykując po kolei argumenty prokuratora, tak napozór niewzruszone, dowiódł braku wszelkiej w nich podstawności. W opinji słuchaczów zaczęła następować zmiana.

— Jakto! pan prokurator żąda najsurowszej kary na nieszczęśliwą kobietę obwinioną o dzieciobójstwo i nie daje nawet najmniejszego dowodu, że zbrodnią została popełnioną! Dziecko znikło, to prawda, ale czy zostało zabite? Prokurator twierdzi, że tak! więc niech mi pokaże trupa! Ale nie przedstawiając go, nie ma prawa potępiać, bo dziecko, które uważa za nieżyjące, prędzej lub później może okazać się żywem! Zresztą, jeżeli spełnioną została zbrodnia, jeżeli istnieje winowajca, to z pewnością nie jest nim Magdalena Gallier, ale Juljusz Mercier... Jego potępiajcie, jako nikczemnika, który ukrywszy się, naraża na straszne podejrzenie nieszczęśliwą kobietę, którą oszukał, i której sama obecność tutaj broni ją i usprawiedliwia...

XXXVI.

Po wyczerpaniu faktycznej strony sprawy, młody adwokat uderzył w strunę uczuciową, a uczynił to z tak porywającą wymową, tonem tak z serca prosto płynącym, że większa część zebranej publiczności słuchała go ze łzami w oczach. I gdy w zakończeniu swej mowy obrońca zażądał zupełnego uniewinnienia Magdaleny, oświadczając, że potępienie jej byłoby zaprzeczeniem sprawiedliwości, entuzjastyczne oklaski i okrzyki rozległy się wśród publiczności. Prezes musiał po raz wtóry zagrozić opróżnieniem sali, jeżeli

słuchacze się nie uspokoją i następnie dał głos prokuratorowi, który jednak zrzekł się odpowiedzi.

Przysięgli wyszli do sali narad.

Trudno wyobrazić sobie straszniejszego chaosu, jaki nastąpił po ustąpieniu sędziów. Wszyscy mówili naraz, ale opinja publiczności nie była już podzieloną jak przed wygłoszeniem obrony. Nikt już nie wątpił o niewinności Magdaleny. W ogólnym zgiełku słyszano tylko zdania:

— Potępienie jej byłoby potwornością!

— Byłoby to wprost hańbą!

— Mniemany Juljusz Mercier, ten panicz z sygnetem hrabiowskim, musi być jakiś łotrzyk z arystokracji, który chciał pozbyć się niedogodnej kochanki i jej dziecka.

— A być może, że był żonatym...

— Nie dziwiłoby mię to wcale!

Juljusz Claude zaś myślał:

— Przysięgli ulegli wpływowi obrony, zarówno jak i publiczność... widać to po nich było! Zdaje mi się, że ją uniewinnią... a w takim razie moje zeznanie byłoby zbytecznem... Po co mam się mieszać do sprawy, która zresztą mnie się nie dotyczy?... Wszakże gdyby miano ją potępić, wystąpię wtedy, choć naraziłoby to mnie na wiele kłopotów...

Dzwonek ogłosił wejście sędziów i przysięgłych i w tejże chwili nastąpiło najgłębsze milczenie. Słuchacze powstrzymali oddech.

Magdalena blada, ze złożonemi rękami, stała zaledwie mogąc utrzymać się na nogach.

Nareszcie prezes głosem pewnym i donośnym przemówił:

— Przysięgli na wszystkie pytania odpowiedzieli nie, oskarżona nie jest winną!

Grzmot oklasków był odpowiedzią na te słowa prezesa.

Magdalena ścisnęła rękę swego obrońcy i pod wpływem gwałtownego wzruszenia zemdlała. Wyniesiono ją do sąsiedniego pokoju, tymczasem sąd skazał zaocznie Juljusza Merciera na dwadzieścia lat ciężkich robót.

Tłum zaczął się rozchodzić, a wraz ze wszystkimi wyszedł Juljusz Claude.

— Uniewinniona—mówił do siebie—to sprawiedliwie, lecz cóż ta biedna kobieta zrobi z sobą teraz, pozbawiona pracy i wszelkich środków do życia, po wysiedzeniu trzech miesięcy w więzieniu? Życie jej zwichnięte na zawsze... Nie może powrócić do dawnego mieszkania... to rzecz niemożliwa... Ludzie nie przebaczają niewinnym, gdy byli raz pod zarzutem zbrodni... Będą ją wskazywać palcami! Gdyby przyjęła, ofiarowałbym jej mieszkanie po mojej matce... są tam i meble, a nie sprzedam ich, bo ona je lubiła. Tam nikt jej nie zna... byłoby jej dobrze... Na początek pomógłbym jej, później może znalazłaby sobie jaką pracę i tym sposobem uchroniłbym ją od zguby... Powiedziałbym jej gdzie zbrodniarz zakopał jej dziecię... mogłaby przynajmniej zapłakać, spoglądając zdala na zieloną mogiłę...

Tak rozmawiając z sobą, doszedł do więzienia.

Wiele osób, które były na sprawie w sądzie, oczekiwało już przed bramą, by przyjrzeć się zbliska uniewinnionej. Policja napróżno wzywała:

— Proszę zrobić miejsce!... proszę przechodzić!... —nikt nie ustępował.

— Poczekam tu na nią, zaproponuję jej mieszkanie i choć pierwszą pomoc. Nie zubożeję przez to, a przynajmniej choć raz w życiu przydam się komu na coś...

Przecisnął się przez tłum i zbliżył się do wrót więzienia.

— Dokąd pan idziesz?—zapytał policjant.

— Do pisarza więziennego.

— Przechodź pan.

Parę godzin upłynęło, zanim Magdalena po ułatwieniu formalności przekroczyła próg celi więziennej i znalazła się w przedsionku więzienia.

— Nie chcę, by mnie widziano wychodzącą stąd... umarłabym ze wstydu!...—mówiła do siebie—i drżąca, przystanęła w zacienionym kącie przedsionka.

Wtem spostrzegła młodego człowieka, który podszedłszy ku niej, ukłonił się i rzekł:

— Wszak z panną Magdaleną Gallier mam przyjemność mówić?—zapytał Juljusz.

Magdalena spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Tak, panie — wyjąkała — czego pan sobie życzy?

— Chciałem z panią pomówić.

— Ależ ja pana nie znam... proszę mi pozwolić przejść...

— Pani, jestem człowiekiem uczciwym—odrzekł Juljusz—i błagam, niech pani nie tłómaczy sobie źle mojej prośby.

— Czegoż pan żąda?

— Niech pani pozwoli mi mówić... Pani mię nie zna, lecz ja znam panią... wiem ile pani wycierpiała i wiem ile przejść ciężkich oczekuje panią w przyszłości...

— Pan mnie zna?

— Tak.

— Gdzież pan mnie widział?

— Widziałem dziś panią w sądzie... wiem, że została pani uniewinnioną, ale i przed wyrokiem wiedziałem, że pani jest niewinną.

— Pan wiedział o tem?—zapytała zdziwiona.

— Wiedziałem... ale nie możemy tu pozostawać... chodźmy...

Magdalena zawahała się.

— Niech pani się mię nie obawia, niech pani ma ufność wemnie i idzie... Potrzebuję pomówić z panią o pewnym człowieku...

— O kim?

— O Juljuszu Mercier.

Usłyszawszy to nazwisko, Magdalena zadrżała i jakieś dzikie światło zamigotało w jej źrenicach.

— Pan go zna?—zapytała.

— Widziałem go jeden raz.

— Kiedy?

— Podczas nocy, po której znaleziono panią nieprzytomną w mieszkaniu... Powiem pani wszystko, tylko chodźmy, gdyż patrzą na nas.

Kilka osób rzeczywiście podeszło do bramy i spoglądało na nich ciekawie.

— Dobrze, chodźmy—rzekła Magdalena.

— Niech pani oprze się na mojem ramieniu.

— Nie, będę iść obok pana.

W milczeniu doszli do bulwaru Magenta, nareszcie Magdalena pierwsza zapytała:

— Dokąd mię pan prowadzisz?

— Dokąd pani sobie życzy—odrzekł—jeśli pani chce, do ostatniego mieszkania pani przy ulicy Ernestyny.

— Nie mam już mieszkania.

— Nie ma pani?

— Tak jest... Właściciel domu za należne mu komorne sprzedał moje meble.

— Ależ to haniebne!

— Miał prawo... Zresztą musiał uważać mię, jak i wszyscy, za zbrodniarkę... Nie mam więc do niego pretensji...

— Czy ma pani ufność we mnie?

Młoda kobieta zatrzymała się i spojrzała mu w oczy, lecz widocznie uspokojona, odrzekła:

— Ufam panu.

— Więc niech pani poda mi ramię i chodźmy.

— Dokąd?

— Do mieszkania nieboszczki matki mojej, którą kochałem więcej niż wszystko na świecie...

— Chodźmy—odrzekła Magdalena wzruszona.

— Weźmy fiakra.

— Po co?

— Nie mieszkałem wraz z matką. Muszę udać się pierwej do mego mieszkania przy ulicy des Abbesses i wziąć stamtąd klucz. To dość daleko, utrudziłaby się pani...

— Nie. Wolę iść pieszo. Posłuży mi to...

— Ale pani była bardzo chorą.

— Tak, lecz jestem już zupełnie zdrową. Wróciłam już do sił, zresztą odżyłam...

— Więc niech pani przynajmniej oprze się na mem ramieniu.

— Zapewniam pana, że jestem dość silną.

Noc już zapadła, gdy przybyli na ulicę des Abbesses.

— Niech pani zatrzyma się tu chwilkę, ja pójdę po klucz i natychmiast wrócę.

— Co to za człowiek? — myślała Magdalena po jego odejściu.—Dla czego zbliżył się do mnie? czatował na mnie, więc to nie przypadek postawił go na mojej drodze... Zna Juljusza Merciera... Może być, że przez niego odszukam tego nikczemnika i zemszczę

się. Z oczu patrzy mu dobrze... musi być uczciwym... Zdaje mi się, że mogę mu ufać i że ma dobre zamiary... Ciekawam bardzo, co on mi ma powiedzieć?...

W tej chwili powrócił Juljusz.

— Wszak nie bawiłem długo?—zapytał.—Mam już klucz, więc chodźmy.

— Gdzie mieszkała matka pańska?

— Przy ulicy Marcadet.

W pół godziny byli już na miejscu. Claude otworzył drzwi, zapalił świecę i wprowadził Magdalenę do mieszkania.

— To w tym pokoju—rzekł, zdejmując kapelusz —umarła moja biedna matka...—i dwie grube łzy potoczyły się po jego policzkach.

Magdalena spostrzegłszy je, pomyślała.

— To człowiek z sercem... musi być uczciwym.

— Niech pani siada—rzekł Juljusz—teraz możemy pomówić...

— O Juljuszu Mercier?

— Tak.

— W jakich okolicznościach widziałeś go pan?

— W strasznych... podczas nocy, w której po zabiciu dziecka, chował je w ziemi...

— Więc moje dziecko pochowane?—jęknęła Magdalena blada i drząca.

— Tak.

— I pan wiesz, gdzie jest jego mogiła?

— Wiem.

— Gdzie? niech pan mię tam zaprowadzi... chciałabym zapłakać i pomodlić się. Mów pan... mów pan prędzej!...

Juljusz zbliżył się do okna i otworzył je.

— Tam—rzekł, wskazując ręką na cmentarz.

Magdalena podbiegła do okna, przechyliła się i utkwiła wzrok w ciemności, lecz dopiero po kilku chwilach oczy jej zdołały rozróżniać przedmioty.

— To cmentarz!—szepnęła z przestrachem...— W takim razie pokój, w którym mieszkałam przy ulicy Ernestyny, powinien być naprzeciwko...

— Tam właśnie—rzekł Juljusz, wskazując dom naprzeciw położony.

XXXVII.

— Więc moje dziecko jest na tym cmentarzu?— zapytała Magdalena po niejakim czasie milczenia.

— Tak, w tamtym rogu... wśród grupy wierzb.

Magdalena, przechylona, wpatrywała się w miejsce wskazane przez Juljusza.

Noc nie była zbyt ciemna, a okna domów, otaczających miejsce spoczynku, rzucały jakieś światło tajemnicze.

— Moje dziecie... moje biedne dziecie—łkała— zamordowane przez własnego ojca... Ach, to nie człowiek, lecz szatan!...

Następnie, odwróciwszy się ku Juljuszowi, dodała:

— Skąd pan wiesz, że to on pochował moje dziecko?

— Niech pani słucha...—odrzekł Juljusz i opowiedział jej wszystko, co widział i co czynił w celu odkrycia osoby zabójcy, następnie starania, by zobaczyć się z nią w szpitalu Lariboisière, w nadziei, że może ona pomoże mu do rozwiązania tej tajemniczej zagadki.

— Więc pan wiedział wszystko—odrzekła Magdalena ze smutkiem—i nie pośpieszył mi pan z pomocą przez złożenie zeznania swego przed komisarzem policji?

— Nie mogłem...

— Cóż panu przeszkadzało.

— Nie znałem pani... Mogłaś być pani wspólniczką tego człowieka. Nie miałem dowodu niewinności pani, a przeciwnie wszystko przeciw niej przemawiało.

— Więc pan myślałeś, że jestem winną?

— Jeszcze raz powtarzam... nie znałem pani

— Tak, to prawda... A dzisiaj?...

— Dzisiaj, od kilku godzin jestem przekonanym, że tylko jeden Mercier jest winnym. Zresztą i przysięgli, uniewinniając panią, potwierdzili to... Mercier jest nikczemnikiem, zasługującym na śmierć...

Magdalena zerwała się z krzesła i z oczyma iskrzącemi od gniewu, zawołała:

— I jest wolnym! nikczemnik!... Jest wolnym i uniknie kary... a ja, niewinna, wypłakałam oczy i wycierpiałam tyle!

— Sąd skazał go zaocznie.

— Cóż znaczy takie skazanie? Co to za sprawiedliwość, co za policja, która nie może odszukać nawet śladu jego! On śmieje się z nich i potrafi ujść rąk władzy... ale nie ujdzie przedemną!... Choćbym miała całe me życie strawić na szukaniu go, odnajdę tego zbrodniarza!... Czego policja nie potrafiła uczynić, uczynię ja i pomszczę się... przysięgam! pomszczę biedne dziecię moje, zamordowane przez tego potwora!

Claude przeczekawszy, aż minął ten paroksyzm oburzenia, odezwał się:

— Ale tymczasem potrzeba żyć... jakie ma pani projekta na przyszłość?

Pytanie to otrzeźwiło Magdalenę, gniew jej złagodniał i rumieniec wystąpił na twarz, gdy tymczasem łzy potoczyły się po jej obliczu.

— Pani ma zapewne jaki fach? — zapytał Juljusz.

— Byłam szwaczką, umiem szyć bieliznę i ubranie.

— Czy posiada pani cokolwiek pieniędzy?

— Ani pieniędzy, ani mieszkania—szepnęła Magdalena łkając.—Uwolniono mię tak, jak się wypędza służącę niewierną, nie troszcząc się dokąd się udam, co stanie się ze mną...

— Tak... — zawołał Juljusz z goryczą. — Gdy sprawiedliwość się myli, tem gorzej dla niewinnego! powinien się czuć szczęśliwym, gdy mu mówią: ponieważ byłeś niewinnym, wypuszczam cię z żalem! Idź powieś się gdzieindziej i nie wracaj więcej!... Niech pani spójrzy na mnie raz jeszcze — dodał, biorąc rękę Magdaleny—i powie, czy ma pani we mnie ufność?

— Mam... Zdaje mi się, że jesteś pan człowiekiem uczciwym i dobrym...

— Uczynię więc pani propozycję... Niech pani nie szuka w niej jakiej myśli ukrytej i widzi tylko pomoc szczerą i życzliwą...

— Niech pan mówi...

— Mieszkanie, w którem obecnie znajdujemy się i w którem umarła moja matka, jest puste. Myślałem je zająć później, ale to nie prędko... Czy chce pani tu osiąść, mieszkać i pracować?

Magdalena po raz trzeci utkwiła wzrok w oczy Juljusza i bez wahania odrzekła:

— Przyjmuję...

— Dziękuję pani za to... Mając już gdzie przytulić głowę, swobodniej będzie pani mogła zająć się wyszukaniem pracy i znajdzie ją pani... jestem pewnym. Zresztą ja pomogę pani... Komorne zapłacone za cały kwartał naprzód, niech więc pani nie myśli o tem... Ale to nie wszystko... potrzeba czekać na pracę i żyć...

— Niestety!—szepnęła młoda kobieta, westchnąwszy.

— Czy pozwoli mi pani wręczyć jej niewielką sumkę?...

Magdalena poruszyła się.

— To bagatela... kilkadziesiąt franków... Niech pani nie myśli, że robię uszczerbek sobie... mam niejaki zapas... Serdecznie proszę panią o to... niech pani przyjmie...

Teraz Magdalena ujęła jego ręce i wybuchła łkaniem.

— Co pani jest?—zapytał.

— Przeczułam pańską duszę szlachetną—odrzekła ze łzami w oczach. — Ufam panu i z wdzięcznością przyjmuję propozycję jego. Niech Bóg pana nagrodzi... wracasz odwagę i nadzieję istocie nieszczęśliwej i opuszczonej...

— Niech pani otrze łzy i przedewszystkiem nie dziękuje mi... To, co uczyniłem, sprawia mi szczęście... prosiłem o to przez egoizm... Więc jest pani u siebie; proszę wziąć te klucze od szaf, w których znajdzie pani trochę bielizny... Jest i kuchenka, która wystarczy na potrzeby pani... Potrzebować pani będzie zapewne maszyny do szycia, niech więc pani kupi na wypłatę miesięczną... jeżeli będzie potrzeba, ja poręczę. A oto sześćdziesiąt franków...

— Ale... pan mi je pożycza...

— Naturalnie... pożyczam... Odda mi je pani kiedy zechce...

— Jesteś pan dobrym i delikatnym... ocalasz mi życie, a ja nic o panu nie wiem, nie znam nawet pańskiego nazwiska. Niech pan mi je powie, bym mogła je błogosławić!..

— Nazywam się Juljusz Claude... nazwisko skromne, ale może kiedyś uczynię je głośnem. A teraz jeszcze jedna rzecz i dość ważna.

— Jaka?

— Pani nie jadła dziś obiadu...

— Rzeczywiście...

— I ja także... Czy zechce pani pójść ze mną na obiad i utrwalić tem naszą przyjaźń braterską?

— Dobrze.

— Obejrzyjmy więc teraz mieszkanie pani i następnie pójdziemy.

W godzinę później Juljusz odprowadził Magdalenę na ulicę Marcadet.

— Kiedy pana zobaczę znowu? — zapytała go przed drzwiami domu.

— Jeśli pani pozwoli, więc jutro, gdy powrócę od roboty.

— O której godzinie?

— Robotę kończę o szóstej, zjem obiad pośpiesznie i wpół do ósmej będę już tutaj.

— Do widzenia więc, do jutra...—i rozeszli się.

Juljusz odchodząc, był mniej ponurym niż dotychczas, od smutnego dnia 15-go lipca.

— Dobry uczynek...—szeptał—musiałbym wiele spełnić podobnych, by zapomnieć o tym, jakiego się dopuściłem... Biedna Henryka!... Nie widziałem już jej od miesiąca... a kocham ją więcej niż kiedykolwiek!... Ach, ta miłość zrodzona ze zbrodni, miłość

szalona, beznadziejna, zabije mnie i to będzie wymierzeniem sprawiedliwości!

Magdalena, znalazłszy się w pokoju Marji Claude, zapaliła lampę, uklękła i zaczęła się modlić.

— Boże mój — mówiła przejęta wdzięcznością, wznosząc oczy i swą duszę ku niebu—Boże mój, dziękuję Ci i błogosławię Imię Twoje!... Ulitowałeś się nademną! Umieściłeś na mej drodze człowieka uczciwego i szlachetnego, dzięki któremu mam złożyć gdzie głowę... mam czem opędzić pierwsze potrzeby życia i będę miała pracę... Dzięki jemu będę mogła żyć i pomścić moje dziecię.

Po tej krótkiej modlitwie dziękczynnej powstała, otworzyła szafę pełną bielizny, wyjęła pościel, posłała łóżko i położywszy się, przespała noc spokojnie.

Następnego dnia rano wcześnie wyszła na miasto, obeszła znane sobie pracownie bielizny i powróciła z robotą. Jakież było jej zdziwienie, gdy odźwierna na wstępie oświadczyła jej, że przyniesiono dla niej maszynę do szycia! To Juljusz uczynił jej tę niespodziankę!

Gdy o godzinie wpół do ósmej Claude przyszedł ją odwiedzić, zastał ją już siedzącą przy pracy.

XXXVIII.

Opuśćmy teraz na chwilę Magdalenę i udajmy się do Chennevières, do jaworowej willi państwa Dauray.

Od miesiąca już zwykła wesołość Henryki znikła, ustępując miejsca melancholji i niczem niewytłómaczonemu smutkowi. Oprócz przygnębienia moral-

nego młoda dziewczyna doświadczała dziwnej niemocy fizycznej, z której nie umiała zdać sobie sprawy. Rysy jej wyciągnęły się, jakaś ziemista bladość pokryła jej policzki, oczy utraciły blask dawniejszy.

Państwo Dauray nie zwracali z początku uwagi na tę zmianę i uważali ją za przejściową.

Pani Dauray, nie radząc się nawet lekarza, kazała brać Henryce jakieś środki wzmacniające, stosowane w początkach anemji. Środki te nie pomogły i stan Henryki nie zmieniał się na lepsze. Wtedy wezwano przyjaciela domu, doktora Jerzego Lamarre.

Doktór po pierwszej wizycie uspokoił zupełnie rodziców.

— To bagatela—rzekł—panna Henryka przebywa przesilenie zwyczajne i przewidziane... Nie potrzeba zapisywać środków żadnych; sama natura w takich razach pomaga najskuteczniej.

W takim stanie upłynął czas jakiś.

Jerzy Lamarre, zajęty w Paryżu z każdym dniem wzrastającą swą liczną klijentelą, jak również egzaminami, do których się przygotowywał celem otrzymania stanowiska naczelnego lekarza w jednym z wielkich szpitali paryskich, przestał nawiedzać willę jaworową.

— Jeżeli za kilka dni nic się nie zmieni, to proszę mnie uprzedzić—rzekł do pani Dauray—jeżeli zaś przeciwnie, nastąpi zmiana na lepsze, to niech pani nie przyzywa mnie... Bardzo mało mam teraz czasu i chciałbym podwoić liczbę godzin w dobie.

Skoro Jerzy Lamarre, tak głęboko kochający Henrykę, był spokojnym, widocznie więc stan jej nie przedstawiał żadnego niebezpieczeństwa.

Rozumowanie to było zupełnie logicznem, więc i państwo Dauray uspokoili się.

Jedna tylko osoba w willi niepokoiła się coraz więcej.

Była nią Anusia, pokojowa Henryki.

Przebywając bezustannie z nią razem i żyjąc prawie w zażyłości, spostrzegała każdego dnia pewne wskazówki, dręczące ją do najwyższego stopnia, ale nie mówiła o nich nikomu.

— W końcu — mówiła do siebie — może to nic nie znaczy i ja się dręczę bez powodu...

Dziwne fantazje i nagłe zmiany gustu zaczęły objawiać się w Henryce. Od najmłodszego dzieciństwa pana Dauray nie lubiła owoców i przepadała za ciastkami, konfiturami, cukierkami i wszelką słodyczą. Teraz z każdym dniem, z każdą prawie godziną znajdowała coraz większe upodobanie w gruszkach i winogronach i doświadczała wstrętu dla tyle ulubionych dawniej przysmaków słodkich.

— Ot, kaprysy dziecinne—myślała pani Dauray.

Eks-bankier z uwagą śledził zmiany zachodzące w Henryce, ale cierpliwie czekał powrotu do stanu normalnego. I dla czegóż miał się niepokoić, skoro Jerzy Lamarre był spokojnym zupełnie i utrzymywał z powagą lekarza, że to tylko stan przejściowy?

Trzeba było nieprzewidzianych okoliczności, by obawa państwa Dauray obudziła się na nowo.

Henryka, która do tego czasu doświadczała osłabienia, bólu głowy i niekiedy spazmów nerwowych, zaczęła cierpieć na serce. Współcześnie jej lekki i zręczny chód, chód nimfy młodej, stał się ociężałym i utrudnionym,

Dolegała jej jakaś duszność, a gorset stał się dla niej narzędziem tortury. Twarz jej zżółkła i pokryła się jakąś cerą niezwykłą.

Państwo Dauray przestraszyli się.

— Co się z tobą dzieje?—zapytywała matka, ze łzami w oczach.

— Nie wiem — odpowiadała Henryka — ale to, czego czasami doznaję, jest tak dziwnem, że sama nie pojmuję i nie potrafiłabym określić—i gdy to mówiła, dwie wielkie łzy bezwiednie potoczyły się po jej wychudłych policzkach.

Poczem wpadła w paroksyzm nerwowy i zemdlała. Gdy wróciła do przytomności kazano jej pójść do łóżka.

Eks-bankier dowiedziawszy się o tem, kazał natychmiast zaprządz konie i pojechał do Paryża poradzić się doktora Lamarre.

Anusia, ponura, z namarszczonemi brwiami, pochyliła głowę.

— Co to znaczy?—zapytywała siebie.—Nie opuszczam jej ani na chwilę... nigdzie nie wychodzi sama... a jednak możnaby przysiądz... Nic nie rozumiem... tu można stracić głowę...

I dzielna dziewczyna, rzeczywiście kochająca swą młodą panią, napróżno suszyła swój mózg nad rozwiązaniem strasznej zagadki.

Pani Dauray po odjeździe męża powróciła do córki.

Henryka zemdlała po raz drugi.

Wtedy przerażenie matki wzrosło do najwyższego stopnia.

— Jeżeli ona umrze... — szepnęła i wybuchła łkaniem.

Anusia milczała i gryzła sobie wargi do krwi.

— Niech mama się nie martwi—rzekła Henryka, biorąc ręce pani Dauray i okrywając je pocałunkami. — To rzecz mała... zapewniam mamę... Ja nie jestem chorą... mam apetyt... sypiam dobrze... a drobne przypadłości, jakich doświadczam, przejdą prędko...

— Ojciec twój pojechał po doktora Lamarre — odrzekła matka—mamy w nim zaufanie, a i ty je podzielasz...

— Ufam mu zupełnie... ojciec dobrze uczynił, że pojechał po niego... on uspokoi mamę jak i wtedy.

— Ale powiesz mu wszystko, czego doświadczas... wszystko, nieprawdaż?

— Ależ naturalnie, niech mateczka będzie spokojną. Teraz czuję się zupełnie dobrze... nic mi nie dolega... Mogę już wstać.

— Nie, nie, moje dziecko, zostań w łóżku...

— Dla czego?

— Może doktór będzie potrzebował ostukać ci piersi...

— Przecież ja nie jestem chorą na piersi...

— Wiem, moja droga, ale lepiej zawsze przekonać się...

— Mateczka zaczyna mnie niepokoić...

— Niesłusznie. Uspokój się i czekajmy na Jerzego.

Eks-bankier w godzinę po wyjeździe z willi stanął już na ulicy Doudeauville przed mieszkaniem Jerzego Lamarre. Pośpiesznie przebył schody, zadzwonił i spytał służącego czy doktór w domu.

— Jest w swoim gabinecie.

Jerzy, usłyszawszy głos pana Dauray, pośpieszył ku niemu; był bladym i wzruszonym, jakieś smutne przeczucie zaniepokoiło go.

— Więc to pan—rzekł, biorąc ręce eks-bankiera, którego kochał i szanował wielce.—Zapewne stan Henryki pogorszył się?

— Tak—odrzekł Dauray głosem zdławionym — jedźmy...

Doktór nie rzekłszy ani słowa, poszedł do przedpokoju, wziął palto i kapelusz i zeszedł z eksbankierem do oczekującego na ulicy faetonu.

Gdy ruszyli z miejsca, doktór zapytał:

— Teraz niech pan mi powie, co się stało?

— Henryka jest bardzo chorą...

— Czy leży w łóżku?

— Tak. Miała atak nerwowy i zemdlała... Żona kazała mi jechać po pana, więc przybyłem—i rzekłszy to, wybuchnął łkaniem, wołając:

— Moja córka... moje biedne dziecko...

— Niech pan się uspokoi—odrzekł doktór, sam głęboko wzruszony. — Ależ ręczę panu, że Henryce nie grozi najmniejsze niebezpieczeństwo... Po co się dręczyć naprzód i bez powodu? Atak nerwowy i zemdlenie mogą być skutkiem bardzo zwykłych przyczyn. Gdy widziałem Henrykę ostatni raz, nie przewidywałem możliwości żadnej komplikacji. Zresztą wkrótce przekonamy się, a tymczasem, proszę, miej pan odwagę i nie odejmuj mi zimnej krwi.

XXXIX.

Henryka, która przedtem czuła się zupełnie dobrze, miała podczas nieobecności p. Dauray jeszcze dwa ataki nerwowe, z których wyszła ostatecznie złamaną i osłabioną.

Matka, zapłakana i zrozpaczona, nie odstępowała jej ani na chwilę, z niecierpliwością oczekując przybycia doktora.

Nagle od wrót rozległ się głos dzwonka, a wkrótce otworzyły się drzwi pokoju Henryki i eks-

bankier stanął na progu. Miał on tyle siły, iż ułożył nawet twarz spokojną, prawie uśmiechniętą.

— Przyprowadzam ci naszego przyjaciela Jerzego, którego jakimś wypadkiem zastałem w domu — rzekł do córki i uścisnął ją serdecznie.

— Proszę cię, Jerzy, wejdź — zawołała pani Dauray.

Doktór, który przez delikatność zatrzymał się w drugim pokoju, przestąpił próg i szybko podszedł do łóżka Henryki.

Spostrzegłszy jej zmienione rysy i żółtą twarz, jak gdyby pociągniętą szafranem, nie mógł powstrzymać zdziwienia i zmarszczył brwi.

Wziął jedną rękę chorej, uniósł ją lekko i zaczął badać puls.

— Czy ma gorączkę?—zapytała pani Dauray.

— Niewielką... Więc ta mała chora nasza nie chce wyzdrowieć—rzekł Jerzy, starając się wywołać uśmiech na swych ustach.

— Ależ tego tylko pragnę, kochany doktorze-odrzekła Henryka.—Rodzice niesłusznie się niepokoją, niech więc pan powie im, że niema żadnego niebezpieczeństwa i że to przejdzie prędko.

Jerzy z coraz wzrastającą uwagą wpatrywał się w twarz młodej dziewczyny.

— Gdzie pani dolega?—zapytał nagle.

— Nie potrafiłabym określić panu jasno—odrzekła Henryka, uśmiechając się—gdyż sama nie wiem... Czasami doświadczam jakiejś nieokreślonej niemocy w całem ciele, jakiegoś znużenia, jakby po męczącej drodze lub tańcach.

— Żadnego bólu w piersiach?

— Żadnego, tylko w biodrach czasami czuję ociężałość krępującą ruchy.

Wyraz głębokiej boleści przemknął po twarzy Jerzego.

— Czy doświadczasz pani bólu w sercu?

— Często, prawie bezustannie.

— A czy wtedy występuje na skronie pot zimny?

— Występuje...

Lekarz zbladł.

— Czy nie doznaje pani wstrętu do niektórych pokarmów, dawniej ulubionych?—zapytał głosem drżącym, któremu napróżno starał się nadać pewność.

— Doznaję, doktorze... Dawniej niezmiernie lubiłam ciastka i cukierki, a dziś nie mogę na nie patrzeć.

— Boże mój!... Boże mój!...—szepnął Jerzy.

— Miewam również dziwne fantazje i kaprysy, którym dawniej nie ulegałam nigdy. Nie lubiłam owoców, a teraz przepadam za niemi. Taki nieraz czuję do nich pociąg, że zdolnabym była je ukraść, byle tylko zaspokoić żądzę...

Lekarz przeciągnął ręką po swem wilgotnem czole. Twarz jego podobną była do twarzy pacjenta, poddanego jakiejś bolesnej operacji.

— Nie...—szepnął—nie, to rzecz niemożliwa... to byłoby straszne... a jednak tak jest...

Państwo Dauray nie słyszeli tych słów, ale ponury wyraz jego twarzy naprowadzał ich na myśl, iż doktór odkrył coś dziwnego, groźnego...

— Henryka musi być bardziej chorą, niż przypuszczaliśmy—myślała pani Dauray.

— Cóż? cóż? Mów pan prędzej!—wołał eksbankier, niezdolny dłużej panować nad sobą.

Jerzy stał jak skamieniały; chaos strasznych myśli tłoczył mózg jego.

Powoli podniósł głowę i stał milczący.

— Co panu jest? Co panu się stało?—pytała przerażona pani Dauray.

— Nic...—wyjąkał—nic...

Słowa te, tak niezgodne z wyrazem jego twarzy, zamiast uspokoić, jeszcze bardziej zwiększyły niepokój rodziców Henryki.

— Ależ zastanów się, kochany doktorze — rzekła żywo Henryka—wyglądasz tak, jak gdybyś chciał w nas wpoić przekonanie, że jestem bardzo chorą.

Jerzy utkwił w nią wzrok prawie groźny, a uśmiech podobny do kurczu ściągnął jego usta.

— Ten spokój!... ta zimna krew!...—myślał— a jednak ja się nie mylę!

— Mów pan! Mów pan!—wołał eks-bankier tonem rozkazującym.

— Pańskie milczenie zabija nas — dodała pani Dauray.

— Tak...—rzekł nareszcie głosem zdławionym i zaledwie zrozumiałym—powiem... powiem wszystko... proszę pana—i wziąwszy eks-bankiera za rękę, pociągnął go ku drzwiom.

Matka, przerażona, chciała iść za nimi, lecz powstrzymał ją gestem.

— Nie, nie, pani... niech pani nie idzie... powiem samemu tylko panu Dauray.

— Jakto!—odrzekła nieszczęśliwa kobieta—jakto, ja nie mogę wiedzieć prawdy o stanie zdrowia mego dziecka!... Dajecie mi do zrozumienia, że życie Henryki jest w niebezpieczeństwie i nie chcecie mnie uspokoić, objaśnić mnie!

— Tylko samemu panu Dauray — powtórzył Jerzy.

Eks-bankier poprosił żonę, by pozostała.

— Chodźmy do pańskiego gabinetu — rzekł Jerzy.

Ogłuszony i pełen najwyższego niepokoju, Dauray chwiejąc się jak pijany, wprowadził Jerzego do swego gabinetu i zamknął drzwi za sobą.

Młody człowiek ukrył twarz w dłonie; długo powstrzymywane łzy trysnęły z jego oczu, a z ust wydobył się jęk głuchy. Dauray, osłupiały, przez kilka chwil spoglądał na płaczącego lekarza, nie mogąc zrozumieć powodu.

Nagle, jakieś złowieszcze światło błysnęło w jego umyśle.

— Jerzy — jęknął — Jerzy, ty mnie przerażasz! Skąd ta rozpacz? Dla czego te łzy? Czy Henryka stracona?

Młody człowiek odjął od twarzy dłonie i rzekł zimno:

— Nie... nie grozi jej nawet niebezpieczeństwo...

— Czy mówisz prawdę?

— Przysięgam panu!

— Więc w takim razie cóż się stało?

— Czy możemy mówić bez obawy, że nas kto usłyszy?

— Możemy.

— Czy jest pan pewnym?

— Najpewniejszym... Więc to, co masz mi powiedzieć, jest rzeczą tak ważną?

— Bardzo ważną... ważniejszą, niż pan może przypuszczać... Niech pan zamknie drzwi i rozporządzi się, by nikt nam nie przeszkadzał.

Dauray zamknął na klucz drzwi gabinetu i powróciwszy do doktora, głosem cichym powiedział:

— Mów teraz...

— Powiem, lecz proszę mi przyrzec, że zachowasz pan spokój...

— Przyrzekam.

— Niech pan siada... mam panu dać kilka pytań, na które proszę o odpowiedź.

— Odpowiem na wszystko, o co mnie zapytasz, mój drogi Jerzy, lecz wytłómacz się prędzej, prędzej...

— Henryka ma lat siedmnaście?

— Ukończy je w przyszłym miesiącu.

— A więc od dwóch już lat przestała być dzieckiem....

— Tak.

— Czy nigdy nie opuszczała rodziców?

— Nigdy. Nie oddawaliśmy jej nawet na pensję i udzielaliśmy edukację w domu... Przecież wiesz o tem tak dobrze jak i my.

— Od czasu jak opuściliście państwo Paryż zupełnie i osiedliście w Chennevières, czy Henryka wyjeżdżała kiedykolwiek sama?

— Jednego kroku nie zrobiła po za willę, a przynajmniej po za park bez towarzystwa matki, mego lub swej pokojowej Anusi.

— Czy w tej ostatniej ma pan zupełną ufność?

— Bezwarunkową, gdyż zasługuje na to... Ale dla czego dajesz mi pan te pytania, których celu ani odrobiny nie rozumiem?

— Niech pan poczeka... cierpliwości... Zrozumie pan powód i tak zawcześnie.

Przestrach p. Dauray zwiększał się.

— Przyjmuje pan tu wielu gości?

— Wielu... przecież wiesz o tem

— A czy wielu młodych ludzi?

— Synów i siostrzeńców moich przyjaciół i braci przyjaciółek Henryki.

XL.

— Wielu z tych młodych ludzi starało się zapewne o rękę panny Dauray...

— Henryka jest piękną i bogatą, nie mogło więc być inaczej... lecz my odmawialiśmy stanowczo... Miałem inne widoki, a znasz je lepiej niż kto inny, bo dotyczyły się ciebie.

Doktór westchnął głęboko i mówił dalej:

— Czy między tymi konkurentami nie było jakiego, któryby się podobał Henryce? Powiedzmy wprost, któregoby ona kochała?

Pytanie to wydało się p. Dauray tak dziwnem, że spójrzał na Jerzego z podwójnem zdumieniem.

— Więc pan przypuszczasz, że to miłość jest powodem choroby mej córki?

— Tak... — odrzekł Jerzy, jakimś dziwnym głosem.

— To rzecz niemożliwa.

— Dla czego?

— Henryka wie jak ją kocham, i że gotów jestem spełnić wszelkie jej fantazje... Wie ona również, że gdyby oddała swe serce komu, nie miałbym odwagi sprzeciwić się jej wyborowi... Ale, dzięki Bogu, nic podobnego nie zaszło. Jestem pewnym, że gdy Henryka wyzdrowieje szczęśliwą będzie, nazywając się panią Jerzową Lamarre.

Jerzy rzucił się nagle i spojrzał ponuro.

— Henryka nigdy nie będzie moją żoną!—rzekł głosem stanowczym lecz jakimś chrapliwym.

Dauray, jak gdyby źle słyszał, patrzał nań osłupiały.

— Czy ufałeś pan zawsze i dotychczas ufasz zupełnie swej córce?...

Eks-bankier stawał się coraz więcej blady.

— Co znaczą te słowa, po pańskich dziwnych pytaniach?—zagadnął z niecierpliwością w głosie, powstawszy nagle i zaprzestając nazywać Jerzego po imieniu.

— Wkrótce wyjaśnię, lecz niech pan pierwej odpowie. Czy ufa pan ślepo swej córce?

— Wątpić o tem, jestto znieważać moją córkę i mnie! Czy słyszysz pan, panie Jerzy Lamarre?

— W tej chwili nie jestem Jerzym Lamarre pańskim wdzięcznym protegowanym, ale lekarzem i zapytuję jako lekarz. Niech mi więc pan odpowie tak, jakby pan odpowiedział jakiemu nieznanemu sobie lekarzowi, pragnącemu wyjaśnienia, by mógł on następnie objaśnić pana. Błagam, niech mi pan odpowie bez gniewu, nie obrażając się mojemi pytaniami, jakkolwiek wydają się one panu tak niezrozumiałemi.

— Dobrze! Tak, mam zupełną ufność w mem dziecku—odrzekł Dauray zmieszany.—Wierzę w anielską duszą Henryki, w jej czystość dziewiczą, jak wierzę w moją cześć i moją uczciwość!

— Czy nigdy Henryka nie skłamała przed panem?

— Nigdy!

— Czy zna pan wszystkie jej myśli, nawet najskrytsze?

— Wszystkie! Ona nie ma sekretu ani dla matki, ani dla mnie.

— Czy pan nie wierzy aby była zdolną do popełnienia błędu?

— Błędu?...—powtórzył bankier—błędu, którego następstwem byłaby jej choroba... błędu, któryby naraził na niebezpieczeństwo jej życie?

— Niech pan nie lęka się o jej życie—odrzekł Lamarre — gdyż powtarzam, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo... ale splamiła ona nieskazitelne dotychczas nazwisko rodziny Dauray.

— Splamiła moje nazwisko... wyjąkał nieszczęśliwy ojciec, któremu śmiertelny pot spływał po skroniach.— Pomyśl pan nad tem coś powiedział!

— Niestety! powiedziałem prawdę! Jakkolwiek jest ona okrutną, powinieneś ją pan wiedzieć! Owa dziewicza czystość, o której z taką dumą mówiłeś pan przed chwilą, nie istnieje... Henryka oszukiwała pana... oszukiwała matkę, oszukiwała mnie, któremu pozwoliłeś pan kochać ją...

Dauray ujął swą głowę w obie dłonie i ścisnął ją z giestem rozpaczy.

— Słyszę pana—rzekł nakoniec—ale go nie rozumiem... Co znaczą pańskie słowa?

— Znaczą, że Henryka ma kochanka...

Ostatnie słowa wywarły na eks-bankiera wrażenie straszne: oczy jego zabiegły krwią, zęby zaczęły szczękać, pięści zacisnęły się kurczowo. Twarz jego wykrzywiona konwulsyjnie, stała się groźną.

— Kochanka!—zawołał głosem drżącym—moja córka ma kochanka!... kłamiesz pan!

— Przebaczam panu tę zniewagę... usprawiedliwia pana boleść... Jestem lekarzem... widziałem...

— Coś pan widział?

— Dowód błędu... jest on widocznym...

— Widocznym...—powtórzył Dauray.

— Tak.

— Henryka znajduje się w odmiennym stanie?...

— Przynajmniej od czterech miesięcy.

W obec tego twierdzenia stanowczego, nie dopuszczającego żadnej wątpliwości, eks-bankier wydawał się, jak gdyby został dotknięty pomieszaniem zmysłów.

— To rzecz niemożliwa... niemożliwa... niemożliwa...—powtarzał głosem złamanym.—Nie, moja córka nie ma kochanka... moja córka jest niewinną i czystą... wszystko to jest niegodziwem kłamstwem i godnem pogardy oszczerstwem.

Jerzy Lamarre wybuchnął łkaniem.

— Więc pan nie widzisz ile ja cierpię? Nierozumiesz pan, że cios ten równie jak pana ugodził i w moje serce! Oddawna kocham Henrykę całą siłą mej duszy! Również jak pan wierzyłem w jej niewinność... Wszystkie projekty szczęścia na przyszłość, budowane na tej miłości, runęły na raz... wszystkie marzenia uleciały... i pozostałem nieszczęśliwym, bardzo nieszczęśliwym...

Łzy młodego lekarza, głęboka rozpacz wyrażona w sposób tak prosty a przenikliwy, wróciły przytomność panu Dauray. Zbliżył się do Jerzego i wziął jego rękę.

— A jednak, jeżeli ty się mylisz...

— Gdybym się mylił, oddałbym za to połowę życia. Na nieszczęście, omyłka jest niemożliwą...

— Henryka jest zhańbioną? Henryka jest brzemienną?

— Tak.

— Więc ją zabiję! — po chwilowem milczeniu rzekł eks-bankier z przerażającą zimną krwią.

Jerzy rzucił się.

— Zabijesz pan ją!—powtarzał drżąc—zabijesz pan Henrykę!...

— Są błędy, które stają się zbrodniami!... Ona zhańbiła cześć mego nazwiska, wymierzę więc tylko sprawiedliwość!...

— I pan nazywa to sprawiedliwością?... Zapominasz pan o tem, że gdy Henryka żyć przestanie, nikczemnik, który skorzystał z niewinności tego dziecka, z niedoświadczenia, z chwilowej słabości, pozostanie nieukaranym, on, główny, prawie jedyny winowajca!...

Dauray rzucił się ze złością.

— Słuchaj mię pan — ciągnął dalej Jerzy — nie należy unosić się gniewem, który, zapewne, jest sprawiedliwym, lecz którego skutki będą gorsze, niż sama zbrodnia... Henryka upadła, ale czyż nie ma na swą obronę okoliczności łagodzących?

— Nie uznaję żadnych!...

— Mylisz się pan!... Pańska córka, a moja dotychczasowa narzeczona, uległa zapewne pod naciskiem długich, bezustannych nalegań... Pozwoliła owładnąć się jednej z tych miłości, które zaciemniają umysł i kładą na oczy zasłonę gęstą, zakrywającą przepaść... Zapewne, jest ona winną, bardzo winną, boleśnie zakrwawiła serce pańskie i moje, złamała me życie, a jednak powtarzam, nie ona jest głównym winowajcą!... Jest nim nikczemnik, co ją oczarował i pozbawił czci... Jego to powinniśmy poznać!... Jego to potrzeba ukarać!...

— Ach! — zawołał Dauray — gdybym wiedział jego nazwisko...

— Gdy dowiemy się o niem, nie pan, ojciec, pójdziesz go szukać, ale ja, narzeczony i pomszczę nas, pomszczę strasznie, przysięgam to panu!...

Eks-bankier schwycił Jerzego za ramię.

— Chodź, mój synu, chodź!—zawołał—poznamy go! Ona musi przyznać się do zbrodni i wydać nazwisko winnego!

Jerzy cofnął się o krok.

— W obecności mojej...

— W obec nas wszystkich!

— Zastanów się pan!

— Nad czem?

— Przecież można uniknąć rozgłoszenia hańby... można ukryć błąd... Niech pan działa ostrożnie.

Dauray nie mógł już panować nad sobą.

— I na cóż ta ostrożność? — zawołał. — Niech wstydzą się ci, którzy dopuścili się hańby. Potrzebuję wiedzieć nazwisko nikczemnika, który zgubił moje dziecko!

I pociągnął za sobą Jerzego, który się już nie opierał.

Nagłe wyjście męża i doktora i zmienione rysy twarzy tego ostatniego, przestraszyły do najwyższego stopnia matkę i córkę. Czyż rzeczywiście nie miały powodu podejrzewać i lękać się najstraszniejszych rzeczy?

— Mój Boże... mój Boże, mateczko, co się stało?—mówiła Henryka.—Jerzy przeraża mnie... Zdaje się, jak gdyby umyślnie chciał cię nastraszyć... Ależ ja wiem dobrze, że nie jestem tak niebezpiecznie chorą... czuję się w pełni sił... Czyż umiera się w takim stanie?...

Pani Dauray płakała.

— Moje dziecko... moje dziecko kochane...—jęczała głosem urywanym, łamiąc ręce.

— Matko moja, słuchaj mię, uspokój się... błagam cię... twoja nieuzasadniona rozpacz sprawia mi cierpienie...

Biedna matka ujęła ją w ramiona, przycisnęła do serca i pokrywała pocałunkami.

— Niech mama się nie dręczy — mówiła chora, płacząc sama. — Jerzy myli się, przypuszczając niebezpieczeństwo... Jego przywiązanie do nas zwiększa w nim obawę... Jestem trochę cierpiącą, ale nie chorą... Przecież mogę czuć to lepiej niż on... Już w tej chwili uważam, że jestem znacznie zdrowszą i silniejszą... Chodźmy przejść się po parku... Okryję się ciepło i skorzystamy z pięknej pogody...

— Nie myśl o tem, moje dziecko... mogłoby ci to zaszkodzić...

— Nie! nie! Ojciec i Jerzy zaraz nadejdą, chciałabym więc, by zastali mnie ubraną... To ich uspokoi.

I rzekłszy to, żwawo zeskoczyła z łóżka i ubrała się pośpiesznie.

XLI.

Pani Dauray nie miała siły oprzeć się postanowieniu swej córki i tylko powtarzała:

— Jakaż to nierozwaga! co ty wyprawiasz! Jerzy powiedział, że masz gorączkę, a ty wstajesz nie poradziwszy się go. Może ci się pogorszyć!

— Nie, mateczko, widzisz, chodzę swobodnie i nie doznaję najmniejszego utrudzenia. Jestem już zupełnie zdrową... Okryję się tym ciepłym peignoirem —i włożyła go na siebie.

— To dziwne... — zauważyła nagle — najobszerniejsze moje suknie od kilku dni wydają mi się za ciasne. Tak utyć w moim wieku to rzecz nie zbyt przyjemna...

Pani Dauray nie bywała nigdy obecną przy ubieraniu się swej córki, wiedziała bowiem, że Anusia usługiwała jej gorliwie i zręcznie. Teraz machinalnie rzuciła okiem na figurę Henryki i zadrżała.

— Rzeczywiście—rzekła, podstąpiwszy ku niej—ten peignoir był szeroki, a dziś, zdaje się, że cię uciska...

Zaledwie wymówiła te słowa, gdy drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł p. Dauray z Jerzym. Bladość pokrywała ich oblicza. Jerzy spostrzegłszy Henrykę stojącą, obrzucił ją szybkiem spojrzeniem i zadrżał.

Eks-bankier zwrócił się wprost ku córce, przerażonej jego postawą i wyrazem twarzy.

— Uspokójcie nas... uspokójcie prędzej!—wołała p. Dauray, postępując naprzeciw mężowi.

Ale ten, nie odrzekłszy ani słowa, odsunął ją i z rękami skrzyżowanemi na piersiach i oczyma iskrzącemi gniewem, zatrzymał się przed Henryką.

— Ach! więc wstałaś!—zawołał głosem chrapliwym—tem lepiej! Łatwiej przybierzesz postawę właściwą grzesznicy...

Pani Dauray, usłyszawszy te słowa, zwłaszcza ton, z jakim były powiedziane, uczuła zimno przeszywające ją aż do kości.

Henryka, przerażona, cofnęła się o krok.

— Mój ojcze...—wyszeptała—co to znaczy?

— Na kolana!—zawołał eks-bankier.

Pani Dauray podbiegła ku niemu i zarzuciła ręce na jego szyję.

— Filipie—zawołała—co ty chcesz powiedzieć? ty mię przerażasz!

— Co chcę powiedzieć? Ach, dowiesz się o tem, na twe nieszczęście...

Oblicze p. Dauray przybrało wyraz dzikości.

— Bezwstydna! — zawołał z wściekłością — i uchwyciwszy ją z całą siłą za ramię, zagrzmiał po raz wtóry:

— Na kolana! na kolana!...

Biedne dziecko wydało krzyk bólu i padło na posadzkę.

— Moja córka!... moja córka!...—krzyknęła pani Dauray przerażona.—Filipie, ty ją zabijasz!...

— Ach! dałby Bóg, by nie żyła!

— Nie żyła!... moja córka!... Ależ ty dostałeś pomieszania zmysłów!

— Ojcze mój, cóż ja uczyniłam?—jęknęła Henryka, składając ręce.

— I jeszcze ośmielasz się pytać, nikczemna!...

Żona bankiera wmieszała się znowu.

— Ty śmiesz nazywać mą córkę nikczemną? — zawołała oburzona. — Filipie, ależ ty zwarjowałeś... Skąd ten gniew? te groźby? te zniewagi?

— Skąd? Jej zapytaj się o to! Niech ona ci odpowie, co uczyniła z naszem uczciwem nazwiskiem! Zapytaj o nikczemnika, który ją zgubił!.. nazwisko jej kochanka!

— Ojcze mój... moja matko... i ty Jerzy... wołała Henryka—wy doprowadzacie mię do rozpaczy! Nie rozumiem dobrze waszego oskarżenia, ale pojmuję je o tyle, iż wiem, że przynosi mi ono hańbę! Domagacie się, bym wymieniła nazwisko... Jakie nazwisko?... Czyje?... Ja nie znam żadnego i przysięgam przed Bogiem, przysięgam na moją miłość dla mojej matki, że nie uczyniłam nic, za co bym się powinna rumienić!... Niesłusznem oskarżeniem swem odsłoniliście przedemną nową stronę życia, której istnienia domyśl

tychczas nie domyślałam się nawet. Aż do dnia dzisiejszego widzieliście mię zawsze szczerą, uczciwą i godną wiary. Nie słyszeliście nigdy, bym dopuściła się kłamstwa... Czy uwierzycie mi teraz, gdy przysięgnę wam na tego Chrystusa?

I mówiąc to młoda dziewczyna przeobrażała się z każdym wyrazem; jej głos z początku prawie niezrozumiały, wzmacniał się i dźwięczał, oczy zaszłe łzami, zaświeciły blaskiem. Ręką wskazała wiszący na ścianie, zżółkły przez czas, krzyż z kości słoniowej.

— Uwierzę ci!...—zawołał Jerzy, wzruszony uroczystością giestu i głosu Henryki.

— Otóż — mówiło dalej biedne dziecko z ręką wyciągniętą ku ukrzyżowanemu Chrystusowi—na ten święty wizerunek przysięgam wam, że jestem niewinną, nie dopuściłam się żadnego błędu, że moja dusza jest czystą, moje myśli nieskalane i że jeśli koniecznie potrzeba przypuścić zbrodnię o jakiej nie wiem i nie mam pojęcia, to prędzej jestem ofiarą aniżeli wspólniczką...

— Zbrodnia...—powtórzyli naraz p. Dauray, jego żona i Jerzy.

— Przysięgam!

Eks-bankier podszedł do Jerzego.

— Czy można przypuścić zbrodnię, spełnioną bez wiedzy ofiary?—zapytał pocichu.

— Można—odrzekł lekarz—mógłbym panu przytoczyć nawet bardzo wiele przykładów. Roczniki medycyny sądowej pełne są takich wypadków. Zemdlenie, sen letargiczny, wywołany jakiemi środkami, bywają najczęstszemi okolicznościami, przy których wypadki takie trafiają się.

— Lecz w takim razie nie zdołalibyśmy nigdy odkryć nazwiska zbrodniarza i nie moglibyśmy go ukarać! Ta myśl zabija mnie!...

— Niech pan pozwoli mi wybadać Henrykę...— i otrzymawszy w odpowiedzi znak potwierdzający Dauraya, zbliżył się do młodej dziewczyny.

— Zbrodnia spełnioną została mniej więcej przed czterema miesiącami — mówił Jerzy. — Czy ta wskazówka nie obudzi w pamięci pani jakiego wspomnienia? Niech pani szuka... najmniejszy ślad może rozjaśnić tę ciemność, w której błąkamy się...

— Mniej więcej cztery miesiące... — powtórzyła Henryka, zamyślona głęboko.

Z swej strony państwo Dauray wysilali pamięć, zapytując się wzrokiem.

Nagle Henryka podniosła głowę.

— Mniej więcej cztery miesiące... zemdlałam— mówiła dalej i jakby we śnie—i o mało nie umarłam...

— Jak długo trwało to omdlenie — zapytał Jerzy—a raczej ten stan znieczulenia?

— Trwał do chwili, w której do mego pokoju weszła Anusia i znalazła mię leżącą bez przytomności... więc prawie cztery godziny...

— Cztery godziny! — powtórzył Jerzy — cztery godziny snu letargicznego, podobnego do śmierci!... Czy po przebudzeniu się nie zauważyła pani w pokoju nic nadzwyczajnego?

— Owszem.

— Cóż takiego? Niech pani mówi!...

— Jedna z fotografji, na której podpisałam kilka wierszy, zniknęła i nie mogłam już jej odszukać... Była to właśnie przeznaczona dla pana... — dodała płacząc.

— I to już wszystko? wszystko?

— Wszystko, co zauważyłam. Ale przypominam sobie jeszcze jeden szczegół, który zwrócił uwagę Anusi, a do którego ja nie przywiązywałam żadnego znaczenia.

— Jaki?

— Widziała ona ślady na balkonie, a pod nim poobrywane liście i połamane gałęzie.

— A więc prawda staje się jasną jak słońce!— zawołał Jerzy. — Zbrodniarz wdrapał się na balkon i wszedł przez drzwi!

— Ach, moje biedne, nieszczęśliwe dziecko! nie wątpię więcej o tobie! Przebacz mi!—wołał p. Dauray, wyciągając ramiona ku córce, która rzuciła się w nie i przytuliła do jego serca, gdy tymczasem matka zanosiła się od płaczu.

— Pani... drogie dziecię moje... przysięgam ci, że odszukam zbrodniarza i pomszczę cię!...—zawołał Jerzy.

Henryka nie miała siły odpowiedzieć, uczyniła tylko gest, który oznaczał: I cóż mię obchodzi zemsta, gdy jestem zgubioną?—i osunęła się na posadzkę napół omdlała. Złożono ją na łóżku i p. Dauray pozostała przy niej.

Eks-bankier i doktór Lamarre odeszli znowu do gabinetu, w którym przedtem rozmawiali.

— Germain—rzekł p. Dauray do swego kamerdynera—przyślij mi tutaj pokojową panienki.

Po zbadaniu Anusi, która opowiedziała wiadome już czytelnikom szczegóły, eks-bankier kazał wezwać ogrodnika Piotra.

— Potrzebuję od ciebie pewnych objaśnień — rzekł p. Dauray.

— O czem, proszę pana?

— O wypadku, który zdarzył się przed czterema miesiącami.

— Czterema miesiącami?

— Tak, w nocy z d. 15-go na 16-ty lipca.

— Nie wiedziałem, że wtedy zdarzyło się cokolwiek.

— Zdarzyła się rzecz ważna — odrzekł p. Daucay.—Ktoś zakradł się do pałacu i popełnił kradzież.

— Ach, mój Boże! kradzież!

— Skradziono ze stolika brylanty mojej córki. Dzisiaj dopiero spostrzegliśmy ich brak, ale nie ulega wątpliwości, że zginęły wtedy. D. 15-go lipca wieczorem kolczyki i bransolety znajdowały się w pudełeczku na stoliku; następnego dnia córka moja nie zajrzawszy do pudełeczka schowała je do szuflady, zamknęła ją i nie otwierała aż do dnia dzisiejszego. Dziś rano dopiero otworzywszy pudełeczko spostrzegła, że było puste.

— Czyż to być może!—zawołał Germain.

— Może być, bo jest rzeczą pewną... Mamy dowody... Brak nam tylko wskazówek, które naprowadziłyby nas na ślad złodzieja i może Piotr pomoże nam odkryć go...

— Ja, proszę pana!—zawołał żywo ogrodnik.— Boże miłosierny! Czyżby pan podejrzewał mnie?

— Niech mię Bóg broni! Znam ciebie i wiem, że jesteś człowiekiem uczciwym! Nazajutrz po owej nocy Anusia spostrzegła ślady kroków na balkonie pokoju, którego drzwi były otwarte. Nadto, pod balkonem widziała połamane gałęzie i odciski nóg na trawniku. A ty, Piotrze, czy nic nie spostrzegłeś w ogrodzie szczególnego?

Piotr zaczął sobie przypominać.

— Niech-no pan poczeka... niech-no pan poczeka—zawołał nagle.—Może i ja coś powiem...

— Cóż takiego?—zapytał doktór.—Mów prędzej.

— Nazajutrz po d. 15-ym lipca, który był dniem imienin naszej panny, zajęty byłem z pomocnikami oczyszczaniem alei i trawników podeptanych przez gości podczas puszczania fajerwerków. Wieczorem, pracując w niższej części parku, w której nie można było widzieć ogni sztucznych, w wielu miejscach zauważyłem świeże ślady stóp i znaki na murze tarasowym od strony Marny. Widocznem było, że ktoś tamtędy wdarł się do parku.

— Czy jesteś pewnym tego?—zapytał Jerzy.

— Jestem najpewniejszym, panie doktorze.

— I to było nazajutrz po imieninach panny Henryki?

— Tak, nazajutrz. Pamiętam tak dobrze, jak gdyby to było wczoraj, tembardziej, że jakiś paryżanin przechadzał się wtedy po drodze, jak gdyby na kogo oczekiwał.

— Paryżanin...—powtórzył Jerzy

— Tak proszę pana...

— Młody człowiek?

— Lat dwudziestu pięciu lub dwudziestu sześciu. Spostrzegłszy, że on przypatruje się tarasowi, zacząłem z nim rozmowę.

— O czem?

— O niskim murze, dozwalającym włóczęgom wdzierać się do parku i kraść nam kwiaty i owoce Gdy nachyliłem się, by lepiej przypatrzeć się śladom na murze, on zapytał się, czy nie zgubiłem czego; ja odpowiedziałem że nie, a wtedy on zaczął rozpytywać się o willi, do kogo należy, o panu, o panience..

P. Dauray i Jerzy powstali nagle.

— Rozpytywał się o mnie i o moją córkę?

— Tak, proszę pana... Pytał się o nazwisko właściciela i czy willa przez cały rok jest zamieszkałą i nadto o rozmaite inne rzeczy. Rozmowę naszą

przerwało dopiero nadejście pani z panienką... wtedy odszedłem, zostawiwszy go samego, lecz widziałem zdaleka, że nie odszedł, przypatrywał się pani i panience i nawet ukłonił się im.

— Ukłonił się, jesteś tego pewnym?

— Widziałem to na własne oczy.

— Jak ci się wydał ten młody człowiek? — zapytał Jerzy.

— Zupełnie przystojny, panie doktorze.

— Jak ci się zdaje, do jakiej mógł należeć sfery?

— Nie rozumiem pana.

— Czy wyglądał na robotnika, czy na człowieka zamożnego?

— Był ubrany bardzo porządnie i miał minę pańską. Ale nie potrafiłbym powiedzieć jego stanowiska, nie znam się na tem. Wszakże zdziwiłbym się, gdyby on był złodziejem.

— Czy zobaczywszy cię, był zmieszany?

— Wcale nie...

— To nie daje nam żadnej wskazówki — rzekł p. Dauray.—Czy nic nie wiesz więcej?

— Nic nie wiem.

— Dobrze... Możesz odejść.

Ogrodnik i kamerdyner wyszli z gabinetu.

XLII.

— O czem myślisz, mój Jerzy — zapytał eksbankier.

— O młodym człowieku, o którym opowiadał nam ogrodnik. Przyznaję, że obecność jego na drodze

nadbrzeżnej była rzeczą naturalną, ale te pytania o panu i Henryce wydają mi się dziwnemi.

— Czy wnioskujesz z tych pytań, że to on dopuścił się zbrodni?

— Nie twierdzę tego, ale przypuszczam...

— Wiemy o nim tak mało, że trudno go będzie odszukać.

— A jednak być może...

— Więc przypuszczasz, że możesz trafić na jego ślad?

— Mogę przynajmniej probować... Trudniejszych rzeczy dokonywano...

— Gdybyś go spotkał, to nie mając żadnej pewności, cóżbyś mu powiedział?

— Albož ja wiem?—zawołał Jerzy z rozpaczą.—Zmieszałbym go pytaniami... obwiniłbym go, zmusiłbym do zdradzenia się, a wtedy plunąłbym mu w twarz, zabiłbym go jak psa wściekłego... Co do Henryki, jest jednak sposób ocalenia jej.

— Jaki?

— Małżeństwo zatrze wszystko.

— Małżeństwo...—powtórzył p. Dauray ze zdziwieniem.—Ależ powiedziałeś, że Henryka nigdy nie zostanie twoją żoną...

Jerzy zadrżał i spojrzał eks-bankierowi w oczy.

— Więc pragnąłbyś pan, by została nią? I pan zgodziłby się narzucić mi, mnie, com kochał ją więcej niż własne życie, męczarnię każdego dnia, każdej godziny?

— Nie... nie... moje dziecko... — zawołał nieszczęśliwy ojciec.—Nie przyjąłbym od ciebie podobnej ofiary. Wiem, że byłaby ona nad twoje siły... Choć byś ty się zgodził, ja bym nie przystał... Lecz poradź mi... Widzisz, że pod tym ciosem, co ugodził we mnie, głowa moja stała się niezdolną do myślenia.

Powiedz mi, co mam czynić, by ocalić życie mojej córki, gdyż Henryka umarłaby ze wstydu. Niczego więcej nie żądam od ciebie, rady tylko... nie odmawiaj mi jej.

— Nie odmówię, z pewnością...

— Więc mów!

— Niech pan poprosi panią Durąy, chciałbym powiedzieć w jej obecności.

Eks-bankier zadzwonił na Germaina i kazał mu poprosić p. Dauray.

Biedna matka zaledwie weszła, padła bezwładna na krzesło.

— Boże mój!... Boże! — jęczała nieszczęśliwa kobieta.

— Odwagi, błagam panią!—rzekł Jerzy.

— Nie mam jej, nie zdobędę się na nią...

P. Dauray powstał i podszedł do żony, która rzuciła mu się na piersi.

— Na żądanie Jerzego prosiłem cię, byś przyszła tutaj... Ma on udzielić nam radę...

— Więc mów, nasz przyjacielu, mów, ratuj nas!...

— Chciałem tylko zaproponować, albo raczej nasunąć myśl...

— Jaką?

— Pozwólcie mi państwo pierwej dać sobie kilka pytań.

— Zapytuj, moje dziecko—odrzekł p. Dauray.

— Dla dopięcia celu, o którym mówimy, wszak gotów pan na wszelkie ofiary?

— Na wszelkie! Nie powątpiewaj o tem.

— Jak wielki posag myśli pan dać pannie Henryce?

— Miljon.

— Możnaby dodać drugi...

— Dodam jeszcze dwa i więcej nawet, bez wahania! Cóż znaczą pieniądze w obec sprawy honoru?...

— Niestety, w tej chwili stanowią one najwięcej... Czytał pan zapewne nieraz na czwartej stronnicy dzienników ogłoszenia, mniej więcej następujące: *Partja świetna, panna młoda i piękna, lat dwadzieścia, sto tysięcy franków posagu, wymagany mąż z rodziny zacnej, bez majątku.*

Eks-bankier i jego żona słuchali z natężoną uwagą, lecz przy ostatnich słowach Jerzego na twarzach ich odmalował się głęboki niesmak.

— Ależ to nie jest poszukiwanie męża dla córki—zawołał p. Dauray—lecz człowieka do kupienia!

— A cóż to szkodzi, jeżeli ten sprzedający się człowiek ocala honor?

Zdanie to podziałało na nieszczęśliwego ojca jak strumień zimnej wody.

— Kończ pan—odrzekł, pochylając głowę.

— Znajdują się w Paryżu powszechnie znane ajencje, trudniące się interesami małżeńskiemi i posiadające bardzo liczne klientele. Niema dnia, w którymby jakieś małżeństwo nie zostało zawarte za ich pośrednictwem. Otóż należy bez straty czasu zgłosić się do jednej z takich ajencji.

— Byłoby to wydanie obcym naszego nieszczęścia...

— Dyskrecja ich jest pewną, stanowi ona u nich cnotę, a raczej warunek konieczny.

— I sądzisz pan, że znajdzie się mąż?

— Pod tym względem nie może być wątpliwości. Cyfra posagu ich zwabi.

— Oddać dziecko nasze człowiekowi nieznanemu!... Pomyśl pan tylko nad tem.

— Niech pan nie przesadza... Widziałem takie ajencje, a znam bardzo dobrze jedną, której dyrektorkę leczyłem. Jestto kobieta bardzo szanowna, zajmująca niegdyś w świecie pewne stanowisko, lecz w skutek ruiny majątkowej i śmierci męża, zmuszona szukać zarobku... Za jej takt i dyskrecję ręczę... Zawarła już ona niezmiernie wiele małżeństw. Wiem, że nie jeden szlachcic zrujnowany, lecz nieupadły, znalazł za jej pośrednictwem dla ozdobienia swego herbu wystarczający posag...

— Czyż to być może?

— Upewniam pana, że tak jest.

— Ofiarować pierwszemu lepszemu wielki posag, czyż to nie jest to samo, co wyznać jawnie, że kupuje się nazwisko dla pokrycia wstydu?

— Liczba takich, którym blask złota przeszkadza dojrzeć plamę, jest niezliczoną.

— Człowiek pojmujący żonę w takich warunkach jest ostatnim z nikczemników!..

— To rzecz przekonania, nic więcej... Wdowa Chalamet, o której mówiłem, nie zaryzykowałaby przez jakąś nieostrożność zaufania i szacunku, jaki zdobyć sobie zdołała... Gdy człowiek młody lub starszy, pragnący ożenić się, lecz nie mający stosunków, przybywa do niej, to zanim przystąpi do spełnienia jego żądania, stara się naprzód zasięgnąć objaśnień o jego przeszłości, moralności i rzeczywistej sytuacji. Słowem, postępuje sumiennie i przedsiębierze wszelkie środki, by tylko nie wprowadzić w błąd swych klientów.

— Ach, gdybyś wiedział, jaki wstręt budzi we mnie taki sposób wydania za mąż mej córki!...

— Rozumiem aż nadto dobrze, lecz w tak rozpaczliwej pozycji niema innego wyboru!... Czegoż mianowicie pragnie pan dzisiaj? Zachować w oczach świata cześć panny Henryki... Ja proponuję właśnie

środek. Wątpię czy znajdzie się jaki inny, a jakkolwiek mój wydaje się bolesnym, radzę jednak przyjąć go... Czy sądzisz pan, że ja nie cierpię także i tyleż ile i pan? Pan jesteś ojcem, gdy ja byłem narzeczonym i kochałem, ubóstwiałem Henrykę!... Niestety!... kocham ją jeszcze... Również jak pan mam duszę i serce złamane. Myśl, że Henryka należeć będzie do innego, doprowadza mię do rozpaczy, lecz skoro to ją ocala, poddaję się z rezygnacją!

Podczas całej tej rozmowy pani Dauray płakała w milczeniu.

XLIII.

Eks-bankier powstał i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Wyraz twarzy jego wskazywał, iż w duszy jego staczała się walka straszna.

Nagle zatrzymał się przed Jerzym.

— Gdzie mieszka ta pani Chalamet?—zapytał.

— Przy ulicy Saint-Lazare, nr 11-sty—odrzekł lekarz.

— Kiedy można widzieć się z nią?

— Codziennie od godziny drugiej do szóstej.

— Czy możesz pójść do niej zemną?

— Jestem gotów.

P. Dauray spojrzał na zegarek.

— Druga—rzekł.—Jedźmy do Paryża... Lepiej skończyć odrazu.

— Mój drogi — odezwała się przez łzy p. Dauray—czy nie byłoby dobrze, o tem co masz uczynić, uprzedzić Henrykę?

— Nie! nie!—przerwał Jerzy pośpiesznie.—Broń Boże uprzedzać ją i żądać od niej na ten projekt zezwolenia... Odrzuci go z pewnością... Gdy uczynicie państwo wybór, wtedy będzie czas jej powiedzieć: Oto jest mąż, którego ci wybraliśmy...

Nieszczęśliwa matka załkała głośno.

Eks-bankier podszedł ku niej, otoczył ramionami jej szyję, przycisnął serdecznie do serca i rzekł:

— Odwagi, droga żono... potrzebujemy jej wiele... Musimy ratować honor.

Poczem pożegnał ją i udał się wraz z Jerzym pieszo do stacji kolei żelaznej.

Była już godzina czwarta, gdy przybyli do domu nr 11-ty przy ulicy Saint-Lazare.

Lokaj w liberji otworzył drzwi i ukłonem powitał Jerzego.

— Czy zastaliśmy panią?

— Pani jest u siebie.

— Czy sama?

— Sama.

— Proszę zawiadomić o naszem przybyciu.

Lokaj wprowadził przybyłych do salonu umeblowanego gustownie i z elegancją, wyglądającego nie na poczekalnię ajencji, lecz na salon kobiety światowej.

Za chwilę weszła p. Chalamet.

Dyrektorka zakładu była kobietą liczącą około lat pięćdziesięciu, średniego wzrostu, dość pełną i niącą bardzo przyjemne wrażenie. Gęste i cz włosy zaczynały już siwieć, wzrok miała żywy i sympatyczny. Ubraną była w suknię czarną, el lecz zarazem skromną.

— Ach, witam cię doktorze, albo raczej mój drogi zbawco—rzekła podchodząc do Jerzego i podając mu obie ręce.—Jakże to pięknie z pańskiej strony, że przyszedłeś mię odwiedzić.. Ale dzisiaj nie zapiszesz mi przecież żadnego lekarstwa!... Dzięki twoim staraniom czuję się teraz tak dobrze, jak nigdy przedtem...

Poczem ukłoniwszy się panu Dauray, dodała:

— Cóż pana do mnie sprowadza? Czy przybywasz pan by mię odwiedzić?

— Nie—odrzekł Jerzy—przychodzimy w interesie. Chodzi o pewną sprawę...

— Czy ważną?

— Bardzo ważną.

— W takim razie proszę panów do mego gabinetu. Będziemy tam mogli pomówić swobodniej.

Gdy weszli, dyrektorka poprosiwszy ich siedzieć, rzekła:

— Jestem na rozkazy panów.

P. Dauray był zgnębiony. On, jeden z książąt finansowych, miljoner, kupujący w ajencji męża dla swej córki! Ta myśl doprowadzała go do rozpaczy, prawie odbierała mu przytomność.

Jerzy nachylił się ku niemu i szepnął:

— Odwagi!

-- No, kochany doktorze—zaczęła p. Chalamet, usiadłszy naprzeciw nich — o co chodzi? Chcesz się pan zapewne ożenić i rachujesz, że znajdę ci żonę, kobietę doskonałą pod każdym względem? Wierz mi ...pragnęłabym bardzo! Sprawiłoby mi to wielką ... gdyż spłaciłabym tym sposobem dług wdzię... za ocalenie mi życia... Mam w tej chwili ...wiele doskonałych partji, a kilka takich, ja...adko trafiają się... Młode wdowy piękne i mi-

ljonerki... młode panny, ładne, bogate, z przeszłością bez skazy, ręczę za to...

Te ostatnie słowa wywołały lekki dreszcz w p Dauray.

— Nie chodzi tu o żonę dla mnie, droga pani— odrzekł Jerzy.

— Tem gorzej! Więc o co?

Jerzy widząc z twarzy eks-bankiera, co dzieje się w jego duszy i chcąc skrócić jego cierpienia, postanowił przystąpić odrazu do rzeczy.

— Mamy powierzyć pani pewną tajemnicę...

— Tajemnicę? — powtórzyła dyrektorka — więc chodzi o jakąś młodą osobę, która dopuściła się błędu?

— Nie, pani—odrzekł p. Dauray ponuro—chodzi o niewinną ofiarę potwornej zbrodni!

Na obliczu p. Chalamet odmalowało się głębokie współczucie.

— Ach, biedne dziecko! — szepnęła.—A niegodziwiec?

— Nieznany dotychczas...

— Nieszczęśliwy ojciec!—rzekła dyrektorka, poczem dodała: — Drogi doktorze, rozumiem i nie potrzebuję więcej wyjaśnień... Od czasu jak prowadzę tę ajencję, niejednokrotnie już znajdowałam się w obec podobnych sytuacji... Więc chodzi zapewne o ocalenie przed światem opinji tej biednej córki?

— Tak.

P. Chalamet wzięła arkusz papieru i zapytała:

— Wiek tej panny?

— Lat siedmnaście.

— Czy przystojna?

— Bardzo piękna—odrzekł Jerzy.

— Czy bogata?

— Trzy miljony posagu—odrzekł eks-bankier.

Dyrektorka, zdziwiona, wstrzymała się z zapi- aniem, sądząc, iż źle usłyszała.

— Co?—zapytała.—Ile pan powiedział?

— Trzy miljony posagu—powtórzył eks-bankier

— Czy wypłacalne?

— W gotówce.

— A w przyszłości?

— Dziewięć miljonów.

P. Chalamet uchyliła głowę przed tak imponu jącemi cyframi.

— Zapewne jedynaczka?

— Tak.

— Ależ, panowie, nim upłynie tydzień, to mąż się znajdzie—zawołała dyrektorka.

— Ale pozwoli pani...—zaczął eks-bankier.

— Wiem naprzód co pan mi chce powiedzieć. aturalnie, iż mężem nie może być pierwszy lepszy z jakąkolwiek plamą w przeszłości. Ach, panie. d tym względem nie potrzebuje się pan obawiać nim postanowię zarekomendować jakiego klienta, ykłam zbadać doskonale jego przeszłość pod ka- dym względem. Mój zakład, dzięki Bogu, jest z te- o zna y, a nasz wspólny przyjaciel, doktór Lamarre, nie prz prowadziłby pana tutaj, gdyby inną miał o mnie pinję.

— zeczywiście — odrzekł Jerzy — zapewniłem ego przyjaciela, iż może ufać pani zupełnie.

XLIV.

— Czy zna pani już teraz kogo — zapytał p Dauřay—którzyby zgodził się na małżeństwo w takic warunkach?

— Nie z pośród klientów zapisanych w księdze mojej i którymi obecnie zajmuję się, będę wybierała człowieka, jakiego panu potrzeba. Są to po większej części ludzie bardzo ciasnych pojęć, nie pojmujący, jak piękną jest rola zbawcy honoru niewinnej ofiary...

— Czyż pani znajdzie człowieka, któryby pojmował tę rolę?

— Pomieszczę w dziennikach ogłoszenie, zwrócone przedewszystkiem do klienteli z wyższej sfery.

— Ogłoszenie! — zawołał eks-bankier oburzony.

— Niech pan będzie spokojnym!... Ogłoszenia takie nic nie mówią...

— I pani przypuszcza, że człowiek z wyższej sfery przyjmie taką sytuację?

— Oh, panie, nie jeden, nie dziesięciu, ale stu. Gdyby dyskrecja nie była najświętszym moim obowiązkiem, mogłabym opowiedzieć panu dziwne historje i zacytować fakta zdumiewające. Iluż to się znajduje posiadaczy starożytnych nazwisk, historycznych, zawdzięczających majątek tranzakcjom tego rodzaju!... Powiedział pan, że ta młoda osoba jest piękną!

— Tak.

— Czy może mi pan dostarczyć jej fotografję?

P. Dauray uczynił głową znak potwierdzający, wyjął pugilares i wziąwszy zeń fotografję, podał ją p. Chalamet.

— Prześliczna! zachwycająca! Ależ to rzadka piękność!—wołała dyrektorka.—Spodziewam się znaleść co najmniej barona!... Imię jej?

— Henryka.

— A nazwisko?

Nieszczęśliwy ojciec zarumienił się i zmieszany spojrzał na Jerzego.

— Niech pan się nie waha — mówiła dalej p. Chalamet.—Nazwisko pańskie nie będzie skompromitowane. Potrzebuję je wiedzieć jednak już teraz, choćby dla korespondencji z panem. Przyszły mąż dowie się o nazwisku pańskiem dopiero w ostatniej chwili i od pana samego, gdy wszystko już zostanie ułożonem.

— Nazywam się Dauray — wyjąkał ojciec Henryki.

— Pan Filip Dauray, wielki finansista?

— Ten sam.

Pani Chalamet ukłoniła się i pytała dalej:

— Kiedy i w jaki sposób posag będzie wypłacony?

— W dzień ślubu przez otwarcie kredytu na trzy miljony u mego następcy, będącego zarazem moim bankierem, albo przez wydanie czeku na tę sumę, złożoną w Banku francuskim.

— Czy mąż będzie miał prawo rozporządzać tą sumą?

— Najzupełniejsze i bez ograniczenia.

— Dobrze, wiem już wszystko. Rozpocznę natychmiast starania i niech pan będzie pewnym, że interes pański znajduje się w dobrych rękach. Ocalę najdroższy skarb, bo cześć młodej dziewczyny i jej rodziny.

— Ile mam wypłacić pani honorarjum?

— Teraz nic.

— Niech i tak będzie. Będę zawsze gotowym na rozkazy pani. Ale nie będzie pani zwlekała?

— Ani godziny, ani minuty! Powiedziałam już panu i jeszcze raz powtarzam, że w tym wypadku bardzo chodzi o pośpiech.

P. Dauray powstał, lecz zachwiał się na nogach. Jerzy podszedł ku niemu i wziął go pod ramię.

— Ach, moja córka, moje biedne dziecko!— szeptał—kupować męża dla niej, tak dobrej, tak niewinnej!... co za hańba!

Ukłonili się dyrektorce i wyszli.

P. Chalamet, przyglądając się im z okna gabinetu, gdy przechodzili przez dziedziniec, mówiła do siebie:

— Jeszcze jedna tajemnica straszna do zachowania, jeszcze jeden dramat rodzinny!... A ileż już ich widziałam!... Biedny ojciec! Tak, wydam mu córkę za mąż i wydam dobrze! Świetny interes, na którym i ja zarobię sporo i uczciwie! Pięć od sta od trzech miljonów... sto pięćdziesiąt tysięcy franków... ładna sumka!

Usiadła przy biurku i napisała notatkę następującą:

„GABINET PANI CHALAMET.
MAŁŻEŃSTWA BOGATE.

Poszukiwany jest człowiek z wyższej sfery, bez majątku, ze szlachty rodowej, z tytułem, któryby skłonny był zaślubić młodą pannę z dobrej rodziny, lat siedemnastu, bardzo piękną. Posag TRZY MILJONY, płatne w dzień ślubu. Sprawa bardzo poważna i pilna. Ulica Saint-Lazare nr 11-ty.“

Następnie wezwała służącego i rzekła:

— Zrób cztery kopje tego ogłoszenia i zanieś je natychmiast do dzienników: „Figaro“, „Gaulois“, „Petit Journal“ i „La France,“ dla pomieszczenia jutro koniecznie. Nadto, możesz zapłacić podwójnie, jeżeli będą tego wymagali, byle pomieszczono w miejscu widocznem.

Następnego dnia ogłoszenie figurowało na trzeciej szpalcie czterech powyższych dzienników.

*
* *

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, iż opuściliśmy Juljusza Merciera, albo raczej hrabiego Juljusza-Armanda de Lucenay w chwili, gdy najął sobie mieszkanie przy ulicy Ancienne-Comédie, więc dość daleko od pola swych ostatnich czynów i gdy, po miesiącu nocnych wizyt do domów gry, posiadł już, dzięki wyjątkowemu powodzeniu, dość okrągłą liczbę biletów tysiąc frankowych.

Suma ta w gruncie rzeczy była dla niego niczem, albo przynajmniej rzeczą bardzo małą, ale dawała mu możność zwiększania stawek, a jeśliby szczęście pozostało mu wiernem, wypłynięcia na wierzch zupełnie, olśnienia jakiej bogatej dziedziczki i zdobycia majątku przez ożenienie się.

— Mogę teraz probować wszystkiego—mówił do siebie—ale przedewszystkiem potrzeba udać się do jakiej stacji klimatycznej, np. do Monte-Carlo. Wprawdzie poznają mię tam, lecz cóż mi to szkodzi? Powiem, że przybywam z Ameryki i każdy mi uwierzy. Jeżeli wygram sumę wielką, powrócę natychmiast do Paryża i urządzę dom. Jeżeli zaś stracę... no, tom się już zdecydował... mam już po uszy tej walki o życie... Palnę sobie w łeb!...

Nikczemnik ten nie czuł najmniejszych wyrzutów i najmniejszego niepokoju po spełnieniu świeżej zbrodni.

Był przekonanym, że zamordował Magdalenę Gallier, tak jak zamordował jej dziecko. Ponieważ Magdalena nie żyła, nie mogło więc na niego paść podejrzenie, gdyż w domu tym nikt go nie znał.

Spokojny zupełnie o przyszłość, zamówił sobie u najpierwszego krawca trzy kompletne garnitury i oczekując na nie, wznowił swe dawne wizyty do domów gry, co dało mu sposobność zdobycia sporej sumki.

— To dobra wróżba—pomyślał.

Otrzymawszy garnitury, spakował rzeczy w walizę i pociągiem pośpiesznym odjechał do Monaco, dokąd przybył wesoły i pełen ufności.

Tak więc znalazł się nareszcie wśród swej sfery i rozpoczął dawniejsze życie w świecie błyszczącym i zepsutym, a tak przez niego ulubionym.

Pragnąc jednak zaoszczędzić posiadany kapitał, nie ulokował się w hotelu zbytkownym, gdzie życie jest nadto kosztownem, ale najął sobie pokój na trzeciem piętrze w hotelu skromniejszym.

Tak urządziwszy się, wyszedł na przechadzkę w nadziei, iż spotka kogoś nie ze swych przyjaciół, bo tych nie miał nigdy, ale z dawniejszych towarzyszy biesiad i orgji.

Rozumie się, iż naprzód doskonale obmyślił historję, tłómaczącą prawie trzyletnią swą nieobecność w Paryżu.

Ale doznał zawodu, ani jednej bowiem znajomej sobie twarzy nie spotkał na przechadzce.

— W gruncie rzeczy—powiedział sobie—może to i lepiej. Za to powrót mój do Paryża, jako zupełnie niespodziewany, stanie się tem świetniejszym.

Wieczorem udał się do domu gry, zasiadł do stołu, i ostrożnie, nie ryzykując, odważał się na stawki po cztery i pięć luidorów.

Chciał naprzód wyprobować szczęście.

W Monaco, jak i w ostatnich dniach w Paryżu powodzenie pozostawało mu wiernem.

O trzeciej rano wrócił do siebie z wygraną, wynoszącą czterdzieści pięć tysięcy franków.

— Jeżeli tak pójdzie dalej — myślał kładąc się do łóżka — to wkrótce będę mógł wrócić do Paryża.

Następnego dnia i o tej samej godzinie był już na stanowisku, ale po długich zmianach, stratach i wygranych, udało mu się wygrać zaledwie dziesięć tysięcy franków.

— Ha—myślał, wstając od gry—jutro powiedzie mi się lepiej.

Dzień następny był nieszczęśliwy, gdyż z pięćdziesięciu pięciu tysięcy franków wygranych poprzednio, stracił czterdzieści pięć tysięcy.

— Jutro — rzekł do siebie rozgorączkowany — zaryzykuję wszystko!

XLV.

Następnego dnia hr. de Lucenay przybył zdecydowany, jak powiedział sobie w wigilję, nie oglądać się już na nic, i rzeczywiście za każdym razem powiększał stawki.

Zdawało się, że szczęście zaczęło mu sprzyjać znowu.

W przeciągu godziny miał już wygranych sto tysięcy franków.

Inni gracze podziwiali jego śmiałość i zazdrościli mu szczęścia.

— Rozbije bank!—powtarzali naokoło.

Juljusz utracił wtedy do reszty krew zimną. Prosty zdrowy rozsądek nakazywał wstać od gry

i zabrać wygraną, ale on nie uczynił tego i zdwajał bezustannie stawki.

Przegrał nareszcie jedną, lecz lekceważąc to ostrzeżenie, ryzykował dalej. Stracił drugą, następnie trzecią i wkrótce przegrał wszystko.

Z ogromnej wygranej pozostało mu nie więcej nad kilkanaście luidorów.

Powstał blady jak trup, chwiejnym krokiem udał się do bufetu i prawie jednym haustem wypił całą butelkę wina szampańskiego.

Służący bufetowi, ludzie doświadczeni, wskazywali go sobie wzrokiem, który oznaczał:

— Ten poczciwiec gdy wróci do hotelu, z pewnością palnie sobie w łeb!

Po wypiciu wina Juljusz usiadł przy oddzielnym stoliku i kazał podać sobie kolację.

Jadł mało, ale pił wiele i myślał:

— Gdy zapłacę za kolację i ureguluję należność w hotelu, zostanę na czysto! Wszystkie moje piękne marzenia djabli wzięli! Jestem zrujnowany ostatecznie... Nie dbam już o życie!... Trzeba z niem skończyć!... Za godzinę będę miał rozwiązanie wielkiej zagadki... Jeżeli cośkolwiek przeżyje ciało, jeżeli spotkam mego ojca w niebie czy w otchłani, powie mi on, że źle skorzystałem z jego rad i postępowałem jak głupiec.

Tak rozmawiając z sobą, zapalił cygaro, wziął leżący obok siebie na stoliku numer „Figara“ i rozwinął go machinalnie.

Jakiś czas wzrok jego błąkał się po kolumnach nic nie widząc, gdy nagle zatrzymał się na wydrukowanych wielkiemi literami wyrazach *TRZY MILJONY*.

Zastanowił się i zaczął czytać znane nam ogłoszenie p. Chalamet.

W miarę jak wzrok jego przebiegał po wierszach, wyraz twarzy zmieniał się stopniowo. Widocznie, upojenie winem, które przed chwilą jeszcze zamraczało mózg jego, rozwiewało się jak mgła za podmuchem wiatru. Gdy skończył czytanie, rozpoczął rozważać każde pojedyncze słowo.

— Trzy miljony — powtarzał pocichu — sprawa bardzo poważna i pilna!... To jasne jak dzień... dziecko by to zrozumiało... Chodzi o okrycie jakiejś plamy. Trzy miljony człowiekowi bez majątku, z wyższej sfery, ze szlachty rodowej, z tytułem... hm... ja właśnie nie mam ani grosza, nazywam się hr. de Lucenay, a tytuł mój sięga r. 1223-go... Zdaje mi się, że doskonale odpowiadam wszystkim wymaganym warunkom... A gdybym zaślubił tę pannę z jej trzema miljonami?... Dla czegożby nie?... Miałem odebrać sobie życie... lepiej ożenić się. Tylko—dodał—chowając dziennik do kieszeni, trzeba się śpieszyć... ani minuty niema do stracenia... Garson, rachunek!

Powrócił do mieszkania, położył się, lecz nie mógł zasnąć. Wstał o świcie, zeszedł na dół i zapłacił należność.

— Pan hrabia opuszcza już nas?...—zapytał właściciel hotelu.

— Tak, przegrałem wszystko, a nie chcę żądać z Paryża pieniędzy, bo i te przegrałbym... Proszę odesłać moje rzeczy na kolej żelazną.

Po nabyciu biletu kolejowego pozostał mu jeden luidor i trochę drobnej monety.

Przybywszy następnego dnia wieczorem do Paryża, udał się natychmiast do swego mieszkania przy ulicy Ancienne-Comédie, położył się spać by wypocząć po podróży i obudził się dopiero w południe, przespawszy godzin dwanaście.

Następnie ubrał się starannie, zjadł śniadanie w restauracji, wziął fiakra i kazał się zawieść na ulicę Saint-Lazare.

O godzinie drugiej i pół wchodził już do gabinetu pani Chalamet.

*
*   *

Spokój Jerzego Lamarre i zimna krew, jaką okazał z rozmowie z Filipem Dauray o sposobach uchronienia Henryki od publicznej niesławy, były tylko powierzchownemi.

W rzeczywistości Jerzy cierpiał niezmiernie. Ze świetnych marzeń o szczęściu, jakiego miał doznać obok ubóstwianej i kochającej go istoty, runął nagle w rozpacz nieuleczalną. Miał jednak tyle siły nad sobą, że zdołał ją ukryć, by nie powiększyć cierpienia ojca.

Rozstając się z eks-bankierem, ściskając jego rękę i mówiąc mu: do widzenia! Jerzy postanawiał w duchu nie widzieć się z nim, dopóki nie odkryje i nie ukarze nikczemnika, sprawcę strasznego zawodu i łez tylu. Nie ukrywał jednak przed sobą, że przedsięwzięte zadanie było, jeżeli nie zupełnie niemożliwem, to przynajmniej bardzo trudnem. Posiadał tylko wskazówki udzielone przez Anusię i Piotra ogrodnika, wskazówki niejasne, nie dające punktu wyjścia do poszukiwań, ani śladu drogi, którą możnaby dojść do celu. Nie wątpił, że zbrodniarz dostał się z zewnątrz i wdarł się przez taras, ale jak odszukać ślad jego?

Zadanie wydawało się niepodobnem do rozwiązania.

Brak wskazówek materjalnych Jerzy usiłował zastąpić rozumowaniem.

— Człowiek ten—mówił do siebie—musiał wejść do parku bez określonego z góry celu i tylko wypadek, stan, w jakim znajdowała się panna Dauray, nasunął mu myśl zbrodni. Ten młody człowiek, opisany przez ogrodnika, przechadzający się pod tarasem nad brzegiem Marny, nazajutrz po imieninach Henryki i rozpytujący się o nią i jej rodzinę, musiał być właśnie tym zbrodniarzem.

Jerzy był przekonanym, że tak było rzeczywiście, ale żeby przekonanie moralne mogło się stać pewnością faktyczną, należało odszukać tego nieznajomego.

Odszukać go? gdzie i jak?

Dodajmy do tego, że Jerzy nie mógł rozporządzać całym czasem swoim; część bowiem jego musiał poświęcać swej klienteli, część drugą zaś pracy w celu otrzymania posady naczelnego lekarza w jednym ze szpitali paryskich. Zajęcia te z konieczności musiały wpłynąć na opóźnienie zamierzonych poszukiwań.

Zajmiemy się nim wkrótce, tymczasem powróćmy na chwilę do Juljusza Claude i jego protegowanej Magdaleny Gallier.

Młoda kobieta oddała się pracy zawzięcie.

Zdrowie odzyskała w zupełności, ale z każdym dniem stawała się smutniejszą; niekiedy ponury blask tryskał z jej wielkich oczu, tak zwykle łagodnych. Powodem tego była chęć zemsty, przepełniająca jej serce, pozbawione już odtąd uczucia czułego. Pomimo bezustannej pracy zarabiała bardzo mało i żyła w niedostatku. Postanowiwszy z pierwszych zarobków wrócić małemi sumkami otrzymane od Juljusza pieniądze,

musiała odmawiać sobie najkonieczniejszych potrzeb do życia.

Gdy upadała pod ciężarem utrudzenia, gdy zabiegłe krwią oczy nie mogły już widzieć ściegów, wychodziła na poszukiwanie śladów Merciera, zabójcy jej dziecka, badała, pytała się gdzie mogła i wracając bez skutku, cierpiała z powodu swej bezsilności, gdyż jak powiedzieliśmy, zemsta, za jaką bądź cenę i wszelkiemi możliwemi środkami, stała się dla niej jej myślą jedyną, jedynym celem życia.

Claude często po ukończeniu pracy przychodził ją odwiedzić i za każdym razem widział ją coraz więcej pochmurną i ukradkiem ocierającą łzy płynące po twarzy. Przez delikatność nie śmiał pytać o przyczynę. Zresztą pytania te, gdyby Magdalena i odpowiedziała na nie, nie objawiłyby mu nic takiego, czegoby nie wiedział, lub przynajmniej nie domyślał się. Wiadomem mu było, iż cierpienie jej było moralnem i nieuleczalnem.

Ale jeżeli Magdalena była ponurą i stan Juljusza nie był innym.

Wyrzuty sumienia i miłość bez nadziei dręczyły go coraz więcej.

Pewnego wieczoru, gdy o zwykłej porze przybył do mieszkania Magdaleny, zastał ją zapłakaną.

— Pani znowu płacze...

— Tak—odrzekła smutno.

— Czy ma pani jaki nowy powód? Może brak pracy?

— Nie, mam jej więcej niż mogę wydołać.

— Więc myśli pani o przeszłości?

— Zawsze!

— Źle pani czyni... Po cóż tak dręczyć się bezustannie?

— Alboż to można zapomnieć?

— Czegoż brak pani teraz?

— Pan mię pytasz! Czyż pan nie rozumie, co dzieje się we mnie? Sama jedna na świecie, samotna na zawsze, mogę spodziewać się tylko niedostatku, nędzy i śmierci w opuszczeniu! Jestem zhańbioną i zgubioną!... Nie zaznam nigdy szczęścia rodzinnego... Co najwyżej mogę rachować na odrobinę litości! Bóg widzi, jak skromne były moje wymagania! Mogłam, jak tyle innych, być zamężną, posiadać dzieci... kochać je... poświęcić im życie... być szczęśliwą... Najnędzniejsza istota ma prawo do takiego szczęścia. Prawa tego pozbawił mię nikczemnik!... Ach, jakże ja go nienawidzę! Jeżeli żyję dotychczas, to tylko dla tego, by się zemścić! Tymczasem i zemsta ucieka przedemną i pan chcesz, by oczy moje nie płakały! Czyż to rzecz możliwa?

— Niech pani zapomni—powtarzam.

Młoda kobieta wyprostowała się i namarszczywszy brwi, spojrzała nań dziko.

— Zapomnieć!—powtórzyła z zaciśniętemi zębami—zapomnieć mej młodości straconej, moich marzeń zdeptanych, mego serca złamanego, mej czci splamionej, mego dziecięcia zamordowanego przez tego potwora, który usiłował zamordować mię własną ręką! zapomnieć hańbiącego oskarżenia, więzienia, sądu! Ach, nigdy! nigdy!

XLVI.

— Pojmuję cię, moje biedne dziecko—rzekł Juljusz, ująwszy jej rękę — pojmuję bardzo dobrze, lecz trudno walczyć z niepodobieństwem! Zbrodniarz

— Czegoż brak pani teraz?

— Pan mię pytasz! Czyż pan nie rozumie, co dzieje się we mnie? Sama jedna na świecie, samotna na zawsze, mogę spodziewać się tylko niedostatku, nędzy i śmierci w opuszczeniu! Jestem zhańbioną i zgubioną!... Nie zaznam nigdy szczęścia rodzinnego... Co najwyżej mogę rachować na odrobinę litości! Bóg widzi, jak skromne były moje wymagania! Mogłam, jak tyle innych, być zamężną, posiadać dzieci... kochać je... poświęcić im życie... być szczęśliwą... Najnędzniejsza istota ma prawo do takiego szczęścia. Prawa tego pozbawił mię nikczemnik!... Ach, jakże ja go nienawidzę! Jeżeli żyję dotychczas, to tylko dla tego, by się zemścić! Tymczasem i zemsta ucieka przedemną i pan chcesz, by oczy moje nie płakały! Czyż to rzecz możliwa?

— Niech pani zapomni—powtarzam.

Młoda kobieta wyprostowała się i namarszczywszy brwi, spojrzała nań dziko.

— Zapomnieć!—powtórzyła z zaciśniętemi zębami—zapomnieć mej młodości straconej, moich marzeń zdeptanych, mego serca złamanego, mej czci splamionej, mego dziecięcia zamordowanego przez tego potwora, który usiłował zamordować mię własną ręką! zapomnieć hańbiącego oskarżenia, więzienia, sądu! Ach, nigdy! nigdy!

XLVI.

— Pojmuję cię, moje biedne dziecko—rzekł Juljusz, ująwszy jej rękę — pojmuję bardzo dobrze, lecz trudno walczyć z niepodobieństwem! Zbrodniarz

Na godzinę przed nim w tym samym kierunku zwrócił się i doktór Lamarre na poszukiwania.

Młody lekarz wysiadł na stacji Varennes, przebył most i postępując drogą nadbrzeżną przybył pod taras parku willi jaworowej.

— Rzeczywiście... wdrapać się bardzo łatwo— myślał, oglądając mur — widocznie tędy musiał wejść do parku. Ale ponieważ nie mam żadnych wskazówek faktycznych, chodzi więc o to, by logicznie odtworzyć scenę i kolej wypadków... Wiem, że było już po pierwszej po północy, gdy Henryka udała się do swego pokoju... Zmieniła ubranie i podpisała kilka fotografji, nakoniec potrzeba było sporo czasu, aby aromat kwiatów mógł podziałać na nią i wywołać odurzenie... A więc nie mogła stracić przytomności przed godziną drugą... z czego znów wynika, że zbrodnia musiała być dokonaną już po drugiej. Czy zbrodniarz ukryty był w parku i czatował na sen przewidziany? Nie, gdyż nie mógł wiedzieć, co się dzieje w pokoju... nie wiedział, czy kwiaty zostały wieczorem wyniesione... nie wiedział, że drzwi oszklone były otwarte... musiał więc wejść bez uprzedniego obmyślenia zbrodni. Popchnęły go do niej okoliczności. Lecz skąd przyszedł? Czy znał już przedtem swą ofiarę? Czy usiłował ją później zobaczyć?

Jerzy zadawał sobie te pytania, przechadzając się pod tarasem. Nagle przyszła mu do głowy myśl. Przypomniał sobie młodego człowieka, o którym opowiadał ogrodnik.

— To on, niema wątpliwości, że on... Oczarowany pięknością nieszczęśliwej Henryki, chciał zbliżyć się do niej, chciał dowiedzieć się czegoś o niej i jej rodzinie. Rozpytywał się... Ten człowiek musiał wstępować zapewne do jakiejś bliskiej restauracji...

Bardzo prawdopodobne, że był przez kogo widziany... Trzeba dowiedzieć się.

Naprzeciw samego tarasu była mała wysepka, na której wśród grupy topoli wznosiła się restauracja, bardzo uczęszczana w piękną porę roku, przynajmniej w niedzielę i poniedziałki. Na wyspie jakiś człowiek odcinał suche gałęzie drzew.

XLV.

Jerzy przyłożył obie dłonie do ust i zawołał:

— Czy możesz pan podpłynąć po mnie łódką?

— Natychmiast — odrzekł człowiek, którym był sam restaurator.

W kilka minut Jerzy był już w restauracji na wyspie.

— Czem mogę panu służyć?

— Proszę mi dać kieliszek chartreuse.

Gdy gospodarz spełnił żądanie, Jerzy zwrócił się do niego.

— Chciałbym pana zapytać o coś...

— Owszem, odpowiem chętnie.

— Czy masz pan dobrą pamięć?

— Zdaje się, że dobrą.

— Czy pan zna p. Dauray?

— Byłego bankiera, właściciela willi jaworowej?

— Tego samego.

— Znam i bardzo go szanuję. To dzielny człowiek, robi wiele dobrego dla okolicy.

— Czy przypomina pan sobie uroczystość, jaka odbyła się u niego mniej więcej przed czterema miesiącami? Puszczano wtedy fajerwerki.

W miarę jak doktór mówił, twarz restauratora zmieniała się i na czoło występował smutek.

— Przypominam sobie — odrzekł głosem wzruszonym—był to dzień imienin panny Dauray.

— Czy tego dnia nie zachodził czasem do pańskiego zakładu jaki człowiek obcy, któryby się wydał panu podejrzanym?

— Tego dnia—odrzekł restaurator ze smutkiem —nie przyjmowałem nikogo do zakładu, gdyż rano odprowadziłem moją biedną żonę na cmentarz.

— Przepraszam pana, że pytaniami mojemi wznowiłem pańską boleść...

— Nie mógł pan o tem wiedzieć...

— Więc nie może pan w niczem mię objaśnić?

— Powtarzam, że nie przyjmowałem nikogo.

— Ale może pan widział kogo krążącego po drodze około tarasu?

— Rzeczywiście, widziałem...

— Człowieka młodego?

— Kilku ludzi.

— Podczas dnia?

— Wieczorem, tak około godziny dziesiątej. Wiedząc, że nie zasnę, przechadzałem się, gdy wtem usłyszałem śpiewy i zobaczyłem towarzystwo z pięciu lub sześciu ludzi złożone, postępujące drogą ku Champigny. Zatrzymali się oni naprzeciw tarasu w chwili, gdy zapalono pierwsze ognie sztuczne.

— I pozostali tam?

— Nie, pozostał tylko jeden.

— Jeden!—powtórzył Jerzy.

— Nie wiem dlaczego nie mógł iść z innymi, bo chociaż słyszałem głosy, ale nie mogłem rozróżnić słów... Może zachorował... Położył się na trawie pod tarasem, a jego towarzysze odeszli.

— Nie wiesz pan, czy przepędził tam noc całą?

— Nie wiem... gdyż wkrótce wszedłem do domu, a rano już nie widziałem nikogo.

— Skąd ci ludzie przyszli?

— Nie wiem.

Trudno było osiągnąć więcej objaśnień od restauratora.

— Dziękuję panu—rzekł doktór—niewiele mógł mię pan objaśnić; będę musiał szukać wskazówek w okolicy.

— Czy chodzi o jaką kradzież spełnioną u p. Dauray?

— Tak i o tyle znaczną, że zależy na odszukaniu sprawcy jej.

— Może mój kolega, co ma restaurację przy moście, objaśni pana lepiej...

— Dziękuję, usłucham pańskiej rady.

Jerzy siadł do łódki, przejechał na brzeg i zwrócił się ku mostowi.

Wiemy, że było tam dwie restauracje. W pierwszej, do której Jerzy wszedł, dowiedział się od gospodarza, że owego dnia, u jego sąsiada, zabawiało się od rana do nocy jakieś bardzo hałaśliwe towarzystwo paryżanów.

— Więc tam się dowiem...—rzekł Jerzy.

— Niech pan nie trudzi się napróżno, gdyż restauracja tamta, z powodu bankructwa jej właściciela, została zamkniętą.

— A jak nazywał się właściciel?

— Paweł Grignon.

Jerzy zapisał sobie to nazwisko

— Gdzie on teraz mieszka?

— Nie wiem, gdyż pozostawiwszy bardzo wiele długów, nie powiedział dokąd wyjechał.

Jerzy podziękował i odszedł.

— Odszukam tego Pawła Grignon — mówił do siebie.—Kto wie, czy on mię nie objaśni?

Gdy Jerzy doszedł do końca mostu, spostrzegł Piotra ogrodnika, z grabiami na ramieniu, opartego o balustradę i rozmawiającego z jakimś młodym człowiekiem, stojącym pod tarasem.

W tej chwili przypomniał sobie opowiadanie ogrodnika w gabinecie p. Dauray.

Przyśpieszył kroku i skierował się ku rozmawiającym.

Uprzedźmy go na kilka minut.

Młodym człowiekiem, stojącym pod tarasem, jak czytelnicy domyślili się zapewne, był Juljusz Claude.

Artysta wysiadłszy z pociągu poszedł zwykłą drogą i zaczął krążyć naokoło willi. Do tarasu przybył w chwili, gdy ogrodnik zgrabiał opadłe podczas nocy liście jaworów.

Juljusz poznał go.

— Rozpytując go zręcznie—myślał—mogę zasięgnąć od niego wiadomości.

Zbliżył się i rzekł:

— Piękną mamy jesień, prawda?

Piotr przerwał robotę i spojrzał na mówiącego.

Z swej strony i on poznał młodego człowieka.

— Rzeczywiście piękną—odrzekł i przypomniawszy sobie pytania p. Dauray i doktora Lamarre, postanowił ostrożnie i zręcznie dowiedzieć się z kim rozmawia.

— Zdaje mi się, że już miałem przyjemność widzieć pana...

— Rzeczywiście, nie mylisz się pan.

— Było to latem zeszłego roku?

— Tak, w lipcu.

— Przechadzał się pan, jak i dzisiaj i zaczął zemną rozmowę...

— A tak... Często przechodzę tędy... lubię brzegi Marny i okolice Chennevières.

— Chyba to nie zawsze przyjemnie tak chodzić samemu...

— Ja lubię samotność...

— Czy pan mieszka w Paryżu?

— Tak...—odrzekł Juljusz i pomyślał:—dziwny człowiek; rachowałem na objaśnienia od niego, a tymczasem on mnie bada!

— I odkąd polubił pan tak naszą okolicę?

— Lubiłem ją zawsze...

— To dowodzi, że pan ma dobry gust...

— A pan dawno już mieszkasz tutaj?

— Oddawna... Byłem małym chłopcem gdy wszedłem do służby u p. Dauray.

— I nie nudzi się panu podczas zimy, gdy w willi nikt nie mieszka?

— W niej ciągle ktoś mieszka... Moi państwo zaledwie na miesiąc w roku wyjeżdżają do Paryża, a i po ich wyjeździe zawsze tu ktoś pozostaje.

— Tak... dużo osób... rozrywki... ludzie bogaci zawsze się bawią...

— Zapewne, bawią się, gdy niema zmartwienia, ale gdy smutek przyciśnie, to odpada ochota do śmiechu.

Juljusz uczuł dreszcz przebiegający po całem ciele.

— Smutek?—zapytał.—Czy mówisz pan o swoim panu? Czyżby kto chory był w willi?

— Na nieszczęście, tak...

— Któż taki?

— Nasza panienka.

Serce Juljusza przestało uderzać.

— Chora!...—panna Dauray...—powtórzył głosem drżącym.

— A tak...

Juljusz zachwiał się na nogach.

Piotr spostrzegłszy pomieszanie młodego człowieka i bladość jego twarzy, zapytał:

— Co panu jest?... Czy panu źle się zrobiło? Gdyby pan znał naszą panienkę, to nie odczułby silniej...

Juljusz uczynił nad sobą wysiłek i rzekł głosem nieco spokojniejszym:

— Nie mam zaszczytu znać panny Dauray. Zrobiło mi się źle w skutek utrudzenia... Przyszedłem z Paryża piechotą, a to dobry kawał drogi...

Poczem nie starając się nawet utrzymać związku rozmowy, pod wpływem najwyższego niepokoju, zapytał:

— Czy panna Dauray jest chorą niebezpiecznie?

— Chwała Bogu, nie, ale czas jakiś obawiano się nawet o jej życie. Od kilku dopiero dni ma się znacznie lepiej.

Juljusz odetchnął swobodniej.

— Cóż to była za choroba, że tak zaniepokoiła?

— Nie wiem, nie umiem powiedzieć...

W tej chwili Claude spostrzegł na nadbrzeżnej drodze człowieka, zbliżającego się ku tarasowi krokiem pośpiesznym.

— Do widzenia się z panem—rzekł nagle i odszedł.

— Do widzenia—odrzekł ogrodnik.

Człowiek, którego Juljusz dojrzał idącego drogą i którego nadejście skłoniło go do przerwania rozmowy, zatrzymał się pod tarasem w tem samem miejscu, w którem on rozmawiał z ogrodnikiem.

— Wysiadłem na stacji Varennes i spacerem przyszedłem tutaj—rzekł doktór do ogrodnika.—Co to za człowiek, z którym rozmawiałeś przed chwilą.

— Jestto ten sam, który kilka miesięcy temu rozpytywał mnie o p. Dauray i pannę Henrykę.

— A czegoż on chciał dzisiaj?

— Wiadomości o panience... Gdy dowiedział się, że była chorą, to tak się zmienił, jakby mu się źle zrobiło.

— To on, nikczemnik — szeptał Jerzy — to on... przysiągłbym...—i nie słuchając dalej ogrodnika, pobiegł za Juljuszem, który oddalony był od niego o jakie 500 kroków.

W chwili gdy Jerzy Lamarre podążył za nim, Juljusz odwrócił się.

— Czyżby on mnie gonił?—myślał.—Co to znaczy? Rozmawiał przed chwilą z ogrodnikiem... Czyżby to był kto z pałacu? Więc zdradziłem się...—i zaczął iść śpieszniej.

Doktór spostrzegłszy go uciekającego, krzyknął z wściekłości.

— To on! niepodobna już teraz wątpić! Zdradził się ucieczką! Ale ja cię dogonię... Muszę zobaczyć go!...—i jeszcze bardziej przyśpieszył kroku.

Juljusz, który od czasu do czasu rzucał wzrokiem za siebie, spostrzegł, iż ścigający zbliża się ku niemu coraz więcej i zaczął również iść prędzej. Dobiegł do mostu Champigny i przebiegł go kilkoma skokami.

Z pociągu odchodzącego do Paryża rozległ się głos świstawki.

Peron odległy był już tylko o dwadzieścia kroków, lecz Juljuszowi zabrakło tchu w piersiach. Zebrał ostatnie siły, rzucił się ku dworcowi i następnie wskoczył do wagonu.

Nowy sygnał się rozległ i pociąg ruszył.

Jerzy Lamarre był w tej chwili na moście. Cały spocony, zadyszany, zatrzymał się i by nie upaść, oparł się o barjerę.

— Umknął mi! — szepnął, zaciskając pięści. — Dwie minuty wcześniej, a byłbym miał w rękach nikczemnika, który skradł moje szczęście! Pozostaje mi więc tylko odszukać tego Pawła Grignon, restauratora zbankrutowanego i od niego zażądać wyjaśnień...

Gniew Jerzego był tak gwałtowny i pragnienie zemsty tak wielkie, że gdyby był mógł, starałby się wykoleić pociąg, byle tylko pochwycić zbrodniarza. Nareszcie zawrócił się i udał się w stronę Chennevières.

Serce jego biło jak młotem.

Przed kilkoma dniami przysięgał sobie, że dopóki Henryka nie zostanie pomszczoną, noga jego nie postanie w willi, w obec nowych jednak okoliczności zmienił postanowienie.

Podszedł do bramy parkowej i zadzwonił.

W parku spotkał ogrodnika.

— Cóż, nie mógł pan doktór dogonić tamtego pana?

— Nie mogłem.

— Nie dziwię się... Uciekał jak zając ścigany przez charty... z pewnością musiał odjechać pociągiem...

— Odjechał i gdyby nie to, byłbym go pochwycił.

— Więc pan doktór przypyszcza, że paryżanin ten jest właśnie tym złodziejem, o którym mój pan mówił?...

— Dałbym sobie uciąć rękę, że to on! Czy długo on rozmawiał z tobą?

— Dość długo.

— Cóż on mówił?

— Pytał o różne rzeczy, ale i ja go pytałem, tylko zdaje mi się, że niedowierzał mi. Dowiedziałem się wszakże, że mieszka w Paryżu.

P. Dauray usłyszawszy dzwonek u bramy, spojrzał przez okno swego gabinetu i poznawszy Jerzego, wyszedł na jego spotkanie.

Ogrodnik oddalił się.

— Dziękuję ci za wizytę — rzekł eks-bankier, podając mu rękę.

— Jestem w Chennevières już od rana—odrzekł doktór.

— I nie przyszedłeś do willi?

— Nie, i nie przyszedłbym wcale, gdybym nie miał do powiedzenia panu czegoś ważnego o tym nikczemniku.

— Więc trafiłeś na ślad jego?

— Widziałem go nawet!

— I nie pochwyciłeś go? nie udusiłeś?

Jerzy opowiedział swoją gonitwę za Juljuszem.

— Wymknął ci się... i nic nie wiesz o nim... czy odszukasz go kiedy?

— Mam przeczucie, że odszukam. Prędzej lub później wypadek wyda go w moje ręce, a wtedy wymierzę sobie sprawiedliwość! A teraz muszę pana pożegnać.

— Jakto, nie zobaczywszy się z moją żoną i Henryką?

— Nie mogę!

— Rozumiem, mój drogi, ile musisz cierpieć, ale im ból jest większy, tem więcej należy mieć odwagi! Serce twoje zakrwawione zarówno jak i moje! Czy

myślisz, że boleść ojca jest mniejszą od boleści narzeczonego?... Miej litość nad nami i nie opuszczaj nas! Kocham cię, Jerzy, jak gdybyś był moim synem... Wyobrażaj sobie, że Henryka jest twoją siostrą...

— Ach, gdybyś pan wiedział, ile ja cierpię!

Eks-bankier nic nie odpowiedziawszy, wziął go pod ramię i zwrócił się ku willi.

— Czy nie masz jeszcze wiadomości z ulicy Saint-Lazare?—zapytał Jerzego.

— Nie mam.

Weszli do salonu, gdzie zastali p. Dauray i Henrykę.

Nieszczęśliwa dziewczyna spostrzegłszy Jerzego, zbladła, a na twarzy jej zarysował się wyraz niewymownego cierpienia.

— Dziękuję panu za odwiedziny—rzekła głosem drżącym, podając mu rękę.

Jerzy uścisnął podaną dłoń i ukłonił się w milczeniu. Wzruszenie dławiło go. Pani Dauray była również pochmurną. Widoczne było nieszczęście ciążące nad tym domem, niedawno jeszcze tak wesołym, gościnnym i szczęśliwym.

Eks-bankier zatrzymał Jerzego na obiad.

XLVI.

Gdy hr. Juljusz—Armand de Lucenay wszedł do salonu p. Chalamet, zastał sześć kobiet różnego wieku. Były to jej klientki poszukujące mężów. Czekał godzinę zanim kolej przyszła na niego.

— Czemu mam przypisać pańską wizytę? — zapytała dyrektorka, wskazując mu fotel.

Juljusz wyjął z kieszeni numer „Figara“ i wskazując palcem ogłoszenie zakreślone czerwonym ołówkiem, odrzekł:

— Przychodzę dowiedzieć się, o ile jest prawdy w tym anonsie.

— Ależ, panie, w nim wszystko jest prawdą.

— Więc panna ma lat siedmnaście?

— Tak.

— Czy z dobrej rodziny?

— Z jak najlepszej.

— Przystojna?

— Bardzo piękna.

— I ma posagu trzy miljony?

— Płatne w dzień ślubu, nie licząc trzy razy większej sumy w przyszłości.

— W takim razie musi posiadać jakąś ukrywaną wadę... Zapewne garbata lub kulawa, jak dwie z klientek, które przed chwilą wyszły z salonu?

— Nie ma najmniejszej wady... Jestto osoba rzadkiej piękności, bez żadnego niedostatku, wykształcona... Zresztą będziesz pan mógł osądzić wkrótce własnemi oczami, jeżeli tylko odpowiedzi pańskie na pytania, jakie będę miała zaszczyt panu uczynić, okażą się odpowiadające wymaganym warunkom.

— Niech pani zapytuje.

— Z ogłoszenia samego wiadomo panu, jakie warunki posiadać powinien pretendent do ręki dziedziczki, by mógł być przyjętym przez jej rodziców.

— Wiem, że powinien pochodzić ze szlachty rodowej i mieć tytuł.

— Czy czyni pan zadość tym warunkom?

— Tak, pani... jestem hrabią.

— Muszę pana uprzedzić, że szlachectwo fantastyczne i tytuł ulegający zaprzeczeniu nie będą przyjęte. Potrzebujemy tytułu autentycznego, opartego na dowodach.

— Mogę je przedstawić... Nazywam się hrabia Juljusz—Armand de Lucenay i pargaminów posiadam całą walizę.

Pani Chalamet ukłoniła się z widocznem zadowoleniem.

— Piękne nazwisko, panie hrabio!

— I do tego historyczne.

— Czy może mi pan wręczyć pargaminy, bym je oddała do zbadania heraldykowi i paleografowi?

— Choćby dziś nawet.

— Doskonale... Niech mi pan przebaczy pytanie niegrzeczne, ale nieuniknione: czy żadnym wybrykiem młodości nie splamił pan nazwiska de Lucenay?

— Pytanie rzeczywiście niegrzeczne, ale nie jestem formalistą! Wiodłem życie wesołe, przyznaję to, ale żadnym czynem nieuczciwym nazwiska mych przodków nie splamiłem.

— Doskonale!... Pan mieszka w Paryżu?

— Mieszkałem dość długo, następnie wyjechałem i powróciłem dopiero przed dwoma tygodniami.

— Przebywał pan na prowincji?

— Nie, w Ameryce.

— Długo pan tam bawił?

— Prawie dwa lata.

— Z jakiego powodu udawał się pan tak daleko?

— Chciałem dorobić się majątku, odziedziczony bowiem po ojcu przepuściłem do ostatniego franka.

— I udało się panu?

— Nie. Zawiodłem się zupełnie.

— Przewidywałam tę odpowiedź. Słowem, nie jesteś pan bogatym?

— Nie posiadam nawet dziesięciu luidorów w kieszeni.

— I żadnej nadziei sukcesji?

— Żadnej. Nie mam wcale krewnych.

Pani Chalamet uśmiechnęła się z zadowoleniem

— Oto człowiek, jakiego nam właśnie potrzeba —pomyślała.—Trudno byłoby znaleść bardziej odpowiedniego. Jakże to szczęśliwie stało się, że to on dostrzegł moje ogłoszenie.

Następnie zapytała głośno:

— Więc myśl zdobycia majątku przez bogate ożenienie się, podoba się panu hrabiemu?

— Że mi się podoba, to najlepszym dowodem moja obecność u pani w tej chwili.

— Tak, ma pan słuszność.

— Czy moje odpowiedzi zadowoliły panią?

— W zupełności.

— Więc nie znajduje pani już żadnej przeszkody do pokazania mi portretu owej, jak pani wyraziła się przed chwilą, pięknej panny?

— Żadnej — i powiedziawszy to wyjęła z szufladki biurka fotografję Henryki i pokazała ją hrabiemu.

Młody człowiek osłupiał.

— Cóż—zapytała z tryumfującą twarzą p. Chalamet—czyż nie piękna?

— Ależ niech pani powie: zachwycająca, cudowna!—zawołał Juljusz z zapałem.

XLVII.

Hr. de Lucenay wpatrywał się kilka chwil w portret, następnie rzekł:

— Taka młoda, taka piękna i tak bogata! Przypuszczam, że rodzice muszą jej bardzo nie lubić, lub też, że dopuściła się ona czegoś wielce haniebnego, skoro w taki sposób wydają ją za mąż!

— Mylisz się pan bardzo! Rodzice ubóstwiają ją!

— W takim razie musi mieć chyba zły charakter i wiele wad...

— Dziewczyna ta jest aniołem i ma najlepsze skłonności.

— Przypuszczam, że tak jest, lecz niepodobna by nie miała jakiejś wady.

— To słuszne. Czyż pan sądzisz, że w przeciwnym razie, oddałabym ją panu wraz z trzema miljonami gotówki?

— Ma pani rację. Anioł ten, pomimo całej swej niewinności popełnił jakiś miłosny grzeszek, którego skutki pragną ukryć jak najprędzej.

— Nie popełniła żadnego grzechu, lecz względem niej dopuszczono się zbrodni.

— Zbrodni!—powtórzył Juljusz zdziwiony.—Ależ pani opowiada mi jakiś romans...

— To nie romans a rzeczywista prawda.

— Niech pani wypowie się wyraźniej.

— Rozumiesz pan przecież, że nie mogę teraz powiedzieć więcej, nie mogę zdradzić bolesnego sekretu, powierzonego mi przez zrozpaczonego ojca. Pomyśl pan, że chodzi tu o rodzinę bardzo szanowną i powszechnie poważaną w Paryżu. Ojciec, który wycofał się dziś z interesów, zajmował w świecie

finansowym stanowisko pierwszorzędne. Niech więc pan zadowolni się na teraz tem, co powiedziałam i odpowie mi: czy zgadza się pan na natychmiastowe ożenienie się.

— Na tak jasno postawioną kwestją i ja odpowiem w taki sam sposób... Nie ukrywałem przed panią, że jestem zrujnowany tak, jak tylko być można i ze nie spodziewam się sukcesji żadnej. Przychodząc do pani po przeczytaniu tak ponętnego ogłoszenia, myślałem, że propozycja tak wielkiego posagu musi pokrywać jakąś tajemnicę... Dokuczyło mi już życie obecne i gotów jestem zgodzić się na wiele rzeczy, byle tylko powrócić do egzystencji dawnej. Nie zdecydowałbym się jednak zaślubić kobiety, wiedząc, że wniesie ona do mego życia jakie komplikacje i awantury. Jeżeli nie mogę szanować siebie samego, pragnę zachować poważanie u świata!... Sytuacja taka, jak pani ją przedstawia, jest bardzo poważną, musi w niej bowiem ukrywać się miłość, miłość nieszczęśliwa i niegodna, skoro nie mogą zgodzić się na nią rodzice. Kochanek, odtrącony przez rodziców, nie łatwo zrzeknie się praw nabytych... może narazić mię na skandale, a wiedząc o tranzakcji tak delikatnej natury, zdradzić nawet sekret i tym sposobem zgubić mię w oczach świata.

— Niech pan będzie spokojnym... nic podobnego nie nastąpi... Nie ma pan potrzeby obawiać się kochanka.

— Niech pani wytłómaczy mi to dokładniej.

— Właśnie chcę to uczynić.

I pani Chalamet opowiedziała Juljuszowi de Lucenay wszystko, czego się dowiedziała od Jerzego Lamarre i p. Dauray.

Młody człowiek słuchał z wielką uwagą lecz i z uśmiechem niedowierzania na ustach.

— Pan mi nie wierzy?—zapytała dyrektorka po skończeniu swego opowiadania.

— Jestem przekonanym, że pani powtarza to w dobrej wierze, ale zdaje mi się, że jestto powieść nieprawdopodobna.

— A ja pana zapewniam, że wszystko to jest rzeczywistą prawdą!

— Więc pani jest przekonana, że tak jest?

— Najzupełniej. Gdybyś pan jak ja widział płaczącego ojca tego nieszczęśliwego, biednego dziecka, uwierzyłbyś pan również!

— Wreszcie jestto rzecz możliwa—odrzekł Juljusz po chwili namysłu.—Czy rozpoczęto już poszukiwania w celu odkrycia zbrodniarza?

— Rozpoczęto, ale rozumie się, w sekrecie.

— I cóż? odkryto?

— Nie.

— Czy mają przynajmniej podejrzenie na kogo?

— Nie.

Hrabia de Lucenay powstał, przeszedł się parę razy po gabinecie, następnie zatrzymawszy się przed panią Chalamet, rzekł:

— Zdecydowałem się.

— Odrzuca pan?—zapytała dyrektorka z niepokojem.

— Przyjmuję. Czy będę przyjętym?

— Niewątpliwie. Doskonale odpowiada pan wszystkim wymaganym warunkom. Młody, przystojny, z historycznem nazwiskiem i autentycznym tytułem, z doświadczeniem w życiu, bez przesądów i z czystą przeszłością! Trudno znaleść więcej idealnego zięcia.

— Dziękuję—odrzekł Juljusz śmiejąc się.—Więc może mi już pani wyjawić nazwisko mego przyszłego teścia?

— Mogę. Nazywa się Dauray.
— Filip Dauray, eks-bankier?
— Ten sam. Czy pan go zna? — zapytała p. Chalamet, widząc twarz Juljusza rozpromienioną.
— Z opinji tylko... ma kolosalny majątek...
— Który w całości kiedyś będzie należał do pana, gdyż panna Dauray jest jedynaczką.
— Droga pani, pomówmy teraz o interesie.
— I ja tego pragnę.
— Od pani tylko zależy, by małżeństwo to doszło do skutku...
— Rzeczywiście mogę wiele pomódz, ale nie wszystko, dla tego, że p. Dauray musi pana poznać osobiście i sprawdzić objaśnienia, jakie mu udzielę o pańskiej przeszłości i szlachectwie.
— Nie obawiam się tego, gdyż dowody mam w porządku. Pragnę zaślubić pannę Dauray i zaślubię ją tylko dzięki pani. Niech więc pani wyznaczy sumę, jaką mam wręczyć jej po wypłaceniu mi posagu...
— Zazwyczaj wypłacają mi pięć procent od sumy posagowej...
— Więc od trzech miljonów sto pięćdziesiąt tysięcy franków...
— Tak.
— Otóż niech pani pozwoli mi do sumy tej dołączyć jeszcze pięćdziesiąt tysięcy.
— Pozwalam panu najchętniej — odrzekła dyrektorka rozpromieniona.—Odrazu widać, że pan hrabia jest rzeczywistym szlachcicem, otwartym i hojnym...
— A teraz mam panią prosić o małą przysługę...
— Jestem na pańskie rozkazy... O co chodzi?
— Powiedziałem już, iż jestem zrujnowanym tak dokładnie, jak tylko nim być można...

— Dał pan tem dowód szczerości... Kto inny dla nadania sobie większej powagi, wymyśliłby jakiś fantastyczny majątek... Pan postąpił otwarcie i uważam to panu za zasługę...

— Rozumie pani dobrze, że jeśli państwo Dauray zgodzą się na to małżeństwo, to czekają mię wydatki nieuniknione, których w stanie obecnym ponieść nie mogę. A nie podobna mi przecież udać się do mego teścia i powiedzieć mu: pożycz mi pan na rachunek przyszłego posagu kilka luidorów, bo nie mam czem zapłacić za obiad i kupić za co rękawiczek...

— A naturalnie... Więc co na to poradzić?

— Jest sposób bardzo prosty... Niech pani zechce pożyczyć mi cokolwiek... bagatelkę... dziesięć tysięcy franków...

— Dziesięć tysięcy franków! — powtórzyła ze zdziwieniem p. Chalamet.

— Które wypłacę pani razem z honorarjum dwustu tysięcy franków.

— A jeśli małżeństwo to nie dojdzie do skutku?

— Ależ ja nie żądam od pani tej sumy natychmiast, jakkolwiek, prawdę mówiąc, bardzo by mi się przydało z pięćdziesiąt luidorów... Dziś wieczorem przyślę pani moje papiery familijne. Może pani zawiadomić p. Dauray i naznaczyć nasze spotkanie na jutro. Jestem przekonany, że sprawa ułatwi się szybko... Wszak pani sama powiedziała, że trudno byłoby znaleść lepszego pretendenta. Otóż niech pani mi da teraz tylko tysiąc franków, a jutro, po poznaniu się z p. Dauray wręczy mi pani dziewięć tysięcy, ja zaś wydam pani zobowiązanie na dwieście dziesięć tysięcy płatne w dzień ślubu.

Pani Chalamet po chwili namysłu wyjęła z szufladki biurka bilet tysiąc frankowy i wręczyła hrabiemu.

— Niech pan mi da teraz rewers na tysiąc franków, a później wystawi pan zobowiązanie na resztę... Ufam panu i chcę, by to małżeństwo doszło do skutku.

Podczas gdy hrabia pisał rewers, dyrektorka myślała:

— Nie ryzykuję nic... Przypuszczając nawet, co jest nieprawdopodobnem, że małżeństwo to rozchwieje się, to p. Dauray wróci mi z pewnością te tysiąc franków.

Następnie wziąwszy od hrabiego dokument i przeczytawszy go uważnie, rzekła:

— A teraz porozumiejmy się. Kiedy przyśle mi pan papiery?

— Za dwie godziny.

— Może pan nie przysyłać dzisiaj, gdyż wkrótce wychodzę z domu; ale chciałabym mieć je jutro przed południem.

— Doskonale. Przez ten czas postaram się o świadectwo konduity, metrykę bowiem urodzenia i akty zejścia rodziców posiadam już. Dołączę je w kopercie do papierów rodowych.

— A więc poproszę pana Dauray jutro na godzinę drugą.

— Dobrze.

— Jeszcze jedna rzecz. Jeżeli związek ten, jak mam nadzieję, nastąpi, to zapowiedzi pańskie będą ogłoszone bardzo prędko. Czy nie obawia się pan, że gdy wiadomość o nich rozejdzie się, wierzyciele pańscy zechcą wystąpić z pretensjami do pańskiego przyszłego teścia?

— Nie nastąpi to, gdyż chociaż jestem zrujnowany, nie mam wcale długów. Przed wyjazdem z Paryża opłaciłem wszystkie. Nikomu nie winien jestem ani grosza.

— To dobrze; postawi to pana wysoko w oczach teścia. Podniosę przed nim tę stronę pańskiego charakteru.

— Dziękuję. Wspólny nas interes na tem polega... A więc do jutra...

— Do jutra, panie hrabio.

Pani Chalamet podała mu rękę, ale hrabia zamiast uścisnąć ją, podniósł do ust i pocałował, poczem wyszedł, pozostawiając dyrektorkę pod bardzo przyjemnem wrażeniem tej wysokiej grzeczności.

— Dwieście tysięcy franków! — mówiła do siebie, zacierając ręce — oto interes wyjątkowy! Ani razu jeszcze nie zdarzył mi się taki!

Siadła przy biurku i na kartce papieru napisała następne słowa:

„Filip Dauray. Chennevières.

Upraszam przybyć do mnie jutro o godzinie drugiej. Pilno.

Chalamet, ulica Saint-Lazare. 11 “

XLVIII.

Następnie wezwała lokaja i wręczając mu depeszę, rzekła:

— Odnieś to do biura telegraficznego.

Gdy o godzinie wpół do ósmej wieczorem przyniesiono telegram ten do willi jaworowej, eks-bankier wraz z żoną, Henryką i Jerzym Lamarre siedział przy stole. Przeczytał i żywe wzruszenie odmalowało się na jego obliczu.

— Cóż tam nowego? Może jaka zła nowina?

— Nie. Mam jutro być w Paryżu — i spojrzał znacząco na Jerzego, który domyślił się o co chodzi.

O godzinie dziesiątej Jerzy pożegnał się z matką i córką i odszedł z p. Dauray.

— Zapewne depesza od p. Chalamet? — zapytał lekarz.

— A tak.

— Domyśliłem się... Cóż ona donosi?

— Prosi o przybycie jutro... Widocznie znalazła już kogoś...

— Bardzo być może...

— Czy będziesz mi towarzyszył?

— Nie.

— Dla czego?

— Wprowadziłem pana do tego domu, ale od tej chwili powinienem zostać na stronie.

— Rozumiem cię—odrzekł p. Dauray, ściskając rękę Jerzego—rozumiem bardzo dobrze.

I rozstali się.

*

* *

W chwili gdy Juljusz de Lucenay opuszczał mieszkanie p. Chalamet, Magdalena Gallier wychodziła z domu przy ulicy Marcadet, odnosząc do magazynu pakiet uszytej przez się bielizny.

Stawała się ona z każdym dniem coraz więcej ponurą i smutniejszą.

Gdy weszła w ulicę Chaussé-d'-Antin, spostrzegła elegancki powóz, z którego wysiadły dwie kobiety i weszły do rzęsiście oświetlonego magazynu. Magdalena od pierwszego rzutu oka poznała w jednej z nich ową Gabrjelę Stellini, zwaną Gabri, o której przed kilkoma dniami opowiadała Juljuszowi Claude

Wystawa magazynu pełną była drogich kamieni, połyskujących na ciemno-niebieskiem tle aksamitu, ale wzrok Magdaleny utkwiony był w Gabrjelę Stellini.

— A jednak ona nie jest piękną — szeptała — twarz pomalowana, czoło niskie, usta za wielkie a cała postawa i wyraz oczu wyrażają tylko bezczelność... Skąd takie powodzenie?

Jubiler z uśmiechem, zachowywanym dla najlepszych tylko klientek, podstąpił naprzeciw wchodzącym, ukłonił się nisko i wskazał krzesła, następnie wziąwszy z wystawy jedno z pudełeczek, otworzył je i położył przed niemi. Obie kobiety z zachwytem wpatrywały się w brylanty, gdy wtem drzwi znowu się otworzyły i do magazynu wszedł młody, dwudziestopięcioletni człowiek, ubrany wytwornie, na którego widok obie kobiety powstały. Jubliler ukłonił mu się jeszcze niżej, wziął z ręki Gabrjeli brylanty i przedstawił mu je.

Młody człowiek przypatrzył się im i z uśmiechem wręczył Gabrjeli.

— To musi być jej kochanek—pomyślala przyglądająca się im z ciekawością przez okno Magdalena.

Gabrjela wzięła pudełeczko, powiedziała kilka wyrazów, które musiały być zapewne podziękowaniem, kiwnęła głową jubilerowi, wyszła z magazynu i odjechała wraz z towarzyszką.

Wzrok Magdaleny śledził ją czas jakiś, lecz wkrótce zwrócił się na wnętrze magazynu, gdzie młody człowiek pozostał sam z jubilerem.

Ten ostatni przedstawił rachunek, na który młodzieniec rzuciwszy okiem, wyjął z kieszeni paczkę biletów bankowych i położył ją na kontuarze.

Magdalena z gorączkową ciekawością liczyła rachowane przez jubilera bilety.

Naliczyła ich pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt! pięćdziesiąt tysięcy franków— szeptała biedna robotnica z oburzeniem.—Więc kupił jej brylantów za pięćdziesiąt tysięcy! Ach, gdybym miała taką sumę, połowę jej, czwartą część nawet, mogłabym rozpocząć poszukiwania, opłacić ajentów i odszukać nikczemnika, który mnie zgubił, który zamordował moje dziecko!

Tymczasem hojny przyjaciel Gabrjeli rozejrzawszy się w brylantach rozłożonych pod szkłem na kontuarze, zbliżył się do okna dla obejrzenia ich w wystawie i stanął naprzeciw Magdaleny.

Oczy ich spotkały się.

Młodzieniec stanął zdziwiony.

— Jakaż ładna dziewczyna!—szepnął.

Magdalena zrozumiała wrażenie sprawione widokiem swej osoby, gdyż kobiety w takich razach nie mylą się nigdy, wzruszyła więc tylko ramionami i odeszła od okna.

W tejże chwili i młody człowiek kiwnął głową jubilerowi, wyszedł z magazynu, rzucił wzrokiem w jedną i drugą stronę ulicy i dostrzegłszy Magdalenę o kilkanaście kroków, szybko puścił się w pogoń za nią.

— Ależ jaka ładna! — powtarzał idąc za nią.— Gdyby tak ją ubrać trochę lepiej, wyglądałaby świetnie! Co za ramiona, co za bjust! a jaka młoda!.. Może tylko trochę za blada!

Magdalena uniosłszy cokolwiek sukni, z pod której wyjrzała biała spódniczka i mała nóżka obuta w zgrabny trzewik, przeszła na drugą stronę ulicy.

Młodzieniec szedł ciągle za nią.

— Muszę z nią pomówić—myślał—inaczej wyjdę na głupca...

Przyśpieszył kroku, by rozpocząć z nią rozmowę, gdy Magdalena, zwróciwszy się nagle na lewo, weszła w aleję i znikła.

— Do djabła!—szepnął niezadowolony—ulotniła się jak para! Poczekam... Ależ ona sto razy piękniejsza jest od Gabri! Zresztą Gabri już mi się przejadła... a przytem jakież wymagania! Tymczasem tę małą można ułożyć według swej woli i rzucić w świat! Co za szyk!

Zaczął przechadzać się po trotuarze, domyślając się, że weszła tam tylko za interesem a mieszka gdzieindziej, o czem później z łatwością może się przekonać.

Po dwudziestu minutach Magdalena zjawiła się na ulicy i udając, że go nie widzi, przeszła, prawie ocierając się o niego i nie odpowiedziawszy na jego ukłon.

— Jakaś surowa i cnotliwa... — myślał idąc za nią—ale to tem lepiej...

Grupa ludzi, idących chodnikiem, zmusiła Magdalenę zwolnić kroku, z czego on korzystając podstąpił ku niej i rzekł:

— Czy pozwoli pani towarzyszyć sobie?

Usłyszawszy te słowa Magdalena odwróciła się i zmierzywszy go pogardliwym wzrokiem od stóp do głowy, odrzekła sucho:

— Proszę uwolnić mię od swego towarzystwa.. nie znam pana!

— Właśnie pragnę by mię pani poznała — odrzekł żywo młodzieniec, nie dający się tak łatwo zmieszać i odstraszyć. — Nie jestem byle kim i byłbym w rozpaczy gdybym panią obraził... Jestem

człowiekiem sfery wyższej, nazywam się markiz Celestyn de Valandelle i mam czterysta tysięcy liwrów renty.

Młody markiz zdemaskował odrazu wszystkie swe baterje i rzucił przed Magdaleną jakby potrójną bombę zapalną: swe nazwisko, tytuł i majątek.

Ona nie dała poznać po sobie wrażenia, jakkolwiek w rzeczywistości uczuła lekki dreszcz przebiegający po ciele. Nie odpowiadając szła dalej, lecz już nieco wolniej.

— Pani, życie pełne jest wypadków i dziwnych niespodzianek! Któż by mi przed godziną jeszcze mógł powiedzieć, że właśnie takim dziwnym wypadkiem spotkam osobę, nieznaną mi dotychczas, przeznaczoną do wywarcia tak wielkiego wpływu na moje życie? A przecież tak się stało! Spostrzegłem panią, a ponieważ jestem znawcą, uderzony zostałem pięknością pani, wdziękiem, czemś, co nie wiem jak nazwać, a czego nie posiadają kobiety inne! Daję pani słowo honoru, że mówię prawdę! Gdybym pani powiedział, że od pierwszego spojrzenia na panią pokochałem ją miłością głęboką, szaloną, możeby pani mi nie uwierzyła... Lecz myliłaby się pani... gdy chodzi o uczucie, czas nic nie znaczy... Zobaczyłem panią i kocham już bez pamięci...

Umilkł i czekał odpowiedzi, lecz Magdalena milczała.

— Niech pani przestanie być tak surową! Gdyby pani wiedziała jakim ja jestem dobrym i delikatnym z kobietami! Niech pani ufa mi i będzie ze mną swobodną... Zasługuję na zaufanie, a może mieć pani dowód w tem, że jeśli ma pani rodzinę i nie chce jej sprawić przykrości, to odejdę... A może pani kocha już kogo? Niech pani mi odpowie... Wrócę się i będę usiłował zapomnieć o pani... Cóż pani ryzykuje

odpowiadając mi?... Ponieważ pani już mnie zna teraz i wie, że jestem markizem de Valandelle, człowiekiem ze sfery wyższej, więc nie skompromituje się pani odpowiadając mi!...

Magdalena nie odpowiadała. Zmieszane i sprzeczne myśli plątały się w jej mózgu; nie zdawała sobie sprawy, czy mówiący do niej mężczyzna był młodym, przystojnym, eleganckim... cóż ją to obchodziło? Doznawszy tak strasznego zawodu w swej pierwszej miłości, czuła, że nigdy już nie będzie mogła pokochać nikogo... Ale on posiadał majątek wielki, czterysta tysięcy liwrów renty... a hojność posuwał aż do szaleństwa, gdyż w oczach jej kupił dla Gabri za pięćdziesiąt tysięcy franków brylantów! Potrzebowała tylko odpowiedzieć, ośmielić go, a otrzymałaby sumę dostateczną na poszukiwania dla swej zemsty. Zemsta! to jej jedyne marzenie, jedyny cel życia!

Lecz w takim razie musiałaby dotrzymać warunków targu i zostać jego kochanką, a ta myśl obudzała w niej niesmak. Pierwszy upadek ją zgubił lecz nie wywołał pogardy dla samej siebie, gdyż wtedy kochała i wierzyła, że jest kochaną... Lecz upadek drugi, jakikolwiek byłby jego powód, zhańbiłby ją we własnych oczach!

Tak doszli do bulwaru Ornano. Magdalena szła coraz śpieszniej, markiz nie zniechęcał się wcale.

— Niechże pani odpowie mi nareszcie — mówił głosem błagalnym—niech pani nie bierze słów moich za brak szacunku dla niej!... Niech pani odpowie mi cokolwiekbądź... niech pani mię nawet łaje, lecz niech pozwoli usłyszeć swój głos!...

Magdalena milczała.

— Sprawia mi pani przykrość, bardzo wielką przykrość, słowo honoru! Kocham panią szczerze, na serjo! Niech pani mi choć powie, że później, gdy

pozna mię lepiej, pozwoli się kochać. Niech pani żąda odemnie dowodów mej miłości... niech pani zapragnie czegoś nadzwyczajnego, czegoś niemożliwego, nawet, a wszystko uczynię! Wszelką ofiarę poniosę, byle tylko podobać się pani... Niech pani wyrzeknie jedno słowo, a przekona się...

— On jest szczerym... — myślała Magdalena — wierzę, że uczyniłby wszystko, czegobym zapragnęła!... Mogłabym mieć środki do zemsty... ale za cenę hańby... Przyjęcie od niego czegokolwiek byłoby sprzedażą siebie... Nigdy!

Chód jej stawał się coraz szybszym, w końcu już nie szła lecz biegła.

Markiz zadyszany dążył za nią.

— Słowo... jedno słowo tylko — szeptał — niech wiem przynajmniej, czy pani jest wolną... Dla czego pani milczy tak uporczywie?... co pani z tego przyjdzie? Ja jestem również bardzo uparty! Nie odejdę od pani, będę iść krok w krok, dopóki nie odpowie mi pani!

Magdalena była już na ulicy Marcadet przed domem, w którym mieszkała. Ponieważ drzwi były otwarte, wbiegła szybko i znikła z przed oczu markiza, który zaklął ze złości.

— Nie udało mi się... Nie dała się ugłaskać... Widocznie drwiła sobie ze mnie i z moich czterystu tysięcy liwrów dochodu. Czegoś podobnego nie doświadczyłem jeszcze! A jednak nie jest niemową, bo gdym przemówił do niej, to kazała mi odejść... A może to jaka mężatka zakochana w swym mężu? Może panna uczciwa, mieszkająca przy rodzinie? Muszę dowiedzieć się o tem!

I powiedziawszy to, wszedł do domu i zbliżył się do loży odźwiernej.

— Pani—rzekł żywo,—kładąc na stole bilet bankowy—czy pani wie co to jest?

— Jestto bilet stofrankowy—odrzekła odźwierna.

— Otóż, on należy do pani.

— Do mnie? Więc pan mi go daje?

— Tak.

— Za co?

— Daję go naprzód jako znak wdzięczności za usługę, o którą będę panią prosił.

— Czegoż pan sobie życzy?

— Proszę panią odpowiedzieć mi na parę pytań.

— Jestem gotową.

— Jak nazywa się ta młoda osoba, która przed chwilą przechodziła i rozmawiała z panią?

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się odźwierna. — Więc to pan ją gonił... założyłabym się...

— Wygrałaby pani... rzeczywiście to ja...

— Więc ona wpadła panu w oko... Nie dziwię się, gdyż rzeczywiście jest przystojną.

— Jak ona się nazywa?

— Magdalena Gallier.

— Czy zamężna?

— Wcale nie.

— Więc mieszka przy rodzicach?

— Nie ma wcale rodziców, ona jest sierotą.

— Mieszka sama jedna?

— Sama.

— Czy ma kochanka?

— Jeszczeby co! Broń Boże!

— Więc to dziewczyna uczciwa?

— Ręczę za nią!

— Zdaje się, że nie jest bogatą?

— Utrzymuje się tylko z pracy, która jej przynosi od dwóch do trzech franków dziennego zarobku.

— I to jej wystarcza?

— Zadawalnia się tem i nawet nigdy się nie skarży! Tak, proszę pana!

— Ależ to jakiś anioł! prawdziwy anioł!

— Nie przeczę temu wcale.

— Droga pani, może mię pani uczynić najszczęśliwszym z ludzi! Oto drugi bilet stofrankowy, który proszę dołączyć do pierwszego...

— Z przyjemnością to uczynię... przez posłuszeństwo dla pana...

— Niech pani ani słowa nie wspomina pannie Magdalenie o naszej rozmowie.

— Może pan być o to spokojnym... umiem być dyskretną...

— Rachuję na panią, zresztą zobaczymy się jeszcze...—skłonił się i odszedł.

Orjentując się z trudnością wśród ulic, które znał bardzo mało, lub raczej wcale nie znał i kierując się ku dzielnicy, w której zostawił swój powóz, markiz mówił do siebie:

— Sierota, samotna i uboga!... Dwanaście godzin pracy i za to najwyżej trzy franki dziennego zarobku!... To stanowi dlamnie niejakie atuty!... Jest uczciwą... doskonale! ale wszystko z czasem dokuczy, nawet cnota, a gdy zbyt długo jadło się chleb suchy, piło czystą wodę, a zjawia się pokusa zakosztować trufli i popić je winem szampańskiem, to wcześniej lub później ulega się jej zwykle. Może będę musiał przezwyciężyć wiele trudności i walczyć długo, ale w końcu jestem pewny zwycięstwa! Co za szczęśliwy wydadek, żem spotkał tę dziewczynę, której jeden palec wart więcej niż cała Gabri! Muszę przyznać, że mi się wiedzie!

Zastawszy swój powóz przed magazynem jubilera, kazał się zawieść do klubu, gdzie zjadł obiad i opowiedział swym przyjaciołom, że odkrył perłę nieporównaną, którą wkrótce sami będą mogli ocenić.

Magdalena opowiedziawszy odźwiernej powód swego zmęczenia, weszła do swego mieszkania, zapaliła lampę i siadłszy na krzesełku, zaczęła rozmyślać.

— Więc oparłam się jeszcze—szeptała.—Miałam sposobność zdobycia środków dla mej zemsty... same mi się narzucały, ale wlekły za sobą hańbę... Dobrzem uczyniła, żem się przemogła... Juljusz Claude ma rację: jestem godną litości, lecz nikt nie ma prawa pogardzać mną... Lepiej, że tak się stało!... a jednak moje dziecię domaga się zemsty!...

Powstała, podeszła do okna wychodzącego na cmentarz Marcadet i wpatrzyła się w mogiłę swego dziecka.

— Moje dziecię—szeptała ze łzami w oczach—śpi tam, pod tą trawą zeschniętą, bez nagrobka, bez krzyża! Czyż naprawdę mam prawo zostawić w spokoju jego zabójcę?

Padła na krzesło i pogrążyła się w głębokiej zadumie. Gdy uspokoiła się cokolwiek i przypomniała sobie, że nie jadła jeszcze obiadu, podeszła do szafki, wyjęła kaweł chleba i zimnego mięsa i spożyła je. Następnie wzięła się do pracy i dopiero po północy udała się na spoczynek.

Nazajutrz o dziesiątej, gdy od dwóch godzin już zajęta była szyciem na maszynie, ktoś zapukał w drzwi jej pokoju.

— Proszę wejść—odrzekła.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła odźwierna z przepysznym bukietem w ręku, mogącym kosztować z piętnaście luidorów.

— To dla pani, panno Magdaleno.

— Dla mnie! — powtórzyła młoda kobieta zdziwiona.

— Tak... Widzi pani, jaki piękny!

— Ależ to być nie może! To jakaś pomyłka..

— Niema żadnej pomyłki. Przyniósł go posłaniec wraz z tym listem...—odrzekła odźwierna, wręczając go.

Magdalena wzięła list.

— Tak, do mnie... lecz kto może wiedzieć mój adres i moje nazwisko?

Chciała odmówić przyjęcia i bukietu i listu, lecz przypomniawszy sobie młodego człowieka, który wieczorem dnia poprzedniego starał się zawiązać z nią rozmowę, rzekła:

— Dziękuję... Niech pani położy ten bukiet na stole, dowiem się od kogo pochodzi.

Odźwierna, która wiedziała kto go przysłał odeszła nie pytając.

Po jej odejściu Magdalena otworzyła kopert i znalazła tylko następujące słowa:

„Myślę o pani i kocham panią.

Celestyn de Valandelle."

Łza potoczyła się jej z pod powieki i westchnienie wyrwało się z ust; poczem dziki ogień błysnął w oczach, lecz zgasł prawie w tejże chwili.

Umieściła bukiet w wazonie napełnionym wodą, schowała list do szuflady i zasiadła do pracy.

*

* *

P. Dauray zastosował się do żądania p. Chalamet i przybył do niej o godzinie drugiej.

— Drogi panie — rzekła dyrektorka po przywitaniu go—jestem pewną, że pan mi podziękuje... Mam szczęśliwą rękę... Znalazłam dla córki pańskiej męża, godnego jej i zacnej rodziny, do której on wejdzie... Nie tylko szlachcic, lecz i hrabia... człowiek uczciwy, szlachetny... Gdy dowiedział się o wszystkiem, powiedział, iż dumny jest ze wzniosłej roli wnoszącego spokój do tak ciężko dotkniętej rodziny i ocalającego honor niewinnej ofiary...

— Jakże się nazywa ten młody człowiek, o którym pani mówi z takim zapałem?

— Hrabia Juljusz Armand de Lucenay - Charente.

— Piękne nazwisko i nawet historyczne... Ile ma lat?

— Dwadzieścia pięć.

— No, a z powierzchowności jak wygląda?

— Bardzo przystojny i wielce dystyngowany. Dość go zobaczyć i usłyszeć, by przekonać się, że należy do wyższej sfery.

— Rozumie się, majątku nie ma?

— Ani grosza! Będąc jedynym synem i wcześnie odziedziczywszy po ojcu majątek wielki, zaczął prowadzić życie na wielką skalę, wydawał nie rachując na różne szaleństwa, ale szaleństwa przebaczalne... Zrujnowawszy się do szczętu, wyjechał do Ameryki, gdzie chciał dorobić się majątku, lecz nie powiodło mu się i powrócił do Paryża.

— Musi mieć wiele długów, które trzeba będzie spłacić...

— Myli się pan, hr. de Lucenay nie winien nikomu ani grosza. Przed opuszczeniem Francji sprzedał pozostałą mu resztę majątku i spłacił wszystkich wierzycieli. Powtarzam, iż jest on uosobieniem honoru!... Oto jego papiery rodzinne...

P. Dauray wziął je z rąk dyrektorki i przejrzał uważnie.

— Zdaje się, że wszystko jest w porządku — odrzekł. — Chciałbym zobaczyć jego samego.

— Przewidziałam to życzenie i prosiłam go na godzinę czwartą.

Eks-bankier spojrzał na zegarek, który wskazywał wpół do czwartej.

— Więc pozostaje pół godziny; skorzystajmy z tego czasu i pomówmy o honorarjum pani.

— Niema nic pilnego—odrzekła dyrektorka.

— Przeciwnie, rzecz pilna. Chciałbym wiedzieć, ile winien jestem za tę usługę pani.

— Pomówimy o tem, gdy pan zobaczy p. de Lucenay i zgodzi się na niego...

— Nie, mówmy o tem teraz. Nie chciałbym tych drobiazgów załatwiać po ślubie... Niech pani powie cyfrę, przecież to rzecz tak prosta...

— Rzeczywiście... wprawia mię pan w kłopot... —odrzekła p. Chalamet z uśmiechem.

— Dla czego?

— Zwykle, w umowach o małżeństwo płacą mi pięć od sta od sumy posagowej. Lecz w obec wielkiej kwoty, jaką pan naznacza swej córce, nie mogę mieć podobnej pretensji! Honorarjum moje w takim razie wyniosłoby sto pięćdziesiąt tysięcy franków! Byłoby to za wiele!

— Więc niech pani oznaczy sumę.

— Wolałabym, by pan ją naznaczył...

— Czy sto tysięcy franków będzie dosyć?

— Ależ więcej niż dosyć! to po książęcemu! — zawołała dyrektorka uradowana.

— Więc w dzień ślubu otrzyma pani czek na tę sumę. Czy słowo moje dostatecznem jest dla pani zapewnieniem?

— Najzupełniej.

Wybiła godzina czwarta i prawie w tejże chwili ktoś zapukał w drzwi.

— Proszę wejść—rzekła p. Chalamet.

— Hrabia de Lucenay przybył—rzekł lokaj.

— Czy życzy pan sobie zobaczyć się z nim zaraz?—zapytała dyrektorka.

— Dobrze.

— Więc proś—rzekła p. Chalamet do lokaja.

W pół minuty ten ostatni wprowadził gościa.

Hrabia, jak wiemy, umiejący bardzo zręcznie przybierać wszelki wyraz fizjonomji, wszedł poważny i zamyślony.

Układ jego, sposób przedstawienia się i ukłon, znamionowały w nim skończonego gentlemana.

P. Dauray objąwszy go szybkim rzutem oka rzekł do siebie:

— Z pozoru, trudno znaleść lepszego...

P. Chalamet przedstawiła wzajemnie jednego drugiemu.

Po prezentacji p. Dauray przyjął na siebie przykry obowiązek rozpoczęcia rozmowy.

— Więc pan jest jedynym synem hr. Gastona de Lucenay-Charente?

— Tak, panie. Czy może znał pan mego ojca?

— Spotkałem się z nim kilka razy u jednego z moich klientów i przyjaciół... Nie jesteśmy więc zupełnie obcymi sobie...

— Więc lody już złamane—rzekła p. Chalamet podsuwając im krzesła.—Raczą panowie spocząć.

Ale jakkolwiek lody były złamane, nastąpiła chwila bardzo kłopotliwego milczenia.

— Wiadomo panu—rzekł nareszcie eks-bankier mocno wzruszony—jak straszne nieszczęście dotknęło

mój dom... Wiesz pan, że moja córka niewinna, moje dziecko ukochane...

I nieszczęśliwy ojciec nie mógł mówić dalej, łkania przerwały mu głos.

— Wiem, jak boleść pańska jest głęboką i słuszną—zawołał Lucenay—i dziękuję Bogu, że mi pozwolił złagodzić ją, wybierając mię za narzędzie do wielkiego zadania naprawy... Przysiągłem sobie, że o ile to będzie zależeć tylko odemnie, oszczerstwo nie dotknie imienia córki pańskiej i przysięgi tej dotrzymam, jeżeli uważa mię pan godnym przyjęcia do swej rodziny...

Słowa te wygłoszone z prostotą i zapałem, zdawały się pochodzić z serca.

XLIX.

— Niech pan mię pozna dobrze — mówił dalej hrabia z udaną szczerością, jakiej najlepszy aktor mógłby mu pozazdrościć—gdyż jeśli pan mię przyjmie, to pragnąłbym, by wiedział pan o mnie wszystko... Mam lat dwadzieścia pięć i byłem bogatym, lecz zmarnowałem majątek na wybryki mej pierwszej młodości. Ale nazwiska przodków moich nie skalałem najmniejszą nawet plamą. Zrujnowałem się, lecz pozostałem uczciwym i uczyniłem krzywdę tylko samemu sobie... Złudzenia moje rozwiały się z ostatnim luidorem, oddanym mym wierzycielom, a współcześnie i męski rozsądek zajął miejsce dawnej lekkości... Ale przykro mi było mieszkać w Paryżu, więc wyjechałem do Ameryki, w nadziei, iż pracą odzyskam strwoniony majątek. Nadzieja ta omyliła mię... zaledwie

mogłem zapracować na życie... widoków na przyszłość nie znalazłem... zresztą zabijała mię tęsknota do Francji... Powróciłem więc do Paryża z postanowieniem zaciągnięcia się do wojska, gdyż pozostała mi tylko ta ostatnia ucieczka. Bóg mi świadkiem, że ani na jedną chwilę nie przychodziła mi myśl odnowienia mej tarczy herbowej przez ożenienie się bogate. Czyn taki uważałbym za sprzedaż własnego nazwiska... Przypadek nasunął mi przed oczy ogłoszenie, uczynione w dziennikach przez p. Chalamet... a ciekawość przyprowodziła mię tutaj... P. Chalamet, której opowiedziałem szczerze to, co panu teraz opowiadam i którą przekonałem o szczerości słów moich, pokazała mi portret młodej osoby i nie wymieniając jej nazwiska, powiadomiła mię o strasznem nieszczęściu, którego ofiarą stało się to piękne i niewinne dziecko. Byłem głęboko wzruszony niezasłużonym ciosem, spadłym na zacną rodzinę, uczyniła na mnie wrażenie i piękność twarzy... Przyszła mi myśl, że zdarza mi się wzniosła rola, rola zbawcy i że spełniając czyn szlachetny, zacierając ślady zbrodni, zapewnię sobie szczęście mego życia... I dla tego to gorąco pragnę dać nazwisko me córce pańskiej.

Gdy Juljusz skończył swą przemowę, p. Dauray powstawszy, uścisnął jego rękę i rzekł:

— Słowa pańskie są szlachetne i wierzę, że szczere... Jeżeli zgadzam się na żądanie pańskie jeżeli córka moja ma zostać żoną pana, to mam nadzieję, że nigdy między nami nie będzie najmniejszej wzmianki o przeszłości.

— Nigdy, przysięgam to panu.

— Żadnej wymówki, żadnego wyrzutu...

— Wyrzutu?... Jakim prawem i z jakiego powodu? Córka pańska nie jest winną lecz ofiarą...

— Czy będziesz pan kochał moją biedną Henrykę?

— Ach, panie, któżby jej nie kochał? Widziałem jej portret i od tej chwili obraz jej wyrył mi się w sercu...

— Czy wiadomo panu, że posag jej wynosi trzy miljony?

— Wiem.

— Czy procent od tej sumy wystarczy panu na utrzymanie domu? Hrabia de Lucenay powinien napowrót zająć w świecie stanowisko pierwszorzędne... W razie, jeżeli suma ta będzie niedostateczną, mogę dołożyć jeszcze jeden miljon...

— Wszystko co pan uczyni, uznam za dobre.

— Porozumiemy się w tej kwestji u mego notarjusza... Jutro przedstawię pana żonie i mojej biednej Henryce...

— Przybędę z prawdziwą przyjemnością.

— Niech pan przyjedzie do Chennevières rano.

— O której godzinie?

— Jeśli pan może, to około jedenastej.

— Bardzo dobrze.

— A więc rzecz skończona... Zapowiem wizytę pańską...

Lucenay ukłonił się, eks-bankier zaś uścisnąwszy rękę swego przyszłego zięcia, oddalił się, odprowadzony do drzwi przez panią Chalamet.

— A więc?—zapytała ta ostatnia.—Czy pan zadowolony?

— Bardzo—odrzekł hrabia z uśmiechem.

— Umowa zawarta i będziesz pan miał zamiast trzech cztery miljony. Przyzna pan chyba, żem dobrze poprowadziła interes!

— Cudownie, ale i ja byłem partnerem równie zręcznym...

— Oddaję panu tę sprawiedliwość... A teraz wręczę panu dziewięć tysięcy franków, które, przypuszczam, że przydadzą się...

— Nawet bardzo.

Juljusz schował pieniądze do kieszeni, pożegnał się i odjechał.

*
* *

— No i cóż? — zapytała pani Dauray powracającego męża.

— Jutro przedstawię ci tego, który prawdopodobnie zostanie mężem Henryki.

— Biedne dziecko... Po tak pięknych marzeniach taki upadek! — rzekła p. Dauray ze łzami w oczach.

— Błagam cię, uspokój się!

— Uspokoić się! Czyż to rzecz możliwa wobec tak wielkiego i niezasłużonego nieszczęścia?

— W nieszczęściu naszem będziemy mieli niejaką pociechę, gdyż mamy prawo spodziewać się, że Henryka będzie jeszcze szczęśliwą...

— Któż to jest ten przyszły mąż, którego masz mi przedstawić jutro?

— Jestto młody człowiek, szlachcic i bardzo sympatyczny pod każdym względem. Nazywa się hrabia Juljusz Armand de Lucenay-Charente i liczy lat dwadzieścia pięć.

— A majątek?

— Nie ma żadnego. Strwonił pozostawiony mu przez ojca Gastona, którego znałem osobiście.

— Tego właśnie najwięcej się obawiałam! — zawołała pani Dauray. — Hulaka, rozpustnik zrujnowany, który sprzedaje nam swoje nazwisko i uczyni z naszej córki najnieszczęśliwszą z kobiet!

— Mylisz się—odparł eks-bankier—przypuszczenia twoje są nieuzasadnione... Hr. de Lucenay jest człowiekiem bardzo inteligentnym i szlachetnego serca... Nie ukrywał on przedemną swojej przeszłości, nie wymagał nawet dla siebie pobłażania... Zrujnowany jest, to prawda, ale uczynił tem krzywdę tylko samemu sobie. Popłacił wszystkie długi i nikt nie może mu zarzucić czynu nieuczciwego! Obserwowałem go dobrze i wierzę w jego szczerość... podobał mi się...

Pani Dauray pochyliła głowę i nie była przekonaną, lecz cóż mogła odpowiedzieć?

— Zresztą zgodzisz się ze mną, gdy go zobaczysz... przybędzie jutro, około jedenastej rano.

— Henryka nie wie jeszcze o niczem. Biedna! jaki to przewrót sprawi w jej życiu!

— Uprzedzimy ją... chodźmy do niej.

Gdy weszli do jej pokoju, Henryka smutna i cierpiąca spojrzała na rodziców ze łzami w oczach.

Matka nachyliła się nad nią, otoczyła jej szyję ramieniem i ucałowała czoło.

— Dziecię moje drogie — rzekła — przyszliśmy pomówić z tobą...

— O mojem nieszczęściu?—zapytała głosem złamanym.

— Chodzi o twoją przyszłość, o twoje szczęście...

— Moja przyszłość! moje szczęście!... — odrzekła z goryczą. — Niema dla mnie przyszłości, a jedynem szczęściem, jakiego spodziewać się mogę, bardzo smutnem niestety! to odkrycie i ukaranie nikczemnika, który mię zgubił!

— Zbrodniarz będzie odkrytym i ukaranym, nie powątpiewaj o tem, gdyż Bóg jest sprawiedliwym, ale nie o tem należy teraz myśleć.

— O czem więc?

— O tem, by ani teraz, ani w przyszłości nie mogło cię dotknąć żadne podejrzenie potwarcze! Należy myśleć, aby świat nieszczęścia twego nie złożył na karb zapomnienia się lub słabości...

— Ależ — wyjąkała Henryka — zapominacie...— i spąsowiała, nie mając odwagi dokończyć swej myśli.

— Nie—odrzekł p. Dauray, zrozumiawszy ją— właśnie chcieliśmy ci oświadczyć, co postanowiliśmy.

— Nie wiem, co macie mi powiedzieć, lecz przeczucie mi mówi, że dotknie mię nowe cierpienie.

L.

Po kilku chwilach milczenia eks-bankier zdołał powiedzieć:

— Chcemy wydać cię za mąż.

Henryka usłyszawszy te słowa, zbladła i zadrżała całem ciałem.

— Wydać mię zamąż? — powtórzyła przestraszona.

— Potrzeba...

— I rodzice mają już dla mnie męża?

— Mamy.

— Któż to jest taki?

— Za dwa tygodnie będziesz się nazywała hrabiną de Lucenay.

— Albo niedobrze słyszę cię, mój ojcze, albo nie rozumiem... Ależ to rzecz niemożliwa! Wiecie,

jakiej zbrodni stałam się ofiarą... wiecie, że kocham Jerzego całą duszą, wiecie, iż zawsze myślałam, że zostanę jego żoną, wiecie, że on mnie kocha również... i mimo to wszystko oświadczacie mi, iż mam zostać żoną kogo innego!

— Niestety! moje biedne dziecię—szepnęła pani Dauray—Jerzy nie chce się z tobą żenić...

— A ktoś inny się zgadza?

— Zgadza się hrabia de Lucenay.

— I temu człowiekowi, którego nie znając, nienawidzę, powiedzieliście...

— Powiedzieliśmy wszystko.

— I mimo to on zgadza się mię zaślubić?

— Prosi jak o najwyższe szczęście. — Widział twój portret i pokochał cię...

— Ojcze mój! — zawołała Henryka z niewymownym uczuciem wstrętu — mężczyzna, o którym mówisz, jest nikczemnikiem! On zasługuje tylko na najwyższą pogardę! Jakim sposobem mogłeś przypuścić, że ja, twoja córka niewinna, zgodzę się zaślubić tego nikczemnika?

— Potrzeba ocalić honor — odrzekł p. Dauray poważnie. — Moja córka powinna to zrozumieć.

— Więc dla ocalenia honoru — mówiła głosem drżącym z oburzenia — obiecałeś mu dać stos złota, wszak tak? i podałeś mu rękę na dobicie targu... Odszukałeś jednego z tych hrabiów zrujnowanych, któremu pozostało do sprzedania już tylko nazwisko, jeśli kto dobrze zapłaci!... I gdy ja będę nosiła to nazwisko zhańbione, ty ojcze, powiesz, że honor został ocalony! Nie, ojcze drogi, pierwszy raz w życiu odmawiam ci posłuszeństwa!... Wybierając z dwóch rodzajów wstydu, wolę ten, na który nie zasłużyłam!

Śmiała i niespodziewana odpowiedź Henryki zmieszała pana Dauray. Nie miał on zamiaru narzucić jej swojej woli i pragnął tylko przekonać.

— Nie mam ci za złe twojej odmowy, pochodzi ona bowiem z przesady najszlachetniejszej delikatności... W pierwszej chwili i ja tak samo myślałem, ale następnie zmieniłem zdanie. W każdej ogólnej regule są wyjątki. . Wiesz dobrze, że honor jest mi droższy nad życie!... Nie przeżyłbym plamy na naszem nazwisku... Plama ta istnieje... Aby ją zmyć, znalazłem człowieka, prawda, ubogiego, lecz szlachetnego...

— Szlachetność jego — zawołała Henryka pogardliwie—zawiera się w pragnieniu poślubienia mię wraz z wielkim posagiem!... Miljony przeważyły wstyd!...

— Źle, moje dziecko, sądzisz hr. de Lucenay— odrzekł p. Dauray.—Powtarzam ci, że to bardzo porządny człowiek, w całem tego słowa znaczeniu. Zanim go poznałem, miałem względem niego takież same uprzedzenie, lecz straciłem je po rozmowie z nim. Oceniłem go dobrze, jestem tego pewnym... Pragnie on cię zaślubić nie dla zdobycia majątku, ale by ulżyć w nieszczęściu i naprawić niesprawiedliwość! Wspaniała, rycerska to rola! Mąż twój będzie cię kochał tem więcej, że zasługujesz na litość... Zresztą, pomyśl tylko moje dziecię, do małżeństwa tego wnosi on więcej niż ty!... Wspomniałaś o posagu... wiedz, że historyczne nazwisko i tytuł autentyczny warte są miljonów!...

— Czy ojciec mówił o tym projekcie z Jerzym Lamarre?

— Mówiłem.

— I cóż on powiedział?

— On sam właśnie poradził mi postąpić w ten sposób.

— Poradził poszukać zbawcy, gdyż nie miał odwagi zostać nim sam! — odrzekła Henryka z goryczą. — Jeżeli hr. de Lucenay nie jest najnikczemniejszym z ludzi, w takim razie musiałby być najszlachetniejszym!

— Więc—zapytał żywo eks-bankier — zgadzasz się na ten związek?

— Zanim odpowiem potrzebuję pierwej poznać hr. Lucenay i rozmówić się z nim obszernie.

— Przedstawię ci go jutro rano.

— Więc jutro dopiero będę mogła udzielić odpowiedzi.

Pani Dauray uścisnęła córkę i odeszła wraz z mężem.

Henryka po odejściu rodziców uspokoiwszy się po chwilowej rozpaczy, zaczęła z zimną krwią rozmyślać nad swem położeniem i w końcu doszła do przekonania, że jeżeli hr. de Lucenay jest człowiekiem, za jakiego przedstawiał go jej ojciec, to byłoby szaleństwem odtrącać jego poświęcenie.

Następnego dnia o umówionej godzinie hr. Lucenay przybył do Chennevières, skąd wraz z p. Dauray, oczekującym nań na stacji, przyjechał do willi. Podczas drogi eks-bankier uprzedził go, że Henryka zanim objawi swą decyzję, pragnie z nim pomówić.

— Rozumiem—odrzekł Juljusz ze zwykłą sobie zręcznością—i widzę w tem dowód szlachetnego charakteru córki pańskiej. Życzy ona sobie zapewne powtórzyć mi to, co pan mi już powiedział i zapytać mię o powody mych starań o jej rękę.

— I ja jestem tego zdania—odrzekł p. Dauray —i dziękuję panu za takie ocenienie mej córki.

Po przybyciu do pałacu p. Dauray przedstawił hrabiego swej żonie.

Juljusz nie potrzebował pracować nad sobą, by w krótkim czasie, wrodzoną swą dystynkcją i zręcznością lisa, zdobyć sympatję swej przyszłej teściowej. P. Dauray też bardzo prędko, równie jak i jej mąż powiedziała sobie, iż chyba Pan Bóg przez litość nad ich nieszczęściem zesłał im tak szlachetnego człowieka.

— Moja droga Karolko — rzekł eks-bankier po półgodzinnej rozmowie—może będziesz łaskawą uprzedzić Henrykę o przybyciu pana hrabiego i zapytać, czy zechce przyjąć jego wizytę.

P. Dauray odeszła do córki, oczekującej w saloniku obok swej sypialni.

Henryka ubrana była w suknię czarną, uwydatniającą, przy matowej bladości twarzy, jeszcze więcej jej piękność.

— Moje drogie dziecię — zapytała matka — czy możesz przyjąć p. Lucenay?

— Właśnie czekam na niego.

— Moja droga, bądź rozsądną i pomyśl o twym biednym ojcu, który honor ceni więcej niż wszystko. On nie przeżyłby rozgłoszenia naszego nieszczęścia... Rozumiem cały twój wstręt do podobnego związku, lecz trzeba się poddać konieczności i z dwojga złego wybrać mniejsze.

— Niech mama się nie obawia, będę rozsądną... Czekam na pana de Lucenay.

W pięć minut p. Dauray wraz z mężem i hrabią Juljuszem wróciła do pokoju Henryki.

LI.

— Moje dziecko—rzekł eks-bankier—przedstawiam ci pana hrabiego de Lucenay, którego wizytę zapowiedziałem ci i z którym pragnęłaś się rozmówić.

— Rzeczywiście—odrzekła Henryka, zwracając się do Juljusza—pragnęłam z panem pomówić.

— Szczęśliwy jestem, iż mogę spełnić życzenie pani...

— Może rodzice będą łaskawi zostawić mię samą z p. de Lucenay...

Pani Dauray, spojrzawszy jeszcze raz na córkę wzrokiem błagalnym, odeszła wraz z mężem.

— Niech pan siada — rzekła do hrabiego po odejściu rodziców.

Hrabia zaniepokojony chłodnym tonem Henryki, spełnił jej życzenie.

— Byłam uprzedzoną o pańskiej wizycie — rzekła — to znaczy, że znany mi jest jej cel...

Hrabia uczynił ruch, jak gdyby chciał odpowiedzieć.

— Niech pan mi nie przerywa — dodała żywo Henryka.—Pragnę dać panu kilka pytań, a nie chciałabym zapomnieć o żadnem... potrzebuję więc całej przytomności umysłu.

— Słucham panią — odrzekł — nie będę przerywał...

— Przedewszystkiem, niech pan przebaczy mi, jeżeli ja, dziewczyna młoda, która nie powinna znać życia wcale, dotknę, nie krępując się wstydliwością, przedmiotu bardzo drażliwego. Ale niech pan nie poczytuje tego za brak wstydliwości we mnie, lecz za konieczną odwagę, wobec bowiem uroczystego,

narzucanego mi na całe życie aktu, popełniłabym najwyższy błąd nie żądając wyjaśnienia zupełnego. Wszak wiadomo panu, że popełniona została zbrodnia i wiadome jej skutki...

— Wiem wszystko, pani—odrzekł hrabia.

— I mimo to postanowiłeś pan starać się o moją rękę?...

— Tak, pani.

— Otóż nie mogę tego zrozumieć... nie mogę przypuścić...

— Mogę powtórzyć pani tylko to, co powiedziałem jej ojcu. Byłoby niesprawiedliwością, okrucieństwem, byłoby rzeczą haniebną czynić panią odpowiedzialną za zbrodnię, której pani nawet nie domyślała się! Zbrodnia ta nie mogła splamić duszy pani! Jesteś pani czystą jak przedtem i tylko otoczoną aureolą ofiary! Cóż można więc podejrzewać w postępku człowieka uczciwego, podającego rękę niewinnej istocie i pokrywającego swoim honorem plamę mimowolną, niezasłużoną? Więc to nie winowajczyni, ale męczenniczce godnej najwyższej czci i szacunku, ofiaruję moje nazwisko i moje serce!

— Uczucia te byłyby bardzo piękne, gdyby były szczere—odrzekła Henryka.

— Czyżby pani nie wierzyła w mą szczerość?..

— Niech pan pozwoli mi mówić dalej — rzekła Henryka. — Więc zgadza się pan pojąć mię za żonę bez żadnej ukrytej myśli, bez żadnego rachunku?

Nigdy chyba jeszcze tak drażliwa kwestja nie była postawiona tak jasno.

Juljusz zrozumiał, że powodzenie jego planu zależało teraz tylko od jego odpowiedzi, gdyż w razie odmowy Henryki, zezwolenie jej rodziców nie miało żadnego znaczenia. Ona zaś nie zgodzi się nigdy, jeżeli on nie zdoła jej przekonać.

— Wymaga odemnie pani szczerości bezwzględnej—odrzekł z odcieniem melancholji w głosie—więc będę jej posłusznym... Nie będę ukrywał przed panią powodów, skłaniających mię do starania się o ten związek, jako o najwyższe szczęście dla mnie... Byłem zrujnowanym... zrujnowanym z winy własnej... Roztrwoniłem majątek na tysiączne szaleństwa przez lekkomyślność i bezskutecznie usiłowałem odzyskać go pracą... Przed kilkoma dniami po powrocie z Ameryki spostrzegłem w około siebie straszną pustkę... Nikt nie podał mi ręki... groziła mi nędza i najmniejszy promyk nadziei nie rozświecał mi przyszłości... Więc cóż mi po życiu?—mówiłem do siebie.—Głód jest złym doradcą... Nie chcę w chwili słabości splamić nazwiska mych dziadów... Lepiej jest skończyć z życiem!... I postanowiłem umrzeć!... Nie mówię pani obmyślanych frazesów, lecz szczerą prawdę! Kupiłem rewolwer, lecz postanowiłem czekać tydzień na coś, w co sam nie wierzyłem, na cud, i powiedziałem sobie, że jeśli po upływie tego czasu los nie poda mi ręki, odbiorę sobie życie...

„Siódmego dnia wpadł mi w rękę dziennik, w którym wyczytałem propozycję małżeństwa z wielkim posagiem... W pierwszej chwili z pogardą wzruszyłem ramionami, domyślając się, iż propozycja tego rodzaju kryła w sobie coś hańbiącego... Następnie jednak zacząłem się zastanawiać... A jeżeli w tem ogłoszeniu jest dla mnie ratunek?... W każdym razie, dla czegoż nie miałbym zasięgnąć objaśnienia, skoro odpowiadam wszelkim warunkom, pochodzę z rodziny szlacheckiej i posiadam tytuł hrabiowski?... Udałem się do wskazanej ajencji, przedstawiłem dowody tożsamości i zażądałem objaśnień. Uzyskawszy je, chciałem z początku się cofnąć, lecz nagle jakiś promyk rozświetlił mój umysł i sprawa przedstawiła mi się z innego punktu widzenia.

„Zdawało mi się, że widzę osobę, o której mi mowiono, nie wymieniając jej nazwiska, a której urocze oblicze pokazano mi na fotografji, padającą pod ciężarem nieszczęścia niezasłużonego i opłakującą na zawsze utraconą przyszłość.

„Opanowała mię wtedy niezmierna litość i głęboka sympatja... i zapytywałem siebie, dla czegożbym nie miał podać ręki niewinnej ofierze, dla czego nie miałbym wynagrodzić niesprawiedliwości, ocalając jej honor, zasłaniając go swem nazwiskiem? Czyż powinienem wahać się, czyż powinienem się cofać dla tego tylko, że ofiara ta posiada miljony?

„Odpowiedziałem sobie przecząco, ale sumienie moje nic mi nie zarzuca, ponieważ miljony te nie miały wpływu na moje postanowienie.

„Przed chwilą zapytywała mię pani: Czy zaślubiłbyś mię pan, gdybym nie posiadała majątku? Oto moja odpowiedź:

„Będąc ubogim, nie mógłbym zaślubić panią, równie jak ja ubogą. Dwa ubóstwa nie powinny nigdy łączyć się z sobą. Ale gdybyś pani nic nie posiadała, a jam był bogatym, przysięgam na mój honor szlachecki, że starałbym się o miłość pani!

„Takie są moje myśli i przekonania i nie widzę w nich żadnej zasługi, posiadam bowiem dla pani szacunek bez granic, a który, jestem pewnym, zmieni się w miłość najgłębszą...

Hr. Lucenay wypowiedziawszy, co miał do powiedzenia, zamilknął.

Henryka słuchała go z natężoną uwagą, a wyraz jej twarzy zmieniał się prawie z każdem jego słowem.

— Przypuszczam, że słowa pańskie są szczere...

— Pochlebiam sobie, że pani mi wierzy.

— Więc pan jest stanowczo przekonany, że byłam tylko ofiarą a nie wspólniczką?

— Wierzę najświęciej... wierzę w honor pani jak w mój własny!

— Jeżeli zostanę żoną pańską, czy nigdy nie uczynisz pan nawet najmniejszej wzmianki o mej przeszłości nieszczęśliwej?

— Nigdy!... Zapomnę o niej nazawsze!

— Niestety—szepnęła Henryka, ukrywając twarz w dłonie—zapominasz pan, że znajdzie się między nami żywe wspomnienie zbrodni...

— Dziecię, które przyjdzie na świat, będzie mojem dziecięciem — odrzekł hrabia. — Biedna istota niewinna... Będę je kochał, gdyż będzie ono dziecięciem pani...

— Dziękuję i wierzę panu... Ulitowałeś się pan nademną i chcesz mię ocalić. To dowód wielkiego serca... nie zapomnę tego...

Juljusz, tryumfujący, rzekł do siebie:

— Bitwa wygrana! forteca zdobyta!

Głośno zaś dodał:

— Czy mam wnioskować ze słów tych, iż wraca mi pani szacunek i dozwala mieć nadzieję?

— Odpowiem panu w obecności moich rodziców

Hrabia podał rękę Henryce i przeszedł z nią do salonu, w którym oczekiwali państwo Dauray.

— Moi drodzy rodzice—rzekła Henryka—jestem zadowoloną z odpowiedzi udzielonych mi przez p. de Lucenay i wierzę w jego bezinteresowność i prawość charakteru. Wdzięczną mu jestem za jego ofiarę i zgadzam się zostać jego żoną. Niech ojciec postara się przyśpieszyć nasz ślub.

P. Dauray wybuchnęła płaczem.

— Nie płacz, droga matko — zawołała Henryka podbiegając ku niej i całując ją. — Pan Lucenay jest

człowiekiem szlachetnym i przyrzekł uczynić mię szczęśliwą.

— I dotrzymam przysięgi—zawołał Juljusz z zapałem.

— Dziś jeszcze będę w merostwie — rzekł p. Dauray — następnie porozumiem się z proboszczem o ogłoszeniu zapowiedzi w kościele... Mam nadzieję, że ślub odbędzie się za dwa tygodnie. Czy zgadza się pan na ten termin, p. Lucenay?

— Wszystko, co zbliży chwilę mego szczęścia, napełni mię radością—odrzekł hrabia.

— Proszę ojca, wszak p. Lucenay zostanie u nas zapewne przez dzień dzisiejszy?

— Byłaby to łaska, o którą nie śmiem nawet prosić...—rzekł hrabia.

— Z całego serca udzielamy ją panu — odrzekł eks-bankier.

Henryka mówiła głosem prawie pewnym i wydawała się spokojną, ale jak morze pod swą gładką powierzchnią ukrywa przepaści, tak biedne dziecko taiło w głębi serca niewyleczalne cierpienie.

LII.

Pozostawmy Juljusza de Lucenay odgrywającego w willi jaworowej swą straszną komedję bezinteresowności i poświęcenia i powróćmy do jego pierwszej ofiary, Magdaleny Gallier.

Następnego dnia po wysłaniu pierwszego bukietu markiz de Valandelle wyprawił rano bukiet drugi i karteczkę, dołączając luidora dla odźwiernej. Nie śmiał on jeszcze zjawić się u niej osobiście, bał się

bowiem wskazania mu drzwi. Prowadząc życie wielkiego pana i udając człowieka już przeżytego, markiz był w rzeczywistości naiwnym, powiedzmy otwarcie—głupim.

Widzieliśmy go ofiarującego brylanty za pięćdziesiąt tysięcy franków pannie Gabri, której nie kochał, która mu już dokuczyła i tyranizowała go, czynił to zaś tylko dla tego, że była w modzie. Ale gdy spotkał kobietę, której nie mógł kupić za cenę umówioną, nie wiedział jak postąpić. A ponieważ Magdalena nic sobie nie robiła z jego czterystu tysięcy franków renty, czuł się więc bardzo zmieszanym i onieśmielonym. Robotnica, zarabiająca dwa franki i pół dziennie, obojętna na blask takiego stosu złota, na szmer tylu biletów! — to fenomen nie do uwierzenia!

Markiz przez cały tydzień wysyłał codziennie bukiety, nareszcie doszedł do przekonania, że postępował jak młokos, że Magdalena musiała się przez ten czas namyślić i postanowił uczynić krok stanowczy.

Magdalena, która od kilku dni nie widziała Juljusza Claude, samotna, nie podtrzymywana jego rozsądnemi radami, wahająca się pomiędzy poczuciem obowiązku i pragnieniem zemsty, zachwiała się w swem postanowieniu. Po każdem otrzymaniu kwiatów i biletu traciła cząstkę woli i siły odporności. Nie dla tego, by chciała poprawić swój skromny byt, by wabił ją urok zbytków, gdyż wygody życia jej nie nęciły i sama myśl o miłości przejmowała ją przerażeniem, ale spoglądając bezustannie na zakątek cmentarza, ukrywający zwłoki jej dziecięcia, pragnęła zemsty, a dla jej dokonania potrzebowała pieniędzy.

Pieniądze te pochodziłyby, co prawda, ze źródła hańbiącego, lecz cóż ją to obchodziło, skoro mogłaby za nie odszukać Juljusza Merciera i zaprowadzić go na gilotynę!

Była właśnie w tem usposobieniu, gdy pewnego dnia przed południem zapukano w jej drzwi.

— Pewno znowu bukiet — pomyślała — ależ ten człowiek jest cierpliwy.

Prosiła wejść i w tejże chwili odźwierna zadyszana, z miną tajemniczą wpadła do pokoju.

— Przyszedł ten pan, który przysyłał bukiety!— zawołała. — Wysłał mię naprzód, bym pannę uprzedziła... Ręczę, że on panią bardzo kocha! Przepada za panią! Wychudł biedak, zbladł, policzki mu zapadły... dał mi słowo honoru, że umrze, jeżeli pani nie zechce przyjąć jego wizyty...

Dodajmy od siebie, że odźwierna zmyśliła ten ostatni szczegół. Wiedząc, że markiz w razie powodzenia potrafi być dla niej hojnym, robiła wszystko by mu dopomódz.

— Nie przyjmuję nikogo—odrzekła Magdalena.

— Ale p. Valandelle nie jest byle kim, to markiz...

— Nie czynię żadnych wyjątków.

— Źle panna robi! Gdy młody człowiek jest zakochany, to dziewczyna zręczna może zaprowadzić go dokąd zechce, nawet do merostwa i kościoła... Kto zaręczy, że on panny nie zaślubi?

— Upewniam panią, że on nie myśli o tem.

— Może nie myśli w tej chwili, ale panna nasuniesz mu tę myśl. Czy to już nie widziano markizów a nawet książąt żeniących się z ubogiemi pannami, daleko mniej wartemi od panny... Cnota potrzebna, tylko znowu żeby nie było jej za wiele...

Panna nie znajdzie takiej drugiej sposobności, a jeśli nie skorzysta teraz, to będzie później żałowała... Niech panna pozwoli mu przyjść, przecież nic panna nie ryzykuje... Zapewniam pannę, że on ją bardzo szanuje... Niech panna pozwoli przyprowadzić go tu na chwilę rozmowy... No, dobrze?

Magdalena pochyliła głowę i walczyła sama z sobą.

— Panna jeszcze się namyśla!... No, tego już nie rozumiem... Odrzucać taki los, gdy i tak tyle się cierpi na tym nędznym świecie!... Ach, gdyby to mnie coś podobnego zdarzyło się, gdy byłam młodą i wcale przystojną...

Magdalena powstała i z namarszczonem czołem i pałającym wzrokiem zaczęła chodzić po pokoju.

— I po co to tyle myśleć nad tem?...: Niech panna mi wierzy, że ja dobrze radzę, niech panna się zdecyduje...

— Powiedz pani panu de Valandelle, że przyjmę jego wizytę na chwilę—odrzekła Magdalena.

— Tak, to co innego!... — zawołała odźwierna i wybiegła z pokoju.

— No cóż?—zapytał oczekujący w loży markiz zadyszaną odźwierną.

— No, napracowałam się, ale zrobiłam. Mała czeka na pana... Wejście z dziedzińca, piętro trzecie, drzwi naprzeciw schodów.

Markiz pobiegł pod wskazany adres i zapukał w drzwi.

Magdalena poszła otworzyć mu.

LIII.

Valandelle wszedł zmieszany, ukłonił się i spostrzegłszy ustawiony na stole szereg bukietów w fajansowych wazonach, zawołał:

— Więc pani je zachowała! ach, pani!

— Zachowałam—odrzekła Magdalena—gdyż lubię kwiaty, a te są wspaniałe...

— Pani taka pobłażliwa!... Kwiaty te bardzo skromne...

— Niech pan raczy spocząć — rzekła, siadając o kilka kroków od niego.

Widząc, że markiz, utkwiwszy w nią wzrok, wpatrywał się z uwielbieniem i milczał, rozpoczęła sama rozmowę.

— Prosił mię pan, bym zezwoliła na widzenie się ze mną... Nie miałam żadnego poważnego powodu odmówienia, gdyż jestem zupełnie swobodną i nie zależę od nikogo... Zgodziłam się więc... Cóż pan ma do powiedzenia?

— Więc pani nie przewiduje? — zapytał Celestyn.

— Domyślam się—odrzekła ze smutnym uśmiechem—że gdybym pozwoliła, to żądałbyś pan odemnie odpowiedzi na to, co mówiłeś mi wówczas wieczorem na ulicy...

— Pani! od owej chwili ciągle o pani myślałem... Chciałem pisać do pani, lecz nie śmiałem...

— O czem chciał pan pisać?

— Chciałem odmalować miłość moją w słowach tak gorących, by od nich mógł zapalić się papier — odrzekł Celestyn ośmielając się.

— Dobrze pan uczynił powstrzymując się od takich listów.

— Dla czego?
— Gdyż nie uwierzyłabym pańskim słowom.
— Więc pani nie wierzy w miłość?
Czoło Magdaleny sfałdowało się i wzrok błysnął nienawiścią.
— Nie—odrzekła ponuro—nie wierzę...
— Myli się pani, przynajmniej co do mnie, gdyż moja miłość jest szczerą, wielką i stałą.
— Wszyscy mężczyzni mówią to samo wszystkim kobietom.
— Przysięgam pani, że ja mówię prawdę!
— Przysięga — odparła Magdalena, wzruszając ramionami—niczego nie dowodzi.
— Jednakże musi być jakiś sposób przekonania pani.
— Nie znam żadnego.
— Pani jest okrutną!
— Jestem tylko rozsądną! Gdybym pana słuchała, cóż innego powtórzyłby mi pan, jeśli nie słowa wypowiedziane przed tygodniem, lub może dziś na klęczkach przed swą kochanką, piękną Gabri?
— Pani zna Gabri? — szepnął Celestyn zdziwiony.
— Któż jej nie zna? Czyż nie jest ona jedną najbardziej podziwianych i ubóstwianych kobiet?
— Podziwianych, zgadzam się... lecz nie ubóstwianych! A ktoby u djabła chciał je ubóstwiać?
— Pan pierwszy...
— Nigdy! Gabri jest w modzie, jest kobietą szykowną, więc wziąłem ją jak się bierze bukiet do butonierki... Takich kobiet nie kocha się... Kupuje się je wprost i niech pani mi wierzy, że im z tem bardzo dobrze. Dałem Gabri bardzo wiele brylantów, ale nie powiedziałem jej nigdy ani jednego słowa o miłości. Z panią rzecz inna, ja panią kocham...

— To znaczy, iż uważasz pan, że jestem przystojną i chciałbyś uczynić zemnie kochankę jak Gabri...

— Ależ wcale nie... Jest wielka różnica...

— Jaka?...

— Ogromna!... Dla Gabri ja nie miałem szacunku, a panią szanuję...

— Dla czego pan mię szanuje?

— Dla tego, że pani jest kobietą uczciwą...

— Kto panu to powiedział?

— Odźwierna... Ale nie potrzebowała mi mówić, gdyż i sam wiedziałem o tem. Kobieta, będąca tak piękną jak pani i tracąca swe piękne oczy na pracy, by zarobić dziennie półtrzecia franka, musi być bardzo cnotliwą!

— Więc pan uważasz mnie za kobietę uczciwą i pragniesz bym przestała nią być dla pańskiej przyjemności.

— Ale ponieważ kocham panią rzeczywiście i poważam, ponieważ do stóp pani składam cały mój majątek...

— Słowem, aby dowieść szacunku dla mnie, chcesz mię pan kupić—zawołała Magdalena z goryczą.—Cóżbyś pan uczynił dla okazania mi swej pogardy?

— Jestem bardzo niezręczny i bardzo nieszczęśliwy... Każde moje słowo pojmuje pani inaczej. Czyż ja mówiłem, że chcę panią kupić? Czyż to moja wina, że jestem bogatym, a w miłości co należy do jednego powinno stać się i własnością drugiego.

— Tak, w miłości... być może... ależ ja pana nie kocham...

— Niech pani stara się pokochać mię...

— Miłości nie można wywołać na zawołanie...

— Więc na początek niech pani ofiaruje mi swą przyjaźn... miłość później zrodzi się sama... ja będę cierpliwym...

— Mówi pan o przyjaźni... czy pan w nią wierzy?

— Wierzę!

— Czy zadowolniłbyś się pan moją?

— Zadowolniłbym się... byłbym bardzo szczęśliwy... oczekując na więcej...

— Otóż chcę pana przekonać, przynajmniej otwartością, że zasługuję na szacunek... Nie uda się panu kupić mego serca, ale może pan zdołasz je zdobyć...

— Otwiera pani przedemną niebo!

— W chwili, gdy do pana mówię, tylko nienawiść utrzymuje mię przy życiu... i mam tylko cel jeden—zemstę!

— Pani nienawidzi kogo?—zapytał markiz zmieszany.

— Ze wszystkich sił moich!... Jak tylko można nienawidzieć!

— Mężczyznę czy kobietę?

— Mężczyznę.

— A pierwej kochała go pani, wszak tak?—zapytał ze smutkiem.

— Tak, kochałam go.

— Cóż on pani uczynił?

— Nie żądaj pan odemnie, bym opowiedziała! zabrakłoby mi do tego sił i odwagi! Mam mu do zarzucenia nie zwykłą nikczemność, ale zbrodnie, wielkie zbrodnie, wiodące na galery lub rusztowanie! Chcę szukać tego człowieka, odnaleść go i wydać w ręce sprawiedliwości. Do tego potrzebuję swobody działania i pieniędzy, wiele pieniędzy!... Mógłbyś mi pan dać jedno i drugie... czy chcesz pan je ofiarować?

— Z całego serca! Niech pani rozporządza mną. Wszystko, co posiadam, należy do pani!

— Dziękuję! Więc od tej chwili jesteś pan moim przyjacielem. Tego dnia, w którym zostanę pomszczoną, być może pokocham pana...

— Jestem tego pewnym! I dla czegoż nie miałabyś pani pokochać mię? Przysięgam pani, że będziesz mieć we mnie sprzymierzeńca, którego poświęcenie nie zawaha się przed niczem! sprzymierzeńca, który odda cały majątek swój i swe usiłowania dla twej sprawy... A gdy człowiek nie cofa się ani przed trudem, ani przed wydatkami, musi dojść do celu! Cóż powinienem uczynić teraz?

— Znaleść mi mieszkanie, ale skromne, bardzo skromne, gdyż względy towarzyskie nie pozwalają mi dłużej pozostawać tutaj, gdzie jestem nie u siebie, lecz u przyjaciela...

— U przyjaciela? — powtórzył markiz ze zdziwieniem.

— Więc u brata, skoro ten wyraz wzbudził w panu podejrzenie.

— Tak to co innego.

— Proszę pana bardzo, aby w mieszkaniu tem nie było żadnego zbytku... Pieniądze mają dla mnie wartość o tyle tylko, o ile mogą posłużyć mi do zemsty...

— Jak się nazywa człowiek, którego mamy szukać?

— Kazał nazywać się Juljuszem Mercier, lecz jestem pewną, że to nie jest jego nazwisko prawdziwe.

— Więc ten Juljusz Mercier zniknął?

— Zniknął i zatarł za sobą wszelkie ślady.

— Czy on się lęka pani?

— Mnie? Wcale nie! On jest przekonanym, że nie żyję.

— Czyż to być może?

— Tak, że zostałam zamordowaną. Może kiedyś zdobędę się na odwagę opowiedzieć panu szczegóły tej tragicznej historji, lecz teraz niech pan nie żąda tego odemnie.

— Do jakiej sfery należał ten nikczemnik?

— Nie wiem, gdyż oszukiwał mię zawsze ile razy mówił o swem stanowisku. Powierzchowność jego była bardzo ujmującą, a manjery człowieka starannie wychowanego. W mojem jednak przekonaniu był to człowiek wykolejony, awanturnik, żyjący z dnia na dzień i cudzym kosztem. Jeśli się nie mylę, należy go szukać w kołach karciarzy i hulaków.

— Dobrze, więc będziemy go tam szukali. Będę pracował dla zemsty nad nim z równą gorliwością jak pani sama, a gdy dojdziemy do celu, może wtedy odda mi pani swe serce.

Młoda kobieta w milczeniu opuściła oczy. On wziął jej rękę, przycisnął ją do ust i rzekł:

— Ach, Magdaleno, gdybyś wiedziała, jak ja ciebie kocham!

Poczem powstał nagle i dodał:

— Żegnam panią... Kiedy będę mógł panią zobaczyć?

— Wtedy, gdy przyjdziesz pan mi powiedzieć, że mogę opuścić to mieszkanie.

— Więc nastąpi to bardzo prędko... nie stracę ani chwili czasu...

— Przedewszystkiem mieszkanie jak najskromniejsze.

— Niech pani będzie spokojną... najmę bardzo skromne.

I pocałowawszy jej rękę, którą ciągle trzymał w swej dłoni, wyszedł z pokoju.

Przed lożą czatowała już nań odźwierna.

— Cóż panie markizie—zapytała pośpiesznie—czy interes udał się?

— Moja kochana pani—odrzekł, wyjmując z pugilaresu bilet bankowy—proszę to przyjąć jako słaby dowód mojej wdzięczności za pani przysługę—i oddalił się, gdy tymczasem odźwierna aż krzyknęła z radości zobaczywszy bilet tysiąc frankowy.

Celestyn siadł do oczekującego nań na ulicy powozu, lecz zamiast powrócić do siebie, udał się do znanej sobie ajencji, zajmującej się najmem lokali i sprzedażą domów.

— Panie Pearson—rzekł zwracając się do właściciela zakładu—potrzebuję małego pałacyku, ale natychmiast.

— W jakim guście?

— Chciałbym, by to było cacko, pudełeczko, coś eleganckiego, z ogrodem letnim i zimowym, z drzewami, z masą kwiatów, stajnią, łazienką itd. itd.

— W jakiej dzielnicy?

— W okolicy Pól Elizejskich.

— Na własność czy do wynajęcia?

— Na własność.

W jakiej mniej więcej cenie?

— To bagatela.

— Niech pan markiz daruje mi... nie chciałbym yć niedyskretnym, lecz domyślam się, że to nie dla iebie...

— Rzeczywiście, chcę zrobić prezent kobiecie...

— W takim razie mam prawdziwe pieścidełko... pałacyk z ogrodem w Passy, przy ulicy Faisanderie, dwa kroki od lasku bulońskiego.

— Umeblowany?

— Z prawdziwym artyzmem. Urządziła go młoda wdowa amerykanka, miljonerka, która mieszkała w nim tylko trzy miesiące.

— Doskonale. Kupuję go.

W parę godzin markiz obejrzał już pałacyk i porozumiał się z pełnomocnikiem amerykanki. Termin sporządzenia notarjalnego aktu naznaczony został na dzień następny. Tymczasem Pearson zajął się kupnem powozów i koni. Tegoż dnia wieczorem Gabri w teatrze dowiedziała się od przyjaciół markiza, który ze znalezieniem nowej piękności nie taił się wcale, iż postanowił ją opuścić, wynagrodziwszy pierwej dość okrągłą sumą.

Oburzona na zdradę a więcej jeszcze dotknięta w miłości własnej i interesach, rachowała bowiem, że rozrzutność markiza dozwoli jej bez końca czerpać w jego kieszeni i zebrać sobie jeszcze większy majątek, nie doczekała końca przedstawienia i wściekła, odjechała do siebie. Zaledwie weszła do pokoju, pokojowa wręczyła jej list, w którym markiz w kilku wyrazach zawiadamiał ją o zerwaniu stosunków i przesyłał czek na kilkadziesiąt tysięcy franków. Gabri czuła się pokrzywdzoną i poniżoną, a wiedząc, że Celestyn porzucił ją dla innej, poprzysięgła swej rywalce zemstę.

— Zemszczę się nad nią! — szeptała, udając się na spoczynek.—Przysięgam, że krzywdę, jaką mi ta intrygantka i awanturnica wyrządziła, oddam jej dziesięćkrotnie.

LIV

Po odejściu markiza Magdalena przestraszyła się swego postanowienia.

Ulegając pragnieniu zemsty okryła się dobrowolnie pozorami nowej hańby. Któż, widząc ją wraz z Celestynem i znając jego wielki majątek, nie uwierzy, że sprzedała się jemu? Jedna myśl szczególnie trapiła ją bezustannie:

— Co o niej pomyśli Juljusz Claude?

Gdy uwolniona z więzienia nie miała gdzie przytulić głowy, on bezinteresownie ofiarował jej przytułek. Sam biedny, oddał jej własne oszczędności, ułatwił zarobek i uratował od śmierci głodowej na bruku. Tak niedawno jeszcze radził jej, iż stokroć lepiej wyrzec się zemsty niż ją osięgnąć środkami hańbiącemi, a ona zapomniała o jego dobrodziejstwach i radach. W przekonaniu wszystkich uchodzić będzie za kochankę markiza i nie dla tego by go kochała, lecz że był bogatym. Podwójna hańba! Podwójny upadek!

— Co o mnie pomyśli Juljusz Claude?—zapytywała się biedna kobieta.

Nie mogła opuścić mieszkania nie uprzedziwszy go o swem postanowieniu. Lecz co mu powiedzieć, jak mu wytłómaczyć, by nie sądził o niej źle i z pozoru? Czuła, że nie zdobędzie się na odwagę rozmówić się z nim osobiście, chciała napisać, lecz brakowało jej słów i wyrażeń. Podarłszy kilka arkusików papieru, wyrzekła się tego projektu i udała się na spoczynek, rachując, iż znajdzie ukojenie we śnie.

Ale nadzieja ta omyliła ją. Zaledwie utrudzenie skleiło jej powieki, przebudziła ją ta sama myśl, co dręczyła na jawie:

— Co o mnie pomyśli Juljusz Claude?

Nazajutrz około południa markiz de Valandelle wraz z p. Pearson i notarjuszem zjawił się w mieszkaniu Magdaleny.

— Niech pani przebaczy mi, że nie uprzedziwszy jej, przybywam z tymi panami, ale sprowadza nas tutaj własny interes pani—i rzekłszy to, przedstawił jej swych towarzyszy.

Notarjusz usadowił się za stołem, poprosił o pióro i atrament, wyjął przygotowany już akt nabycia i rzekł:

— Raczy pani powiedzieć swe imię i nazwisko.

Magdalena zamiast odpowiedzi spojrzała na markiza, a spojrzenie jej wyrażało:

— Dla czego on pyta mię o to?

— Jestto konieczne—odrzekł Celestyn z uśmiechem.—Niech pani powie...

— Magdalena - Marja Gallier — wyjąkała młoda kobieta.

Notarjusz wypełnił luki na akcie, który Magdalena miała podpisać jako nabywczyni, a Celestyn i Pearson jako świadkowie.

— Niech pani teraz raczy podpisać się — rzekł znowu notarjusz, końcem pióra wskazując jej miejsce.

— Dla czegoż ja mam podpisywać? — zapytała Magdalena.

— Jestto konieczne—powtórzył znowu markiz.

Magdalena podpisała się, a następnie świadkowie.

Markiz wziął akt, wręczył notarjuszowi czek na umówioną sumę, poczem goście zachwyceni tak szybkiem załatwieniem sprawy, skłonili się i odeszli

— Spełniłam wszystko, czego pan żądałeś — rzekła Magdalena — dla tego, że ufam panu, ale nic tego nie rozumiem. Niech mi pan wytłómaczy, co to wszystko znaczyło?

— Co takiego?

— Co to za papiery, które podpisywałam? O jakiem nabyciu pan mówił?

— To bagatelka... Wszak mówiła mi pani, że nie może pozostawać tu dłużej...

— Mówiłam, lecz jakiż to ma związek?

— Bardzo prosty. Ponieważ nie można było pozostawać tutaj, należało więc ulokować się gdzieindziej i w tym celu kupiła pani domek w Passy. Wszak pani musi lubić tę dzielnicę... masa drzew, kwiatów...

— Ależ o tem nie było mowy! Pan miał znaleść mieszkanie skromne...

— I właśnie jest ono takiem... przekona się pani... Lepiej zaś było kupić aniżeli najmować... nie będzie miała pani kłopotu z opłatą komornego. Jest umeblowane i wszystko gotowe na pani przyjęcie. Kazałem przygotować pani obiad na wpół do ósmej.

— Obiad!—powtórzyła Magdalena.—Więc mam się przenieść dziś jeszcze?

— A naturalnie! Im prędzej tem lepiej. Po co odkładać do jutra, co można uczynić natychmiast? Czy będzie pani łaskawą zaprosić mię do siebie na obiad?

— Bardzo proszę... Zresztą albo w domu tym nie będzie pan u siebie?

— Tak dalece nie będę u siebie, że nie przybędę nigdy bez pozwolenia pani.

— Jesteś pan bardzo dobrym...

— Nie wiem, taka moja natura... O której godzinie zechce pani objąć domek w posiadanie?

— O wpół do ósmej, gdyż o tej godzinie przyjadę na obiad.

— Dobrze—odrzekł Celestyn.—Od godziny siódmej będzie na panią oczekiwał powóz.

— A teraz niech mię pan zostawi samą... chciałabym zastanowić się nad tem wszystkiem co się stało...

Markiz wziął rękę Magdaleny, złożył na niej pocałunek, ukłonił się i wyszedł.

LV.

— A więc stało się—rzekła do siebie Magdalena—mam opuścić to skromne mieszkanie i przenieść się do domu własnego, który, pomimo wszystkiego, co on mówi, musi być urządzony zbytkownie, gdyż najęta jest nawet służba. Tutaj, choć byłam ubogą, nędzarką prawie, lecz wzbudzałam szacunek... tam sądzić mię będą z pozorów i okazywać pogardę!... Cóż mię to zresztą obchodzi, skoro od tej chwili mieć będę jeden cel tylko w życiu: moją zemstę!

Podeszła do okna wychodzącego na cmentarz, otworzyła je i utkwiła wzrok w kępę drzew, pod któremi spoczywały zwłoki jej zamordowanego dziecka.

— Biedna istoto—mówiła głosem stłumionym—jakżebym cię była kochała! Zbrodnia nie dozwoliła mi zobaczyć cię, uścisnąć, być ci matką! Ale ta zbrodnia będzie ukaraną, przysięgam! Śpij w spokoju dziecię moje! Gdy zostaniesz pomszczonem, przysięgam, przyjdę połączyć się z tobą!

Rozgorączkowana, drżąca, zamknęła okno, siadła przy stole, na którym przed godziną podpisała

akt nabycia, wzięła pióro i skreśliła słowa następujące:

„Mój dobry, szlachetny przyjacielu.

Gdy list ten dojdzie rąk twoich, może już żyć nie będę. Pan jeden okazałeś mi współczucie, ciebie jednego więc tylko winnam prosić o przebaczenie za mój postępek... Zabrakło mi odwagi żyć dłużej, chociaż ty, przyjacielu mój, uczyniłeś wszystko, co tylko zależało od ciebie, by przeszkodzić mi umrzeć w nędzy. Dzięki tobie znalazłam przytułek... dzięki tobie mogłam zapracować na życie... Jestem słabą, wszak bardzo słabą? lecz cóż pan chcesz, za utrudzeniem idzie zniechęcenie, wolę więc spokój w mogile, niż pracę bez końca i życie bez nadziei.

Przebacz mi i nie pogardzaj mną! to moja ostatnia prośba...

Żegnam cię, mój przyjacielu, żegnam na zawsze.

Wdzięczna ci do grobu

Magdalena Gallier.“

Odczytała płacząc, włożyła w kopertę i zaadresowała do Juljusza Claude.

Zaledwie odłożyła pióro, ktoś zapukał w drzwi.

— Proszę wejść—rzekła.

Na progu pokazała się odźwierna z rozpromienioną twarzą, tajemniczym uśmiechem na ustach i pakietem w ręku.

— Co to jest?—zapytała Magdalena.

— Jakiś gruby list do pani.

— Od kogo?

— A od kogożby jeśli nie od p. de Valandelle? Zaledwie dziesięć minut upłynęło jak wyszedł, gdy wpadł znowu do loży i rzekł: „Moja droga pani, proszę to jak najprędzej oddać pannie Magdalenie Gallier, gdyż będąc u niej zapomniałem zostawić...“—

i wybiegł znowu. Ale to gruba paczka... Niechże pani otwiera!

— Tak pani zależy na tem?...—zapytała Magdalena i rozerwała kopertę, z której wypadły na stół bilety bankowe.

Odźwierna krzyknęła ze zdziwienia.

— Domyślałam się tego, oho, ja mam nos... Co ich tu jest, co ich tu jest!...

— Piętnaście—odrzekła Magdalena, przerachowawszy je.

— Piętnaście, a każdy po tysiąc franków! Nigdym tyle naraz nie widziała! Musi on pannę bardzo kochać! zresztą zasługuje pani na to... Z pewnością panna u nas nie zostanie...

— A nie, droga pani. P. Valandelle chce bym się stąd wyprowadziła...

— I słusznie... Nie jestto ani dzielnica, ani mieszkanie do przyjmowania wizyt markiza... Kiedyż pani opuści nas?

— Dziś wieczorem.

— Tak prędko! Ale ma pani rację... Na miejscu pani uczyniłabym to samo. Czy zabierze pani z sobą maszynę do szycia?

— Nie... wszystko co tu jest, musi pozostać na miejscu.

— Ależ maszyna do szycia nie należy do p. Claude.

— P. Claude uczyni z nią co zechce — odparła, a po chwili milczenia dodała: —Pani jest dobrą kobietą, jestem przekonaną, i zdaje mi się, przywiązaną do mnie.

— Ach, niech pani będzie pewną — odrzekła odźwierna, podnosząc ręce do góry, jakby dla dodania uroczystości swym słowom.

— Czy mogę pani zaufać?

— Gdy przyrzeknę komu zachować tajemnicę, to choćby krajano mię na kawałki, nie powiem ani słowa.

— Otóż niech pani nic nie mówi p. Claude o tem co się stało... sądziłby mnie jak wszyscy, jak pani sama mię sądzisz... i pogardzałby mną...

— Pogardzałby panią? i za co? Zresztą zastosuję się do woli pani... nic mu nie powiem. Ale jakiż mu podam powód zniknięcia pani?

— Niech pani odda mu tylko ten list i pozwoli mu wierzyć w to co piszę...

— A cóż panna do niego pisze?

— Że odbieram sobie życie...

— Czyż to być może! — zawołała odźwierna ze zgrozą.—I do czegoż to kłamstwo?

— Ponieważ trudnoby mi było wyjaśnić niektóre rzeczy prawie nieprawdopodobne; a że zależy mi wiele na jego szacunku, wolę więc niech będzie przekonanym, że nie żyję. Przynajmniej zachowa o mnie dobre wspomnienie.

— Co za dziwna myśl! Zresztą przyrzekam... nie wyprowadzę go z błędu.

— Rachuję na panią i dziękuję... Odjeżdżając zostawię pani ten list i klucz od mieszkania.

— Więc nie zobaczę pani więcej... — szeptała odźwierna wzruszona, ocierając spływającą łzę z oka.

— Owszem, zobaczymy się. Od czasu do czasu przyjdę do pani zasięgnąć wiadomości o p. Claude.

— Obietnica ta pociesza mię... Kiedyż pani opuszcza mieszkanie?

— Dziś wieczorem o siódmej... ale teraz muszę wyjść.

Odźwierna zabierała się do odejścia, gdy Magdalena, wziąwszy ze stołu jeden bilet bankowy, wręczyła go jej.

— Byłam zawsze zadowoloną z pani... proszę to przyjąć jako dowód wdzięczności.

— Pani daje mi tysiąc franków! Panno Magdaleno! Ależ ja i bez tego będę pamiętać o pani i żałować jej...

— Jestem przekonaną o tem, ale niech pani to weźmie...

— To chyba przez posłuszeństwo dla pani...— i schowała bilet do kieszeni.

— Teraz wychodzę, lecz przyjdę jeszcze pożegnać się z panią.

— Dobrze, nie ruszę się z łoży.

Magdalena ubrała się pośpiesznie, zeszła na ulicę, wzięła fiakra i udała się do magazynu strojów damskich. Pojmując, iż nowa jej pozycja wymagała zachowania pewnych formalności względem markiza de Valandelle, porobiła dość znaczne sprawunki i powróciła do swego mieszkania. Kupione suknie były koloru czarnego, skromne, lecz zrobione z gustem i jeszcze więcej podniosły jej piękność. Następnie zbliżyła się do okna i długi czas załzawionemi oczyma wpatrywała się w zacieniony róg cmentarza, gdzie spoczywały zwłoki jej dziecięcia.

LVI.

Ocknęła się nareszcie z zadumy, wzięła list napisany do Juljusza Claude, ostatni raz powiodła wzrokiem po mieszkaniu i tłumiąc wydobywające się z gardła łkanie, zeszła na dół.

Odźwierna spostrzegłszy ją, wydała okrzyk zdziwienia i zachwytu.

— Ależ pani stała się inną kobietą! Prawdę mówi przysłowie, że pióra zdobią ptaka. Widząc panią tak ubraną i tak piękną, niktby nie uwierzył, że wczoraj jeszcze siedziała pani przy maszynie do szycia. Każdyby przysiągł, że pani jest księżniczką lub przynajmniej żoną bankiera!

— Oto klucz od mieszkania i list do p. Juljusza Claude—odrzekła Magdalena.—Nie zapomni pani swej obietnicy?

— Ależ nigdy! przysięgam pani!

— Więc do widzenia. Po moim wyjeździe niech pani zajdzie do mieszkania i powynosi pudełka po sprawunkach, żeby p. Claude niczego się nie domyślił.

— Niech pani będzie spokojna, uprzątnę wszystko...

Magdalena podała jej rękę, poczem siadła do oczekującego na nią na ulicy powozu i odjechała.

Tymczasem markiz de Valandelle oczekiwał na nią w jej nowem mieszkaniu. Serce młodego człowieka biło gwałtownie i trzeba przyznać mu słuszność, nie tyle z radości, że zobaczy ją wkrótce, jak raczej z powodu, że wyrwał ją z niedostatku i zapewnił jej środki do zemsty.

Wtem dał się słyszeć turkot kół na peronie.

Celestyn wybiegł, otworzył drzwiczki powozu i wprowadził do domu Magdalenę.

— Witam panią w jej własnym domu — rzekł markiz podając jej rękę. — Obiad podadzą za pół godziny, a tymczasem może pani zechce obejrzeć mieszkanie.

— Dobrze.

Celestyn oprowadził ją po wszystkich pokojach, lecz zaniepokojony, że Magdalena nie okazuje zachwytu ani podziwienia, zapytał:

— A może urządzenie nie podoba się pani? Co pani ma do zarzucenia mu?

— Nic nie mam; owszem, wszystko bardzo piękne... ale pan mówiłeś o domku, a tymczasem sprowadziłeś mię do pałacu.

— Nie znam nic coby było zanadto piękne i bogate dla pani!

— Pan wiesz, że jestem obojętną na przepych i dla czego przyjęłam pańską ofiarę hojną... Wiadomy panu cel mego życia...

— Zemsta...—przerwał Celestyn.

— Tak.

— Do celu tego dążyć będziemy razem, jeszcze raz przyrzekam to pani; ale skoro pozwoliła mi pani mieć nadzieję na przyszłość, to niechże mam przyjemność patrzeć na panią, żyjącą w godnem jej otoczeniu.

— Jak pan chce...

Młody człowiek podprowadził Magdalenę do biurka, otworzył je i rzekł:

— Tutaj znajdzie pani pieniądze na pierwsze wydatki, a w tej szufladce kilka klejnocików skromnych, które niech pani raczy przyjąć.

Te *skromne klejnociki* składały się z przepysznych kolczyków szmaragdowych, pierścieni, kolji, zegarka i innych przedmiotów, których wartość wynosiła bardzo pokaźną sumę.

Klejnoty te były powodem nadania później Magdalenie nazwiska *Damy w szmaragdach.*

Tymczasem podano obiad, po skończeniu którego markiz, pocałowawszy z szacunkiem rękę Magdaleny, prosił o pozwolenie obiadowania z nią razem i dnia następnego, pożegnał ją i wyszedł.

Powróćmy teraz do Juljusza Claude, który od czasu ostatniej wycieczki do Chennevières, gdzie był ścigany przez Jerzego Lamarre, nie mogąc bez narażenia się udawać się tam więcej, oddał się pracy, szukając w niej zapomnienia. W cierpieniu swem, które pochłonęło go całego, zapomniał na czas jakiś i o swej protegowanej Magdalenie Gallier. Ale nareszcie pewnej niedzieli rano, wspomniawszy o niej, postanowił ją odwiedzić.

Ubrał się i udał na ulicę Marcadet. Wiedząc, że Magdalena nigdy nie wychodziła w niedzielę, minął łożę i wstępował na schody, gdy odźwierna spostrzegłszy go, zawołała:

— Panie Claude!... panie Claude!... mam parę słów do pana...

— Czy panny Magdaleny niema u siebie? — zapytał Juljusz wracając.

— Ach, panie! — odrzekła odźwierna z całą naturalnością — ja myślałam, że pan da mi o niej jaką wiadomość...

— Wiadomość o pannie Magdalenie? Cóż się stało?

— Niema już jej od czterech dni... Wyszła jeszcze w środę wieczorem, była bardzo smutna, blada, a oczy miała czerwone, widocznie od płaczu. Pozostawiła u mnie list do pana i klucz od mieszkania.

— Zostawiła klucz i nie pokazała się już przez cztery dni? Ach, nieszczęśliwa! Gdzież ten list?

Wszedł do loży, pochwycił list i przeczytał go pospiesznie.

— Przewidywałem to! — zawołał opuszczając ręce z giestem rozpaczy. — Zabrakło jej męstwa do dalszej walki z życiem...

— Czy pan przypuszcza, że odebrała sobie życie?

— List ten nie pozostawia żadnej wątpliwości. Więc wyszła w środę?

— Tak, panie Claude.

— Zapóźno już, by można było przeszkodzić zamiarowi samobójstwa, lecz chciałbym przynajmniej odszukać jej zwłoki i pogrzebać je.

— Ach, biedna dziewczyna! Co za nieszczęście!... Co za nieszczęście!...

Sądząc, że odkryje jaką wskazówkę, Juljusz wszedł do mieszkania, lecz nie znalazł nic prócz skromnych sukienek Magdaleny, zawieszonych w alkowie. Następnie udał się do morgi i do prefektury, lecz jak w jednem tak i w drugiem miejscu poszukiwania jego były bezskuteczne. Nie wiedząc co dalej czynić, wrócił do siebie z nową raną w sercu i nowym smutkiem.

LVII.

Hr. Juljusz—Armand de Lucenay od pierwszej wizyty swojej stał się codziennym gościem w willi jaworowej.

Wysoce inteligentny, sympatyczny w obejściu i bardzo taktowny, wkrótce potrafił zdobyć sobie zupełnie p. Dauray i jego żonę. Henryka, zmuszona dla ocalenia honoru, zgodzić się na małżeństwo uplanowane przez jej ojca, nie opierała się więcej, ale pomimo usiłowań nie mogła zapomnieć swych marzeń dawniejszych i czuła, że nigdy nie będzie kochała przyszłego swego męża. Napróżno powtarzała sobie, iż powinna być wdzięczną p. Lucenay za jego poświęcenie; nie wiedząc sama dla czego, nie wierzyła

w jego szczerość. Czy postąpiłby tak gdyby nie miała trzech miljonów posagu? Pytanie to po wiele razy zadawała sobie codziennie.

Jednego dnia, gdy hrabia de Lucenay przybył do willi nieco wcześniej niż zwykle, p. Dauray poprosił go do swego gabinetu i rzekł:

— Kochany hrabio, chciałbym pomówić z tobą o interesach.

— Jestem na pańskie rozkazy.

— Siadaj więc pan, a zanim wezwą nas na śniadanie, uregulujmy interesa ostatecznie.

Gdy zajęli siedzenia, p. Dauray ciągnął dalej:

— Zacznijmy od początku. Otóż, z proboszczem, jużem się porozumiał... Za dni dziewięć odbędzie się ślub cywilny i kościelny... Natychmiast po ślubie, jak już mówiliśmy, odjedziesz z żoną do Włoch, gdzie przepędzicie kilka miesięcy.

— Tak, ale pan przyrzekł odwiedzić nas wraz z panią Dauray.

— Dotrzymamy słowa napewno, może nawet wyjedziemy razem z wami. Ciężkoby nam było na długi czas rozstać się z córką! Nie potrafilibyśmy żyć bez niej.

— My zaś będziemy bardzo szczęśliwi żyjąc z rodzicami razem.

— Nie wątpię o tem! Zdaje mi się, że i waszem jest chyba życzeniem, by ślub odbył się pocichu i w jak najściślejszem kółku rodzinnem... Świadkowie Henryki, pańscy i kilka osób z rodziny będą jedynymi gośćmi na śniadaniu po ceremonji.

— Mówiliśmy już o tem.

— Więc teraz pomówmy o innej sprawie. W poprzedniej rozmowie naszkicowaliśmy tylko główne punkta umowy, jaką mamy podpisać za trzy dni. Wezmą

notatkę i dziś jeszcze pojadę do Paryża sporządzić według niej akt notarjalny.

— Wszystko, co pan uczyni, będzie dobrem — odrzekł hrabia.

— Oświadczyłem panu, że daję za mą córką trzy miljony posagu, ale wyraziłem się niejasno.

Juljusz, zaniepokojony, nadstawił uszu. Niepokój jego wszakże trwał krótko, gdyż p. Dauray zara dodał:

— Daję nie trzy, ale sześć miljonów...

— Sześć miljonów!—powtórzył de Lucenay, sądząc, że źle usłyszał i spoglądając na przyszłego teścia swego ze zdziwieniem.

— Tak.

— Nie rozumiem...

— A jednak to bardzo proste... Przyrzeczone trzy miljony stanowić będą pańską własność, którą pan możesz rozporządzać dowolnie. Ale i panna Dauray nie może posiadać mniej od pana... Otrzyma więc również posagu trzy miljony, od których tylko procent będzie w rozporządzeniu pańskiem, kapitał zaś stanowić będzie własność pierwszego, mającego przyjść na świat dziecka... Jeżeli to dziecko umrze, kapitał stanie się wspólną waszą własnością. Czy zgadza się pan na te warunki?

— Muszę raz jeszcze powtórzyć, że wszystko, co pan postanowi, będzie dobrem.

— Mogę więc prosić notarjusza o sporządzenie aktu na tych podstawach?

— A naturalnie!

— Doskonale! A teraz mam jeszcze uczynić panu jedno pytanie.

— Jakie?

— Ile przyrzekłeś pan zapłacić honorarjum pani Chalamet?

— Ależ...—wyjąkał Juljusz.

— Niech pan będzie szczerym... wiem jak tego rodzaju interesa prowadzą się.

— Przyrzekłem jej pięć od sta od sumy posagowej.

— Sto pięćdziesiąt tysięcy franków! Do licha, dobry będzie miała zarobek! Co prawda, taka gratka zdarza się nie często... Otóż, ja zapłacę tę sumę, gdyż chciałbym byś pan otrzymał trzy miljony w całości.

— Szlachetność pańska mię wzrusza — odrzekł Juljusz udanym głosem drżącym, ściskając rękę swego przyszłego teścia.

— Chciałbym wszystko wyrównać na pańskiej drodze... przecież to rzecz naturalna... Jeszcze jedna kwestja...

— Co mianowicie?

— Czy myślałeś pan o czasie powrotu z zagranicy?

— Nie myślałem jeszcze o tem.

— A trzeba pomyśleć. Powinieneś pan mieć w Paryżu rezydencję odpowiednią swemu stanowisku. Wiem, że czasowo, mógłbyś pan zamieszkać nawet tutaj, razem z nami, zanim byś wynalazł dom, kupił go i umeblował; ale sądzę, że lepiej będzie, gdy powróciwszy z zagranicy, osiądziecie u siebie. Jakie pańskie zdanie?

— Zgadzam się z panem zupełnie.

— Więc w takim razie zajmij się pan bez zwłoki wyszukaniem domu. Urządzić go będzie można i podczas pańskiej nieobecności, byle tapicerowie mieli instrukcję. A jeżeli znajdziesz pan rządcę, człowieka zaufanego, inteligentnego i energicznego, który mieć będzie dozór nad robotami, to do waszego powrotu wszystko może być ukończone.

— Rada pańska jest bardzo dobrą, zastosuję się do niej.

— Otworzę panu kredyt u mego bankiera na pięćset tysięcy franków na koszta kupna domu i instalacji. Oto książeczka czekowa—i wręczył ją hrabiemu.

— Jak ja panu wywdzięczę się za tyle dobroci, tyle uprzedzającej troskliwości!

— Będę aż nadto wynagrodzonym, jeśli uczynisz pan Henrykę szczęśliwą.

— Ach, panie, gdybym nie miał niewzruszonej nadziei uczynienia jej szczęśliwą, czyż przyjąłbym te wszystkie dobrodziejstwa? Przysięgam, że usprawiedliwię okazane mi przez pana zaufanie!

— Nie wątpię o tem... Po śniadaniu pojedziemy razem do Paryża, gdzie przedstawię pana mojemu bankierowi i podczas gdy ja z notarjuszem zajęty będę kwestją intercyzy, pan tymczasem ułatwisz się ze swemi interesami, t. j. dowiesz się w ajencjach o domach do sprzedania.

Wszedł lokaj i oświadczył, że podano śniadanie

P. Dauray i hr. de Lucenay udali się do sali stołowej, gdzie oczekiwała na nich pani Dauray z Henryką.

LVIII.

Zaraz po śniadaniu p. Dauray i przyszły zięć jego odjechali do Paryża.

W drodze hrabia myślał:

— Wszystko idzie tak dobrze i gładko, iż zaczynam się lękać, by nie zahaczyło się w ostatniej

chwili! Jakiż to nieoceniony, prawie nieprawdopodobny teść z tego poczciwca Dauraya! Jak on pamięta o wszystkich moich potrzebach, jak hojnie je zaspakaja! Okazuje się, iż dobrze się stało, żem się zrujnował, bo gdybym pozostał przy dwóch miljonach, odziedziczonych po ojcu, nie spadłby mi z nieba dzisiaj tak kolosalny majątek. Chwilami zdaje mi się, że marzę, ale na szczęście, przebudzenie nie nastąpi!

W Paryżu, stosownie do ułożonego projektu, p. Dauray przedstawił hrabiego swemu bankierowi, poczem odjechał do notarjusza, Juljusz zaś udał się do jednej z ajencji, zajmujących się sprzedażą domów.

— Jeżeli pan chce zapłacić gotówką—rzekł dyrektor zakładu—to mam przy ulicy Cyrkowej pałacyk, który może pan nabyć zabezcen. Właściciel jego jest zrujnowany i lada dzień będzie wywłaszczony przez wierzycieli. Choć powinienem dodać, że dom ten potrzebuje dość wielkiej reperacji...

— To nic nie szkodzi...—odrzekł de Lucenay.

Obejrzał dom, stamtąd udał się wprost do notarjusza, wypłacił zadatku sto tysięcy franków czekami wystawionemi na bankiera p. Dauraya i umówił się o przygotowanie aktu na dzień następny.

Wychodząc od notarjusza i zacierając ręce z zadowolenia, Juljusz myślał:

— Mój teść ma rację... Dla dozoru nad robotami potrzebuję człowieka zaufanego i to natychmiast, trzeba bowiem rozpocząć je jeszcze przed naszym wyjazdem.

Nagle uderzył się w czoło.

— Mam go—zawołał z uśmiechem.—Łotr wprawdzie i będzie mię okradał ile wlezie, ale za to oddany mi zupełnie, a to więcej znaczy niż wszystkie jego wady. Służył już u mnie, złapałem go na kradzieży i wypędziłem od siebie... Wezmę go teraz,

będzie on mi pożyteczniejszy, aniżeli najuczciwszy człowiek!

Wszedł do kawiarni, kazał podać sobie kieliszek koniaku, pióro, atrament, papier, poczem odszukawszy w swym notatniku adres, napisał list następujący:

„Jan Dufour proszony jest o przybycie dziś wieczorem o dziewiątej do swego dawnego pana, ulica Ancienne-Comédie nr 16-ty. Sprawa pilna i dla niego korzystna. Hrabia de Lucenay.“

Włożył list w kopertę, napisał adres i wysła przez posłańca.

Następnie przypomniawszy sobie zalecenie p Dauray, by wystarał się o świadków do ceremonj ślubu, wybrał z pomiędzy dawnych znajomych dwóch z którymi niegdyś pędził wesołe życie, barona d Vervey i hrabiego de Saint-Roman i pojechał d pierwszego z nich, by się przypomnieć i prosi o tę przysługę. Szczęściem zastał ich obu razem.

— Więc ty nie umarłeś? — zawołał baron witając go.

— O ile wiem, to nie—odrzekł Juljusz śmiejąc się.—Nawet nie chorowałem.

— Wyglądasz doskonale! Skądże przybywasz Z Japonji, czy z nad Kongo?

— Tylko z Ameryki.

— Z kraju, w którym, jak mówią, miljony walają się na ulicach... Czy to prawda?

— Najzupełniejsza.

— Przywiozłeś-że z sobą choć kilka?

— Tylko trzy.

— Na serjo?

— Tak jest.

— Winszujemy! Brawo!

— W jakiż sposób zdobyłeś je?

— Przez sukcesję.

— Więc miałeś wuja w Ameryce?

— Nie miałem ani wuja ani stryja. Przypadkiem uratowałem z pożaru handlarza słoniny, który, umierając w dwa miesiące później, uczynił mię swoim spadkobiercą.

— I przyjechałeś do Paryża przepuścić te miljony?

— Przyjechałem ożenić się.

Baron i wice-hrabia spojrzeli na siebie z niedowierzaniem.

— Zdaje mi się, że zawracasz nam głowę.

— Wcale nie, a dowód w tem, że przybyłem prosić was na świadków ślubu, który odbędzie się za tydzień w merostwie Chennevières.

— Rozumie się, że przyjmujemy. Lecz z kimże u djabła żenisz się? Czyżby i w takiem Chennevières były posagi?

— Są i nawet bardzo pokaźne. Ta, z którą się żenię, ma ich aż trzy.

— Więc będziesz miał ich sześć! Śliczny grosz... winszujemy! A oprócz tego zapewne coś i w przyszłości?

— W przyszłości, po śmierci rodziców, nawet nie wiem ile miljonów!

— Ależ opowiadasz bajki czarodziejskie! Zaćmisz teraz wszystkich! Będziesz miał najlepsze konie i najpiękniejsze kobiety! Kiedyż odbędzie się ślub?

— Powiedziałem już, że za tydzień. O godzinie dziesiątej rano, na stacji Champigny czekać na was będą konie mego teścia, które zawiozą was do willi jaworowej w Chennevieres.

— Willa jaworowa—powtórzył Vervey—jeśli się nie mylę, należy do bogatego bankiera paryskiego Filipa Dauray.

— Właśnie z jego to córką się żenię.
— Czy przystojna?
— Piękna.
— No, jesteś szczęśliwy... Gdzieżeś ty poznał Daurayów?
— Ojciec mój miał z nim stosunki...
— Czy wielkie będzie przyjęcie w dzień ślubu?
— Nie. Po wyjściu z kościoła świadkowie i dwóch lub trzech najbliższych przyjaciół zbiorą się na śniadanie, a wieczorem lub najdalej następnego dnia rano z żoną, która jest trochę cierpiącą i potrzebuje cieplejszego klimatu, wyjadę do Włoch.

Juljusz zapisał sobie imiona i nazwiska panów Vervey i de Saint-Roman celem podania ich wcześniej do akt w merostwie, podziękował im za przyobiecaną przysługę i wyszedł.

Następnie udał się do jednego z głośniejszych architektów w celu umówienia się o meljorację domu, zamówił go na dzień następny, wstąpił do restauracji na obiad i wrócił do siebie.

W kilka minut rozległ się u drzwi dzwonek i do pokoju wszedł Jan Dufour.

— Miałem zaszczyt otrzymać list od pana hrabiego... Jestem szczęśliwy, gdyż widzę, że pan hrabia raczył pamiętać o swoim wiernym słudze... Przychodzę po rozkazy.

— Bardzo mi przyjemnie, że widzę cię w innym stanie—odrzekł Juljusz śmiejąc się.

— Pan hrabia ma na myśli ów dzień, w którym mię spotkał cokolwiek chorym... ale wracałem wtedy z pogrzebu...

— Jakież masz teraz zajęcie?
— Ciągle to samo, jestem dekoratorem.
— Nie musisz mieć takich dochodów jak u mnie na służbie...

— A, były to dobre czasy — odrzekł Dufour z westchnieniem.

— A mimo to okradałeś mię...

— Ach, jak ja żałuję tego... Gdybym mógł to naprawić...

— Robiłbyś to samo...

— Hm, człowiek jest ułomny... ale walczyłbym z sobą...

— Co powiedziałbyś, gdybym ofiarował ci znowu miejsce lokaja?

— To zależy od okoliczności...

— Jakich?

— Czy pan hrabia pozwoli mi być szczerym?

— Owszem, mów otwarcie.

— Otóż—rzekł Dufour z komiczną przesadą— od niejakiego czasu wiele zastanawiałem się nad sobą... starzeję się... pozbyłem się już lekkomyślności młodzieńczej... i myślę o przyszłości. Chciałbym więc przyjąć służbę w domu zamożnym, gdzie mógłbym żyć w spokoju i robić oszczędności, by na stare lata kupić sobie chatę i mieć niewielką rentę...

— To znaczy przyjąłbyś służbę w domu, gdzie mógłbyś rabować z całą swobodą...

— Nie... nie... panie hrabio, nie myślę o rabunku, ale o różnych zarobkach... Mówię o domu urządzonym na wielką skalę, w którym bywałoby wiele osób, wydawano wielkie przyjęcia, w którymby mi ufano i powierzano wszelkie zakupy. Żebym miał nadzór nad końmi i powozami, zakupywał siano, słomę, owies, regulowałbym rachunki z dostawcami. Słowem, będąc lokajem, żebym mógł być zarazem intendentem domu i rozumie się, z pensją dość znaczną... Lecz przedewszystkiem pragnąłbym przyjąć służbę u człowieka żonatego.

— Dla czegoż to?

— Dla tego, że kawaler, niezależny i swobodny, nie potrzebuje się ukrywać z rozmaitemi wybrykami, przeciwnie, chwali się jeszcze! Tymczasem człowiek żonaty, jeśli chce mieć w domu spokój, ukrywa swe grzeszki i dla tego potrzebuje dyskrecji swego lokaja, a za dyskrecję trzeba płacić..

— Do licha, widzę, że stałeś się obserwatorem!

— Z wiekiem nabyłem i doświadczenia...

— A gdybym zaproponował ci służbę w domu, w którym mógłbyś urzeczywistnić swoje marzenia, w którym pełniłbyś obowiązki lokaja i intendenta, w domu, który zaopatrywałbyś we wszystko i rozpłacał się z dostawcami, słowem w domu, którego pan ma się ożenić?...

— Czy pan hrabia mówi o sobie?

— Tak.

— Więc pan hrabia się żeni?

— Z kilkoma miljonami.

— Więc pan hrabia będzie bogatszym niż był dawniej?

— I o wiele nawet.

— I pomimo ożenienia się pan hrabia nie wyrzeknie się dawnego wesołego życia kawalerskiego?

— A dla czegoż miałbym się wyrzekać?

— W takim razie będę się czuł szczęśliwym i dumnym, znajdując się w usługach u pana hrabiego i czynić będę cuda by go zadowolnić. Kiedy mam objąć obowiązki?

— Od jutra.

Chmura przeszła po twarzy Dufoura.

— Cóż ci się nie podobało?

— Bardzo mało oszczędziłem, a raczej nic, a ubranie lokaja i intendenta pana hrabiego powinno być bez zarzutu... to zaś kosztuje wiele.

— Masz rację—odrzekł hrabia, wyjmując z pugilaresu bilet pięćset frankowy i dając mu go.

— Czy to zaliczka na rachunek pensji?

— Nie, to gratyfikacja za przyszłe usługi.

— Pan hrabia zawsze jest wielkim panem! Kiedy mam przybyć?

— Jutro o godzinie dziesiątej rano.

— Czy tutaj? — zapytał Dufour, rozglądając się po pokoju dość skromnie umeblowanym.

— Nie, do domu, który nabyłem przy ulicy Cyrkowej nr 50-ty. Dom ten potrzebuje dość znacznych reperacji, które wkrótce rozpocznie mój architekt i ukończy podczas podróży mojej z hrabiną de Lucenay po Włoszech, dokąd wyjeżdżamy zaraz po ślubie. Będziesz więc pilnował robót, zwłaszcza tapicerskich.

— Czy nieobecność pana hrabiego i pani hrabiny potrwa długo?

— Nie mogę teraz oznaczyć czasu... Zresztą na miesiąc przed powrotem zawiadomię ćię, a wtedy ugodzisz służbę, kupisz konie i odbierzesz zamówione karety...

— Dobrze, panie hrabio.

— Więc jutro, o godzinie dziesiątej przy ulicy Cyrkowej.

— Będę akuratnym. Czy od jutra mam osiąść tam?

— Tak; wybierzesz sobie pokój w oficynie, a ja go każę wytapetować i umeblować.

— Czy pan hrabia będzie potrzebował mnie dziś wieczorem?

— Nie, możesz odejść.

— Mam zaszczyt pożegnać pana hrabiego—rzekł Dufour, złożył głęboki ukłon i wyszedł.

— Doskonały typ! — mówił do siebie Juljusz pozostawszy sam.—Sprytny i zdolny do wszystkiego, ale to literalnie do wszystkiego... może w danej chwili być bardzo użytecznym. Pozwolę mu dowoli łowić ryby w mętnej wodzie, a ponieważ będzie mu zależało na tem, by nie stracić u mnie służby, więc będzie mi służył dobrze!

*
* *

Następnego dnia po objęciu przez Magdalenę w posiadanie pałacyku przy ulicy Faisanderie, margrabia de Valandelle przybył do niej na obiad, po którym, żegnając ją, rzekł:

— Jakkolwiek nie ma pani jeszcze tualety, która powinna ją uczynić najpierwszą elegantką w Paryżu, proszę panią jednak o wycieczkę ze mną dziś po południu. Pojedziemy w odkrytym powozie do lasku bulońskiego, a wieczorem udamy się do teatru. Tylko wyjeżdżając często i widując wielu ludzi, może pani spotkać nikczemnika, który tyle złego jej wyrządził i nad którym pragnęłabyś się pani zemścić. O przyśpieszenie tej zemsty chodzi mi więcej niż pani samej, gdyż przyrzekłaś mi, że po dokonaniu jej, mogę zyskać twe serce...

— Dobrze; skoro pan sobie życzy, to możemy pojechać...

Zjawienie się młodej kobiety w odkrytym powozie wraz z Celestynem de Valandelle w lasku bulońskim sprawiło ogromne wrażenie, albo raczej rewolucję w sferze złotej młodzieży, dla której wschód nowej gwiazdy na horyzoncie świata elegancji był wypadkiem niezmiernej doniosłości.

Debiutantka zadziwiała wszystkich swą pięknością, wdziękiem i przyzwoitą, skromną postawą Wyglądała na kobietę uczciwą i światową. Zapytywano się wzajemnie, gdzie Valandelle mógł znaleść taką perłę i rozumie się, nie znajdowano odpowiedzi.

W alei Akacjowej powóz Magdaleny minął się z powozem Gabri.

Magdalena poznała ją, lecz i dawna kochanka Celestyna domyśliła się, że kobieta, jadąca w towarzystwie jego, była właśnie jej rywalką.

Gabri zbladła i utkwiła w Magdalenę wzrok pełen złości i nienawiści.

Celestyn spostrzegł to spojrzenie i jego wyraz groźny.

— Do djabła—pomyślał—to zapowiedź zemsty korsykańskiej. Na szczęście Gabri nie jest zbyt niebezpieczną, lecz mimo to trzeba czuwać nad Magdaleną.

Wieczorem w teatrze powodzenie Magdaleny było nie mniejsze niż w lasku bulońskim, a wszystkie lornetki skierowane na nią, łechtały roskosznie miłość własną Valandella.

W lasku Magdalena przyglądała się każdemu mężczyznie, jadącemu powozem lub wierzchem, w teatrze czyniła przegląd siedzących w krzesłach i lożach. Lecz napróżno szukała zabójcy swego dziecka.

LIX.

Tegoż dnia br. Vervey i wice-hrabia de Saint-Roman z kilkoma przyjaciołmi i przyjaciółkami zebrali się na kolację w jednej z restauracji.

Między zaproszonemi znajdowała się i Gabri.

Od czasu rozstania się z Valandellem Gabri robiła wszystko, by zastąpić go kim innym i dla tego pokazywała się wszędzie i brała udział we wszystkich zabawach. Ponieważ była w modzie, więc adoratorów jej nie brakowało, ale wystawne życie Gabri i pragnienie wycofania się z zajmowanego stanowiska po zrobieniu majątku, nie pozwalały jej kontentować się kochankiem, posiadającym jakiś tam jeden marny miljon.

Celestyn de Valandelle był rzadkim ptakiem; nie codzień można znaleść młodego człowieka, naiwnego, mającego kilkakroć stotysięcy franków renty i rozrzucającego pieniądze bez rachunku.

Podczas kolacji Gabri siedziała obok barona de Vervey.

Niespokojna o swą przyszłość, straciła dawny humor, którym górowała nad towarzyszkami na podobnych ucztach. Była milczącą, smutną.

— Ależ ja pani dziś nie poznaję!—rzekł do niej baron.—Czy to Celestyn tak zatruł pani życie?

— Tyle dbam o Celestyna co o tę pestkę od brzoskwini—odrzekła Gabri wzruszając ramionami.—Ale drażni mię i do wściekłości doprowadza myśl, że mi go zabrano, ukradziono... Nudzę się...

— Trzeba poszukać rozrywki...

— A to w jaki sposób?

— Niech pani wybierze ze swych wielbicieli jednego...

— Żaden mi się nie podoba.

— Wybredna pani jesteś!

— Być może!... mówmy o czem innem. Co to za hrabia de Lucenay, o którym rozmawialiście panowie?

— Lucenay... prawda, pani go nie znałaś... Weszłaś pani w świat już po jego wycofaniu się... Jestto bardzo szykowny młody człowiek, który w krótkim czasie przepuścił dość spory majątek na różne szaleństwa i wyjechał do Ameryki.

— Zrujnowany?

— Jak tylko być można.

— Więc z jakiej racji zajmują się nim?

— Ponieważ powrócił.

— Zawsze zrujnowanym?

— Owszem, przywiózł z sobą kilka miljonów, które podwoi czy potroi przez ożenienie się z córką jednego z najbogatszych bankierów paryskich. Pozwoli to mu rozpocząć znowu wesołe życie na wielką skalę...

— Czy pan znasz się z nim?

— Bardzo dobrze... Dziś rano był u mnie i prosił mię na świadka przy ślubie, który odbyć się ma za tydzień.

— A gdzie odbędzie się ślub?

— W Chennevières.

— Dla czego w Chennevières?

— Dla tego, że rodzice przyszłej hrabiny de Lucenay posiadają tam willę.

— Więc będzie zapewne wielkie przyjęcie?

— Śniadanie tylko w kółku rodzinnem, a wieczorem, lub następnego dnia rano państwo młodzi odjadą do Włoch.

— W które okolice?

— Nie wiem.

— Ale może się pan dowiedzieć?

— Mogę.

— Niech pan się dowie... bardzo mię pan tem zobowiąże.

— Cóż pani na tem zależy?—zapytał br. Vervey.

— Mam pewien projekt.

— Jaki?

— Nie mogę teraz powiedzieć, ale przyrzekam wyjawić go panu później. Czy chce pan zrobić mi przyjemność?

— Owszem.

— Więc niech pan się dowie, w jakiej okolicy Włoch osiądą hrabiostwo de Lucenay i zawiadomi mię o tem.

— Zaciekawia mię pani...

— Tem lepiej! ciekawość doda panu bodźca. Więc przyrzeka mi pan?

— Przyrzekam!

*
* *

Eks-bankier i jego żona z niecierpliwością oczekiwali dnia ślubu swej córki i przekonani byli, że skoro małżeństwo zostanie zawarte, to cokolwiekbądź nastąpi, honor przynajmniej będzie uratowany.

Należy przytem dodać, że młody hrabia, dzięki swej niezmiernej zręczności i nadzwyczajnemu taktowi, uchodził w przekonaniu Filipa Dauray za zięcia idealnego. Z drugiej strony i pani Dauray, chociaż mniej od swego męża zachwycona, przyznawała, że Juljusz jest sympatycznym i że córka jej w pożyciu z nim może zostać szczęśliwą.

Henryka tylko, choć na pozór spokojna, milczała i cierpiała wiele. Dla niej wszystko się już skończyło. Jej piękne marzenia o przyszłości, jakie snuła jeszcze kilka miesięcy temu, rozwiały się, ustępując miejsca strasznej, rozpaczliwej rzeczywistości. Miała zostać żoną człowieka, którego nie kochała, dla

którego, nie wiedziała czy może mieć szacunek, który jak prosty handlarz sprzedawał swe nazwisko. Napróżno usiłowała wierzyć w jego dobrą wiarę, w szlachetność; niedowierzała i lękała się. Nieraz zapytywała siebie, czy nie lepiej byłoby umrzeć, niż związać z nim los swój na całe życie?

Umrzeć!... gdyby chodziło o nią samą, nie zawahałaby się ani na chwilę, ale od zamachu na własne życie powstrzymywała ją myśl o strasznej rozpaczy rodziców, o niewinnej istocie, którą nosiła w swojem łonie.

— Powinnam żyć dla tego dziecięcia — mówiła sobie—i będę żyła dla niego...

Gdy w dzień ślubu rano przyniesiono jej białą suknię z dużym trenem, wieniec i bukiet kwiatów pomarańczowych, serce jej ścisnęło się bólem, rumieniec wystąpił na twarz, którą następnie pokryła bladość śmiertelna. Lecz nic nie powiedziała nawet matce i jak posłuszna ofiara, włożyła na się tę suknię dziewiczą, która była dla niej tuniką Nessusa.

Pan Dauray wysłał na stację Champigny powozy dla zabrania świadków Juljusza. Oprócz br. Verveya i hr. de Saint-Roman, wysiedli z pociągu świadkowie panny Dauray z rodzinami i w dwadzieścia minut przybyli wszyscy do willi jaworowej.

Juljusz przedstawił swych przyjaciół swej nowej rodzinie.

— Cóż? jak znajdujesz pannę młodą?...—zapytał na stronie br. Vervey hrabiego de Saint-Roman.

— Bardzo piękną, lecz zanadto bladą.

— Bladość ta dodaje jej jeszcze więcej dystynkcji. Ja zarzucam jej jedną tylko rzecz, mianowicie niezmierny smutek wyryty na twarzy. Można byłoby przypuszczać, że dzień dzisiejszy jest dla niej nie dniem

wesela, a pogrzebu. Wątpię bardzo, by wychodziła za Lucenaya z miłości...

— Tem lepiej!

— Dla czego?

— Gdyż młoda dziewczyna zakochana, wyobrażałaby sobie przyszłość szczęśliwą, patrzałaby na życie różowo, gdy tymczasem nasz przyjaciel Juljusz, prędko rozwiałby te złudzenia. Kochany hrabia niedługo uprzykrzy sobie dom i szczęście małżeńskie. Czyż nie mam racji?

— Zgadzam się z tobą najzupełniej.

Zajechały powozy i zawiozły wszystkich do merostwa, gdzie oczekiwał już urzędnik stanu cywilnego, w czarnem ubraniu, białym krawacie i przepasany piękną wstęgą nową, umyślnie kupioną na tę uroczystość.

W chwili, gdy mer zabierał się do wygłoszenia uroczystej mowy, czarny, elegancki powozik, bez cyfr i herbów, dojeżdżał do kościoła i zatrzymał się cokolwiek na uboczu.

Jakaś kobieta, której twarz pokrywała gęsta koronkowa woalka, wysiadła z powozu, przecisnęła się przez grupę wieśniaków zebranych przed kościołem i krokiem lekkim, zdradzającym młodość, weszła do świątyni i stanęła w niejakiem oddaleniu od ołtarza, przed którym miała się odbyć ceremonja ślubu. Uklękła, jakiś czas się modliła, lub udawała że się modli, nareszcie powstała i oczekiwała.

LX.

Tak upłynęło minut dwadzieścia, gdy nareszcie rozległ się głos dzwonów kościelnych. Współcześnie

większa część ciekawych zebranych u wejścia, ruszyła do kościoła, by lepsze zająć miejsce i lepiej przypatrzeć się ceremonji. Wtedy młoda kobieta odwróciła się ku drzwiom kościelnym, przez które lada chwila miał wkroczyć orszak ślubny.

Pierwszy wszedł Filip Dauray, prowadząc pod rękę Henrykę, bladą, drżącą i legalnie już hrabinę de Lucenay. Za nimi szedł Juljusz z swą teściową, następnie świadkowie i osoby należące do rodziny.

Gdy przyszli małżonkowie stanęli u stopni ołtarza, widzowie zgrupowali po obu jego stronach.

Pan młody miał zwyczajny wyraz twarzy, ale chwilami jakiś nieokreślony niepokój dawał się spostrzegać w jego oczach i lekkie nerwowe drżenie poruszało jego ustami.

Zanim uklęknął powiódł oczyma wokoło siebie i nagle wzrok jego zatrzymał się na wpatrującej się weń zawoalowanej kobiecie, której oczy zdawały się tryskać iskrami przez gęstą koronkę.

Zadrżał, nie wiedząc sam dla czego i chciał odwrócić głowę, lecz mimowoli, jak gdyby pod działaniem siły magnetycznej, wzrok jego wracał do nieznajomej postaci.

Szwajcar okutem drzewcem halabardy uderzył o kamienne płyty posadzki i w tejże chwili stary, powszechnie czczony proboszcz wyszedł z zakrystji i skierował się ku ołtarzowi.

Lucenay musiał wtedy zwrócić się wprost twarzą do ołtarza, lecz przedtem ostatni raz jeszcze rzucił wzrokiem na nieznajomą, ciągle stojącą i ciągle wpatrującą się w niego. Dreszcz przebiegł po całem jego ciele. Przyszła mu myśl, że ta tajemnicza kobieta miała postawę i figurę Magdaleny Gallier, którą uważał za zmarłą, zamordowaną przez siebie!...

Rozpoczęta msza uwolniła go od tej myśli złowieszczej.

Nareszcie ksiądz wygłosił słowa błogosławieństwa i włożył na palce obrączki.

Ceremonja została ukończoną i panna Dauray wobec Boga i ludzi została prawną żoną hrabiego Juljusza—Armanda de Lucenay.

Hrabia powstając rzucił ukradkiem spojrzenie w stronę, gdzie przed kilku minutami stała nieznajoma.

Nie było już jej.

— To dziwne—myślał—kto to mógł być? Z pewnością nie należała ona do osób zaproszonych przez mego teścia... Możnaby przypuszczać, że przyszła dla zobaczenia mnie tylko...

Gdy ceremonja zbliżała się już ku końcowi, zawoalowana kobieta wyszła z kościoła i podeszła do oczekującego w pewnem oddaleniu powozu.

— Wrócimy do Paryża—rzekła do woźnicy, siadła i odjechała.

Pominmy parę godzin, podczas których odbyło się śniadanie w willi jaworowej.

Baron de Vervey nie zapomniał o obietnicy uczynionej Gabri i dla poinformowania się zbliżył się do Juljusza. Hrabia ułatwił mu rozmowę, odprowadzając go bowiem na stronę, zapytał:

— No, powiedz mi szczerze, ale tak z ręką na sercu, jak znajdujesz moją żonę?

— Prześliczna!—odrzekł baron.—Jest tak piękną, że nie potrzebowałaby nawet być bogatą... Jedną tylko rzecz mam jej do zarzucenia...

— Jaką?

— Jej smutek...

— Mówiłem ci, że jest cierpiącą, ale pobyt w Włoszech wyleczy ją. Potrzebuje zmiany klimatu...

— Nie bardzo przyjemnym będzie dla ciebie taki wyjazd, będziesz bowiem musiał pełnić rolę dozorcy chorej.

— Wiem o tem, lecz cóż robić? Odbiję to sobie później po powrocie do Paryża. Po takim poście należeć mi się będzie karnawał!

— W które strony Włoch masz zamiar się udać?

— Naprzód do Neapolu.

— A później?

— Do Rzymu, przecież to zwykła kolej... następnie do Wenecji... Mówiąc między nami, najwięcej mnie wabi Wenecja przez pamięć na Offenbacha i *Most westchnień.*

— Czy długo zabawisz w Neapolu?

— Zależeć to będzie od tego, jak prędko zjawią się nudy, lecz prawdopodobnie najmniej tydzień, najwyżej dwa tygodnie.

— A kiedy odjeżdżasz?

— Jutro rano pociągiem pośpiesznym. Rzeczy nasze i państwa Dauray, którzy wyjeżdżają wraz z nami, już wyprawione zostały.

— Patrjarchalnie! A kiedy powrócicie?

— Nie wiem, ale zapewne po zupełnem powrocie do zdrowia pani de Lucenay, a pod tym względem trudno coś naprzód powiedzieć. W każdym razie nieobecność nasza potrwa kilka miesięcy.

— Czas ten wyda się długim dla twych przyjaciół, pragnących odzyskać w tobie towarzysza zabaw.

— I dla mnie będzie on męczącym, ale mam nadzieję, że wynagrodzę to sobie później.

— Znam kogoś, dla którego wyjazd twój będzie bardzo przykrym.

— Któż to taki?

— Kobieta...

— Żartujesz chyba!

— Mówię na serjo... Kobieta, zakochana w tobie do szaleństwa i pragnąca tylko przekonać cię o tem.

— Czy ja ją znam?

— Nie, ale ona zna ciebie.

— Więc niech oczekuje mego powrotu—odrzekł Juljusz śmiejąc się.—Obowiązek przedewszystkiem.

O godzinie piątej po południu świadkowie hrabiego de Lucenay odjechali do Paryża, gdzie baron Vervey, spełniając obietnicę, udał się bezzwłocznie do opuszczonej kochanki markiza de Valandelle.

— Przed chwilą rozmawiałem o pani — rzekł baron.

— O mnie? i z kim że to?

— Z jednym z moich przyjaciół.

— Jak się nazywa?

— Hrabia Juljusz de Lucenay.

— Ach, z nim! Kiedyż więc odjeżdża?

— Jutro rano pociągiem pośpiesznym do Marsylji, stamtąd do Neapolu, gdzie zabawi najwyżej dwa tygodnie a najmniej tydzień, poczem uda się do Rzymu, Wenecji i t. d.

— Cóż mię to może obchodzić?—odrzekła Gabri niedbale.

— Jakto co? Nie rozumiem cię, moja piękna!... Chyba żartujesz ze mnie? Przed kilkoma dniami prosiłaś mię, bym się dowiedział o tych szczegółach i to jak najśpieszniej, a gdy przynoszę ci te wiadomości, odpowiadasz mi: „Cóż mię to może obchodzić?" — Co znaczy ta mistyfikacja?

— Znaczy to, że przed tygodniem mogłam mieć pewien projekt, którego teraz się wyrzekłam. Z tem wszystkiem bardzo panu jestem wdzięczną za jego dobre chęci... Ale, ale, czy ta pani Lucenay jest przystojną?

— Bardzo piękną nawet,— ale smutną jak pogrzeb. Zdaje mi się, że hrabia prędko się nią znudzi.

— Więc wyjadą z Paryża zapewne na dość długo?

— Na kilka miesięcy.

— Trochę za wiele, jak na miesiąc miodowy — zauważyła śmiejąc się Gabri.

— Z powodu zdrowia!... Pani Lucenay, zdaje się, potrzebuje zmiany klimatu.

— Więc pański przyjaciel zostanie dozorcą chorej. Nie bardzo chyba mu się to podoba.

— Niech pani będzie pewną, znajdzie on sposób rozerwania się.

— I ja tak myślę—rzekła Gabri śmiejąc się.

— Czy chcesz pani, byśmy zjedli obiad razem?

— Niepodobna! Obiaduję dzisiaj u jednej z moich przyjaciółek i boję się, czy już się nie spóźniłam.

— Więc jestto grzeczny sposób pozbycia się mnie!

— Nie pozbywam się pana, ale mówiąc szczerze, pragnęłabym już odjechać...

— A więc do widzenia, moja piękna...

— Do widzenia, kochany baronie.

LXI.

Gabri odprowadziła gościa aż do schodów i zaedwie zamknęła za nim drzwi, zadzwoniła na służącą.

— Czy wszystko gotowe?—zapytała.

— Gotowe, proszę pani.

— I ty jesteś gotową?

— Pozostaje mi tylko włożyć kapelusz na głowę.

Nazajutrz o godzinie siódmej rano eks-bankier i jego żona, hrabia i hrabina de Lucenay, Anusia, pokojowa Henryki i stary kamerdyner Germain byli już na stacji kolei żelaznej. W pół godziny później pociąg pośpieszny uniósł całą rodzinę ku Marsylji.

Po wyjściu z wagonu Juljusz podał rękę swej żonie i w towarzystwie państwa Dauray wszedł na peron.

Nagle zadrżał.

Spostrzegł o kilka kroków przed sobą stojącą, nieruchomą, z twarzą pokrytą gęstym woalem, młodą kobietę, która dnia poprzedniego zwróciła na się jego uwagę w kościele w Chennevières.

Jakkolwiek oblicze jej było zakryte, nie mógł jednak się mylić! Ta sama suknia, ta sama postawa, ten sam wzrost i te same, po przez koronkę tryskające iskrami oczy.

Juljusz przypuszczając, iż doświadcza złudzenia, przetarł ręką oczy.

Widmo nie znikło, nie poruszyło się nawet.

Hrabia zatrzymał się.

— Co ci się stało?—zapytała Henryka, uczuwszy drżenie jego ręki.

— Nic...—odrzekł—chwilowy zawrót głowy. Już przeszło...

Po raz wtóry kobieta ta wywoływała w nim wspomnienie Magdaleny; zdawało mu się, że widzi w niej figurę i postawę biednej dziewczyny, z którą tak haniebnie postąpił, że widzi ją taką, jaką znał niegdyś, z różnicą tylko wytworniejszego stroju.

Było to rzeczą niemożliwą, a jednak...

Przecież wiedział, był pewnym, że Magdalena nie żyła... zadusił ją przecież...

— Ależ ja jestem szaleńcem—mówił do siebie—to nie może być Magdalena... A jednak, gdyby ona żyła... gdybym ja ją wtedy nie zabił... Muszę przekonać się o jej śmierci. Ta kobieta, która podczas mego ślubu znalazła się w kościele, która mię wyprzedziła, by jak widmo grożące stanąć tu na mej drodze... jeśli nie jest Magdaleną, kimże być może? Jeżeli Magdalena nawet żyje, jakim sposobem mogła mię odkryć i dowiedzieć się o moim wyjeździe? Dziwna rzecz!... Jeśli to ona, nie radzę jej ze mną walczyć, bo tym razem nie chybię!...

Myśli te snuły się w jego głowie w przejściu od stacji do powozu, w którym wraz z nową swą rodziną odjechał do zamówionego hotelu.

W Marsylji przepędzono dwa dni, zwiedzając miasto i okolice.

Przez cały ten czas zawoalowana kobieta nie pokazała się.

— To wprost wypadkiem tylko spotkałem tę kobietę dwa razy... To nie może być Magdalena — myślał Juljusz i uspokoił się.

Przejazd morzem odbył się bez żadnego wypadku i o godzinie drugiej po południu podczas prześlicznej pogody parostatek przybył do Neapolu.

I na ten raz nieznajoma nie zjawiła się.

A jednak wyprzedziła ona, równie jak w Marsylji i przebrana w suknie, nie dozwalające poznać jej postaci, znalazła się na przystani w chwili, gdy pasażerowie wstępowali na ląd. Jadąc o kilkanaście kroków za powozem, odwożącym rodzinę Daurayów do hotelu i dowiedziawszy się o czem wiedzieć potrzebowała, odjechała następnie do innego hotelu, położonego w tej samej dzielnicy.

Mówiliśmy, że państwo Dauray mieli przepędzić w Neapolu dni kilka.

Juljusz, zdawało się, zajęty był tylko swoją żo ną, tak wiele bowiem okazywał o nią troskliwości wyszukiwał dla niej rozrywek i starał się uczynić jej czas jak najkrótszym. Po południu robiono wycieczk powozem w okolice, wieczorami odbywano łodzi przejażdżki po spokojnych wodach przystani, pod cie mno-błękitnem włoskiem niebem usianem gwiazdami

Czwartego dnia pobytu Lucenay dowiedział się iż mają dawać w teatrze pierwszy raz wielką now operę *Masaniello*; poszedł więc do kasy teatralnej dl zamówienia loży i nie spostrzegł, że był śledzonym

Na kilka minut przed podniesieniem kurtyny państwo Dauray i hr. Lucenay z żoną zajęli loż pierwszego piętra po prawej stronie sceny.

Sala widzów była zapełnioną po brzegi.

Jedna loża tylko pozostawała niezajętą, a była nią właśnie leżąca naprzeciw loży, zajmowanej przez państwo Dauray.

Odegrano uwerturę i rozpoczęło się przedsta wienie.

Loża po lewej stronie była przez cały pierwszy akt pustą.

Nagle Juljusz zbladł, spostrzegł bowiem wchodzącą do tej loży zawoalowaną, tajemniczą kobietę

Zanim usiadła, utkwiła w niego wzrok i przez kilka sekund stojąc, wpatrywała się weń uporczywie

— Znowu ona! — szepnął z przerażeniem i cofnąwszy się cokolwiek by ukryć się w cieniu, zaczął przez lornetkę przypatrywać się jej uważnie.

— Kto to jest taki? Dla czego ukrywa się i prześladuje mię, niepodobna bowiem, żeby prosty wypadek sprowadził ją do Chennevières, Marsylji i Neapolu? Czego ona chce odemnie?

I znowu wspomnienie Magdaleny przesunęło się w jego umyśle.

Rozpoczął się akt drugi, lecz nieznajoma, nie zwracając się ani na chwilę ku scenie, wpatrywała się ciągle w lożę zajętą przez państwo Dauray.

Gniew zawrzał w sercu hrabiego.

— Tak, ona widocznie prześladuje mię!... Muszę się dowiedzieć!...

Po ukończeniu drugiego aktu wstał i wyszedł z loży.

Nieznajoma musiała przewidzieć jego zamiar, gdyż natychmiast powstała również i znikła.

Gdy hrabia przebył długi korytarz okrążający loże i znalazł się po lewej stronie sceny, loża, zajmowana przez nieznajomą, była już pustą.

— Wyszła! — rzekł z wściekłością. — Ale może jest w foyer... może powróci...

Poszedł do foyer, przebiegł wszystkie korytarze —napróżno. Wrócił znowu do pustej loży i dając portjerce luidora, zapytał lichą włoszczyzną:

— Czy dama, która zajmowała tę lożę, powróci?

— Nie, panie—odrzekła portjerka po francusku —nie powróci już.

— Skądże wiesz pani o tem?

— Bo wychodząc powiedziała, że mogę rozporządzić lożą.

— Czy pani ją znasz?

— Nie znam.

— Czy ona jest neapolitanką?

— Nie, panie, jest cudzoziemką i napewno francuzką. Poznałam to z jej mowy, bo i ja pochodzę z Francji, a tylko wyszłam zamąż za włocha.

Lucenay, zdenerwowany, wrócił do swej loży i wkrótce po ukończeniu przedstawienia wszyscy odjechali do hotelu.

Następnego dnia rano Juljusz udał się do apartamentu państwa Dauray.

— Prosiłbym o parę chwil rozmowy...

— O co chodzi?—zapytał eks-bankier.

— Chodzi o pewne ważne postanowienie i to bezzwłocznie.

— Jakie?

— O rozstanie się z państwem zupełne aż do wiadomego wam czasu...

— To nieprędko jeszcze nastąpi—zawołała pani Dauray.

— Zapewne, lecz w naszej sytuacji zbytek ostrożności nie zawadzi. Czy wiecie państwo dla czego wczoraj wieczorem wyszedłem tak nagle z loży?

— Nie wiemy.

— Spostrzegłem w krzesłach pewnego lekarza paryskiego, mego przyjaciela... Ukłonił mi się ręką, więc pośpieszyłem naprzeciw niemu z obawy, by on nie przyszedł do mnie... Chciałem koniecznie uniknąć przedstawienia go państwu... Bałem się, by spostrzegłszy Henrykę, nie domyślił się z pewnych wskazówek tego, co powinno zostać tylko między nami! W miarę jak czas będzie upływał, sytuacja będzie się stawała coraz niebezpieczniejszą, a tajemnica tem łatwiejszą do przeniknięcia!... Niech pan pomyśli, że tu chodzi nie tylko o honor pański, lecz i o mój!

— Masz rację — odrzekł Dauray, pochylając głowę.

— Potrzeba więc teraz—ciągnął dalej Juljusz—uczynić to, co postanowiliśmy spełnić później. Dziś wieczorem z żoną i Anusią, przed którą nie potrzebujemy się ukrywać, opuszczę Neapol. Pojedziemy do Wenecji, lecz nie zatrzymamy się w hotelu a najmiemy sobie domek, gdzie, nieznani nikomu, będziemy w ukryciu oczekiwali terminu... Państwo tymczasem będziecie podróżowali lub powrócicie do Francji...

Rzecz prosta, że będę pisywał do was jak najczęściej. Wrócimy do was, gdy nie będziemy już potrzebowali obawiać się domyślności i złośliwości ludzkiej!

LXII.

— Masz rację, kochany hrabio—powtórzył Filip Dauray. — Rozumiem twoje obawy i ostrożność... Ja i żona moja zabawimy jeszcze czas jakiś w Neapolu, następnie pojedziemy do Rzymu, skąd wrócimy do Chennevières, gdzie będziemy oczekiwali na was z niecierpliwością. Czy uprzedziłeś już Henrykę o tem postanowieniu?

— Jeszcze nie, ale zaraz jej to oświadczę—odrzekł Lucenay tonem stanowczym i zdradzającym usposobienie do rozkazywania.

Czytelnicy wiedzą, że powody, przytoczone dla przekonania państwa Dauray, były udane. W rzeczywistości zaś wyjazd jego z Neapolu był wprost ucieczką. Instynktownie bał się zawoalowanej kobiety.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta ta ścigała go, albo raczej już od Chennevières wyprzedzała go z uporem, nie wróżącym nic dobrego.

Dla czego? w jakim celu? — nie wiedział i właśnie ta niewiadomość wzbudzała w nim przestrach. Gdyby ukrywająca swą twarz nieznajoma była rzeczywiście Magdaleną, w takim razie miał słuszność obawiać się najstraszniejszych skandali, a nawet i czegoś gorszego. Przedewszystkiem więc należało mu teraz jak najspieszniej zatrzeć za sobą ślady.

Wyszedłszy od państwa Dauray, Juljusz udał się do Henryki, której w formie bardzo delikatnej, jak gdyby się jej radził, oświadczył swe postanowienie.

— Pojadę dokąd zechcesz—odrzekła z rezygnacją.—Kiedy wyjeżdżamy?

— Dziś wieczorem...

Anusia zajęła się upakowaniem rzeczy swej pani i o godzinie drugiej po południu hrabia Lucenay wysłał Germaina, by zamówił przedział w pociągu idącym do Wenecji.

Gdy lokaj wychodził dla spełnienia tego rozkazu, nie zauważył wcale bosego i obdartego młodego lazarona, leżącego na trotuarze pod ścianą tuż przy samem wejściu, na pozór śpiącego, lecz w rzeczywistości obserwującego drzwi hotelu uważnie.

Lazaron ten powstał szybko i w pewnem oddaleniu poszedł za Germainem, w chwili zaś gdy ten ostatni wchodził do dworca kolejowego, postępujący za nim szpieg podbiegł, wszedł tuż za nim i słyszał jak lokaj zamawiał wagon sypialny w pociągu, odchodzącym do Wenecji o dziesiątej wieczorem. Następnie pobiegł do hotelu, w którym przebywała kobieta zawoalowana.

— Cóż—zapytała—masz co nowego?

Lazaron za pośrednictwem tłómacza hotelowego odpowiedział:

— Stary lokaj zamówił wagon sypialny na godzinę dziesiątą w pociągu idącym do Wenecji.

Nieznajoma dała mu sztukę złota.

— Więc rozłącza się z niemi—mówiła do siebie pozostawszy samą—ucieka!... Więc boi się mnie.. chce zatrzeć ślady przedemną, lecz mu się to nie uda... Będę go ścigała wszędzie!... Pojadę za nim choćby na koniec świata.

W godzinę później zawoalowana kobieta uregulowała rachunek hotelowy, kazała się odwieść do dworca kolejowego i odjechała do Wenecji.

O godzinie dziesiątej wieczorem Juljusz Lucenay pożegnawszy się z państwem Dauray, odjechał tą samą koleją w towarzystwie żony i Anusi.

Kobieta zawoalowana wyprzedziła ich o sześć godzin i korzystając z tego czasu, najęła przy wielkim kanale mały domek, gdzie zamieszkała ze swą pokojową.

Hr. de Lucenay wybrał sobie piękną willę, oddaloną więcej od środka miasta, na jednej z wysepek, rozrzuconych wśród lagunów, wyglądających jak szmaragdowe kępy na tle błękitnem. Odpowiadała ona jego wymaganiom, była bowiem prawie zupełnie niewidzialną.

— Czy podoba ci się tu?—zapytał Henryki.

— Bardzo mi się podoba, ale czy ty nie będziesz się tu nudził?

— Wszak wiesz, moja droga, że nigdy się nie nudzę, skoro jestem z tobą.

— Dziękuję ci za te słowa—odrzekła Henryka z uśmiechem smutnym — lecz za nic w świecie nie chciałabym narzucić ci samotności, choćbyś się nawet zgadzał na nią. Pragnęłabym byś używał swobody zupełnej i rozrywek, których w Wenecji nie zabraknie ci... Powinieneś porobić sobie stosunki, żyć jak człowiek światowy i zostawić mię w samotności, jakiej wymaga mój stan i usposobienie.

— Ależ moja droga, twój stan nie wymaga wcale zamknięcia się zupełnego. Możemy robić razem wycieczki, zwiedzać pałace, muzea, możemy chodzić do teatru...

— Nie, pozwól mi w tym razie mieć swoją wolę. Od dnia dzisiejszego nie wyjdę nigdzie, chyba do ogrodu naszej willi, by użyć świeżego powietrza, i wierz mi, nie będę się nudziła. Proszę cię tylko o przysłanie mi książek i dzienników francuskich.

Postanowienie Henryki zbyt dobrze zgadzało się z tajnemi zamiarami Juljusza, by chciał jej oponować; przez grzeczność więc tylko uczynił parę uwag, wiedząc, że wpływu nie wywrą one żadnego.

Następnego dnia rano Juljusz chcąc spełnić życzenie Henryki i zaopatrzeć ją w gazety i książki, siadł w gondolę i nie spostrzegł, że druga gondola, w której siedziała jakaś uboga wenecjanka, kobieta z ludu, płynęła za nim. Gdy zaś przebywszy kilka kanałów, wysiadł na placu św. Marka, wenecjanka wyszła również z gondoli i postępowała za nim.

Lucenay wszedł do księgarni, kupił sporą paczkę książek, kazał je odesłać do najętej przez siebie willi *Doria* i prosił by codziennie przysyłano tamże kilka dzienników francuskich.

Zapłacił i wyszedł.

Tuż przy drzwiach stał chłopiec najwyżej piętnastoletni, bosy, z czerwoną czapeczką na głowie, w grubej płóciennej koszuli i pantalonach, sięgających zaledwie do kolan. Chłopak miał twarz inteligentną, śmiałą, nawet zuchwałą. Stanął on na drodze hrabiego, który sądząc, że domaga się jałmużny, wyjął z kieszeni drobną monetę i rzucił mu, mówiąc:

— Bierz i idź swoją drogą.

Chłopak schwycił pieniądz w locie, ale nie ustąpił; potrząsnął głową śmiejąc się i zapytał:

— Czy pan jest hrabia de Lucenay?

Juljusz osłupiały, nie wierząc własnym uszom, cofnął się o dwa kroki.

Jakim sposobem ten mały żebrak wenecki mógł znać jego nazwisko?

— Czy pan jest hrabia de Lucenay?—powtórzył chłopak.

— Ja jestem — odrzekł Juljusz niecierpliwie.— Czego chcesz?

Chłopak zagłębił rękę za otwartą na piersiach koszulę, wyjął list i wręczył go hrabiemu.

Zdziwienie Juljusza wzrosło do najwyższego stopnia.

— Kto ci go dał?

— Jakaś pani.

— Czy zawoalowana?

Chłopak potrząsnął głową przecząco

— Czy widziałeś ją?

— Widziałem, signore.

— Czy piękna?

Chłopiec po raz wtóry poruszył głową przecząco i zrobił grymas, który oznaczał:

— Nie... nie... wcale nie piękna... brzydka...

— Gdzie ona dała ci ten list?

Chłopak wyciągnął rękę ku schodom wiodącym do kanału.

— Więc ona mię wskazała i kazała ci oczekiwać?

— Tak.

— Wiesz gdzie ona mieszka?

Chłopak uczynił giest przeczący i chciał oddalić się.

— Czekaj...—rzekł Lucenay.

Rozerwał kopertę, wyjął list i przeczytał słowa następujące:

„Przybyłam do Wenecji przed tobą, tak jak wyprzedziłam cię w Marsylji i Neapolu. Pojadę dokąd tylko ty pojedziesz, choćby na koniec świata! Nie uciekniesz przedemną, a ja wymknę ci się zawsze!..."

Oczy Juljusza zaszły mgłą i pot wystąpił mu na skronie.

Nie mógł już wątpić, iż list ten pochodził od Magdaleny.

Ta, którą uważał za zmarłą, stanęła przed nim jako wyrzut żyjący, nieustanny!

— Więc ona chce zatruć moje życie!—szeptał— chce złamać moją przyszłość, pozbawić mię majątku, obwinić, oddać w ręce sprawiedliwości! Ach, jeżeli ma taki zamiar, to źle uczyniła zdradzając go! Biada jej!

Z wściekłości zgniótł w ręku list i włożył go do kieszeni.

Dzieciak patrzał na niego wzrokiem na pół zdziwionym, na pół szyderczym.

— Słuchaj mię i zrozumiej dobrze — rzekł hrabia.—Ty jesteś wenecjaninem?

— Si, signore.

— I krążysz całe dni po mieście?

— Si, signore.

— Czy możesz spotkać kobietę, która dała ci ten list i kazała mi go wręczyć?

— Mogę, signore.

— A czy poznasz ją?

— Poznam, signore.

— Czy lubisz pieniądze?

— Lubię, signore.

— Otóż będziesz je miał, jeżeli uczynisz co ci powiem.

Oblicze chłopca rozpromieniło się.

— Si, si, si, signore—zawołał—bene, bene!

— Otóż, jeżeli spotkasz tę kobietę, idź za nią dopóty, dopóki nie dowiesz się gdzie mieszka. Nadto, codziennie o godzinie drugiej po południu przychodź na most Westchnień, gdzie opowiesz mi co zrobiłeś. Masz teraz luidora, to znaczy dwadzieścia franków, a jeżeli odkryjesz mieszkanie tej kobiety, dostaniesz pięć razy tyle. Czy rozumiesz mię?

— Si, signore, capisco!

— Więc idź i pamiętaj!

LXIII.

Hrabia wrócił do swej gondoli i kazał się odwieść do willi Doria.

Był zdenerwowany i przestraszony; rozmyślał, jakim sposobem mógłby się uwolnić od tej kobiety, która, zdawało mu się, zagrażała jego życiu.

— Ponieważ nie znam jej zamiarów—myślał—powinienem być gotowym na wszelki wypadek... Magdalena wyzywając mię, wdała się w grę bardzo dla siebie niebezpieczną!... Ona wyobraża sobie, że potrafi mi się wyśliznąć, ale grubo się myli... Dosięgnę ją i skruszę!

Następnego dnia o oznaczonej godzinie Lucenay udał się na wskazane miejsce, gdzie zastał już oczekującego nań chłopca.

— No cóż—zapytał hrabia—masz co nowego?

— Si, signore.

— Spotkałeś tę kobietę?

— Si, signore.

Lucenay zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk radości.

— Czy szedłeś za nią i dowiedziałeś się gdzie mieszka?

Dzieciak uczynił głową znak potwierdzający.

— Czy możesz zaprowadzić mię do niej?

— Si, signore.

— Więc chodźmy.

Siedli do gondoli i po długiem krążeniu po rozmaitych kanałach, zatrzymali się przed kamiennemi schodami wiodącemi na placyk, do którego wychodziło kilka ciemnych uliczek.

Na znak uczyniony przez chłopca hrabia wysiadł i udał się z nim na jednę z uliczek.

— To tu—rzekł chłopak, zatrzymując się przed bardzo nędznym, odrapanym starym domem.

— Czekaj na mnie — rzekł Lucenay i zapukał w drzwi.

Jakaś kobieta, dość młoda jeszcze, otworzyła je i cofnęła się na widok nieznajomego.

— Zdziwienie pani przekonywa mię, że mówiono mi prawdę—rzekł hrabia.—To pani musisz być tą osobą, która wczoraj dała chłopcu list dla wręczenia mi go.

— Si, signore—odrzekła wenecjanka.

— Jakim sposobem dowiedziałaś się pani o mojem nazwisku?

— Powiedziano mi je, wskazując pana w chwili, gdyś wchodził do księgarni na placu św. Marka.

— Kto wskazał mię?

— Jakaś kobieta.

— Co za kobieta?

— Nie znam jej.

— To niepodobna!

— Przysięgam na Madonnę, że powiedziałam prawdę!

— Więc musisz pani wiedzieć zapewne gdzie mieszka?

— Nie wiem, gdyż ona spotkała mię na ulicy i zapytała, czy nie chcę zarobić kilka franków i odnieść list. A że jesteśmy biedni, bo mąż mój pracuje w porcie, więc się podjęłam.

— Czy osoba, która dała ten list, wie gdzie mieszkacie?

— Wie, signor, gdyż powiedziałam jej adres. Powiedziała mi, że będzie mię jeszcze potrzebowała.

— A więc ona tu przyjdzie jeszcze?

— Być może, że przyjdzie.

— Dla czegoż pani sama nie wręczyłaś mi tego listu?

— Bo mi kazano posłać przez kogo innego.

W tej chwili zapukano w drzwi i gdy gospodyni mieszkania otworzyła je, do stancyjki weszła jakaś młoda kobieta.

— Ot ma pan — rzekła wenecjanka, wskazując hrabiemu nowo przybyłą—to ona dała mi ten list.

Przybyła usłyszawszy te słowa, krzyknęła i chciała się cofnąć, lecz Juljusz, stanąwszy między nią i drzwiami, zagrodził jej odwrót.

— Nie wyjdziesz pani stąd, dopóki mi nie odpowiesz...

— Na co mam odpowiedzieć? — zapytała młoda kobieta po francusku.—Co pan chce wiedzieć?

— Nazwisko tej kobiety, która tu panią przysłała.

— Nie wiem jej nazwiska.

— Kłamiesz pani!

— Mówię prawdę, przysięgam panu.

— A wiesz pani gdzie ona mieszka?

— I tego nie wiem.

— Ale widziałaś ją pani?

— O ile można widzieć twarz zakrytą gęstą woalką.

— Gdzie ona dała pani ten list?

— Na placu Prokuratorji, gdzie w „Hotelu Lwa św. Marka“ jestem pokojową, usługującą przyjezdnym.

— Jak pani poznałaś mię i dowiedziałaś się o mojem nazwisku?

— Wskazano mi pana wychodzącego z willi Doria.

— Czyż to wszystko nie wydawało się pani dziwnem?

— To mnie nic nie obchodzi, zarabiam jak mogę; zresztą nie żądano odemnie rzeczy nieuczciwej... Myślałam, że chodzi o jaką intrygę miłosną i dotychczas w to wierzę, gdyż od tej samej damy przyniosłam list drugi.

— Drugi list!—zawołał Lucenay.

— Tak.

— Proszę mi go dać...

— Oto jest—odrzekła przybyła i wyjąwszy list z za gorsetu, podała go hrabiemu.

Juljusz wziął, a ponieważ w izbie było ciemno, zbliżył się do okna, gdy tymczasem przybyła, pragnąc uniknąć dalszych pytań, skorzystała z tego, otworzyła po cichu drzwi i wybiegła na ulicę. Juljusz, zajęty listem, nie spostrzegł jej zniknięcia.

W liście były tylko następne wyrazy:

„Jeżeli sobie życzysz, mogę zostać matką chrzestną twego pierwszego dziecięcia.“

Słowa te, napisane przez Magdalenę Gallier, były wprost mordercze.

Juljusz widział w nich szyderstwo krwawe, straszne, upatrywał w nich aluzję do jego haniebnego małżeńskiego handlu, o którym myślał, że nikomu nieznany, i do zabójstwa popełnionego na dziecku Magdaleny. Wyszedł z domu zatączając się jak pijany.

— Ach — szeptał — muszę znaleść i zgnieść tę kobietę, która zna moją tajemnicę i pragnie mię zgubić!

Obejrzał się naokoło siebie, szukając chłopca, który go przywiózł w gondoli, lecz już go nie było.

Przyszła mu myśl, że chłopiec go zdradza i porozumiewa się z temi kobietami. Czekał całą godzinę, ale napróżno. Wtedy wezwał inną gondolę i kazał się zawieść do willi Doria.

— Jutro—myślał—znajdę go na moście Westchnień i dowiem się dlaczego zniknął.

Wróciwszy do siebie, wyjął z szufladki biurka list pierwszy i porównał pismo — oba wyszły z pod jednej ręki.

— To nie pismo Magdaleny—myślał—choć podobne bardzo. Ale tylko jedna Magdalena mogła zrobić aluzję do śmierci dziecka!... Tylko ona może mię prześladować i przygotowywać jakąś wyrafinowaną zemstę!... Lecz jakaż zmiana zaszła w życiu tej dziewczyny od chwili, gdy zostawiłem ją martwą! Skąd ona ma pieniądze, że sieje niemi po drodze?... Zresztą mniejsza o to!... Najpilniejszą i konieczną rzeczą odszukać ją i uwolnić się od niej.

LXIV.

Tymczasem gdy to się działo w Wenecji, Jan Dufour panował wśród robotników przyjętych do robót przy ulicy Cyrkowej.

Bezwstydny łotr nie stracił ani chwili, by zastosować swe teorje w praktyce co do napełnienia swych kieszeni. Naprzód porozumiał się z tapicerem i wymógł na nim dość znaczny na swą korzyść rabat za dostawy różnych przedmiotów, zwiększając współcześnie bez skrupułu cyfry, jakie miał podać swemu panu, a następnie to samo uczynił i z innymi dostawcami i robotnikami. Dawny pracodawca Dufoura, znając uczciwość i zdolność Juljusza Claude, powierzył mu kierunek robót dekoracyjnych i w tym celu dawszy mu adres, prosił go, by na miejscu przekonał się, jakie roboty będą potrzebne i ilu oraz jakich należy użyć robotników.

Juljusz udał się do wskazanego domu i zapytał odźwiernego o intendenta.

— Pan intendent jest obecnie na śniadaniu w restauracji na Champs-Elysées, ale nie długo powróci. Proszę poczekać.

— Przysłany zostałem przez przedsiębiorcę dla obejrzenia przyszłych robót dekoratorskich.

— Tymczasem niech pan zwiedzi dom.

— Dobrze—rzekł Juljusz i odszedł.

Po upływie pół godziny Dufour nadszedł z dobrem cygarem w ustach. Uprzedzony przez odźwiernego o przybyciu przedstawiciela jednego z przedsiębiorców, pan intendent udał się do salonu pierwszego piętra, gdzie zastał Juljusza.

Claude, poznawszy Dufoura, aż krzyknął ze zdziwienia.

— Więc to pan jest *panem intendentem?*—zapytał z odcieniem ironji.

— Tak, ja—odrzekł Dufour nadymając się.

— A to jakim cudem?

— Żadnym cudem... Musisz przecież wiedzieć, młodzieńcze, że zanim zostałem dekoratorem, przebywałem w wielkim świecie. Mój dawny protektor nie mógł mię nikim zastąpić i bardzo mię żałował. Otrzymawszy wielki majątek, potrzebował mieć przy sobie człowieka zdolnego i zaufanego i dla tego zaproponował mi u siebie posadę intendenta.

— Winszuję...

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, iż obaj ci ludzie od pierwszego spotkania się czuli do siebie wstręt instynktowny. Dufour nienawidził Juljusza, a ten nim pogardzał.

— A teraz, powiedz mi mój dawny towarzyszu, po co przysyła cię przedsiębiorca?

Juljusz opowiedział cel swego przybycia.

— Bardzo dobrze... Chodź pan ze mną — rzekł Dufour i zaprowadził go do drugiego budynku, przeznaczonego dla służby, w którym wybrał dla siebie dwa pokoje.

— Oto moje mieszkanie... Pragnę, by ono zostało urządzone najpierwej i do tego bardzo elegancko i z szykiem, odpowiednio do mego stanowiska.

— Więc powiedz mi pan swą myśl — rzekł Juljusz śmiejąc się.

— Chciałbym mieć na suficie jakieś malowidło piękne, takie naprzykład, jak czasem zdarza się widzieć w restauracjach i kawiarniach bulwarowych... więc jakieś lekkie białe i różowe obłoczki na błękitnem niebie, w środku amorek, mrugający okiem i przesyłający pocałunek... Drzwi niech będą pomalowane trzema kolorami: różowym, perłowym i białym, a na ściany chciałbym dać zielone obicie glansowane w kwiaty i namalować kolumny naśladujące marmur biały w żyłki różowe.

— To będzie dość wiele kosztowało—zauważył Juljusz, uśmiechając się.

— A cóż mnie to obchodzi? — odrzekł Dufour z gestem lekceważenia.—P. hrabia dał mi plenipotencję nieograniczoną i uzna wszystko co zrobię... Zresztą ja sam będę regulował rachunki z przedsiębiorcami.

— Więc ten hrabia pański musi być bardzo bogaty?

— Czy bardzo bogaty? A to mi się podoba! Czyż jabym przyjął u niego posadę, gdyby nim nie był? Ma przynajmniej ze sześć miljonów, nie licząc tego, co odziedziczy w przyszłości.

— Czy młody?

— W samym kwiecie wieku... ma dwadzieścia pięć lat, a do tego jest bardzo przystojnym. Podobny jest trochę do pana, tylko rozumie się wygląda inaczej!

— Czy żonaty?

— Ożenił się przed kilkoma dniami dopiero z panną bardzo piękną, lecz której poznać nie miałem jeszcze przyjemności. Wyjechali zaraz po ślubie i jak zwykle ludzie wielkiego świata, miodowe miesiące przepędzą zagranicą.

— A kiedy powrócą?

— Kiedy im się spodoba, a raczej gdy pałac będzie gotów... a wtedy dopiero rozpocznie się tu życie! Ośm koni na stajni, cztery powozy w remizie... Ogromne przyjęcia, obiady, kolacje, tańce, fety!... Ja będę zarządzał tem wszystkiem i będę mógł używać lepiej, niż wtedy, gdyśmy się pokłócili w Chennevières.

Juljusz, usłyszawszy to, zbladł.

— Otóż pan hrabia zaślubił pannę z Chennevières.

Artysta podniósł nagle głowę.

— Ojciec jej był bankierem, który zrobiwszy ogromny majątek, wycofał się z interesów.

— Był bankierem!—zawołał Juljusz, zadrżawszy cały.

— Tak i posiada w Chennevières wspaniałą willę z parkiem.

Juljusz przeciągnął ręką po spoconem czole.

— A jak nazywa się ten eks-bankier?

— Nazywa się Filip Dauray.

Claude zachwiał się.

— Co panu się stało? O małoś nie upadł...— rzekł Dufour.

— To nic, chwilowy zawrót głowy—odrzekł Juljusz, czyniąc wysiłek by zapanować nad wzruszeniem.

LXV.

— Ależ pan jesteś blady jak śmierć—zauważył Dufour—może wypijesz kieliszek chartreuse? To bardzo pomaga na zawrót głowy...

Juljusz chciał odmówić, lecz przyszła mu pewna myśl i odrzekł:

— Może masz pan rację... A czy jest tu gdzie blisko kawiarnia?

— Jest przy tej samej ulicy i nawet bardzo porządna.

— Jeżeli pan przyjmiesz kieliszek szampańskiego lub chartreuse, to proszę pana.

— Nie... nie...—przerwał Dufour—ja proponuję panu i ja zapłacę...

— Dobrze... nie chcę obrazić pana odmową...

— A tak to co innego... Poprawiłeś się pan, widzę... Chodźmy więc.

Wyszli z domu i udali się do kawiarni.

— Ten głupiec nie wyrzekł się zapewne dawnych zwyczajów—myślał Juljusz.—Lubi pić i upija się łatwo... Upoję go i dowiem się od niego wielu rzeczy...

Usiedli przy stoliku i kazali podać chartreuse.

— A więc—rzekł Juljusz, rozpoczynając rozmowę — hrabia pański ożenił się z córką eks-bankiera Filipa Dauray...

— Tak, mój chłopcze; jedynaczka... lat ośmnaście... miljony natychmiast... miljony później... Podobno prześliczna, tylko zdaje się, że chora...

— Bardzo chora?—zapytał artysta.

— Podobno bardzo. Lekarze kazali jej zmienić klimat i dla tego wyjechali natychmiast po ślubie.

— Na długo?

— Na kilka miesięcy... Nie przypuszczam by powrócili przed zimą.

— Kiedyż odjechali?

— Kilkanaście dni temu, zaraz na drugi dzień po ślubie. Ślub odbył się cicho w kółku rodzinnem...

— I dokąd udali się?

— Do Włoch, mój chłopcze, do kraju, w którym jest błękitne niebo, wulkany i makaron. Gdyby moja obecność tutaj nie była konieczną, z przyjemnością towarzyszyłbym im... To moje największe marzenie zwiedzić kiedyś piękną Italję!

Dufour mówił prędko, coraz częściej wychylając kieliszki chartreusy.

— Któreż okolice mają zwiedzić?

— Udali się naprzód do Neapolu, skąd hrabia odprowadził hrabinę do Wenecji, gdzie najął willę na ślicznej wysepce zwanej Poveglia. Sam pisał mi o tem w ostatnim swym liście. Roskosznie tam sobie żyją i w ciszy, mają bowiem tylko jednego lokaja francuza i dawną pokojową hrabiny...

— To ta wyspa nazywa się Poveglia?

— Tak, a willę nazywają Doria.

— Więc sami tylko mieszkają tam?

— Sami, gdyż rodzice pani hrabiny pozostali w Neapolu...

Juljusz nalał piąty kieliszek chartreusy Dufourowi, który wychylił go i opowiadał dalej z wzrastającem ożywieniem.

— Ten hrabia to może powiedzieć o sobie, iż ma szczęście!

— Czy mówisz pan to z powodu jego małżeństwa?

— Nie tylko z tego powodu! Wyobraź pan sobie, że on już był zrujnowany do szczętu, ale to tak,

że pozostał bez grosza! Każdy inny byłby sobie w łeb palnął! nie prawdaż? Tymczasem on znajduje sposobność zdobycia majątku i staje się bogatszym niż był przedtem! Zuch, podobny do kota, którego można rzucić z największej wysokości, a zawsze padnie na łapy!

— Czy pan go znasz oddawna?

— Służyłem u niego zanim jeszcze zostałem dekoratorem. To było życie! nie nudził się... Żaden dzień nie był podobny do drugiego! Nikt w Paryżu nie umiał tak żyć jak on i tak rozrzucać pieniądze... Było co widzieć! a teraz rozpocznie się to życie jeszcze lepiej niż dawniej!...

Juljusz otarł pot ściekający mu po skroniach, napełnił kieliszek Dufourowi i zapytał:

— Jakto, więc i teraz po ożenieniu się hrabia nie zmieni sposobu życia?

— Zmienić sposób życia! cha, cha, cha! — śmiał się Dufour, już nieco pijany. — Czyż w takim razie przyjąłbym u niego służbę? Nie głupim! Ja, Jan Dufour, miałbym służyć u człowieka oszczędnego i rozsądnego? Za nic w świecie! Zaraz po jego przybyciu rozpoczniemy życie na wielką skalę! Zobaczysz, mój chłopcze. Wtedy będę miał sposobność napełnić kieszeń i napełnię ją dobrze, jak jestem Jan Dufour!

— Ale nie powiedziałeś mi pan jeszcze, jak się nazywa ten pański hrabia...

— Pan mój — odrzekł Dufour, nadymając się i mówiąc z przesadą — nazywa się hrabia Juljusz de Lucenay!

Juljusz spojrzał nań wzrokiem dzikim i chwytając go za ramię, zawołał:

— Jakie nazwisko pan powiedziałeś?

— Nazwisko mojego pana! do licha! Jest ono dobrze znane w wielkim świecie! Dla czegoż patrzysz pan na mnie takiemi oczami?...

— De Lucenay—Charente?

— Tak. Widzisz więc i ty słyszałeś już o nim...

— Syn Gastona de Lucenay—Charente?

— Ten sam...

— I to on zaślubił Henrykę Dauray?

— On, w swojej własnej osobie!

— Więc to mój brat ją zaślubił — myślał Juljusz, ściskając dłońmi głowę.

— Ależ wyglądasz tak, że warto cię odmalować—mówił Dufour pijany.—Czy znowu dostałeś zawrotu głowy? więc wypij kieliszek...

— Nie... nie... dziękuję... — bełkotał Juljusz. — Już mi lepiej... to przejdzie... Ale muszę już pana pożegnać...—i wstał, wyjmując portmonetkę z kieszeni.

— Nigdy na to nie pozwolę!—zawołał Dufour, kładąc mu rękę na ramieniu. — To ja cię przyjmowałem...

Wychylił ostatni kieliszek zdradzieckiego trunku i dodał:

— A nie zapomnij o białych i różowych obłoczkach i o amorku w środku sufitu...

— Jutro o godzinie pierwszej po południu robotnicy przyjdą do pracy—odrzekł Juljusz, odzyskawszy krew zimną.

Odprowadził Dufoura aż do drzwi pałacu i doszedłszy do Pól Elizejskich, padł na ławkę pod drzewem.

— A więc—szeptał—człowiek, noszący nazwisko, które i ja powinienbym nosić, gdyby ojciec mój nie był nikczemnikiem, został mężem Henryki... tego dziecka niewinnego, tak okropnie znieważonego przezemnie!...

To straszne!... Henryka należy do tego, który okradł mię z nazwiska i majątku, do tego, którego przed umierającą matką przysięgłem nienawidzieć i przeklinać!... Co za fatalność zaprowadziła do Chennevière tego Juljusza de Lucenay?... Lękam się mego domysłu... Stan Henryki wymagał ocalenia honoru rodziny... Juljusz de Lucenay, rozpustnik, szuler, zrujnowany, posiadający już tylko nazwisko, sprzedał je... Dano mu za nie miljony i haniebny ten handel pozbawia mię nazawsze możności odkupienia mej zbrodni przez zaślubienie Henryki wtedy, gdy talent mój uczyni mię głośnym... i dziecię moje zostanie dzieckiem tego bandyty, zdobywającego majątek hańbą!...

Chwilę milczał, poczem znowu mówił do siebie:

— Nie, to być nie może, to byłoby potworne! to nie nastąpi!... Lecz jakim sposobem przeszkodzić temu?... Jak odebrać mające przyjść na świat dziecię, by nie zabić tem matki? Co za przepaść wątpliwości i cierpienia!... Co za kara za popełnioną zbrodnię!... Co czynić, Boże mój! co czynić?... We Włoszech... na Poveglia pod Wenecją, willa Doria... Więc tam oni są... Więc tam zawiózł Henrykę... Ona jego żoną!... Więc tam muszę działać, skoro tylko mój umysł rozjaśni się cokolwiek...

Powstał, zaczął przechadzać się wzdłuż alei i po niejakim czasie zdoławszy zapanować nad wzruszeniem, wrócił do siebie.

LXVI.

— Cóż, czy nie dowiedział się pan czego o pannie Magdalenie?—zapytała Juljusza odźwierna, udając doskonale, że nie wie o niczem.

— Nie—odrzekł—i lękam się, czy biedna dziewczyna rzeczywiście nie odebrała sobie życia... Byłem w domu przedpogrzebowym, w prefekturze i nigdzie nie znalazłem najmniejszej nawet wskazówki...

— Co pan zamierza uczynić z mieszkaniem?

— Może pani wynająć je, gdyż przywodzi mi na pamięć zbyt smutne wspomnienia.

— Dobrze. Jutro wywieszę kartę. Czy pan sprzeda meble?

— Sprzedałem je już pewnemu kupcowi, który je dziś zabierze.

Wszedł do mieszkania, wziął z szuflady portret Henryki, wpatrywał się weń czas jakiś, następnie wyjął zaoszczędzone pieniądze i przeliczył je. Posiadał wszystkiego dwa tysiące paręset franków.

— Za mało!...—mówił do siebie.—Część pójdzie na koszta podróży, a z reszty będę musiał żyć, gdyż pracy tam nie znajdę. Ach, czemuż ja nie jestem bogatym! Brak pieniędzy czyni mię bezsilnym. Trzeba czekać jeszcze... Przez cztery miesiące nic się nie stanie ważnego, a przez ten czas pracując i odmawiając sobie wszystkiego, będę w stanie powiększyć znacznie moje fundusze.

Powróćmy teraz do Juljusza de Lucenay.

Następnego dnia zaledwie wszedł na most Westchnień, podbiegł ku niemu znany nam młody gondoljer.

— Dla czego wczoraj nie czekałeś na mnie?—zapytał surowo Lucenay.

Chłopak opowiedział, że podczas gdy czuwał przed domem, do którego wszedł hrabia, spostrzegł dwie kobiety, z których jedna miała twarz zakrytą woalką, a ponieważ hrabia w poprzedniej rozmowie o niej wspominał, więc domyślił się, że to ona być musi i zaczął ją obserwować. Pani ta wyjąwszy

z kieszeni list, wręczyła go swej towarzysce, ta zaś zaraz weszła do domu, w którym znajdował się hrabia.

— Cóż dalej?

— Wtedy dama zawoalowana cofnęła się o kilka kroków i czekała.

— I nie odsłoniła twarzy?

— Nie, signor... Towarzyszka jej jakiś czas zabawiła w domu.

— Tak, wręczyła mi list przyniesiony z sobą.

— W takim razie musi pan już wiedzieć, gdzie ta pani mieszka?

— Nie wiem.

— A ja wiem.

— Więc mów prędko!

— Gdy tamta druga wyszła z domu, podbiegła do swej pani jak szalona i zawołała: Uchodźmy prędzej, bo on jest tam! Domyśliłem się, że mówiła o panu. Poczem obie kobiety, oglądając się, pobiegły do schodków, przy których stała moja gondola, weszły do gondoli obok stojącej i odpłynęły pośpiesznie. Wtedy ja siadłem do mojej i popłynęłem za niemi. Po godzinie drogi gondola ich zatrzymała się przed schodkami i obie kobiety wysiadły. Ja wysiadłem także i poszedłem za niemi.

— A więc znasz dom, w którym mieszkają?

— Znam.

— Zawieź mię tam.

— Dobrze.

Hrabia wsiadł do gondoli z chłopcem, który ująwszy wiosła, rzekł:

— Niech pan zasunie firanki, żeby one nie zobaczyły nas razem. Uprzedzę pana, gdy będziemy dopływali do tego domu.

Wielki kanał ma prawie cztery wiorsty długości. Przez dwie pierwsze wiorsty chłopak pracował

wiosłami, jak gdyby chodziło mu o zdobycie na wyścigach nagrody, poczem zwolnił biegu.

— Zbliżamy się, signor — rzekł, nachylając się ku firankom.

Gdy dopłynęli naprzeciw schodów, chłopak rzekł:

— To tutaj, na prawo, dom z granitu czerwonego...

Dom, wskazany przez niego, był starej konstrukcji, dwupiętrowy, o dwóch oknach i małych kolorowych szybach, wprawionych w ołów. Główne jego drzwi wychodziły na schody, których ostatni stopień kąpał się w kanale, nad niemi zaś drzwi oszklone, wychodzące na balkon z żelaza kutego.

W chwili gdy gondola przepływała naprzeciw tego domu, oszklone drzwi na pierwszem piętrze otwarły się i na balkon weszła młoda kobieta. Woalka z czarnych koronek szczelnie okrywała jej twarz.

— Na co ci się przydadzą te wszystkie ostrożności?—szepnął de Lucenay.

Poczem zwracając się do chłopca, rzekł:

— Wracaj i zatrzymaj się na Lido.

Gdy przybyli na miejsce, hrabia wyjąwszy z kieszeni kilka sztuk złota, rzekł:

— Naprzód masz przyobiecaną nagrodę, a otrzymasz drugie tyle, jeżeli będziesz mi służył z równą wiernością i roztropnością.

— Będę, signor, będę — zawołał chłopak uradowany.

— Nadto, jeżeli chcesz, zabiorę cię z sobą do Paryża.

— To potrzeba pierwej zapytać się mojej matki czy pozwoli.

— Pomówię z nią, ale teraz nie o to chodzi.. Czy możesz wejść do domu, w którym mieszka ta dama zawoalowana?

— Po co?
— Dowiedzieć się, ile w nim osób mieszka.
— I być może, czy jest mąż?—zapytał chłopak, śmiejąc się.
— Wiem, że go niema. Ale chciałbym wiedzieć liczbę służących.
— Zdaje mi się, że to nie będzie zbyt trudnem. Znajdę sposób dostania się tam.
— A gdy wejdziesz, czy będziesz mógł przyczepić do balkonu drabinę sznurową, po której możnaby wejść?
— Czas wchodzenia do mieszkań po drabinkach w Wenecji już przeszedł — rzekł chłopak śmiejąc się znowu. — Było to dobre dawniej, jak opowiadał mi mój dziadek. Ale jeżeli pan chce przywrócić tę modę, to ja przyczepię.
— Czy możesz wystarać się dla mnie o taką drabinę?
— Ojoj, mam dwie na strychu domu, w którym mieszka moja matka...
— Dobrze... Więc dowiedz się naprzód ile jest służby w tamtym domu, a później postanowimy co robić dalej.
— Kiedy ja z panem zobaczę się znowu?
— Jutro o tej samej godzinie i w tem samem miejscu.
— Przyjdę — rzekł Pippo i udał się do gondoli.
Roztropny, śmiały, pewny siebie, gdyż czuł w kieszeni pieniądze i pragnący wyjechać z tak hojnym francuzem do Paryża, Pippo osnuwał już plan dostania się do domu przy Wielkim Kanale.
Wszedł do sklepu złotnika, kupił za kilka franków małą koralową broszkę w pudełeczku i poprosił kupca, by mu napisał na kawałku papieru adres:

„La signora Lucrezia, Canal-Grande, nr 180-ty.“ Poczem wrócił się do gondoli i popłynął do wiadomego domu. Po drugiej stronie schodków przyczepiona była inna gondola, w której przewoźnik, człowiek stary z długą białą brodą, spał wyciągnięty na ławce.

Chłopak poznał go od razu: był to ten sam gondoljer, który dnia poprzedniego odwoził damę zawoalowaną i jej służącę.

Brzęk łańcucha, którym nowoprzybyły przyczepiał gondolę, obudził starego przewoźnika, który powstawszy, zaczął się rozglądać. W Wenecji wszyscy gondoljerzy znają się.

— Ach, to ty mały—rzekł.—Czy masz jaki interes do francuskiej signory?

— Mam, Stanza.

— Więc śpiesz się, bo signora wkrótce wyjdzie. Jestem jej stałym gondoljerem na cały czas pobytu jej w Wenecji.

Chłopak przebył pośpiesznie schody, podniósł wiszący u drzwi młot i zastukał.

W kilka chwil zakratowane drzwiczki u góry otworzyły się i pokazała się głowa młodej kobiety.

— Czego chcesz?—zapytała.

— Mam tu wręczyć posyłkę.

— Jaką?

— Złotnik z Lido kazał mi to oddać w domu pod nr 180-ty przy Wielkim Kanale.

— To tutaj. Dla kogoż to?

— Nie umiem czytać, ale na tym papierze napisane nazwisko—odrzekł Pippo, wręczając zawinięte w papier pudełeczko.

— To nie tutaj—odrzekła służąca, przeczytawszy adres.

— Jakto nie tutaj, kiedy adres dobry...

— Adres dobry, ale ja nie jestem Lukrecja.

— To może jaka inna osoba w tym domu?

— W tym domu mieszka tylko moja pani i ja.

— W takim razie przepraszam, odniosę złotnikowi napowrót...

Drzwi zamknęły się, chłopiec zaś wrócił do gondoli i odpłynął.

— Więc dowiedziałem się—myślał—pan hrabia będzie ze mnie kontent, a jeśli zechce wiedzieć co więcej, to ten gaduła stary Stanza za butelkę wina Asti powie wszystko o tej pani i jej służącej.

Następnego dnia o oznaczonej godzinie Pippo zdał sprawę Juljuszowi ze swoich poszukiwań.

— Cóż ja mam teraz robić?—zapytał.

— Ta zawoalowana dama zapewne wychodzi kiedy wieczorem; trzeba się o tem przekonać...

— Dowiem się o tem od gondoljera Stanza.

— Potrzebuję także wiedzieć, gdyby szła do teatru i kupowała lub kazała komu kupić lożę.

— A jakże ja pana zawiadomię, gdy nie wiem gdzie pana znaleść?

— To prawda. Otóż, począwszy od jutra, codziennie między trzecią a piątą po południu znajdować się będę w kawiarni przy placu św. Marka, a dzisiaj będę tam o ósmej wieczorem.

— Dobrze, signor.

Hrabia oddalił się, a Pippo wrócił do swej gondoli.

Widocznie zapisanem było, że los we wszystkich projektach służyć będzie mężowi Henryki Dauray.

Zaledwie chłopak kilka razy uderzył wiosłami, gdy spostrzegł Stanzę przywiązującego przy schodach swą gondolę.

— Aha, Stanza!—zawołał.

Stary gondoljer odwrócił się i spostrzegłsz chłopaka, odrzekł:

— Ach, to ty Pippo... a czego chcesz?

— Chce mi się pić...

— Tem gorzej dla ciebie, mój chłopcze... Nie mam nic w skrzynce mojej gondoli.

— Gospoda niedaleko...

— Ale moja kieszeń pusta...

— Ja mam sztukę złota, którą chętnie zmieniłbym, by wypić butelkę wina Asti.

— Żartujesz chyba! butelkę Asti—odrzekł Stanza oblizując się.

— Wcale nie żartuję, prawdziwego Asti... A czy masz czas pójść do gospody?

— Mam całą godzinę...

— Więc chodźmy, ale prędko.

Pippo przywiązał gondolę i wraz z Stanzą udał się do gospody.

— A więc masz całą godzinę?—zapytał chłopak po napełnieniu szklanek.

— Tak...

— Czy czekasz na swoją francuzkę, która może gdzie na wizycie?

— Nie, na jej służącę, która poszła do teatru kupić dla swej pani lożę.

— Więc odwieziesz je dzisiaj do teatru?

— Dzisiaj niema przedstawienia, dopiero jutro.

— Jutro... i długo potrwa?

— Do północy. Francuzka nigdy nie wraca później.

— Czy ona sama udaje się do teatru?

— Nie, towarzyszy jej zawsze służąca.

Pippo wiedząc już, co potrzebował wiedzieć, wylał resztę wina w szklankę Stanzy i rozstał się z nim.

* * *

Juljusz de Lucenay zaraz po śniadaniu wsiadł do gondoli i powrócił dopiero na obiad.

Henryka pozostawszy samą z swą pokojową, smutna, przechadzała się po ogrodzie willi, czytała, albo przynajmniej zabierała się do czytania, lecz książka zwykle wypadała jej z rąk i myśli ulatywały w przeszłość. Biedna kobieta czyniła wszystko, by pogodzić się z nową pozycją, której musiała się poddać, nie mogła jednak zapomnieć dawnych swych marzeń, rozbitych katastrofą do tego czasu dla niej niepojętą. Dla czego fatalność ta dotknęła ją tak ciężko w chwili zupełnego szczęścia? Dla czego ona, niewinna, pokutować musiała za winę, której nie popełniła? Chwilami oburzała się na tę potworną niesprawiedliwość, wpadała w szał gniewu, poczem znowu pochylała głowę z rezygnacją.

Dotychczas Juljusz był dla niej bardzo delikatnym i okazywał wszelkie względy, jak człowiek dobrze wychowany, mimo to pani Lucenay z przestrachem zapytywała się, jakie wrażenie uczyni na nim widok mającego przyjść na świat dziecka? Wprawdzie przyjął on to dziecię wraz z jej posagiem, ale co będzie, jeśli podrażniony jego istnieniem, stanie się dla niej brutalnym? Wtedy jej życie będzie nie do zniesienia.

A jednak Henryka nie przeklinała tego dziecięcia, co złamało jej życie.

Już przed czasem instynkt macierzyński objawiał się w jej duszy anielskiej.

Czuła, że będzie ubóstwiać tę drobną istotę, niewinną przyczynę tylu jej cierpień.

Wierna i oddana jej całą duszą Anusia stała się powiernicą jej myśli najskrytszych. Henryka nie miała dla niej tajemnic, gdyż w otwieraniu przed nią swego serca znajdowała pociechę.

— Ach, jak te godziny wydają mi się długiemi! —rzekła do niej w kilka dni po osiedleniu się w willi Doria.

— Rozumiem to dobrze, droga pani, lecz na nieszczęście, nie możemy ich skrócić.

— Ach, gdybyś wiedziała, Anusiu, jaki mię strach przejmuje...

— Czego?

— Jeżeli p. Lucenay nie będzie kochał mego dziecięcia, jeżeli będzie nienawidził?...

— Niepotrzebnie pani obawia się... P. Lucenay jest bardzo dobrym człowiekiem... Czyż nie przysiągł pani, że będzie je kochał jak swoje własne?...

— Tak, przysiągł!...

— Więc pocóż pani się dręczy? Gdyby nie miał dotrzymać słowa, to by się nie żenił.

Henryka pochyliła głowę.

— Niech pani mi wierzy, że hrabia dał dowód wielkiego serca i wielkiego poświęcenia.

Henryka nic nie odpowiadając, westchnęła.

— Nie wierzy pani?—zapytała pokojowa.

— Zdarzają mi się chwile, w których mimo woli mojej, wątpię w to — odrzekła Henryka głosem cichym.

— Pani wątpi o poświęceniu pana hrabiego?

— Wątpię...

— A jednak p. Lucenay okazuje pani zawsze szacunek.

— To prawda...

— I bardzo jest do pani przywiązany.

— Pan Lucenay nie może mię kochać—odrzekła Henryka, potrząsając głową.

LXVII.

— Dla czego?—zapytała Anusia zdziwiona.

— Dla czego? Słuchaj mię Anusiu... patrzmy na rzeczy jak należy... Wyobraź sobie, że jesteś mężczyzną i że ci mówią: „Oto młoda dziewczyna, która popełniła błąd lub stała się ofiarą zbrodni!“ Czy zgodziłąbyś się dać tej ofierze swoje nazwisko?

— P. Lucenay był zrujnowanym — odrzekła pokojowa — i przez zaślubienie pani stał się bogatym. Być może, że na postanowienie jego wpłynął i posag, ale hrabia jest przedewszystkiem człowiekiem uczciwym i niezdolnym do popełnienia czynu niehonorowego. Ubliżyłby zaś własnemu honorowi, gdyby nie dotrzymał zobowiązania, że uczyni panią szczęśliwą i będzie kochał panią i jej dziecko.

Henryka po raz wtóry smutnie pochyliła głowę.

— Ja już nigdy nie będę szczęśliwą, moja Anusiu—szepnęła.

— Dla tego, że pani nie chce nią być... Zawiele myśli pani o przeszłości... Przeszłość nie powinna już istnieć dla pani... małżeństwo wszystko zatarło... Dzisiaj ma pani szczęście pod ręką... trzeba tylko sięgnąć po nie... Niech pani kocha hrabiego, a i on będzie panią kochał...

— Nie mogę go kochać... nie mogę, nie potrafię nigdy... — szepnęła i łzy potoczyły się po jej policzkach.

— Nie może pani?—zawołała Anusia zdumiona

— Nie mogę...

— Więc oddała pani swe serce komu innemu?

— Niestety, oddałam sama nie wiedząc o tem i oddawna... oddałam je człowiekowi, który mi mówił, że mię kocha, a który jednak w miłości swoj nie znalazł dość poświęcenia, by mię ocalić...

— Pan Jerzy Lamarre?

— Jerzy Lamarre już nie istnieje dla mnie... nie miał nademną litości!... Ale porównywając jego postępowanie z postępowaniem hrabiego, zapytuję siebie, czy odrzucając mię zhańbioną, nie okazał się rzeczywiście człowiekiem szlachetnym?

— Niech pani się strzeże... Rozumując w ten sposób dojdzie pani do przekonania, że hrabia żeniąc się z panią, myślał tylko o jej miljonach...

— Na nieszczęście, jestem prawie pewną tego...

— Niech pani odpędzi od siebie te myśli! Przecież dzięki hrabiemu tylko dziecię pani będzie miało nazwisko, a to w oczach pani powinno mieć wielką zasługę.

— Tak, gdyby kochał to dziecię... lecz jeśli stanie się przeciwnie? W każdym razie pozycja moja jest straszna...

— Z jakiego powodu?

— Gdyby kiedyś nieznany sprawca zbrodni się znalazł... — odrzekła Henryka głosem ledwie dosłyszanym, pochylając głowę.

— Czy pani może przypuszczać—przerwała Anusia—że on ośmieliłby się stanąć przed panią? Gdyby był tyle bezczelnym, że sam by się przyznał, czyż mogłaby pani słuchać go bez zgrozy, bez najwyższego oburzenia? Powinnaby pani w takim razie bez litości wypędzić tego nikczemnika!

— Tak, jest on nikczemnym, ale jest ojcem mego dziecięcia...

Pokojowa spoglądała na swą panią z przerażeniem.

— A więc — ciągnęła dalej — pani nawet bez gniewu myśli o tym zbrodniarzu, który znalazłszy zemdloną, dopuścił się najwstrętniejszej podło- i uciekł jak złodziej, pozostawiając pani hańbę,

narażając panią na podejrzenia? Jakiem prawem ośmieliłby się przyjść ten bandyta, ten ojciec dziecka, które inny przyjął za swoje? Gdyby się odważył na to, to p. Lucenay powinienby mu łeb roztrzaskać i, czyniąc to, postąpiłby sprawiedliwie!

— Ach, Anusiu, nie mów tego! proszę cię, nie mów!...

— Nie, droga pani moja, powinnam mówić, a ponieważ obdarza mię pani swem zaufaniem, chcę więc być godną tego... Byłoby zbrodnią nie nienawidzieć tego rozbójnika i nie pragnąć dla niego kary!

— Masz rację, ja sama to czuję, a jednak nie mogę uwolnić się od pewnej myśli, która prześladuje mnie bezustannie...

— Może... by go zobaczyć... poznać go?...

— Tak... poznać go... zobaczyć...

— Ach, pani... pani... Pani nie powinna pragnąć tego... to byłoby niegodne pani...

— Czuję to, a przecież nie mam siły oprzeć się temu pragnieniu... Jak zmora nawiedza mnie ono ciągle!... I we śnie i na jawie zdaje mi się, że widzę stojącego przedemną młodego człowieka o bladej twarzy, ze łzami płynącemi po policzkach... ze wzrokiem wyrażającym najgłębszą boleść i wyrzuty sumienia... Widzę, jak błagalnie wyciąga ku mnie ręce i drżącym głosem woła: „Przebacz mi, ulituj się nademną... kocham cię i cierpię...“ Słuchaj Anusiu, w tej chwili gdy to mówię do ciebie, widzę go przed sobą, patrzę na twarz jego... słyszę głos jego...—i wyciągnęła ręce w przeciwległy kąt pokoju, jakby wskazując niewidzialne zjawisko.

— Pani... pani... na miłość Boga, niech pani się uspokoi!—wołała biedna Anusia.

— Och, jestem spokojną zupełnie. Cóżem ja winna, że nie mogę pozbyć się tej prześladującej mię bezustannie myśli? Cóż ja zrobię, że nie mogę nienawidzieć tego nieznajomego sprawcy mego nieszczęścia? że wyobrażam sobie, iż on mię kocha, że zbrodnię swą okupuje rozpaczą i że oddałby życie swoje, by przyznać ojcostwo swemu dziecięciu?

Anusia złożyła ręce jak do modlitwy i rzekła z boleścią:

— Ach, pani, droga pani moja, zaklinam panią i błagam na klęczkach, niech pani odtrąca od siebie te myśli!... One panią zabiją! One z życia pani uczynią piekło!

— Piekłem dla mnie jest rzeczywistość!...

— Gdyby p. Lucenay mógł czytać co się dzieje w duszy pani, miałby prawo powiedzieć, że pani nie zasługuje na jego poświęcenie.

— Zapłaciłam za to poświęcenie—odparła Henryka z gniewem.—Nic nie jestem dłużną!—i ukrywszy twarz w dłonie, wybuchła płaczem.

Tego dnia, jak wiemy hr. Lucenay wrócił do willi dopiero na obiad.

Henryka spostrzegłszy go, uczyniła wysiłek nad sobą, by wrócić spokój swej duszy i choć na chwilę uwolnić się od swych myśli smutnych.

— Długo dziś zabawiłeś w Wenecji — rzekła, nie dla tego by badać go, lecz by coś powiedzieć, by okazać, że interesuje się nim.

— Zwiedzałem muzea—odrzekł Juljusz.

— Mówią, że podobno są bardzo obfite?

— Zapchane wspaniałemi przedmiotami... Wsiadając do gondoli z powrotem, spotkałem się z jednym z dawnych przyjaciół moich.

— Spotkanie przyjemne?

— Bardzo przyjemne, gdyż da mi sposobność zapoznać się z arystokracją tutejszą i zagraniczną, przebywającą w Wenecji. Niezmiernie żałuję, że nie możesz bywać w świecie...

— Dla czego?

— Ponieważ byłbym szczęśliwym wprowadzając cię do towarzystwa, w którem jaśniałabyś jak gwiazda...

— Dziękuję ci za tę opinję o mnie, lecz wiesz, że teraz i nie chcę i nie mogę pokazywać się nigdzie...

— Dla tego też przyjacielowi memu, który pragnął być przedstawionym tobie, odpowiedziałem, że jesteś cierpiącą i że nie przyjmujesz nikogo.

— Jak on się nazywa?

— Margrabia de Rambures.

— Żonaty?

— Wdowiec bezdzietny i bardzo bogaty. Prosił mię, bym codziennie przepędzał u niego wieczory.

— I przyjąłeś?

— Warunkowo... chciałem bowiem zapytać ciebie, czy będąc cały dzień samotną, nie sprawię ci przykrości pozostawiając cię samą i wieczorami.

— Ja nigdy się nie nudzę.

Była to odpowiedź, którą Juljusz wywoływał umyślnie i której spodziewał się.

Po obiedzie opuścił willę, kazał się zawieść na plac św. Marka i udał się do umówionej kawiarni. W pięć minut zjawił się i Pippo. Hrabia spostrzegłszy go, dał mu znak, by szedł za nim i wyszedł na plac.

— Czy masz co nowego?—zapytał.

— Si, signor.

— Więc mów.

— Dowiedziałem się od gondoljera Stanzy, że zawoalowana dama będzie jutro w teatrze.

— Sama?

— Ona nigdy nie wychodzi sama, lecz ze służącą.

Lucenay namyślał się przez kilka chwil, brwi jego ściągnęły się i na twarzy zarysował się wyraz dzikości.

— Więc jutro zobaczę się z nią—myślał—i tym razem nie chybię!

— Czy signor zadowolony ze mnie? — zapytał Pippo.

— Jestem zadowolony i z twojej roztropności i z tego coś mi powiedział.

— Czy będziemy potrzebowali jutro drabinki sznurowej?—pytał dalej chłopak, zachwycony tem, że odegra jakąś rolę w czynie, który uważał nie za dramat, lecz za jakąś zabawną komedję miłosną.

— Będziemy jej potrzebowali, jeżeli możesz przeszkodzić służącej wejść do domu razem ze swą panią.

— Więc signor przypuszcza, że zawoalowana dama będzie się broniła i wzywała jej na pomoc?

Słowa te wypowiedziane były tonem tak komicznym, że hrabia, mimo bardzo poważnej sytuacji nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Należy być zawsze ostrożnym—odrzekł hrabia.—Nie chcę aby służąca znajdowała się w domu wtedy, gdy ja tam będę.

Pippo podrapał się w głowę.

— To będzie trudno, signor...

— Gdybym miał tutaj Dufoura—myślał hrabia—on by się prędko ułatwił...

Nagle chłopak wydał okrzyk.

— Czy znalazłeś sposób?—zapytał hrabia.

— Si, signor.

— Czy służąca nie wejdzie ze swoją panią?

— Nie, signor.
— A ja będę mógł wyjść z domu gdy zechcę?
— Si, signor.
— Cóż myślisz uczynić?
— Przedewszystkiem muszę upoić Stanzę.
— A następnie?
— Zobaczy pan później.
— Czy nikt oprócz ciebie nie będzie wiedział o tem co stanie się jutro?
— Nikt.
— Więc porozumiejmy się. O której godzinie zawoalowana dama wejdzie do domu po powrocie z teatru?
— Ponieważ przedstawienie kończy się o wpół do dwunastej, więc wejdzie do domu o północy lub w kwadrans później.
— A zatem ja muszę dostać się do domu przed północą.
— Według mojego planu signor musi tam być o jedenastej.
— Dobrze, niech będzie o jedenastej.
— Więc o wpół do jedenastej niech pan oczekuje na schodach przy moście Westchnień. Ja będę już tam z gondolą i drabinką.
— A czy w tym czasie nikt nas już nie zobaczy?
— Nie; księżyc jeszcze nie wejdzie a noce teraz ciemne. Łatwo pan wejdzie na balkon.
— Czy jesteś pewnym, że się uda?
— Jestem pewnym... ale...—rzekł chłopak drapiąc się w głowę.
— Cóż takiego?
— Będę potrzebował trochę pieniędzy...
— Czy potrzebujesz kogo opłacić?

— Czy signor mi nie wierzy?

— Wierzę, ale powtarzam ci, że nie chcę, by ktokolwiekbądź o tem wiedział.

— I nikt nie będzie wiedział.

— Ile potrzebujesz?—zapytał hrabia otwierając portmonetkę.

— Dwie lub trzy sztuki złote...

— Masz je... A teraz słuchaj mnie—mówił hrabia, zniżając głos.—Przysięgnij mi, że cokolwiekbądź stanie się jutro, nigdy i nikomu nie powiesz, że wchodziłem do domu damy zawoalowanej.

Pippo spojrzał na hrabiego z niepokojem.

— Cóż pan będzie robił w tym domu? — wyjąkał.

— To mnie tylko się tyczy; przysięgnij mi, że *cokolwiekbądź się stanie*—mówił hrabia, czyniąc nacisk na te wyrazy—nigdy nie zdradzisz mnie!

— Nigdy, signor, przysięgam!

— Nawet gdyby pytała ciebie policja?

— Policja?—powtórzył chłopak przestraszony.

— Tak.

— A więc mogę być przez policję aresztowany?

— Nie, ale badany w razie, gdyby się dowiedziano, że pomagałeś mi.

— Nikt nie może dowiedzieć się i nikt nie będzie wiedział... Niech signor będzie spokojnym, mój ojciec nie zdradził nikogo, a ja jestem jego synem.

— Jeżeli dotrzymasz obietnicy, zrobię cię bogatym.

— Dotrzymam.

— A więc do jutra.

— Dobrze, signor.

Hrabia stawał się coraz więcej ponury, widział bowiem całe niebezpieczeństwo awantury, w którą się rzucał z zawiązanemi oczyma, a która mogła zakończyć się śmiercią kobiety zawoalowanej w razie, gdyby odrzuciła propozycje, jakie miał jej uczynić i nie chciała dać gwarancji dotrzymania ich. Wierzył, że zawoalowaną kobietą była Magdalena i lękał się, że stanąwszy znowu na jego drodze, mogła jednem słowem zburzyć świetne rusztowanie jego przyszłości, gdyż rzeczywiście, dość było jednego jej słowa, by wysłać go na galery lub nawet na gilotynę.

— Nie mam potrzeby obawiać się tego Pippa— szeptał Lucenay odchodząc—gdyż zeznając przeciwko mnie, obwiniłby i siebie o wspólnictwo... mogę mu ufać... Służąca zaś, jeżeli wchodząc do mieszkania spostrzeże trupa swej pani, to cóż będzie mogła powiedzieć? Tyle tylko, że pani jej przybyła do Wenecji i śledziła hrabiego de Lucenay. O to rzecz mniejsza; niech pytają mię, potrafię się wytłómaczyć! Zresztą podejrzenie nie może dosięgnąć człowieka mojej pozycji. Jeżeli więc Magdalena będzie się wahała lub groziła, tem gorzej dla niej, bo ja nie zawaham się!

Następnego dnia o wpół do ósmej wieczorem zawoalowana dama i jej służąca zeszły do gondoli starego przewoźnika i odpłynęły do teatru.

— A nie zapomnij czekać tu na nas o wpół do dwunastej—rzekła do Stanzy.

— Nie zapomnę, signora.

Stary gondoljer mając tyle czasu wolnego, chciał się oddalić, gdy z za firanki sąsiedniej gondoli wychylił się Pippo i zawołał:

— Ach, to ty Stanza?

— A ja... a ty tu co robisz?

— Spałem... Która teraz godzina?

— Ósma.
— Więc mam jeszcze czekać dwie godziny.
— Ja mam prawie cztery.
— Wiesz, przychodzi mi jedna myśl...
— Jaka?
— A gdybyśmy poszli na butelkę Marsala?...
— Wcale dobra myśl!... Ale kto za nią zapłaci?
— Rozegramy w kości.
— Dobrze! Mnie prawie zawsze w grze służy szczęście...

Wysiedli ze swych gondoli i poszli do pobliskiej gospody.

Pippo znał Stanzę doskonale i wiedział, że stary przewoźnik nigdy nie odrzucał sposobności napicia się dobrego wina i nie umiał powstrzymać się wczas; upijał się też zwykle, choć na drugi dzień żałował swej niewstrzemięźliwości.

Zasiedli do stołu, kazali podać butelkę Marsala i zaczęli grać w kości. Pierwsza butelka wypróżniła się prędko, Pippo bowiem nalewał szklankę Stanzy bezustannie, wylewając pod stół większą część płynu ze swojej. Popijając grali w kości. Pippo przegrywał, Stanza pił. Butelki następowały jedna po drugiej.

O wpół do dziesiątej Pippo powstał i rzekł:

— Dość już... nie wiedzie mi się... Trzeba iść...

Stanza podniósł się także, lecz zachwiał się i o mało nie upadł.

— Co to jest? Zdaje mi się, że ziemia chwieje się podemną... a jednak prawie nic nie piłem.

— Rzeczywiście—odrzekł chłopak śmiejąc się—byłeś wstrzemięźliwym, ale Marsala jest zdradliwą... To nic, na powietrzu wytrzeźwisz się prędko...

W kilka minut później Stanza pijany spał w swojej gondoli.

Pippo pogasił latarnie, przyczepił gondolę Stanzy do swojej i odpłynął do schodów naprzeciw domu damy zawoalowanej, gdzie do jednego z pierścieni żelaznych przywiązał gondolę starego przewoźnika.

Następnie popłynął z powrotem i udał się na most Westchnień, na miejsce wskazane przez hrabiego. Ten ostatni wkrótce nadszedł i siadł do gondoli. Cichaczem odpłynęli pośpiesznie do domu damy zawoalowanej.

— Tu jest jakaś gondola—rzekł Juljusz, wskazując na barkę Stanzy.

— To gondola tej damy—odrzekł pocichu Pippo.—Śpi w niej pijany jej przewoźnik...

Wyjął ze skrzynki drabinkę sznurową, którą okręcił się, zmoczył chustkę w wodzie i ze zręcznością małpy, chwytając rękami rynnę, a nogami opierając o wystające nieco kanty granitów, wdrapał się na żelazny balkon. Rozwinął drabinkę, jeden jej koniec zaopatrzony w haki żelazne uczepił na rampie balkonu, wyjął zmoczoną chustkę, zwinął ją w kłębek i pchnął nim szybę. Szkło pękło bez hałasu. Poczem włożył rękę w otwór, odciągnął zasówkę i otworzył drzwi.

Cała ta czynność, zdawałoby się tak trudna, zajęła mu najwyżej dwie minuty czasu.

— Niech signor teraz wchodzi — rzekł do hrabiego, gdy zeszedł po drabince na dół—i prędko, gdyż widzę latarnię nadpływającej gondoli — rzekł i wsiadł do gondoli, odpłynął do miejsca, w którem wysiadła dama zawoalowana, wyciągnął się na poduszkach i czekał.

Hrabia wdrapał się na balkon po drabince, wciągnął ją, wszedł do mieszkania i przymknął drzwi za sobą. Następnie zasunął je firankami, wyjął z kieszeni zapałki woskowe, zapalił jedną i zaczął rozglądać się po pokoju. Był to salon wytwornie, prawie ze zbytkiem umeblowany. Wszedł do buduaru, następnie do pokoju stołowego, gdzie zastał na stole palącą się lampę. Przechodząc przez te pokoje, Juljusz ulegał coraz większemu zdziwieniu.

— Skąd Magdalena — myślał — mogła zdobyć środki na najęcie tak zbytkowego mieszkania i to w mieście takiem jak Wenecja, gdzie bez litości wyzyskują podróżnych?

Ściągnął brwi i uczuł dreszcz przebiegający po ciele. Czyżby znalazła jakiego bogatego i potężnego protektora i pewna jego opieki, postanowiła mu wypowiedzieć walkę?

— Więc cóż mię to obchodzi?—odrzekł ze złością po chwili namysłu.—Nie cofnę się już, a jeżeli nie zgodzi się na moje żądanie, to nie ocali jej i najpotężniejszy protektor.

Na stole zastawiona była kolacja, złożona z zimnego mięsa, pasztetu, raków morskich, rozmaitych owoców i butelki wina szampańskiego, stojącej w naczyniu napełnionem lodem.

Juljusz zapytywał siebie, czy nie marzy. Wrócił do salonu, siadł i czekał.

Zegar wybił wpół do dwunastej.

W tej chwili w teatrze Wielkim ukończył się ostatni akt „Traviaty“ i widzowie zaczęli opuszczać miejsca.

Dama zawoalowana nie chcąc się znaleść w tłumie, przeczekała cokolwiek w loży, następnie wraz z służącą udała się do miejsca, w którem miał oczekiwać na nie stary Stanza.

Jedna łódź tylko uwiązaną była u schodków.

— Gondoljer! — wołała służąca. — Stanza! Czy śpisz?—i nie doczekawszy się odpowiedzi, zeszła na dół i uderzyła nogą kilka razy w gondolę.

— Ja nie jestem Stanza—odrzekła jakaś postać wychylając się z za firanek.

— Dla czego jego tu niema? — zapytała dama zawoalowana niecierpliwie.

— Poszedł zapewne do gospody i upił się— zauważyła służąca.

— Czy możesz nas odwieść? — zapytała nieznajoma, zstępując po schodach i zwracając się do przewoźnika.

— A czy daleko?

— Do domu nr 180-ty przy kanale Wielkim.

— Niech panie siadają.

— Obie kobiety zajęły miejsca na poduszkach, gondoljer zaś odczepił łódź i zaczął silnie wiosłować.

W dwadzieścia minut przybył na wskazane miejsce.

— Ale—rzekł zatrzymując się—tu już jest jakaś gondola.

— Gondola!—powtórzyły obie kobiety.

— Tak, gondola Stanzy.

— Jakim sposobem to się stało?

Gondoljer, którym, jak czytelnicy domyślili się, był Pippo, nie odrzekł ani słowa, lecz przeszedł do drugiej gondoli.

— Stanza jest tutaj—rzekł po chwili—leży i nie rusza się... musiał zemdleć...

— Co jemu się stało?—pytała nieznajoma. .

— Nie wiem... może zawiele pił...

— Trzeba go ratować!...

— Ratować! Możnaby było go uratować, gdyby była pod bokiem apteka, ale że niema jej blisko, więc umrze... Co stanie się z jego biedną żoną?...

— Nie możemy dopuścić do tego! Gdzież jest ta apteka? Ja chcę go uratować.

— W takim razie niech signora wysiada i idzie do siebie.

— Dla czego?

— To ja popłynąłbym ze służącą na Lido, gdzie jest apteka otwarta całą noc. Weźmiemy flaszeczkę amonjaku, powrócimy i uratujemy starego.

— Czy pani zgadza się?—zapytała pokojowa.

— Jedź, tylko zostaw mi klucze. Gdy wrócisz, otworzę ci.

Zaledwie nieznajoma weszła na schody, Pippo odbił natychmiast od brzegu. Puścił się szybko na pełny kanał, ale może upłynął najwyżej sto metrów, gdy dał się słyszeć trzask.

— Żeby cię djabli wzięli!—zawołał ze złością.— Wiosło złamało się!

— Cóżmy teraz zrobimy? — zapytała pokojowa przestraszona.

— Niech pani będzie spokojną, dopłyniemy, tylko cokolwiek później.

I rzeczywiście dopłynęli, ale prawie po godzinie czasu.

— Niech pani wysiada prędzej... Widzi pani ten punkt czerwony na wybrzeżu? To apteka. Niech pani kupi flaseczkę amonjaku i wraca...

Pokojowa wysiadła i poszła we wskazanym kierunku. Wtedy Pippo odepchnął gondolę od schodków, wyjął z ukrycia drugie wiosło całe i oddalił się pośpiesznie, mówiąc do siebie półgłosem:

— Doskonale udało się. Pan hrabia musi już teraz oświadczać się swojej donnie.

Hrabia de Lucenay usłyszawszy zbliżającą się gondolę, wyszedł na balkon i słyszał rozmowę Pippa z przybyłemi dwoma kobietami.

— Ten łobuz wenecki jest sprytny—szepnął.

Usłyszawszy otwierane na dole drzwi, wrócił pośpiesznie do pokoju stołowego i ukrywszy się za portjerą, oczekiwał wejścia nieznajomej.

Ta przebyła próg i zamknęła drzwi za sobą.

Hrabia skorzystał z tej chwili, podstąpił do stołu i stanął w pełnem świetle.

Gdy nieznajoma odwróciła się i spostrzegła stojącego naprzeciw siebie mężczyznę, krzyknęła z przestrachu, lecz prawie w tejże chwili uspokoiła się, poznała bowiem niespodziewanego gościa.

Hrabia skrzyżował ręce na piersiach.

— Ach! nie spodziewałaś się mnie, nie prawdaż? —rzekł głosem groźnym, lecz zarazem szyderskim.— Wyobrażałaś sobie, że będziesz mogła mnie prześladować, pozostając sama w ukryciu! Omyliłaś się, gdyż odkryłem cię i przyszedłem rozmówić się z tobą otwarcie!

„Uspokój się, nadeszła chwila stanowcza, będę więc otwartym aż do cynizmu. Wyznaję, iż myślałem, że nie żyjesz, lecz zjawienie się twoje przekonywa mię, że byłem głupcem i niezręcznym, gdyż cios mój chybił i tyś ocalała!

„Przybyłaś żądać odemnie rachunku!... Dobrze! właśnie nadeszła jego godzina! Więc przedewszystkiem czego chcesz? Czy powiedzieć mi, że nie jestem Juljuszem Mercier lecz Juljuszem Armandem de Lucenay? Odkryłaś to, tem gorzej dla ciebie!... Chcesz mię nazwać nikczemnikiem, podłym zbrodniarzem! Eh, moja droga, to okoliczności czynią człowieka zbrodniarzem! Przypuszczam, że znasz mię dobrze i wiesz, żem zdolny do wszystkiego!

„Kochałem cię, to prawda... później zobojętniałem, a ty z dzieckiem swojem stałaś się przeszkodą dla mojej przyszłości... Potrzebowałem więc pozbyć się ciebie, pokusiłem się o to, lecz udało mi się tylko z dzieckiem.

„Obecnie odszukałaś mię... prześladujesz mię... Jaki masz cel?

„Czy pragniesz zemsty?

„Dowiedziawszy się, że zostałem miljonerem, chcesz mię pogrążyć w ruinę, odsłaniając przed światem przeszłość moją?

„Jeżeli tego pragniesz, więc powiedz...“

Hrabia zamilkł na chwilę, widocznie oczekiwał odpowiedzi.

Kobieta zawoalowana, milcząc, słuchała go na pozór bez wzruszenia, z oczyma utkwionemi w twarz jego, z ręką opartą o poręcz fotelu. Lucenay nie doczekawszy się odpowiedzi, mówił dalej:

— Być może, że nie posiadając przeciw mnie dowodów i czując się przez to bezbronną, nie zamyślasz o mej zgubie i masz zamiar bardziej praktyczny, może chcesz mianowicie, bym okupił twoje milczenie?... Jeżeli tak jest rzeczywiście, to możemy się porozumieć... Pragnę pozostać czem jestem przez urodzenie i majątek, osobą szanowaną przez wszystkich; pragnę, by żadne podejrzenie nie mogło mię dosięgnąć i przysięgam ci, że wola moja spełni się! Z tego co uczyniłem będąc ubogim i ukrywając się pod obcem nazwiskiem, osądź na co potrafię się odważyć, widząc się zagrożonym ruiną! Więc mów! czego chcesz odemnie?

Zawolowana kobieta milczała.

Hr. de Lucenay wyjął z kieszeni mały rewolwer, którego lśniąca, stalowa lufa błysnęła nagle w świetle palącej się świecy.

— Mów!—powtórzył—rozkazuję ci mówić!... jeżeli zgadzasz się zachować tajemnicę i dasz mi pewność milczenia, jestem gotów dać wiele... Lecz jeśli przeciwnie, chcesz zostać dla mnie ciągłą groźbą, przeszkodą i niepokojem, to cię zabiję! Decyduj się prędko!

Nieznajoma nagłym ruchem podniosła woalkę i wybuchła śmiechem dziwnym, szyderczym.

Hrabia, osłupiały, cofnął się przed nieznaną sobie osobą.

— Musiałam nareszcie odkryć twarz — rzekła młoda kobieta.—Gdybym się była spóźniła choć o sekundę, żart mógł się skończyć tragicznie.

Juljusz nie mógł opanować swego wzruszenia. Chciał przemówić, lecz zeschłe i drżące wargi jego nie mogły wydać ani wyrazu.

— Jak się panu podoba ta przygoda? — mówiła dalej nieznajoma śmiejąc się. — Oryginalna, prawda, i zachwyciłaby czytelników, gdyby ją opisać?

— Pani—jąkał hrabia.—Co znaczy ta komedja? Jaką rolę dziwną gra pani?

— A to jest dobre — odparła młoda kobieta — ależ pan jesteś wyborny! Zapytujesz pan, co znaczy ta komedja, mnie, która znajduję pana podczas nocy w mojem mieszkaniu, do którego wdarłeś się z rewolwerem w ręku! A to pyszne!

— Więc to nie u Magdaleny ja się znajduję?

— Magdaleny? Nie znam!... Jesteś pan u Gabrjeli Stellini—paryżanki...

— Czy to pani pisałaś do mnie dwa tajemnicze bilety?

— Ja.

— Więc mam prawo zapytać, co znaczy ta komedja?

— Ależ mój Boże, rzecz bardzo prosta! Widziałam pana w Paryżu, a jeden z moich przyjaciół, będący zarazem przyjacielem pańskim, powiedział mi pańskie nazwisko. Nie powiem, bym się w tejże chwili zakochała w panu, bo to byłoby śmieszne, ale podobałeś mi się pan bardzo. Przypuszczam, że to nie pierwszy raz zdarza się panu podobać się kobiecie... Miałeś się pan wtedy żenić... Dla każdej innej kobiety byłoby to przeszkodą, ale mnie przeszkody pobudzają do większej jeszcze energji. Postanowiłam pociągnąć pana ku sobie zbliżając się do niego, intrygując go, podniecając ciekawość i nareszcie zwrócić na siebie jego uwagę... Powiadomiona przez jednego z pańskich przyjaciół, udałam się naprzód do Chennevières na pański ślub z panną Henryką Dauray... Bardzo przystojna! niema co mówić... Winszuję panu. Wydaje się, jakby nie pojmowała szczęścia, jakie ją spotkało... Dla czego to?... Wiedząc pańską marszrutę podróży zagranicę, wyprzedziłam pana i tym sposobem znalazłam się w Marsylji, Neapolu i nareszcie w Wenecji, gdzie zawiązałam intrygę, wysyłając do pana dwa listy anonimowe... Nie przypuszczałam, że tak je pan weźmie do serca... lecz patrz pan jak to można się omylić... Domyślałam się, że za czasów kawalerskich musiałeś pan zostawić w sercu jakiej kobiety urazę... Nie wiedziałam nic o pannie Magdalenie i dopiero pan odkryłeś mi ją!

— Magdalena...—powtórzył Juljusz z gniewem.

— Do licha—ciągnęła dalej Gabrjela—straszny z pana kochanek... Dusisz czy mordujesz swoje kochanki, gdy przestaną ci się podobać i zabijasz małe dzieci! Zachowam to wyznanie w pamięci... przywiąże ono pana do mnie... Odtąd ja jedna tylko znam trochę melodramatyczną stronę przeszłości pańskiej, ponieważ ta, którą wyobrażałeś sobie znaleść we

mnie, zapewne nie żyje... Nie jesteś pan człowiekiem chybiającym ciosu! Posiadając pańską tajemnicę, mam pana w ręku... Nie złość się pan i schowaj rewolwer... nie wzbudzasz pan we mnie obawy i lękasz się mnie niepotrzebnie. Energja pańska nie tylko że mnie nie przestrasza, lecz przeciwnie, zachwyca... nie zdradzę pana, lecz pod jednym warunkiem...

— Jakim?—zapytał Juljusz de Lucenay.

— Że zostaniesz pan u mnie na kolacji.

— To być nie może... przynajmniej dzisiaj.

— Dla czego?

— Muszę powrócić do willi Doria.

— Czy do żony?

— Przyzna pani, że należą się jej pewne względy.

— Upewniam pana, że hrabinę bardzo mało niepokoi jego nieobecność.

— Podobne przypuszczenie!... — zawołał hrabia.

— To nie przypuszczenie lecz pewność, a gdybyś pan był szczerym, przyznałbyś mi rację.

— Cóż pani wiadomo?

— Nic nie wiem, lecz wszystkiego domyśliłam się.

— Czegoś pani się domyśliła?

— Hrabina nie kocha pana, tak jak i pan jej nie kochasz. Małżeństwo pańskie jest zakończeniem jednego z tych dramatów rodzinnych, które ukrywa się za jakąbądź cenę... Czyż możesz mi pan zaprzeczyć?

— Ależ pani jesteś szatanem!

— Wcale nie! jestem jednym z tych biednych aniołów, którym ludzie ucięli skrzydła... Przyznaj pan, że domysł mój słuszny. Byłeś pan zrujnowany i zrobiłeś interes świetny, ponieważ Dauraye są

ludźmi bardzo bogatymi i mogli dać za córką miljony... Za tę cenę można zgodzić się na wszystko... nawet na...

— Kto pani to powiedział?

— Nikt... Mam dobre oczy... widziałam przy wyjściu z kościoła w Chennevières... Jesteś hrabia dzielnym człowiekiem! Nie wyobrażasz pan sobie, jakiego nabrałam wówczas dla niego szacunku. Sądziłam z początku, że jesteś pan pospolitym, podobnym do innych, tymczasem wyznanie pańskie postawiło cię w oczach moich na piedestale! Podobałeś mi się pan od pierwszego dnia, dziś zaś podobasz mi się sto razy więcej, i będę uważała sobie za szczęście zjeść z nim kolację, ponieważ musisz się pan na to zgodzić! Ale, ale, nie przypuszczam, aby pański gondoljer, który podstępem oddalił moją pokojowę, trzymał ją tam całą noc. Musi ona nam usługiwać...

Hrabia wszedł na balkon i wezwał Pippa.

— Co pan hrabia każe?

— Gdzie jest służąca pani?

— Zostawiłem ją na Lido, ale musiała tam znaleść inną gondolę, bo widzę zbliżającą się latarnię...

— Dobrze... czekaj na mnie.

Po kilku minutach do schodków przybiła gondola, z której wysiadła młoda kobieta.

— Czy to ty Marjetto?—zapytała Gabrjela.

— Ja, proszę pani.

— Chodź prędzej.

— Ale ja nie mam klucza...

— Ja ci otworzę—rzekła Gabrjela i wyszła.

Hrabia zamyślił się nad swoją pozycją Własna nieostrożność wydała go na łaskę i niełaskę kobiecie nieznanej. Wprawdzie nie miał potrzeby obawiać się jej denuncjacji, gdyż odrazu i wyraźnie powiedziała mu, iż podobał się jej, ale lękał się, by po powrocie

do Paryża nie wygadała się przed swymi znajomymi. Niedyskrecja taka zgubiłaby go. By uniknąć tak groźnego niebezpieczeństwa, należało okupić jej milczenie, należało związać ją interesem wspólnym. Zdecydował się prędko. Nie kochał on Henryki i projektował, że powróciwszy do Paryża, wybierze sobie jakąś gwiazdę z półświatka, która na równi z jego końmi i powozami stanowić będzie cząstkę przepychu.

— Kochany hrabio—rzekła Gabrjela wchodząc—znalazłam pana z rewolwerem w ręku w mem mieszkaniu, do którego wdarłeś się pan sekretnie... Zdaje się, że nie przyszedłeś pan w intencjach czułych... Na szczęście wczas podniosłam woalkę!... Wszystko to nadaje mi nad panem i nad pańską wolnością prawa absolutne... Czy mam rację?

— Ma ją pani — odrzekł Juljusz śmiejąc się. — Z pokorą uznaję te prawa.

— Mogłabym ich nadużyć, ale nie będę nawet z nich korzystała... Nie chcę, byś złamał pan zwyczaje wzorowego małżonka i nie pragnę żadnego skandalu w pańskim domu... Łatwo panu przyjdzie usprawiedliwić póżny powrót. Proszę więc, zostań pan u mnie na kolacji, po której wrócisz do siebie.

Juljusz zgodził się.

Gdy w parę godzin później powrócił do willi, Henryka, która, zaniepokojona długą jego nieobecnością, oczekiwałą nań, zawołała:

— Ach, chwała Bogu, drżałam o ciebie, gdyż nigdy jeszcze nie wracałeś tak późno...

— Czegoż obawiałaś się?

— Mogło ci się zdarzyć jakie nieszczęście...

— Chciałem wrócić wcześniej, lecz przyjaciel, o którym ci wspominałem, zatrzymał mię...—odrzekł i złożywszy pocałunek na jej czole, odszedł do swego apartamentu.

LXVIII.

Nie będziemy opowiadali szczegółowo historji znajomości hrabiego de Lucenay z Gabrjelą Stellini.

Dosięgnęła ona zamierzonego celu i wywierała na niego wpływ tak wielki, iż hrabia nie tylko zaspakajał jej zachcianki i kaprysy, lecz uprzedzał je nawet. Nie zerwał jednak z żoną i zachowywał wszelkie pozory uprzejmości. Rzadko wracał do domu przed godziną drugą po północy i zawsze zwłokę umiał usprawiedliwić jakimś pretekstem.

Henryka, jakkolwiek obojętna, a tem samem i wcale nie zazdrosna, nie łudziła się jednak. Nie znając powodów oddalających go coraz więcej od niej i nie badając ich, czuła instynktownie, że przedstawiane przez niego przyczyny były fałszywe. Nie gniewała się za ten brak otwartości, ale dręczyło ją upokorzenie tego, którego nazwisko nosiła.

Jej pokojowa Anusia, szczerze do niej przywiązana, milczała. Obdarzona przenikliwością nadzwyczajną, a w skutek tego podejrzliwa, przeczuwała powody zachowywania się hrabiego i z całej duszy litowała się nad biedną swoją panią.

Tak upływały tygodnie i miesiące, jednostajnie, bez żadnego ważniejszego wypadku.

Na parę tygodni przed słabością Henryki hrabia oświadczył jej, iż otrzymał list od swego intendenta, wzywający go do natychmiastowego przybycia do Paryża na dni kilka.

— I nie obawiasz się zostawić mię tak samą?

— Powtarzam, iż zabawię bardzo krótko, lecz muszę jechać, chodzi bowiem o ostateczne roboty w naszym pałacu przy ulicy Cyrkowej. Chciałbym, by był on godnym ciebie i gotowym na twój przyjazd.

— Myślałam, że pojedziemy naprzód do Chennevières...

— Nie możemy tam jechać, wiesz przecie z jakiego powodu...

— Ależ to samo niebezpieczeństwo istnieć będzie i w Paryżu...

— Nie, gdyż nie chcę, by dziecko przybyło razem z nami.

— Więc chcesz mię rozłączyć z niem? — zawołała Henryka z przestrachem.

— Wychowywanie go na wsi nie jest rozłączeniem. Możesz odwiedzać je ile razy ci się podoba. Wziąć je do siebie będziemy mogli dopiero wtedy, gdy trudniej będzie określić wiek jego. Dziecko, mające rok, może uchodzić za ośmiomiesięczne, ale o dziecku, mającem cztery miesiące życia, niepodobna powiedzieć, iż liczy dni kilka.

— Więc ja przez cały rok będę musiała żyć samotnie!

— Wcale nie; możesz przyjmować gości, bywać w świecie, a powoli przyzwyczaisz się i będziesz wesołą, jak dawniej.

— Świat nigdy nie nęcił mnie wiele, a dzisiaj mniej niż kiedykolwiek. Możebyś mi pozwolił choć przez kilka miesięcy żyć zdala od ciebie lecz z moim dziecięciem?

— Na serjo pragniesz tego? — zapytał Juljusz, uradowany z tej propozycji, dającej mu zupełną swobodę.

— Zupełnie na serjo. Mogłabym pozostać tutaj, a ty wróciłbyś do Paryża.

— To rzecz niemożliwa! Ty we Włoszech, ja we Francji! Wszyscyby myśleli, żeśmy się poróżnili i rozstali, a ja nie ścierpiałbym, by źle mówiono o tobie.

— Zgoda! ale ponieważ nie pozwalasz mi mieszkać w Chennevières, to czy nie mógłbyś znaleść mi jakiego zakątka w okolicach Paryża? Łatwo potrafiłbyś upozorować moje odosobnienie. Mógłbyś powiedzieć, że w Wenecji nudziłam się, że nie służył mi klimat, lub coś podobnego...

— A czy chciałabyś osiąść w Seine-Port?

— Nie znam tej miejscowości.

— Jestto bardzo ładna wieś nad brzegiem Sekwany i blisko kolei żelaznej.

— A czy dość blisko Paryża, by moi rodzice mogli mię często odwiedzać?

— Najwyżej dziesięć mil.

— Dobrze, więc zamieszkam w Seine-Port. Kiedyż ty odjeżdżasz?

— Jutro.

— A kiedy wrócisz?

— Za tydzień.

— Będę cię oczekiwała z niecierpliwością...

Następnego dnia hr. de Lucenay i Gabri w towarzystwie swej pokojowej Marjetty odpłynęli do Marsylji, skąd pociągiem pośpiesznym udali się do Paryża. Gabri osiadła w swem mieszkaniu przy ulicy Caumartin, Juljusz zaś odjechał do Chennevières.

Państwo Dauray nie spodziewając się jego wizyty, zostali nią bardzo zdziwieni; ale uspokoił ich prędko, przedstawiwszy powody swego przyjazdu i postanowienie Henryki.

Postępowanie Juljusza wydawało się im bardzo właściwe i eks-bankier pochwalił jego przezorność.

Jan Dufour oprowadził go po pałacu i pokazał roboty już prawie ukończone. Hrabia był z nich zadowolony.

— Nalegaj na przedsiębiorców by przyśpieszali roboty; chciałbym aby za miesiąc, gdy wrócę ostatecznie, wszystko już było gotowe. A teraz chodź ze mną do gabinetu, dam ci list do odniesienia.

Usiadł przy biurku i napisał wyrazy następujące:

„Moja droga Gabri, przyjdę dziś do ciebie na obiad pomiędzy godziną szóstą a siódmą.“

— Odniesiesz ten list pani Gabrjeli Stellini na ulicę Caumartin.

— Czy pan hrabia pozwoli zapytać się o jedną rzecz?

— Mów.

— Pan hrabia przywiózł jakąś włoszkę z Wenecji?

— Nie, to paryżanka.

— Panie hrabio, jestem bardzo szczęśliwy! Moje marzenia urzeczywistniają się.

Gdy Marjetta zaanonsowała Dufoura i wprowadziła go do salonu Gabri, ta zapytała:

— Jesteś pan intendentem mojego przyjaciela, hr. de Lucenay?

— Jestem intendentem, kamerdynerem i powiernikiem. Hrabia nie ma przedemną sekretów żadnych. Oto list, na który mam otrzymać odpowiedź ustną.

— Odpowiedz pan—rzekła Gabri po przeczytaniu—że będę oczekiwała na pana hrabiego z niecierpliwością.

— Odpowiem co do słowa.

— Chciałabym byś pan pamiętał dzień, w którym pierwszy raz byłeś u mnie. Proszę to wziąć— rzekła, wręczając mu pięć luidorów.

— Dziękuję... niech pani wierzy, że potrafię być wdzięcznym... Może pani liczyć na moje poświęcenie dla niej...

Wyszedł oczarowany zarówno szykiem Gabri jak i hojnym datkiem.

Nagły i tajemniczy wyjazd Gabrjeli z Paryża zainteresował niezmiernie sferę, w której żył markiz de Valandelle. Przyjaciele jego badali i snuli rozmaite domysły, lecz nikt nie wiedział przyczyny rzeczywistej. Zajmowano się również niezmiernie nową jego przyjaciółką, piękną nieznajomą, z którą pokazywał się wszędzie, nazywaną powszechnie Damą w szmaragdach. I o niej nikt nic pewnego nie wiedział, zgadzali się tylko wszyscy, że wejście jej w świat przypadło właśnie ze zniknięciem Gabrjeli.

Magdalena Gallier przyjmowała wiele osób w swym pałacyku przy ulicy de la Faisanderie, ałe zachowanie się jej i życie różniło się bardzo od życia innych kobiet, znajdujących się w tej samej pozycji. Podziwiano nie tylko jej piękność, lecz i rozsądek, inteligencję i poczucie godności. Mówiono o niej z uszanowaniem, a odwiedzający ją przyjaciele Celestyna okazywali jej szacunek.

Markiz de Valandelle, coraz więcej w niej zakochany, nie wyłamywał się z przyjętego na się zobowiązania i zadawalniał się tylko pozwoleniem ucałowania jej ręki. W zadaniu, jakie sobie wytknęła, szedł za nią bez szemrania, okazywał jej poświęcenie i wierność bez granic.

Magdalena, mimo niepowodzenia swych usiłowań w celu odszukania zabójcy swego dziecka, nie zniechęcała się. Ale gdy zebrania i wycieczki rozmaite nie doprowadzały do żadnego rezultatu, wtedy przebrana za robotnicę, w towarzystwie markiza, również przebranego, zwiedzała domy gry i różne miejsca zabaw

— Tracimy czas napróżno... i nigdy go nie znajdziemy—mawiał hrabia zrozpaczony.

— Znajdziemy, jestem tego pewną — odpowiadała mu.—Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że zbrodniarz ten nie ujdzie kary. Inaczej, Bóg nie byłby sprawiedliwym, a ja wierzę w Jego sprawiedliwość!

Niespodziewane zjawienie się Gabri sprawiło wrażenie, na jakie ona rachowała. Dawni jej liczni przyjaciele, zarówno jak i liczniejsze jeszcze rywalki zdziwili się bardzo świetnem jej wystąpieniem. Mężczyźni witali ją z radością, kobiety, te zwłaszcza, które jej najwięcej nienawidziły, uśmiechały się do niej przy spotkaniu się na spacerze.

Pewnego wieczoru, gdy Juljusz z swą przyjaciółką zjawił się w jednej z restauracji, powitał ich ogólny okrzyk zdziwienia.

— Ach, więc to dla tego — rzekł baron Vervey do Gabri—przed ślubem hrabiego rozpytywałaś mnie pani tak szczegółowo o marszrutę jego podróży!

— A naturalnie—odrzekła śmiejąc się.

— Więc miałaś pani pewien projekt...

— Tak, projekt, który, jak pan widzisz, udał mi się w zupełności...

— Znam kogoś, którego powrót pani doprowadzi do wściekłości.

— Kogoż to?

— Naszego przyjaciela, Celestyna de Valandelle.

— Nie wierzę w to. Czy zawsze zakochany w swojej gąsce?

— Więcej niż kiedykolwiek. Dama w szmaragdach tak dalece zawróciła mu głowę, iż zdaje się, że się z nią ożeni...

— Po takim głupcu wszystkiego spodziewać się można!—odrzekła napozór obojętnie, lecz w głosie jej czuć było wściekłość i zazdrość.

— Cóż to za jedna ta Dama w szmaragdach?— zapytał Juljusz de Lucenay.

— Nikt jej nie zna i nie wie skąd się wzięła— odrzekła Gabri.

— Przystojna?

— Nawet bardzo piękna!—odrzekł hr. de Saint Roman.

— Nie zgadzam się z panem...—wtrąciła Gabr' —blada, figura marna, rysy twarzy wprawdzie regu larne, ale bez żadnego wyrazu... i do tego ani odrobiny szyku i elegancji...

— A jednak wszyscy zachwycają się nią...

— To tylko dowodzi braku gustu u wszystkich Ale robimy jej za wiele zaszczytu zajmując się nią Panowie, zapraszam was z hrabią de Lucenay dzi' wieczór do mnie na obiad na godzinę siódmą.

Zaproszenie zostało przyjęte, poczem Gabri sia dła z Juljuszem do powozu i odjechała.

Ale zaledwie powóz ich zniknął na rogu alei gdy przed tę samą restaurację zajechała kareta, z któ rej wysiedli markiz Celestyn de Valandelle i Magda lena i zajęli miejsce przy tym samym stole, przy którym przed chwilą siedział Juljusz z Gabrjelą.

Przypadek dziwnie mu służył i pozwolił uniknąć szukającej go wszędzie nieubłaganej jego nieprzyja ciołki.

— Kochany markizie — rzekł witając się baroı de Vervey—jaka szkoda, żeś nie przybył o pięć mi nut wcześniej.

— Dla czego?

— Byłbyś świadkiem zjawienia się gwiazdy którą uważaliśmy za przepadłą.

— O kim mówicie? Czy znam ją?

— Nie tylko że ją znasz, lecz niedawno inte resowałeś się nią bardzo mocno... Gabri...

— Ach, ona...—odrzekł Valandelle obojętnie.
— Gdzież przebywała?
— W Wenecji, skąd przywiózł ją hr. Juljusz de Lucenay.
— Co to za hr. Juljusz de Lucenay?—zapytała Magdalena.
— Jeden z naszych przyjaciół, chłopak bardzo szykowny, który miał wiele przygód. Był już zrujnowany zupełnie i zniknął na czas jakiś, gdy wtem przed miesiącem wypłynął znowu i zaślubił prześliczną młodą dziewczynę, niezmiernie bogatą...
— Jakto!—zawołała Magdalena—zaślubił przed miesiącem młodą, bogatą dziewczynę i przywiózł z sobą pannę Gabri?
— Tak; prawda, że to szykowne?
— Pan znajdujesz to szykownem! Ależ to jest haniebne!
— Do licha! zanadto pani surowa!
— Ten hrabia de Lucenay jest wprost łotrem!
— Łotrem nigdy! to już za grubo! jest tylko *fin de siècle*, nic więcej! Zresztą nic on nowego nie uczynił, to samo robią inni.
— Więc i ci inni są łotrami!—odrzekła Magdalena z oburzeniem.
Nagle zamyśliła się.
— Czy ten hr. de Lucenay ma imię Juljusz?—zapytała.
— Juljusz—Armand—odrzekł baron de Vervey.
— I był zrujnowany?
— Jak tylko nim być można.
— Jak długo był nieobecny?
— Dwa lata.
— Gdzież przebywał w tym czasie?
— Mówi, że w Ameryce, a nie mamy powodów nie wierzyć mu.

Jakieś nieokreślone podejrzenie przemknęło si w umyśle Magdaleny.

Często przychodziła jej myśl, że Juljusz Mercier należał do innej sfery i ukrywał się pod przybranem nazwiskiem; hr. de Lucenay miał także imię Juljusz i do tego był graczem.

— Chciałabym go kiedy zobaczyć—rzekła jakby do siebie.

— Zobaczy go pani z pewnością—odrzekł hr. de Saint-Roman.—Gdy osiądzie w Paryżu stale, łatwo go będzie można spotkać.

— A więc odjeżdża?

— Jutro lub pojutrze do Włoch.

— Na długo?

— Podobno na kilka tygodni.

Następnego dnia hr. de Lucenay udał się do Seine-Port, najął piękny dom z ogrodem, wrócił do Paryża i po południu pociągiem pośpiesznym odjechał do Marsylji. Gdyby był o kilka godzin wcześniej lub później przybył na stację, musiałby przejeżdżać około karety oczekującej przed dworcem kolejowym, w której za spuszczonemi firankami Magdalena śledziła przybywających pasażerów. Przypadek posłużył mu i tym razem.

Hrabia odbył podróż pomyślnie i niej mając, z powodu nieobecności Gabri, potrzeby przebywania po za domem, prawie całe dni przesiadywał przy Henryce.

KONIEC CZĘSCI PIERWSZEJ.